JAKUB ĆWIEK

GRIMM CITY

WILK!

PRZYZNAJ, SPODZIEWASZ SIĘ BAŚNI

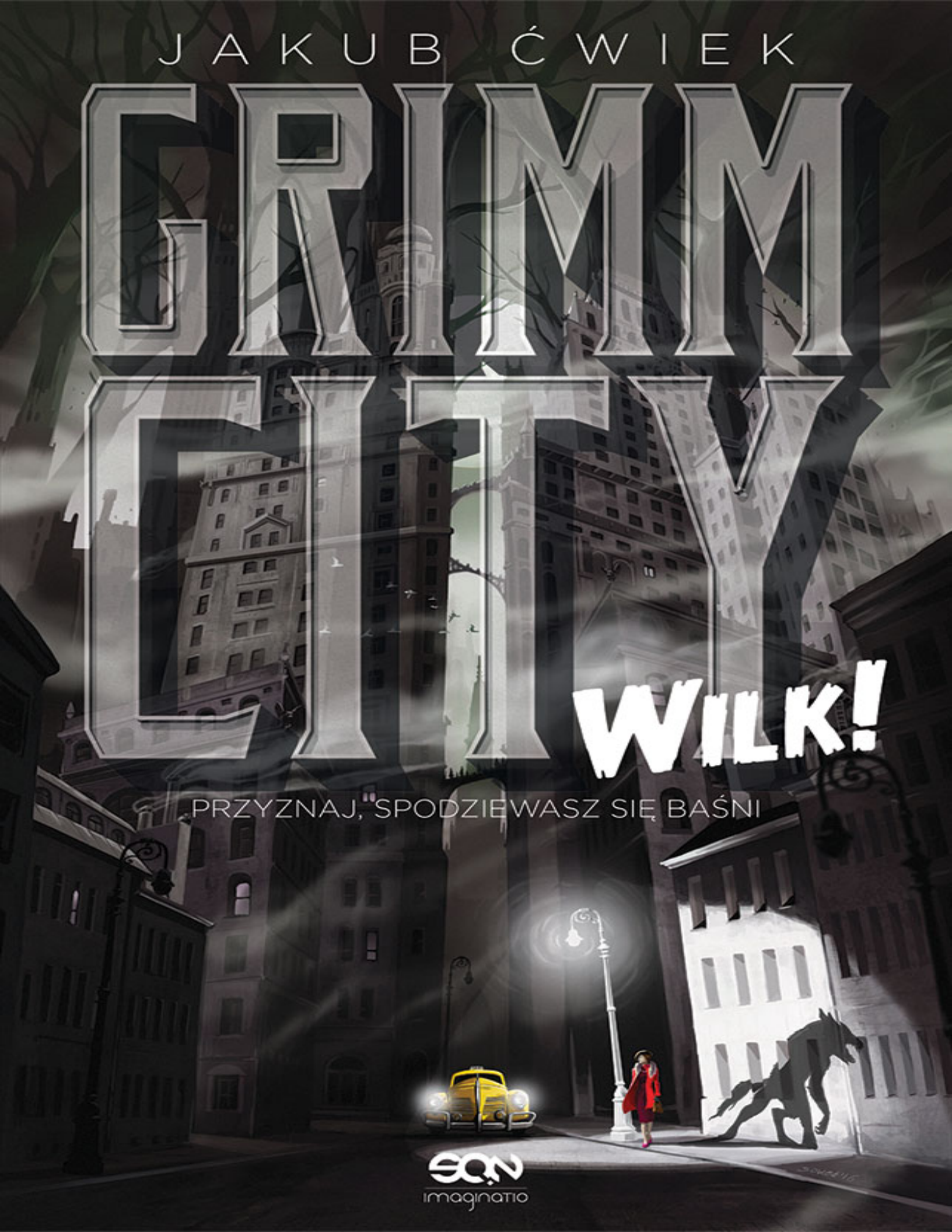

imaginatio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JAKUB ĆWIEK

GRIMM CITY

WILK!

Kraków 2016

Paulinie.

Miasto Grimm zawdzięcza jej tyle, że aż dziw, iż wciąż nie ma w nim swojej ulicy. Nadrabiając to niedopatrzenie choć w małym stopniu, książkę niniejszą, wdzięczny, dedykuję.

Rozdział 1

W ubiegłym tygodniu w aż dwunastu z dwudziestu trzech nieszczęśliwych wypadków, które miały miejsce na pograniczu dzielnic Reuben i Navalla Afiada, zginęli taksówkarze. Budziło to powszechne zaskoczenie i niepokój, bo do tej pory los zwykle ich oszczędzał i sprzedawał im raptem parę kuksańców, a potem kazał spierdalać i o wszystkim zapomnieć. Teraz jednak szczęście się skończyło i fach taryfiarza niemal z tygodnia na tydzień skoczył o kilka szczebli w górę drabiny najniebezpieczniejszych zawodów w Grimm City.

Niektórzy mówili, że to, co się działo, miało związek z Whistlerem Morse’em, jeżdżącym od trzydziestu lat taryfiarzem, który został koronnym i sypnął Ace’a Spade’a w związku z czystkami po zeszłorocznym wiecu wyborczym. Ale popularniejsza wersja sugerowała obecność nowego, niebezpiecznego gracza, który, przynajmniej na razie, bardzo mocno strzegł swojej prywatności. Sądząc po tym, co się mówiło na mieście, strzegł jej całkiem słusznie.

Dwunastu martwych taksówkarzy. Aż siedmiu spośród nich spłonęło żywcem wraz ze swymi pasażerami. Jednego zmiażdżyło, gdy skradziona ciężarówka wprasowała jego pojazd w ceglaną ścianę. Dwóch kolejnych próbowało uciekać i tych ukarano najpierw strzałami w nogi, a potem, już z bliska, w tył głowy. Przedostatni nie oparł się serii z automatu na skrzyżowaniu Trzydziestej i Piątej, a ostatniemu odcięto głowę i wraz z trzema innymi czerepami wywieszono ją na płocie hurtowni odzieży ochronnej niejakiego Petco Gibbildiego.

Nazwiska pasażerów taksówek dało się, jak stwierdziła policja, bez trudu powiązać z organizacjami przestępczymi i w zasadzie poza brutalnością niektórych zabójstw egzekucje na nich nie odbiegały od przyjętych przy porachunkach standardów. Ci taksówkarze jednak to była kompletna nowość. Nic dziwnego, że Mikrus od rana rzygał.

***

Pokój sąsiadował z łazienką i zazwyczaj Alfie wielce to sobie chwalił, bo pozwalało mu to zwykle być w niej pierwszym rano, gdy przychodziła potrzeba. Tego dnia jednak dałby wiele, by zamienić się na pokoje z Mikrusem. O ile, rzecz jasna, ten wcześniej nie puścił pawia również i do łóżka.

Mikrus miał na imię Patrick i jak większość Patricków był drobnym, żylastym facetem o bladej gębie, ognistorudych, wiecznie nieuczesanych kudłach i oczach, jakby ciągle się dziwił. Nie potrafił usiedzieć cicho – a to śpiewał, a to gadał jak najęty – ale z drugiej strony uczynny był z niego gość i robotny i nigdy nie narzekał na kilkudniowe opóźnienia w płatności czynszu. „Wiem, jak to jest – mówił wtedy, klepiąc Alfiego w ramię. – Sam chciałem kiedyś zostać artystą”.

Nie został, bo jego ojcu nie przypasowało mieć w domu skrzypka, więc najpierw po pijaku połamał Mikrusowi wszystkie paluchy, a potem, gdy się zrosły, wysłał go na boks. Co w sumie nie było taką złą decyzją, bo chłopak miał talent i zdobył parę drobnych tytułów, a wycofał się w porę, zanim zainteresowali się nim wielcy miasta. Zarobiony szmal zainwestował w licencję taksówkarską, bo wszyscy wiedzieli, że choć kosztuje to drogo, to jak się uda, człowiek ma pewny i w miarę bezpieczny zawód. I tak było, do zeszłego tygodnia.

Kolejny głośny rzyg prosto do muszli, a potem suchy kaszel. Alfie przewrócił się na wąskim łóżku i wcisnął głowę w poduszkę, ale wiedział, że to daremne. Mógł wiercić się jeszcze parę minut, wściekając coraz bardziej, albo wstać teraz, wypić kubek kawy i przygotować się na rozmowę ze współlokatorem. Bo że rozmowa nastąpi, tego był pewien. Nie miał tylko pojęcia, co mu dziś odpowie.

W teorii jazda taksówką bez papierów wiązała się z bardzo poważnymi konsekwencjami. Ogromne pieniądze, te oficjalne i te puszczane bokiem, jakie wiązały się z udzielaniem licencji, jak również, swego czasu, mocne budowanie obywatelskiego przekonania, że wszechobecne, tanie i zawsze gotowe do podróży taksówki to wyraz troski włodarzy o obywateli, stanowiły ogromny kapitał, jakiego nie chciano rozmieniać na drobne przez pobłażanie nieuczciwym. Specjalne pojazdy, specjalne oznaczenia tychże, legitymacje ze zdjęciem. Fakt, kompletnie nieczytelnym, ale przez to dużo trudniejsze do podrobienia niż prawo jazdy wypisywane długopisem na świstku, jaki można było dostać w większości urzędów.

Wtedy, na początku, gdy patrol policji złapał za kółkiem taryfy kogoś, kogo nie powinno tam być, to w najlepszym przypadku ten ktoś tracił dorobek całego dnia, kilka zębów i ochotę na podszywanie się pod uczciwego obywatela. W najgorszym lądował w Domku Trzeciej Świnki, czekając na zarzuty.

Obecnie, choć zasady wciąż obowiązywały, nikt się nimi tak ściśle nie przejmował. Taksówkarzy było mniej, a wymagano od nich pełnej dyspozycyjności według grafików godzin i dzielnic, więc zwykle wszyscy przymykali oczy na to, czy po gorszej nocy posadziłeś za kółkiem szwagra czy dzieciaka. Byleby miał prawko, umiał jeździć i trzymał gdzieś zwitek albo dwa na łapówkę dla patrolu. I byle nie weszło ci to w krew.

Alfie jeździł czasem za Mikrusa i traktowali to jako wzajemną przysługę. Zwykle wtedy, gdy kumpel miał zły dzień, chorował albo zaplanował wypad za miasto z tą swoją cizią. Równie często któreś ze źródełek zarobkowych Alfiego przysychało na moment i potrzebował paru niebieskich ekstra, by utrzymać płynność. Trudno było żyć w mieście z muzyki, jeśli nie miałeś dojść do kogoś z klubów na Troll’s Face. A on swoje stracił dawno temu.

Kiedyś myślał co prawda, że odkuje się właśnie tu, w dolnym Reuben, historycznej kolebce jego ukochanego gatunku, d’lespri, ale dość szybko zdał sobie sprawę, że muzyka ta nie wzbudza już dziś takiego entuzjazmu jak dawniej. Nazwiska czy ksywy takie jak Ricky Klewon albo J.D. Mulders mało komu z młodych cokolwiek mówiły, a lokale, gdzie grywali, świeciły pustkami i zamykały się jeden po drugim. Dziś liczył się tylko S’n’W grany melodyjnie i prosto i śpiewany albo rzewnie i słodko, albo głośno i rubasznie, do czego Alfie miał może i głos, ale jakoś brakowało mu serca. A z czasem, gdy wyparła go konkurencja, również okazji.

Zostawały więc lekcje dla dzieciaków kartonów – rodzin aspirujących do klasy wyższej, gdzie matki nawet w kuchni miały nienaganną fryzurę i czysty fartuszek, a ojcowie nosili wpięte pod szyją kartonikowe kołnierzyki, zmieniane co pół godziny, by zachowały biel mimo smogu. Z tą pracą jednak też bywało różnie, raz lepiej, innym razem gorzej, i teraz właśnie było to gorzej. Co przemawiało za wzięciem zmiany, o co ani chybi zaraz miał go prosić Mikrus.

Z drugiej strony to nie tak, że go ta cała sytuacja z martwymi taksówkarzami nie ruszała zupełnie. Alfie też się bał i ani myślał

nadstawiać karku za drobne. Choć może gdyby uważnie dobierał klientów? Mógłby nie zauważać tych lepiej wyglądających, brać tylko studentów albo matki z zakupami czy właśnie kartonów. Tacy zwykle płacili wyliczone, ale żaden sowity napiwek nie wynagradzał potencjalnego ryzyka. Pojeździłby do siedemnastej, akurat do końca dyżuru Mikrusa, a potem zdał mu taksówkę i może jeszcze namówił, by ten zawiózł go na Memoire, gdzie miał mieć rozmowę o pracę. Nic niezwykłego, właśnie korepetycje dla bogatego szczeniaka. Nie obiecywał sobie za wiele, wszystko to było palcem na wodzie pisane, ale kto wie, może… Chociaż nie, gówno prawda! Obiecywał sobie całkiem sporo, bo Memoire od Troll’s Face dzielił raptem parkan i dwie ulice. Gdyby to, jak gra, przypasowało ojcu dziecka, gdyby szepnął znajomemu właścicielowi klubu, może udałoby się wrócić za fortepian tam, gdzie dźwięki fal mieszają się ze śmiechem rozbawionych turystów, a brzęk monet…

Kolejny rzyg, a właściwie już tylko nieudana próba, przerwał te rozmyślania. Alfie odrzucił kołdrę, podniósł się z łóżka i ruszył w stronę ciasnej kuchni. Chciało mu się sikać, ale pomyślał, że da Mikrusowi jeszcze chwilę.

W perspektywie był jeszcze wychodek na korytarzu, do niedawna jedyna opcja w budynku, ale Alfie trochę się brzydził. Zamiast tego stanął więc przed szafką, nastawił wodę na gaz i wsypał kawy do kubka. Po namyśle sięgnął też po kubek współlokatora.

Ten zjawił się, akurat gdy woda się zagotowała. Alfie zalał obie kawy, a tę Mikrusa chciał uzupełnić mlekiem i cukrem, ale rudzielec zaoponował.

– Zrzygałbym się – stwierdził.

Alfie wzruszył ramionami, powstrzymując się od złośliwej uwagi. Wziął łyk, przyjemnie parząc sobie usta, potem drugi i odstawił kubek.

– Zaraz wracam – powiedział.

– Nie musisz mi mówić, kiedy chcesz się iść odlać – stwierdził Mikrus, upijając łyk swojej kawy. Skrzywił się, pokręcił głową i jednak posłodził. A potem dolał też trochę mleka.

Alfie tymczasem przeszedł przez przedpokój. Wszedł do łazienki na bezdechu, ale długo tak nie wytrzymał i gdy stał nad muszlą, odetchnął głęboko, a wtedy słodko-kwaśna woń wymiocin wdarła się do nosa i szarpnęła żołądkiem. Klepnął się w pierś raz, drugi, splunął gęstą,

zabarwioną na beżowo śliną, a potem spuścił wodę i stanął przed umywalką.

Z lustra patrzył na niego tępawy, krótko ostrzyżony robol o kartoflowatym nosie, wyraźnie zarysowanej kwadratowej szczęce i uszach płasko przylegających do głowy. Ciemne linie pod wodnistoszarymi oczami już dawno pozbyły się statusu tymczasowych oznak zmęczenia i ewidentnie osiedliły się tam na stałe, a blizna ciągnąca się od lewej brwi aż po linię włosów z czasem rozłaziła się coraz bardziej i teraz w niczym nie przypominała już tej seksownej białej linii, o którą pytały go podchmielone dziewczęta w barach. Liczyły na romantyczną opowieść utalentowanego dziewiętnastolatka. Może o wielkiej miłości, o której tak często śpiewał, może o smutnym dzieciństwie, o którym miał dwa czy trzy kawałki… Dziś natomiast blizna wyglądała tak, jakby jakiś niezadowolony klient przeorał mu gębę tulipanem z butelki, bo jego zdaniem źle zagrał *Balladę barmana*. Co było zresztą prawdą. Alfie był wtedy tak naćpany, że nie poczuł ani tego, że nie wszedł w tonację, ani tego, że w konsekwencji mało nie stracił oka, a może i życia.

Chlusnął zimną wodą w tę gębę, by się obudzić, a potem jeszcze raz, bo go wkurzała. Potarł zarośnięty policzek, zerknął niechętnie na pędzel i brzytwę, wytarł ręce wciąż wilgotnym ręcznikiem i wyszedł z łazienki.

Mikrus już miał tę minę. Oczy spaniela, ale usta ściągnięte, jakby miał zamiar zachować godność do końca. Tylko zapyta. Raz. I niezależnie od tego, co odpowie Alfie, uszanuje jego decyzję. Obaj wiedzieli, że to totalna bzdura, podobnie jak bzdurne były w większości wymówki, których Mikrus czasem używał, gdy wyskakiwał z prośbą w ostatniej chwili, a muzyk miał już plany. Najczęściej powodem takich wyskoków była ta jego cizia i kto wie, czy jej jedynym celem nie było wtedy, by ich poróżnić. Alfie nie potrafił jej zrozumieć. Owszem, spali kiedyś ze sobą, na długo nim poznała Mikrusa. Był miły, zapłacił potem według stawki, zostawił nawet skromny napiwek. Może za skromny? Cholera wie, cizia miała ambicje.

Alfie sięgnął po kubek i upił kolejny gorzki łyk.

– Tak – powiedział po chwili.

– Co tak? – nie zrozumiał Mikrus.

Alfie posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Ale przed osiemnastą muszę być na Memoire, jasne?

– Robota?

– Nie, mewy dokarmiam.

Mikrus zaśmiał się sztucznie, po czym zrobił krok w stronę współlokatora i położył mu rękę na ramieniu.

– Dzięki, stary. Odwdzięczę się.

Alfie pokiwał głową, mając nadzieję, że owa wdzięczność nie przyjmie postaci żałobnego wieńca. Upił kawy i poczuł, że chętnie by zapalił. W sumie to następny plus dzisiejszej zamiany. Mógłby kupić paczkę marie levausów. Westchnął. Jak na takiego biedaka miał cholernie kosztowny gust.

– Ale wiesz, że kiedyś będziesz musiał jednak wrócić za kółko? – zapytał.

Mikrus skinął głową.

– Dla mojego żołądka „kiedyś” brzmi znacznie lepiej niż „dzisiaj” – stwierdził, a potem jak gdyby nigdy nic otworzył niemal pustą lodówkę w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby uzupełnić zwymiotowane braki.

Alfie dopił wciąż gorącą kawę dwoma haustami, opłukał kubek i ruszył do pokoju, po drodze biorąc z przedpokoju pokrowiec ze świeżo wypranym uniformem taksówkarskim. Założył go, czując, jak marynarka trzeszczy przy każdym ruchu, a spodnie wpijają się w krok i uda. Wbrew ksywie współlokatora byli z Mikrusem podobnego wzrostu, ale Alfie był sporo szerszy w barkach i klatce, a do tego łeb miał większy, więc służbowy kaszkiet ledwo nań wchodził. Żeby nie wyglądać jak ostatni kretyn, muzyk osadzał go na czubku głowy i zsuwał mocno na oczy, co może nie było regulaminowe, ale wyglądało nieźle. Tak jakby groźniej, mroczniej…

Wrócił do łazienki, gdzie przejrzał się w lustrze. Nabrał nieodpartego przekonania, że powinien był się jednak ogolić. Ale w sumie miał to w dupie.

– Powinieneś się ogolić – stwierdził w przedpokoju Mikrus. Miał już na nogach buty i identyczny uniform, w który wskoczył nie wiadomo kiedy. To on musiał odebrać samochód z dyspozytorni i pod koniec dyżuru go tam zdać, podpisując raport dzienny. Niektórych rzeczy nie dawało się przeskoczyć. – W sumie może jeszcze zdążysz, kiedy ja skoczę po wóz.

Alfie wzruszył ramionami.

– Już się ubrałem – odparł.

– Ale firma… – zaczął Mikrus i urwał, wiedząc, że to bez sensu. Machnął ręką i zdjął z wieszaka zapasowy kaszkiet. – Dobra, nieważne.

Lecę. I jeszcze raz dzięki.

– W porządku – westchnął Alfie.

Wszystko, żebyś już nie rzygał, dodał w myślach. Przyszło mu na myśl, że szkoda, że jego ulubionych papierosów nie sprzedają na sztuki jak wszystkich, kurwa, innych.

***

Dzień był paskudny. Chmury wisiały nisko, dym z szybów i fabryk z Dystryktu Grumliga, zwanego Dzielnicą Mgieł, kłębił się więc na ulicach, a padający raz po raz przelotny deszcz wypełniał nierówności drogi czarną, tłustą wodą. Alfie nie znosił takiej pogody, takiego miasta skąpanego w brudnych szarościach. Jako człowiek o artystycznej duszy nie miał co prawda wątpliwości, że takie jest Grimm City od wewnątrz – przegniłe korupcją, brudnymi interesami, a z drugiej strony przesycone szarością dniówki lub gdzieniegdzie czarną rozpaczą – no ale po co się z tym zaraz obnosić? Po co zmuszać ludzi, by przywdziewali te śmieszne ceratowe wdzianka, zasłaniali usta i oczy i przemykali ulicami niczym spiskowcy lub złodzieje? Tak, w dni takie jak ten miasto najwyraźniej dokonywało aktu skruchy i odsłaniało swe poznaczone karty.

Ale, co Alfie musiał niechętnie przyznać, takie dni miały też plusy. A największy z nich, zwłaszcza w jego obecnej sytuacji, był ten, że mając w perspektywie brudny, śmierdzący i lepki autobus lub przebieżkę niemal na oślep od markizy do bramy, ludzie jakoś bardziej skłonni byli wykosztować się na taksówkę. Do jedenastej zrobił dziewiętnaście kursów i dobra passa mogła trwać dłużej, ale szmata do ścierania była już czarna jak noc, płyn do spryskiwaczy się skończył, a filtry powietrza wymagały natychmiastowej wymiany. Uznał, że to dobry pretekst, by wreszcie zjeść śniadanie, i zjechał na róg Dziesiątej i Trzydziestej Czwartej, gdzie przy stacji mieściła się niezła śniadaniownia. Nic nadzwyczajnego, ale kawa była na importowanej wodzie – wiedział to od Betsy czy Mitsy, kelnerki, która kiedyś tak bardzo chciała, by zagrał jej *Wszystkie zachody słońca nad Earlis* – i regularnie zmieniali filtry powietrza. Tak że nawet w najgorsze dni naleśniki nie dostawały, jak mawiał, nagłej sadzolukrozy.

Była kolejka, więc zaparkował na podjeździe. Przełożył do portfela zawartość kasetki i rzucił kluczyki chłopakowi z obsługi. Dzieciak mógł

mieć szesnaście lat, ubrany był w brudny, dżinsowy kombinezon, spod którego, choć była jesień, wystawała tylko goła klata. Nosił sfatygowaną czapkę z daszkiem i żółte okulary ochronne. W tylnej kieszeni trzymał paczkę jednorazowych pokrowców do wykładania siedzeń, z drugiej wystawała głowa klucza nastawnego.

– Bak, filtry i zestaw na smutne dni – wyrecytował beznamiętnie Alfie.

– Aha – powiedział chłopak. – Płatność w kasie.

– Po śniadaniu.

– Aha.

Chłopak zabrał się do roboty, a Alfie ruszył w stronę restauracji wąskim chodnikiem ze spękanych płyt.

Na dzwonek nad drzwiami nie zareagował nikt prócz grubego kucharza w spoconym podkoszulku stojącego w progu wejścia do kuchni. Wsparty o futrynę czytał gazetę i palił, strzepując popiół do słoiczka stojącego na szafce przed nim. Gdy muzyk wszedł, uniósł wzrok, sapnął i spróbował zamachać gazetą tak, by dym nie wlatywał do otwartej kuchni. Wywołał jednak zupełnie przeciwny efekt.

Alfie rozejrzał się po długim i wąskim pomieszczeniu przywodzącym na myśl wagon restauracyjny. Dostrzegł dwóch policjantów, jednego nad kawą i kawałkiem szarlotki, drugiego siłującego się z przesmażonym stekiem. Ten pierwszy łypnął na muzyka podejrzliwie, a potem jeszcze raz, tym razem zatrzymując wzrok na dłużej, jakby chciał go sobie zapamiętać.

W ostatnim boksie w półmroku również siedziały dwie osoby, ale z perspektywy wejścia można było dostrzec tylko łysiejący czubek głowy jednego gościa i wznoszące się od czasu do czasu ręce drugiego. Gość albo migał, albo ekscytował się wyjątkowo cicho.

Alfie zdjął kaszkiet, strzepnął go o udo i powiesił na wieszaku. To samo zrobił z przymałą marynarką. Poprawił szelki, przeczesał włosy i tak przygotowany ruszył do kelnerki siedzącej w kącie za ladą. Uśmiechnął się szeroko, bo tu, przynajmniej kiedyś, dawało to szansę na otrzymanie świeższej kawy.

– Dobry – zagaił.

Kobieta, na oko bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki, podniosła się ze stołka i podeszła do blatu. Alfie przyjrzał się jej uważnie, przekrzywiając lekko głowę. Znał kiedyś taką piosenkę o ślicznej dziewczynie z okładki magazynu leżącego w jakiejś poczekalni. Co rusz ktoś brał pismo do ręki –

a to żołnierz wracający z przepustki i cieszący się na spotkanie z dziewczyną, a to kobieta rozpaczająca po stracie… w sumie nieważne kogo. Na dziewczynę z okładki raz padał deszcz łez, innym razem ktoś suszył ją uśmiechem i tak w kółko. Papier wyblakł, pomarszczył się, zwiotczał, aż wreszcie ktoś zabrał magazyn, a z nim i pannę z okładki, i cisnął do rynsztoka. Kelnerka spokojnie mogłaby być tą właśnie dziewczyną.

– Coś nie tak, złociutki? – mruknęła.

– Wręcz przeciwnie, zastanawiam się, skąd panią znam – skłamał.

– A byłeś u nas kiedyś?

– Tak.

– To stąd. Co podać?

– Na pewno kawę. – Podrapał się po potylicy, gapiąc się na menu zapisane kredą nad barem. – A do tego bułkę z siekaną wołowiną na ostro. I szarlotkę na deser.

– Z lodami?

Zerknął na zdezelowaną lodówkę w kącie.

– Bez lodów.

– Trzydzieści pięć filów.

Zapłacił, dokładając od siebie sfatygowaną piątkę, a potem zajął miejsce w wolnym boksie, przy oknie. Miał stąd dobry widok na stację i chłopaka szwendającego się od wozu do wozu. Wyglądał na pracowitego i obrotnego, co w tym fachu, jeśli tylko nie był poza tym skrajnym idiotą, wróżyło całkiem dobrze, niezależnie od tego, czy chciałby robić dla kartonów, glin, czy tych drugich. Każdy był gdzieś, chcąc być gdzie indziej. Wszyscy potrzebowali fur na chodzie.

Kelnerka postawiła przed nim pusty kubek, nalała kawy z dzbanka i brodą wskazała na cukier ukryty za stojakiem na serwetki. Podziękował.

– Mleka?

Pokręcił głową. Przez moment zastanawiał się, czy spytać o Betsy, czy Mitsy, ale właściwie co by mu dała odpowiedź? Skosztował kawy, smakowała lepiej niż ta rano. Oparł się wygodnie, odchylił głowę i na moment przymknął oczy. Gdy je otworzył, dostrzegł nad sobą policjanta, tego od kawy i ciasta. Typ z wysp, jak Mikrus, choć postawniejszy i zdecydowanie twardszy. Nos miał krzywy, pewnie parę razy złamany, ostry niczym ptasi dziób. Usta wąskie i blade, prawie niewidoczne. Oczy

jak szparki. Włosy złote z pasmami bieli. Wyjadacz, pomyślał Alfie. Tacy są, kurwa, najgorsi. Wyprostował się powoli, by okazać policjantowi szacunek, ale nie przestrach, który czuł. Psy jak ten wyspiarz wyczuwały niepokój na kilometr.

– W czymś pomóc, panie sierżancie? – zapytał.

– To twoja taksówka? – Policjant wskazał brodą na tankowany właśnie pojazd widoczny za oknem.

– Ee, korporacji – odparł Alfie. – Ale tak, ja nią jeżdżę.

Powoli, starając się ukryć zdenerwowanie, przeniósł wzrok na drugiego policjanta, właśnie spoglądającego na zegarek. Spieszy się, pomyślał. Dobra nasza!

– Czy coś się stało, panie oficerze? – zaryzykował. – Czy mam pokazać dokumenty? Bo jeśli tak, to mam w marynarce.

Nie miał ich tam, leżały w schowku pod siedzeniem w samochodzie, ale ten drugi policjant już drugi raz zerknął zniecierpliwiony najpierw na partnera, a potem na własny nadgarstek. Alfie uznał więc, że blef ma szansę chwycić, że mu odpuszczą. W innym przypadku raczej wątpił, by ten sierżant niuchacz zadowolił się łapówką. Widać to było w jego spojrzeniu, w tym, jak wypatrywał tego, co wcześniej jedynie wyczuł.

Coś mu nie pasowało.

– Tearson, musimy iść – powiedział drugi policjant, a sierżant machnął ręką, że już idzie.

– Uważaj na siebie, synu – powiedział tylko. – Mój chłopak też…

Urwał, wyprostował się i obciągnął mundur, a potem podniósł ze stolika w swoim boksie służbową czapkę, wcisnął ją na głowę i wyszedł z lokalu w ślad za partnerem.

Alfie odetchnął.

Zaraz potem zjawiła się kelnerka, kładąc przed nim przepołowioną podłużną bułkę wypełnioną aromatycznym mięsem i sporą ilością żółtego sera. Podziękował i za to, ale choć skinęła głową, nie odeszła.

– Jego synowi przedwczoraj odrąbano głowę – powiedziała cicho, jakby do siebie. Patrzyła w dal, za okno, w stronę stacji, a pewnie jeszcze dalej. – Przychodzili tu czasem we dwóch, szczeniak kochał się w naszej Betsy. Czasami człowiek to już nie wie, jak sobie z tym skurwysyństwem radzić. Czarne serca mają. Czarniejsze niż ten śmierdziel pod nami.

Ostatnie słowa skierowała już wprost do niego, a on, przeżuwając spory kęs kanapki, mógł tylko przytaknąć i jęknąć coś idiotycznie.

Westchnęła i pokręciła głową z dezaprobatą. Nie wiedział, czy nad nim, czy nad światem.

– Dolewka?

Skinął, że tak, więc wróciła za bar po dzbanek. I wtedy kolejny raz zadzwonił dzwonek nad drzwiami.

W pierwszej chwili dostrzegł tylko kawałek czerwonego kaptura wystający znad boksowych oparć, zaraz jednak dziewczyna wyłoniła się zza siedzisk i mógł jej się przyjrzeć. Nie była zjawiskowo piękna, ale zwracała na siebie uwagę. Zgrabne łydki, sięgająca kolan ciasno dopasowana spódnica, na ramiona narzucony elegancki w kroju, ale jednocześnie nieprzyzwoicie czerwony ceratowy płaszczyk. Chusta zasłaniała usta i nos, a żółte okulary pozostałą część twarzy.

Gdy jednak powoli ściągnęła jedno, a potem drugie, Alfie aż gwizdnął z cicha. Buzia w serduszko, pełne usta, lekko zadarty nosek i ciemna oprawa oczu kontrastująca z niesfornymi kosmykami blond włosów wysuwającymi się spod kaptura. Wróżka, pomyślał. Pieprzona wróżka.

– Przepraszam? – zapytała głośno, lekko dziecięcym głosikiem. – Czy jest tutaj może kierowca tej taksówki ze stacji? Bardzo pilnie potrzebuję się gdzieś dostać.

Alfie przeniósł wzrok z dziewczyny na drugą połowę kanapki. Właściwie nie był już głodny i spokojnie mógł dojeść później. Wstał, podnosząc talerz, i podszedł do baru.

– Może mi to pani zapakować na wynos? – zapytał kelnerki, nie odrywając przy tym wzroku od dziewczyny w czerwonym kapturku.

– Będzie pięć filów za opakowanie – usłyszał w odpowiedzi.

Położył na blacie banknot jednodijramowy.

– Tylko drobne.

– W takim razie – wzruszył ramionami – cieszę się, że wcześniej byłem przewidujący.

Kelnerka w pierwszej chwili nie zrozumiała, a gdy w końcu do niej dotarło, burknęła coś i sięgnęła pod ladę po kartonowe pudełko pozbawione emblematów.

– To co się takiego stało? – zwrócił się Alfie do kapturka. – I gdzie mogę panią podwieźć?

– Na Mount Simeli. Numer dziewiętnaście. – Kompletnie zlekceważyła pierwszą część pytania.

Skinął głową, podziękował za pudełko pchnięte mu po blacie i ruszył w stronę wieszaka. Zerknął za okno. Akurat nie padało, więc odpuścił sobie zakładanie przyciasnej marynarki, wepchnął tylko kaszkiet na czubek głowy i zawadiacko zsunął daszek. Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Zadzwonił dzwonek.

– Zapraszam.

***

Dziewczyna usiadła na tylnym siedzeniu taksówki i czekała niecierpliwie, aż Alfie ureguluje płatność i odbierze dodatkową paczkę specjalnych nawilżanych szmatek znakomicie radzących sobie z tłustym osadem. Chłopak ze stacji bardzo je polecał, mówiąc, że trudno w taką pogodę wierzyć tylko wycieraczkom. Alfie postanowił mu zaufać, zwłaszcza że były tanie, a do tego w promocji.

Wyraźnie potem chciał zapytać o coś jeszcze, ale dziewczyna zastukała w szybę i pokazała mu maleńki zegarek na przegubie. Wyglądał troszkę jak te jarmarkowe, zrobione z cukierków. Alfie pożegnał się więc z chłopakiem i obszedł auto.

Wsiadł, poprawił lusterko i odpalił silnik.

– Mount Simeli. – Poklepał się palcami po dolnej wardze. – To w Pępku, prawda?

– Słucham? – nie zrozumiała dziewczyna.

– Dzielnica.

– Aaa, to… – Sięgnęła pod płaszczyk i wyjęła stamtąd małą torebkę, a z niej niewielki czarny notes. Przewertowała kilka stron. – Dzielnica Grandmerkad…

– Czyli Pępek – skwitował Alfie i posłał jej w lusterku rozbawione spojrzenie. – Pani nie stąd, prawda?

– Chwilę temu wysiadłam na Sheppard Station.

Ruszył i po chwili włączył się do ślamazarnie wlekącego się ruchu.

– A skąd, jeśli można spytać? – drążył, zerkając raz po raz w lusterko. Właściwie więcej nawet uwagi poświęcał temu zerkaniu za siebie niż

drodze. Przyglądał się, jak dziewczyna zdejmuje kaptur, luzuje zawiązaną pod szyją chustę… – I co panią pcha akurat do Pępka?

– Dużo pan pyta.

– Taki zawód. – Wzruszył ramionami. – No i nie wygląda mi pani na bankiera.

– A pan na taksówkarza, panie… – Pochyliła się, by spojrzeć na przypiętą do deski licencję Markusa, a jego owionął słodki zapach jej perfum. Bardzo słodki, jakby dobrała je specjalnie do tego dziecinnego zegarka. – Panie Creswell. To naprawdę pan? Na tym zdjęciu?

– To zależy.

Uniosła brew, a on posłał jej szeroki uśmiech.

– Czy tam u siebie jest pani z policji?

– Nie jestem – odparła całkiem poważnie i opadła na siedzenie. – Długo nam to zajmie?

Akurat rząd samochodów stanął i znajdowali się teraz na samiuteńkim środku zakorkowanego z każdej strony skrzyżowania. Klaksony pojękiwały, dostawczaki próbowały przebijać się szerokimi chodnikami do bram, a gazeciarze chodzili od kierowcy do kierowcy i wciskali im popołudniowe wydania gazet. Wszystko to w gęstej, tłustej zawiesinie spalin, po której blask kolorowych neonów rozlewał się jak tęczowe plamy oleju po kałuży.

– Raczej długo – stwierdził po chwili Alfie. – Zależy, jak szybko przejedziemy przez dolne Reuben, bo potem to już… – Zamyślił się. – Chwila, a w sumie nie łatwiej było pani kolejką? To w zasadzie jakieś trzy, może cztery przecznice od…

– Nie jestem stąd – weszła mu w słowo. – A poza tym to tylko przystanek na trasie. Jest pan wierzący, panie Cresw…

– Alfie.

– Alfie? – uśmiechnęła się drwiąco. – To od Alfreda, prawda? Bo na licencji jest…

– Czemu pyta pani o wiarę?

Wzruszyła ramionami i wskazała na dyndający na lusterku wisior – trójkąt z płonącym górnym wierzchołkiem.

Alfie tak bardzo przywykł do niego w tym miejscu, że zupełnie zapomniał o jego istnieniu.

– Lubię dobre opowieści – stwierdził, improwizując. Ostatni raz w Schronieniu był… lata temu, na ślubie kumpla. – A koncept, że każdy z nas ma własną, już napisaną, i jeśli się chce, żeby było dobrze, można ją puścić tym właśnie torem… Cóż, fajnie czasem wierzyć, że nie wszystko zależy od nas.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Mnie się właśnie wydawało, że to bardzo krępujące.

Znowu na nią zerknął.

– To chyba zależy, jaką nam napisano rolę, prawda?

Zamiast odpowiedzieć, wlepiła wzrok w szybę i obserwowała przechodniów. Deszcz znów zaczął padać, więc wielkie czarne krople spływały po ich kolorowych płaszczach niczym rozmyty łzami makijaż. Alfie włączył wycieraczki.

– Długo pani zajmie? – zapytał. – Na tej Mount Simeli?

– Pyta pan, czy trzeba na mnie zaczekać? Bo jeśli się panu spieszy…

Pokręcił głową z gorzkim rozbawieniem.

– W taki dzień jak dzisiaj? Zastanawiałem się tylko, czy zdążę kupić jakąś wodę. Ta kawa… cóż, nie była jednak najlepsza.

Znowu pochyliła się do przodu i tym razem nie było mowy o przypadku, zdecydowanie zrobiła to celowo. Chciała, żeby poczuł jej perfumy, jej ciepły oddech przy swoim uchu.

– Wolałabym, żebyś zaczekał w samochodzie, Alfie – powiedziała. – Obiecuję przynieść ci wodę.

Poczuł łaskotanie w dole brzucha, a jego penis podniósł się leniwie, jakby wiedział, że od takich zabaw, do momentu gdy stanie się potrzebny, musiało jeszcze sporo upłynąć. Ale czuwał, dawał znak, że jest na posterunku, gotowy do działania.

– Jak sobie życzysz… – zawiesił głos, licząc, że mu się przedstawi, ale ona znowu opadła na siedzenie i założyła nogę na nogę.

– To dobrze, dziękuję.

Tak jak Alfie przypuszczał, droga przez dolne Reuben była pełzaniem w smole, ale ledwie ceglane budowle obleczone w metalowe konstrukcje schodów przeciwpożarowych ustąpiły otynkowanym, pełnym zbędnych zdobień fasadom drogich czynszówek na obrzeżach Pępka, na drodze zrobiło się luźniej.

Co prawda musieli raz gwałtownie skręcić w Hainza Lazy, żeby uniknąć korka, jaki na Bremen Avenue wywołały stłuczka i awantura, ale resztę odcinka w tej dzielnicy pokonali bez przeszkód. Oczywiście do czasu, gdy przyszło do zaparkowania.

– Czy masz na tyle benzyny, by pojeździć chwilę w kółko wokół budynku? – zapytała.

Mimo że dopiero co tankował, zanim skinął głową, zerknął na wskaźnik. A potem wymownie na wciąż bijący licznik.

Zrozumiała. Znowu sięgnęła pod płaszczyk i podała mu banknot dziesięciodijramowy. Mógł za to jeździć wokół całego bloku przez naprawdę długi czas, zanim by się wyrównało, więc zatrzymał się, wziął pieniądze i schował do kasetki.

– I pamiętam o wodzie – powiedziała, wysiadając.

Patrzył za nią, jak nakłada najpierw chustę, a potem kaptur, i rusza w stronę szerokiej bramy z numerem dziewiętnaście ozdobionej gazowymi lampami przypominającymi pochodnie. Przygnieciony płaszczyk zawinął jej się do góry, Alfie mógł więc bezwstydnie gapić się na zgrabną pupę ciasno opiętą grafitowoszarą spódnicą. Dopiero przeciągły dźwięk klaksonu sprawił, że się otrząsnął i ruszył na pierwszą rundę wokół budynków.

***

Zdążył zrobić łącznie cztery, zanim pojawiła się znowu. Szła na pozór normalnie, ale coś się zmieniło w jej chodzie, zauważył jakąś nerwowość. Alfie, który kiedyś akompaniował przy lekcjach tańca, widział to często właśnie u młodych tancerzy. Jakby drżące nogi nie do końca chciały słuchać. Opuściła jednak chustę i było wyraźnie widać, że się uśmiecha. W dodatku trzymała w dłoni butelkę z wodą dla niego, o czym pewnie nie pamiętałaby, gdyby coś złego się wydarzyło.

Mimo wszystko gdy wsiadła zapytał, czy wszystko w porządku.

– Teraz już tak – powiedziała, podając mu wodę.

Odkręcił butelkę i wziął kilka małych łyków. Była dobra, nawet bardzo. Spojrzał na etykietę i zaraz zdał sobie sprawę dlaczego. Marka Sjeverna kosztowała niewiele mniej niż jego ulubione papierosy. Odłożył butelkę i ruszył powoli.

– Czy jest szansa, że zawieziesz mnie za most? – zapytała.

Zatrzymał się. Tuż za nim rozległ się klakson, a zaraz potem wyprzedzający go mężczyzna puścił głośną wiązankę w stronę zamkniętego okna taksówki. Tym razem Alfie nie ograniczył się do zerknięcia w lusterko. Odwrócił się do dziewczyny, by móc spojrzeć jej w oczy.

– Maleńka… – zaczął, ale przerwała mu grzecznie, acz stanowczo:

– Nie nazywaj mnie w ten sposób, proszę.

Wzruszył ramionami.

– Nie przedstawiłaś się, więc nie wiem, jak inaczej mam cię nazywać – odparł. – Zresztą teraz mniejsza o to, skoro i tak chcesz popełnić samobójstwo.

Zmarszczyła brwi.

– Że co?

– Most – wyjaśnił. – Chcesz przejechać za most, gdzie nawet gliny jeżdżą tylko uzupełniać ewidencje ewentualnych trupów. Rozumiem, że nie jesteś stąd, ale, cholera, w całym pieprzonym kraju wiedzą, że w tym mieście za most się nie jeździ!

Przerwał, czując, że za bardzo się podekscytował. Sięgnął po butelkę sjevernej.

– Kiedy jechałaś tu pociągiem, nie zauważyłaś, jak na jednej stacji ochrona kolei zajęła nagle pozycje przy drzwiach? – zapytał już nieco spokojniej. – Tuż przed rzeką. A tak się składa, że akurat dworzec jest tam wyjątkowo spokojny.

Dopił zawartość butelki jednym haustem. Dziewczyna przyglądała mu się skupiona i chyba nawet trochę rozbawiona.

– Wystarczyłoby proste „nie”, wiesz? – stwierdziła wesoło. – Dowieź mnie zatem pod most i stamtąd złapię już autobus.

Potrząsnął głową.

– Ty nie…

– Nie, Alfie – weszła mu w słowo. – To ty nie rozumiesz. Ale nie musisz. Chcę tylko, żebyś zawiózł mnie na przystanek pod most. Zapłacę ekstra. I naprawdę…

Po raz trzeci pochyliła się ku niemu, tym razem tak blisko, że jeszcze centymetr, a dotknęliby się nosami. Dwa centymetry oraz lekkie przekrzywienie głowy i mogliby się pocałować. Jej oddech był nie tylko ciepły, ale i przyjemnie pachniał truskawkami.

– …dam sobie radę.

Znowu rozległ się klakson, potem kolejny i Alfie dostrzegł w tylnej szybie, że chyba wzbudził leniwe zainteresowanie funkcjonariusza z radiowozu parkującego pod cukiernią. Odwrócił się więc szybko, wbił bieg i ruszył, obierając kurs na kanał Rottena, lepiej znany w mieście jako Flaki.

Niecałe dwadzieścia minut później patrzył, jak śliczna dziewczyna w czerwonym kapturku wsiada do brudnego, zatłoczonego autobusu komunikacji miejskiej, by pojechać tam, gdzie nie jeździ nikt… o ile naprawdę nie musi.

Rozdział 2

– „Legenda głosi, że przed tysiącami lat, na długo, zanim na równinach zjawił się Bajarz, mieszkał tu sobie lud cichy i spokojny, rozmiłowany w rolnictwie i hodowli…”

Chłopiec przerwał czytanie, uniósł wzrok znad kartki i spojrzał na ojca, wyraźnie oczekując aprobaty. Ten, rozpostarty w fotelu, z lampką brandy w jednej ręce i cygarem w drugiej, wypuścił z ust kółko dymu, uśmiechnął się i gestem zachęcił syna, by czytał dalej. Chłopczyk zmarszczył brwi, poprawił okulary i podjął w przerwanym wcześniej miejscu.

– „Nikt tu nikomu nie wadził, ludzie byli sobie życzliwi, a sporadyczne kłopoty rozwiązywano czy to rozmową, czy pracą, a gdy nie dało się inaczej, odrobiną magii, która wtedy jeszcze nie była zła i plugawa…” Mogę się napić wody? – zapytał chłopiec, kolejny raz przerywając czytanie. – W gardle mi zaschło.

Ojciec i tym razem uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, promyczku. – Zerknął na stojącego w kącie kamerdynera. – Mort, nalej mu wody z cytryną.

– Tak jest, proszę pana.

– I dodaj syropu i bąbelków.

To ostatnie powiedział teatralnym szeptem, dodatkowo zasłaniając usta z jednej strony, jakby zdradzał na boku jakiś wielki sekret.

Chłopiec roześmiał się, prezentując przetrzebione szeregi mleczaków, a ojciec mrugnął do niego.

– Tylko mamie ani słowa – powiedział.

– Jasne, tato. – Mały odłożył kartkę i sięgnął po podaną mu szklankę. – Dziękuję, Mort.

Eugene Dragosavlij przyglądał się synowi, raz po raz unosząc do ust to lampkę, to cygaro. Nie przestawał się uśmiechać.

Wreszcie chłopczyk dopił, odstawił szklankę na stół i otarłszy usta rękawem, raz jeszcze sięgnął po kartkę.

– „Aż pewnego dnia nad równiną zapadł zmrok. Ciężkie, niemal czarne chmurzyska przesłoniły niebo, zacierając granice między nocą a dniem. Zapanowały długie tygodnie ciemności i chłodu. Przerażeni mieszkańcy z bólem w sercach patrzyli, jak umierają najpierw ich uprawy, potem inwentarz, a wreszcie najsłabsi spośród nich. Starcy, dzieci… I gdy wydawało się już, że nic straszniejszego nie może ich spotkać, z nieba zstąpił olbrzym o czarnym sercu…”

Rozległo się pukanie do drzwi. Mort zjawił się przy nich błyskawicznie, uchylił je i wyjrzał na zewnątrz. Zamienił z kimś kilka słów, po czym zamknął drzwi, podszedł do masywnego dębowego biurka i na maleńkiej karteczce napisał piórem kilka słów. Następnie sięgnął po czystą lampkę, wypełnił ją złocistym płynem i położył na srebrnej tacy, wsuwając świeżo zapisaną karteczkę pod nóżkę.

– „Czego nie zniszczyły mrok i chłód, niszczył teraz ten paskudny maszkaron o obliczu górskiego trolla, znajdujący uciechę w ludzkiej krzywdzie i cierpieniu. Domy miażdżył bosymi stopami o stwardniałych podeszwach, jeziora i rzeki osuszał, chłeptając z nich niczym pies. A gdy jego niebywale ostry wzrok wypatrzył gdzieś na drodze człowieka, zgniatał go ów paskudnik kciukiem jak insekta”.

– Dziękuję, Mort. – Dragosavlij zamienił pustą lampkę na pełną i odłożył cygaro do popielniczki, by sięgnąć po kartkę. Dwie informacje, dwie sprawy. Obie mogły jeszcze chwilę zaczekać.

– „Aż pewnego dnia w dolinie znalazło się pięciu śmiałków. Mówiono, że to grupa przyjaciół, inni twierdzili, że to bracia, choć każdy z nich nosił inne nazwisko. Mieszkańcom przedstawili się jako cyrkowa grupa, ale gdy się okazało, że w okolicy grasuje olbrzym, porzucili przykrywki i przebrania, ujawniając się jako łowcy tych straszliwych niebiańskich bestii. »Nie ma dla nich miejsca wśród uczciwych ludzi – powiedział pierwszy z mężczyzn, dobywając zza pazuchy worek z ziarnami, jak się okazało, magicznej fasoli. – Dobrzy ludzie, jutro uwolnimy was od jarzma…«”

Na blacie rozdzwonił się telefon.

– Nóż kurwa mać! – zaklął Dragosavalij, a na jego nalanej twarzy niemal natychmiast wykwitły czerwone plamy. – Mort, odbierz i powiedz, że jak mi zaraz nie dadzą spokoju…

– Tak jest, proszę pana. – Kamerdyner błyskawicznie znalazł się przy biurku i podniósł słuchawkę.

– Pan Dragosavalij jest w tej chwili zajęty – powiedział, po czym przez chwilę słuchał czyjegoś rozgorączkowanego głosu. – Nie, proszę pana. Nie powtórzę pańskich słów, ale przekażę… Nie, proszę pana… Tak, proszę pana… Tak, zdaję sobie sprawę, że sprawa jest poważna… Ja również dziękuję… Do usłyszenia.

Ostatnie słowa powiedział już nie do słuchawki, bo rozmówca zdążył się rozłączyć.

– Podkomisarz Albero mówi, że sprawa jest pilna – streścił, odpowiadając na pytające spojrzenie pracodawcy. – I że byłoby bardzo dobrze, gdyby zjawił się pan osobiście u niego w biurze. Najlepiej zaraz.

– To jakiś żart?

– Nie brzmiało tak, proszę pana – odparł Mort.

Gospodarz odłożył cygaro, odstawił brandy i przymknąwszy oczy, rozmasował najpierw skronie, a zaraz potem nasadę nosa. Chusteczką starł pot z łysiny i spojrzał na zaniepokojonego syna. Tym razem uśmiech trochę go kosztował.

– Dużo tam jeszcze tego masz, promyczku? – zapytał.

– Dwie strony.

– To przejdź z łaski swojej do końcówki, żebym wiedział, jak to się wszystko skończy, a środek przeczytasz innym razem dobrze?

Chłopiec zachichotał.

– No przecież wiesz, jak to się kończy.

Dragosavalij zrobił zaskoczoną minę.

– Wiem? – zapytał. – No to raz-dwa, sprawdźmy, bo tatuś musi gnać do pracy.

Chłopczyk posłusznie przełożył kartki i chwilę błądził wzrokiem po tej drugiej, szukając miejsca, od którego powinien zacząć.

– „I tak oto dzielni śmiałkowie strącili olbrzyma z chmur, a ten, gdy runął, dał podwaliny miastu, które od pierwszych liter nazwisk śmiałków nosi miano Grimm City. A ponieważ śmierć byłaby dla olbrzyma za małą karą, musiał zadośćuczynić ludziom za swe postępki. Do dziś jego bijące czarne serce nieustannie tłoczy czarną krew, a ta, wydobywana przez dzielnych, odważnych górników, zasila nasze samochody i elektrownie, dając światło, ciepło i poczucie wolności. Koniec”.

Chłopiec zadarł głowę i dosunął palcem okulary zsuwające się z nosa.

– Piękne. – Dragosavalij podniósł się z trudem i zaklaskał w dłonie. – Naprawdę piękne, mój chłopcze. I ty to wszystko tak sam? Te wszystkie trudne słowa?

Rozpromieniony dzieciak energicznie pokiwał głową.

– No to skoro tak, to coś ci się za to należy.

Sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. Wyciągnął dwudziestodijramowy banknot, wyprostował go i podał chłopcu.

– Tylko wiesz… – Puścił oko.

– Wiem, tato. Ani słowa mamie. – Zerknął na banknot, a potem na ojca. – A ten pan inspektor…

– Potrzebuje mojej pomocy. A wiesz, co zawsze mówię o pomaganiu panom policjantom, prawda?

– Tak, tato.

Mężczyzna uśmiechnął się i poklepał syna po głowie.

– No to już, zmykaj się bawić.

Chłopiec schował banknot i przytulił się do wielkiego ojcowskiego brzucha, a potem wypadł z gabinetu, w pośpiechu strącając z biurka kartki z wypracowaniem.

Dragosavalij patrzył za nim przez chwilę, po czym pokręcił głową z irytacją.

– Znasz takie słowo jak „zadośćuczynić”, Mort? – zapytał.

– Rozumiem, co znaczy, proszę pana – odparł służący.

– No ale czy użyłbyś go, ot tak, w rozmowie.

– Nie proszę pana, nie przyszłoby mi do głowy.

Gospodarz pogładził się po fałdach na karku, jakby się nad czymś mocno zastanawiał.

– Tyle razy mówiłem tej kurwie, że ma go uczyć, jak pisać, a nie robić za niego – powiedział w końcu. – On ma dopiero dziewięć lat, na litość! I niczego się nie nauczy, jeśli ta przemądrzała gówniara będzie szła na łatwiznę, zamiast robić to, za co jej płacę! Zadość-kurwa-uczynić!

Mort znał swojego pracodawcę na tyle, że odczekał, zanim zadał pytanie:

– Który samochód przygotować, proszę pana?

– Coś przestronnego. Skoro ten chłopak od muzyki już tu jest, nie będziemy go zmuszali, by czekał nie wiadomo ile. A tak, jadąc na komendę, podrzucimy go przynajmniej do miasta, nie będzie się musiał włóczyć

między knajpami na deptaku. Widzisz? To jest troska wynikająca z szacunku na linii pracodawca pracownik, Mort! A ten dupek nawet jeszcze dla mnie nie pracuje!

– Tak jest, proszę pana. – Lokaj podniósł słuchawkę i połączył się wewnętrznym ze służbą w kuchni, a następnie wydał dyspozycje dla kierowcy.

– Samochód zaraz będzie gotowy – powiedział po chwili.

– Świetnie. – Dragosavalij poklepał lokaja po zaoranym bliznami policzku i uśmiechnął się smutno. – A do tej zdziry korepetytorki wyślij kilku wynajętych chłopaków. Tylko sprawdzonych, nie jakichś obwiesiów z ulicy. Ona mieszka z narzeczonym, prawda?

– O ile się orientuję…

– Malarz, czyż nie? Pracuje w domu?

– Tak, proszę pana. Chyba tak.

Dragosavalij z namysłem pokiwał głową.

– Zamawiam więc u niego obraz *Nieposłuszeństwo*. Niech będzie na wtorek za dwa tygodnie i lepiej, żeby był dobry. Zapłać mu, ile będzie chciał.

– Tak jest…

– I złamcie mu nogę przy okazji.

Mort skinął głową i po raz kolejny podniósł słuchawkę, a jego pracodawca wytoczył się z gabinetu, zastanawiając się, o co, u diabła, może chodzić temu pieprzonemu Albero.

***

Kazano mu usiąść w holu, więc rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu, zaplótł ręce na brzuchu i usilnie starał się nie zasnąć. To był nużący dzień – tyle godzin za kółkiem – i miał szczerą nadzieję, że gdy przyjdzie, zaproponują mu jakąś kawę, ale się przeliczył. To znaczyło, że w czasie rozmowy czekał go bój z ziewaniem i ociężałymi powiekami. W dodatku idąc przez hol, zobaczył się w lustrze i uznał, że jednak powinien był rano znaleźć chwilę, by się ogolić. No cóż, westchnął, może gospodarz szuka kogoś o prezencji artysty.

Jeszcze rano o panu Dragosavaliju nie wiedział zupełnie nic, ale jeżdżąc po mieście, gdy akurat trafił się jakiś rozmowniejszy klient, czasem o niego

pytał mimochodem i byli tacy, którym coś świtało na dźwięk tego nazwiska. Najczęściej w kontekście jakiejś akcji charytatywnej albo pomniejszego udziału w jakiejś aferze. Ktoś tam powiedział, że grubas zaczynał w kopalnianych związkach, ktoś inny, że prowadził klub dla nieżyjącego już Waltera Räu, ojca Reginy znanej na mieście jako Zła Królowa. Był też jeden, wyraźnie oszołom, który na trasie od Wydziału Kultury na Podgardlu aż po Bibliotekę Uniwersytecką w Reuben zdążył mu streścić całe życie biznesmena – od sprzedawania nadgniłych owoców na Lewym Jaju za rzeką aż po osiedlenie się w tej ogromnej, otoczonej ogrodami posiadłości w Memoire. Piękna to była historia, doprawdy porywająca, i Alfie zastanawiał się przez moment, dlaczego ten gość nie został kapłanem. Bajarz osobiście winien zstąpić z… gdziekolwiek tam według Świętej Księgi mieszkał, i go, jebańca, namaścić.

Czego by jednak nie odsiać, na podstawie wszystkich tych miejskich opowieści prostego ludu Dragosavalij jawił mu się jako człowiek interesu, stanowczy, zaradny i gdy trzeba, bezwzględny. Zdecydowanie bogaty i mający rozliczne znajomości. Czy niebezpieczny? Alfie od zawsze był zdania, że w tym mieście całkowicie niegroźni byli tylko niektórzy martwi, a już bogaczy z Memoire należało się obawiać zawsze i czegokolwiek by ci nie oferowali. Choć czasem – miał nadzieję, że również w tym przypadku – opłacało się podjąć ryzyko.

Na ścianie naprzeciwko miejsca, gdzie Alfie teraz siedział, znajdował się obraz. Realistyczny, bez cienia dystansu czy choćby próby wykroczenia poza estetykę podmalowanej fotografii, przedstawiał rodzinę Dragosavalija w przestronnym salonie. Ona, młoda kobieta o pociągłej, nieco może końskiej twarzy, włosach upiętych w kok i w jasnej sukni, która pewnie w czasach jej babki była szczytem mody. Obok niej chłopiec, na oko dziewięcioletni, w szkolnym mundurku – okulary, jasne włoski zaczesane na bok, odstające uszy.

I wreszcie on. Niewysoki, za to nieprzyzwoicie wręcz gruby, łysy, jeśli pominąć siwe, wiotkie pajęczyny porastające przestrzeń nad uszami. Stał za fotelem, tłuste łapy o serdelkowatych palcach opierał na ramionach żony i syna. Zadarł brodę, wzrok wbił gdzieś w punkt wysoko ponad głową malarza, usta komicznie ściągnął w ciup.

Musiał mieć pacykarz niezły ubaw, pomyślał Alfie, kręcąc głową. Pan i władca, kurwa jego pierdolona mać!

Rozległ się stukot obcasów i po chwili zza rogu wyłoniła się pokojówka. Młoda, wysoka, ubrana w czarno-biały uniform z obowiązkowymi pończochami. Wyglądała dokładnie tak, jak nowobogaccy tego świata – z pewnością w oparciu o przykłady prezentowane w magazynach dla panów – wyobrażali sobie przedstawicielkę tego segmentu domowej służby.

Alfie nie miał nic przeciwko, kiedyś sam nawet zapłacił dziewczynie ekstra za odegranie w podobnym kostiumie pewnej scenki. Gdyby go było stać, istniała niemała szansa, że sam postawiłby swoim pokojówkom taki wymóg. Ale to, rzecz jasna, była mrzonka jak wiele innych, które czasem lęgły mu się w głowie. Zupełnie jakby jego umysł zapominał, że obaj są biedni jak myszy.

Dziewczyna zatrzymała się na końcu korytarza i zastukała. Po chwili w drzwiach pojawiła się głowa jakiegoś chudzielca. Wymienili kilka słów, po czym drzwi się zamknęły, a dziewczyna ruszyła z powrotem. Alfie uśmiechnął się do niej, gdy go mijała, a ona w odpowiedzi zmierzyła go wzrokiem z miną, jakby był jakimś śmierdzącym żebrakiem rodem z Gangreny, proszącym o drobne na słoik bimbru. Powinien był się, kurwa, ogolić. Te pięć minut rano by go nie zbawiło.

Kilka minut później drzwi na końcu korytarza otworzyły się ponownie i wybiegł zza nich syn gospodarza, wyraźnie z czegoś zadowolony. Nie skręcił w lewo, gdzie siedział Alfie, tylko pognał w głąb domu, krzycząc coś niezrozumiale, ale z ogromnym entuzjazmem. Niedługo po nim z gabinetu wyszedł sam Dragosavalij.

Alfie poderwał się z miejsca i obciągnął skórzaną kurtkę, którą wraz z resztą jego rzeczy przywiózł mu na koniec zmiany Mikrus. Nie była może najszykowniejszą rzeczą, jaką muzyk miał, ale w zestawieniu ze zwykłymi spodniami i golfem prezentowała się całkiem elegancko. Już wcześniej uznał, że garnitur byłby w tej sytuacji przesadą, skoro – a tak podobno było – zapowiedziano go jako kogoś, kto wieczorami grywa po barach i klubach.

Gospodarz szedł powoli, kolebiąc swym tłustym cielskiem to na lewo, to na prawo, jak jedna z tych śmiesznych kauczukowych babek z obciążnikiem, które sprzedawały na targach rumiane kobiety mówiące w twardym, szeleszczącym języku z Dalekiego Wschodu. Już w połowie korytarza dał znać gestem, że dostrzegł chłopaka, i go pozdrowił.

Alfie ukłonił się i czekał.

– Dobry wieczór panu – odezwał się, gdy uznał, że dzielący ich dystans nie wymaga już podnoszenia głosu. – Nazywam się…

Zasapany Dragosavalij przystanął i ostentacyjnie zmierzył muzyka wzrokiem.

– Czy wydaje ci się, mój chłopcze… – wysapał – że wszedłbyś do mojego domu… gdzie mieszka moja żona… mój syn… gdybym nie wiedział, jak się nazywasz?

– Nie, ja…

– Gdybym nie wiedział o tobie niemal wszystkiego, co mogłem się dowiedzieć?

Alfie zdawał sobie sprawę, że dyskusja w tym momencie nie ma sensu. Gospodarz był czymś wyraźnie poirytowany, a krótki oddech uniemożliwiający wysłowienie się, perły potu na czole i rumieńce jeszcze to wrażenie pogłębiały. Dlatego, uznał Alfie, jedyne co mu teraz pozostawało, to pokornie zwiesić głowę.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem…

– Przedstawić się? – Dragosavalij, który niemal już uspokoił oddech, zmienił ton i sprawiał wrażenie szczerze rozbawionego, zupełnie inaczej niż jeszcze przed sekundą.

Albo więc jego nastrój zmieniał się tak szybko, co było ważną informacją na przyszłość – bo w końcu skoro działało w tę stronę, z pewnością musiało i w drugą – albo od początku wystawiał Alfiego na próbę nerwów. Muzyk uznał, że jeśli rzeczywiście ma tu pracować, rozwiązanie tej kwestii powinno być dlań priorytetem. Dobre rozpoznanie i błyskawiczna adaptacja do zastanych warunków, pomyślał. Tylko tak można przeżyć w tym mieście.

Gospodarz podrapał się pod nosem, po czym klepnął muzyka w ramię.

– No dobra, chłopcze – powiedział. – Chodźmy. Muszę jechać na ważne spotkanie, ale porozmawiamy sobie po drodze.

***

– Znasz *Ponure miasto Grimm*?

Alfie skinął głową. Ze wszystkich sił starał się nie dać gospodarzowi poznać, jak dziwnie i nieswojo czuje się teraz w tym olbrzymim

samochodzie, z fotelami w niczym nieustępującymi temu w korytarzu rezydencji. Upił łyk wody sodowej ze szklanki i ogromnym wysiłkiem woli spróbował zmusić się do przesunięcia pośladków nieco głębiej na siedzisku. Teraz, gdy siedział na samej niemal krawędzi, nie dość, że czuł każdy wybój na drodze, to jeszcze miał wrażenie, że wygląda, jakby zaraz miał przed grubasem uklęknąć. A choć zależało mu na tej pracy, to nie aż tak, by musiał się starać o nią na kolanach. Niezależnie od tego, czy miałby się przy tym nabożnie modlić, czy zupełnie przeciwnie…

– Zaśpiewasz? – zapytał Dragosavalij.

Zdziwiony Alfie chciał w pierwszym momencie rzucić jedno z tych idiotycznych pytań: że jakże to, tak tutaj? Teraz? Bez akompaniamentu? Przypomniał sobie jednak zmieniającą się twarz grubasa tam, w korytarzu. To, jak błyskawicznie, jednym susem w zasadzie, przeskoczył on z jednego emocjonalnego bieguna na drugi. Ograniczył się więc do ponownego skinienia głową, odchrząknął, po czym przymknął oczy i zaczął cicho:

Myśli gęste, lepkie kłębią się w mej głowie
Spływa po płaszczu, brudny, tłusty deszcz
Idę Piątą w górę, nieznane odcienie czerni wzrokiem łowię.
Szczęśliwy, spokojny,
Tak bardzo memu miastu wbrew…

Lubił tę piosenkę. Kiedyś, przy okazji pewnego koncertu, wmówił dziewczynie, że osobiście zna jej wykonawcę, jedynego zresztą wykonawcę smooth’n’wave, jakiego naprawdę cenił. A cenił go podówczas i dziś ogromnie, bo też Burton J. Ell nie był typowym muzykiem tego gatunku. W zasadzie nie śpiewał. On snuł gawędę. Choć był wirtuozem przynajmniej kilku instrumentów, melodie układał proste, oparte na tych samych, wytartych akordach, a jego wokale pozbawione były zwykle udziwnień i popisów i nie dawały śmiertelnikom pojęcia o jego niebywałej skali i warsztacie.

Dziewczę z tamtego wieczoru pewnie do dziś żyło w przekonaniu, że owej koncertowej nocy oddało się w łazience współtwórcy tej słynnej ballady, nieoficjalnego hymnu bohemy Grimm City.

I snując się tak, powoli się zapadam
Z każdym krokiem coraz głębiej w nim
W jękach syren i w plotkach, i w szlamie

Zanurzam się cały w czarnym mieście Grimm
Zanurzam się… w ponurym mieście Grimm

Dragosavalij dał mu znak, że wystarczy, i uśmiechnął się z uznaniem.

– Masz głos – stwierdził. – Jeżeli do tego głosu masz też wolny wieczór jutro, to pracę dla mnie zaczniesz wcześniej.

– Wieczór? – zdziwił się Alfie, przypominając sobie dzieciaka z korytarza. Skoro to jego miał uczyć, a tak mu zasugerowano, spodziewał się raczej godzin popołudniowych, czasem może rannych, ale…

– Moja żona urządza jutro przyjęcie – odparł Dragosavalij. – I ściągnęła tam niby jakiegoś muzyka, ale zasięgnąłem informacji i jakoś mi do gustu nie przypadł. Ty mógłbyś być lepszy, gdyby… Pijesz?

Alfie wzruszył ramionami, uśmiechając się niewinnie.

– Okazjonalnie – odparł.

– Dobra, dobra. Ale co to dla ciebie znaczy okazja, chłopcze? Wstanie z łóżka jest okazją?

– Do wielu rzeczy, ale do picia akurat nie.

Alfie nie wiedział, czy nie przegiął z tą odpowiedzią, a mina bogacza przez chwilę nie dawała mu tego ocenić. W końcu jednak grubas powoli pokiwał głową.

– Szybko reagujesz, dobrze – pochwalił. – Dużo znasz piosenek? Mógłbyś grać utwory na zamówienie?

– Byłem pierwszym fortepianem w Skowycie Duszy przy Troll’s Face, proszę pana.

– To znaczy? – Dragosavalij najwyraźniej nie bywał w turystycznej dzielnicy.

– To znaczy, że tak, umiem grać na zamówienie i znam bardzo dużo piosenek – wyjaśnił Alfie.

Grubas splótł ręce na brzuchu i przez chwilę świdrował muzyka spojrzeniem. Zza okien przestały docierać towarzyszące im do tej pory dźwięki zabawy, a samochód, dotąd wlokący się niemiłosiernie i przystający tak często i nieraz gwałtownie, że można było odnieść wrażenie, że prowadzi go początkujący kierowca mylący gaz z hamulcem, wreszcie ruszył płynnie i nabrał prędkości. To znaczyło, że wjechali wreszcie do dzielnicy Lepoan, zwanej potocznie Podgardlem, gdzie mieściły się główne budynki administracyjne w mieście.

– Masz się w co ubrać? – zapytał Dragosavalij.

Alfie nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Miał jeden czy dwa sfatygowane garnitury, mógł pożyczyć frak, ale nie miał pojęcia, czy to wystarczy, by odpowiedzieć twierdząco.

Milczenie jednak wystarczyło bogaczowi za odpowiedź, bo kazał muzykowi zastukać w szybkę oddzielającą ich od kierowcy, a gdy otworzyła się w niej mała klapka i w szczelinie błysnęły oczy Morta, polecił podać dwieście dijmarów.

– Za to powinieneś coś kupić albo wypożyczyć, jak wolisz – stwierdził, gdy Alfie wziął od lokaja cztery banknoty. – Z resztą, jeśli ci zostanie, zrób, co uważasz, byle byś jutro przed osiemnastą był trzeźwy, rześki i ogolony. Doprawdy, chłopcze, nie wiesz, że brodę noszą tylko ci, co inaczej nie potrafią udowodnić swej męskości?

– Nie słyszałem o tym, proszę pana – odparł zgodnie z prawdą Alfie. – Ale zapamiętam.

Schował banknoty do kieszeni.

– Przygotować jakiś szczególny repertuar? Jakieś specjalne preferencje? Szanownego pana, małżonki może? Jakieś życzenia?

Dragosavalij odwrócił głowę i przez chwilę wpatrywał się w przyciemnione okno. Wreszcie westchnął.

– Czasem przydałoby się tylko trochę spokoju.

Alfie nie miał pojęcia, jak to rozumieć, więc na wszelki wypadek nie skomentował.

***

Zatrzymali się pod komendą główną policji w Grimm City. Był to wysoki rozłożysty gmach z wejściem ozdobionym prostymi, żłobionymi kolumnami i frontonem z płaskorzeźbą przedstawiającą policyjną odznakę z twarzami kolejnych naczelników na przestrzeni stu ostatnich lat po obu stronach. Z dachu sterczały ramiona rozlicznych małych dźwigów, a na opadających z nich linach wisieli pracownicy miejscy nieustannie czyszczący fasadę z osadu, tak by gmach, podobnie jak inne ważne budynki administracyjne, lśnił bielą i przykładem dla reszty miasta. Ciężka, w dodatku frustrująca, bo pozbawiona sensu praca, kosztująca przeciętnego podatnika ogromne pieniądze.

Alfie, który tak naprawdę nie pamiętał, kiedy ostatni raz płacił jakiś podatek, nie przejmował się specjalnie tym ostatnim i nie czuł frustracji. Przeciwnie, widok ludzi na uprzężach pucujących twarze naczelników, wydłubujących smołę ze szczelin kolumn i wznoszących oczy ku niebu ledwie wiatr czy dmuchawy przynosiły kolejną chmurę sadzy znad Dystryktu Grumliga, od dawna kołatał mu się w głowie piosenką. Smutną, gorzką, rytmiczną balladą dobrą pod cięższe drinki z zakąską.

Dragosavalij polecił mu wysiąść od frontu właśnie, a potem samochód pojechał na zamknięty parking między komendą a Urzędem Skarbowym.

– Tylko pamiętaj, chłopcze – powiedział grubas na pożegnanie. – Spóźnij się jutro, a pracy nie znajdziesz nie tylko w tym mieście. Po całym Królestwie krążyć będą opowieści o tym, jak dałeś dupy.

– Tak jest, proszę pana – odparł Alfie, starając się nie uśmiechać na myśl, że to dopiero byłaby ballada.

Wysiadł z samochodu i odszedł kilka kroków od krawężnika. W samochodzie głupio mu było zakładać jednorazowy płaszcz trzymany w kieszeni marynarki, a teraz nie chciał ryzykować, że któryś z przejeżdżających pojazdów ochlapie go, zanim to zrobi. Przeszedł przez szerokość chodnika i pokonał kilka pierwszych schodków wiodących na górę, do gmachu komendy. Na czwartym potknął się i zatoczył na stojącego nieopodal mężczyznę w czarnym skórzanym płaszczu.

– Przepraszam – burknął cicho.

Mężczyzna odwrócił się.

– Nic nie szko… – zaczął, ale przerwał i zmrużył oczy. – Alfie? Alfie Mooresville?

– Moore – poprawił odruchowo Alfie, przyglądając się nieznajomemu. Potrzebował chwili, by w tym krępym, barczystym mężczyźnie o przenikliwym spojrzeniu dostrzec Trevora „Robala” Wormwooda, ochroniarza dziwek ze Skowytu Duszy, a jak się potem okazało, tajniaka obyczajówki. Trudno się było jednak muzykowi dziwić. Trevor był krótko ścięty, nosił wąsa i wiecznie śmierdziało od niego tanimi papierosami. Ten zaś mężczyzna miał dłuższe, starannie zaczesane do tyłu włosy, zarost ledwie jednodniowy, a worki pod oczami w połączeniu z nową siecią głębokich zmarszczek zatraciły swą pijacką wulgarność. Teraz było to oblicze człowieka doświadczonego życiem, ale jednocześnie dość

twardego, by się z nim uporać, i dość mądrego, by wyciągnąć zeń właściwe lekcje.

– Detektyw McShane? – upewnił się Alfie.

Tamten jednak pokręcił głową z rozbawieniem i odchylił połę płaszcza, by pokazać przypięty po wewnętrznej stronie znaczek, na którym na królewskiej tarczy, pod koroną, pyszniły się dwie litery NS.

– Już nie detektyw, Alfie. – Zaciągnął się śmierdzącym papierosem, dość pomiętym i czarnym, by wyglądał, jakby go właśnie wyjął z rynsztoka. – Teraz już agent w szlachetnej służbie brata Jego Królewskiej Mości.

Alfie skinął głową. Wiedział, czym jest Noble Service. Szlachetna Posługa miała być odpowiedzią królewskiego przyrodniego brata Michaela. J. Rumple'a na zarzuty wobec Korony, jakoby stróże prawa dawno już minęli się z powołaniem i trudno odróżnić ich było od zwykłych bandziorów. Łącząc siły z młodym, obiecującym senatorem – a jak wieść gminna niosła, także swym sekretnym kochankiem – Harveyem Stinskinem, Rumple zainwestował czas, koneksje i środki, by stworzyć formację o wysokich standardach moralnych, posługującą się najnowszymi osiągnięciami techniki i działającą na terenie Królestwa, a nie poszczególnych jego domen. Dobierani do niej ludzie mieli nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ukończoną którąś z królewskich akademii, prezentowali się zawsze nienagannie i wierzyli w Bajarza mocniej niż niejeden kapłan. Alfie niewiele mógł powiedzieć o McShanie, znacznie więcej o jego przykrywce, ale wystarczył przecież rzut oka, by stwierdzić, że policjant nie spełniał żadnego z wymienionych wymogów.

Był za to bystry. Na tyle, by wyczytać z twarzy muzyka konsternację i się roześmiać.

– Co, nie pasuję ci do Szlachetnych, hę?

– Tego nie… – zaczął Alfie, ale McShane machnął ręką.

– Nic dziwnego, nie obnoszą się z takimi jak ja – powiedział. – Ale wiesz, ta cała sprawa z porwaniem bliźniaków Słodkiego Joego Lindtberga… Po niej nagle dostali otwarty kredyt w budżetowym barze, ale i masę brudnych spraw, z którym te wymuskane…

Przerwał, zaciągnął się papierosem i wypuścił dym.

– Mniejsza z tym, nie będę cię przecież zanudzał, mały. Po prostu fajnie cię zobaczyć. Dalej grasz w Skowycie?

– Nie ma już Skowytu, detekty… znaczy agencie…

– Po prostu McShane, Alfie. – Agent cisnął niedopałek na schody i przygniótł butem. – I szkoda, to dobra buda była, myślałem odwiedzić. Rocky?

Alfie zawahał się.

– Przedawkowała z pół roku temu – powiedział, co w zasadzie było półprawdą.

W rzeczywistości jakichś dwóch chłystków dla zabawy naszprycowało ją po uszy jakimś gównem, wcześniej podziurawiwszy nerki jej nowemu ochroniarzowi. To, a właściwie śledztwo związane z tą sprawą i późniejsze kontrole wszystkich możliwych służb, doprowadziło do zamknięcia lokalu. O samym morderstwie zaś wszyscy mówili, że glina, nie glina, menda, nie menda, za Robala nic by się takiego nie zdarzyło. McShane był twardzielem. I żaden garnitur pod skórzanym płaszczem, żadne wykaligrafowane ręką przelotnego kochasia literki na metalowym znaczku nie były w stanie tego zmienić.

McShane westchnął ciężko i znowu uniósł rękę do ust, zapominając, że właśnie skończył palić. Gdy się zorientował, uśmiechnął się smutno i zmienił ten gest w wyciągnięcie ręki.

– No cóż, Alfie – powiedział. – I tak miło cię było zobaczyć. Grywasz gdzieś? Będę tu teraz trochę, przydzielili mi nawet gabinet, choć ciaśniejszy niż niejedna cnotka. – Wskazał na gmach policji. – Chętnie bym gdzieś wyskoczył, zamiast jak dziś siedzieć tam po nocach. Pić nam jak ludziom nie dają, ukradkiem trza, ale muzyki posłuchać…

– Nie poradzę niestety. – Alfie uścisnął podaną dłoń i jednocześnie spróbował wzruszyć ramionami, co dało efekt dość komiczny. – Teraz już tylko prywatne lekcje dla dzieciaków.

– Ech, więc ty też dojrzałeś. – Smutny uśmiech raz jeszcze powrócił na twarz agenta. – A mówią, że to miasto się nie zmienia. No nic, trzymaj się…

Zacisnął mocniej pasek płaszcza, postawił kołnierz, bo właśnie znowu zaczęło padać, i ruszył w górę schodów. Alfie patrzył chwilę za nim, aż wreszcie dostał nabrzmiałą tłustą kroplą prosto w nos. Otrząsnął się i szybko założył jednorazowy płaszcz, ponczo właściwie, a potem obwiązał się cienkim, niemal przezroczystym paskiem.

Rozejrzał się za przystankiem autobusowym, a potem szybko, kuląc się, bo z każdą chwilą padało coraz mocniej, pognał w jego stronę.

***

Dragosavalij poczekał, aż Mort otworzy mu drzwi, i wygramolił się z samochodu. Zaparkowali na parkingu podziemnym, na miejscu dla specjalnych gości, jak polecił im strażnik przy szlabanie, po zweryfikowaniu, kim są, i odebraniu stosownych instrukcji przez telefon wewnętrzny. Stąd do windy było ledwie parenaście kroków.

Gdy do niej dotarli, windziarz czekał już na zewnątrz. Co zabawne, miał na sobie normalny mundur policyjny, w dodatku paradny, jakby się szykował na galę. Grubas zastanawiał się przez moment, czy taka służba to rodzaj kary dla niesubordynowanych, dla których nawet krawężnikowanie byłoby za dobre.

– Pan Dragosavalij? – upewnił się windziarz.

– Nie widać? – warknął grubas, wtaczając się do środka.

Tamten nie odpowiedział. Przepuścił Morta, a następnie sam wszedł do windy i zamknął starannie oba skrzydła ozdobnej kratki. Dopiero wtedy przestawił dźwignię na trzecie piętro. Szarpnęło nieprzyjemnie, po czym przy akompaniamencie wizgów i zgrzytów ruszyli w górę.

Piętro, na którym się zatrzymali, nie było dostępne dla zwykłych petentów zajmujących drewniane ławki w dolnym holu i czekających na rozmowę w jednym z boksów lub przy okienku jak na poczcie. Nie mieli tam również wstępu ci, których sprawy były ważne na tyle, że mogli siedzieć na krzesłach z poduszkami w wąskich korytarzach pierwszego piętra, gdzie mieściły się biura detektywów i siedziby wydziałów. Od całej tej hałastry dzieliło rezydentów najwyższego poziomu jeszcze piętro drugie, gdzie w przestronnych salach odbywały się policyjne narady, a także, w innej części, poważniejsze przesłuchania prawdziwych bezlitosnych skurwysynów w obecności ich eleganckich adwokatów.

Trzecie wyglądało natomiast trochę jak ekskluzywny hotel, a trochę jak piętra wspólników w wieżowcach na Pępku. Na podłodze czerwony dywan, na ścianach marmurowa lamperia oddzielona złotymi zdobieniami od śnieżnobiałych ścian. Skrzące kryształowo żyrandole rzucały tęczowe refleksy na pary dwuskrzydłowych drzwi wiodących do poszczególnych gabinetów wysokich urzędników policji.

Dragosavalij poczekał, aż windziarz otworzy kratkę i wysiądzie, a potem, zupełnie lekceważąc jego dyskretne wskazanie na rozłożoną na podłodze

wycieraczkę, skręcił w prawo i ruszył korytarzem. Wyglądało to, jakby kierował się do znajdującego się na końcu gabinetu Naczelnika, ale zamiast tego grubas nagle przystanął przed drzwiami po prawej, złapał za klamkę i uspokoiwszy oddech, wparował do gabinetu.

– Albero, możesz mi powiedzieć, co do chol… – Umilkł, widząc wściekłość malującą się na twarzy podkomisarza i jego wzniesioną nagle dłoń. Drugą ręką policjant dociskał słuchawkę do ucha, potakując raz po raz komuś, kto, wedle dochodzących Dragosavalija dźwięków, miał na nim spore używanie.

– Oczywiście, panie sekretarzu – powiedział w końcu Albero. – Tak, właśnie zgłosił się podejrzany, dlatego… Tak, jak najbardziej, jak tylko się czegoś dowiemy.

Podejrzany? Dragosavalij mimowolnie sięgnął ręką do czoła, a potem odwrócił się w stronę Morta. Z twarzy lokaja jak zwykle nie sposób było niczego wyczytać, za to jego własna, był tego pewien, wyrażała teraz całą gamę emocji – od zdumienia przez krótką chwilę niepokoju po nawracającą ze zdwojoną siłą falę wściekłości. Czuł, że koniuszki uszu zaczynają go parzyć, że na twarzy rozkwitają mu plamy czerwieni, oczy zasnuwają się różową mgłą, a ślina nabiera gorzkawo-metalicznego posmaku. I już otwierał usta, by wrzasnąć, gdy nagle Albero odłożył słuchawkę na widełki, wyprostował się w fotelu i powiedział jedno słowo:

– Wolf.

Dragosavalij zamknął usta i potrząsnął głową, jakby właśnie się obudził.

– Co z nim? – zapytał.

Albero wymownie spojrzał na Morta. Ten ani drgnął.

– Możesz przy nim mówić, Albero. Wie o mnie bardzo dużo.

– A o mnie? – zapytał inspektor. Zrobił przy tym minę, która dawno temu zapewniła temu drobnemu, chudemu człowieczkowi z wąsiskami sięgającymi linii szczęki miano Wąsatej Łasicy lub, krócej, Wąsicy. Nazywali go tak za plecami podwładni i przełożeni, pilnując jednak, by nigdy nie słyszał tego sam zainteresowany. Równie łatwo bowiem jak w popłoch podkomisarz wpadał w gniew. To ostatnie zresztą zapewniło mu znajomość z Dragosavalijem, bo panowie poznali się lata temu w wyniku pomyłki w kalendarzu ich wspólnego terapeuty.

– O tobie wie wszystko – uciął temat grubas i dotoczywszy się do fotela, opadł na niego ciężko. Szturchnął palcem stojącą na krawędzi ramkę

niebezpiecznie wystającą poza krawędź, po czym zaplótł palce na brzuchu. – O co chodzi z Wolfem?

– Zanim o nim, muszę ci opowiedzieć o wydarzeniach, które zaraz będą miały miejsce. – Albero próbował skupić wzrok na Dragosavaliju, ale spojrzenie raz po raz uciekało mu w stronę Morta, jakby nieustannie upewniał się, czy mężczyzna wciąż stoi przy drzwiach, czy słucha i czy…

– Och, do kurwy Bajki, Mort, wyjdź, bo on tu przecież oczopląsu dostanie zaraz!

Kamerdyner posłusznie otworzył drzwi i powoli wycofał się na korytarz. Podkomisarz poczekał na szczęknięcie klamki i dopiero wtedy, pogładziwszy siwiejące wąsy, podjął już nieco spokojniej.

– Za chwilę zjawi się tu dwóch funkcjonariuszy – powiedział. – Przewiesisz przez ręce marynarkę, by wyglądało, że masz skute ręce, ale by nikt nie mógł tego stwierdzić na pewno. Sprowadzą cię piętro niżej, do sali przesłuchań. Po drodze napotkasz trójkę dziennikarzy, których dziwnym trafem nie udało się nam upilnować. Odmówisz komentarza, gdy cię zapytają o sprawę…

Z każdym słowem Albera oczy Dragosavalija robiły się coraz większe, a twarz coraz bledsza. Czy to możliwe, że Wolf zaczął sypać? Ostatnio głośno było o tym, że Szlachetni od Rumpela i Stinskina mają wkroczyć do Grimm City i zająć się tutejszą przestępczością zorganizowaną. Czy to możliwe, że grzebiąc się w łajnie interesów Reginy Räu czy Francesca Thornino, dogrzebali się jakiegoś powiązania z nim? Małą, drobną płotką? Przecież w porównaniu do prawdziwych wielkich wiódł życie niemal świętobliwego bohatera z baśni Bajarza! Co takiego nagadał im ten przeklęty Wolf? Co tym razem wymyślił ten skurwiel, z którym Dragosavalij już dawno powinien zakończyć wszelkie interesy?!

Zapytał o to, a Albero westchnął ciężko i sięgnął po leżące na biurku papierosy. Zapalił, nawet nie częstując gościa. Wypuścił kółko dymu, po czym odparł oficjalnym tonem:

– Dziś w godzinach popołudniowych inspektor Raymond Wolf został zamordowany w wynajmowanym przez niego mieszkaniu przy ulicy Mount Simeli dziewiętnaście. Wstępne oględziny miejsca zbrodni pozwoliły stwierdzić, że nie nosi ono śladów włamania, a zabójstwa dokonano ze szczególnym okrucieństwem przy użyciu…

– To moje mieszkanie – jęknął Dragosavalij.

Nagle dotarł do niego sens całego tego zamieszania i poczuł ból głowy na myśl o czekających go przesłuchaniach i tych wszystkich pytaniach: kto jeszcze miał klucze, jakie były pana relacje z ofiarą, gdzie pan był o tej i o tej godzinie. Z drugiej strony chwilę wcześniej umysł podpowiedział mu dużo gorsze scenariusze tego wieczoru i nadchodzącej nocy. Przy nich odpowiedź na kilka pytań jakiegoś detektywa była ledwie niesmaczną niedogodnością. Odetchnął głośno. Wydobył z butonierki chustkę i przetarł nią spocone czoło.

– Trochę tu gorąco, wybacz – powiedział Albero. – Ostatnio tyle mamy tajnych spraw, że nie ma tu jak i kiedy wpuścić sprzątaczy do wymiany filtrów. Wody?

Grubas skinął głową, a podkomisarz podszedł do stojącego w kącie barku i nalał gościowi szklankę wody, a sobie bourbona na dwa palce. Dodał po dwie kostki lodu.

– Więc jeszcze raz. Za chwilę zabierzemy cię na przesłuchanie…

– Po co właściwie?

Albero wzruszył ramionami.

– Dla dziennikarzy i opinii publicznej będziesz zapewne tym, który powinien się znaleźć na krótkiej liście – wyjaśnił. – Twoje mieszkanie, pewnie masz dodatkowe klucze, może jakieś ukryte motywy… Takie tam. Z pewnością w toku śledztwa nikt cię nie będzie podejrzewał, nie naprawdę. Ale ta chwila to zarzucanie sieci szeroko i gdybyśmy cię tu nie ściągnęli, zaraz poszłoby w świat, że cię chronimy. Że takich jak ty nigdy nie zakuwa się w kajdanki, bo chronią ich pieniądze i koneksje…

Podał grubasowi wodę, a sam wypił alkohol jednym haustem, po czym odstawił szklankę na blat.

– Nie wiem, czy… – zaczął Dragosavalij, ale Albero nie dał mu dokończyć.

– Eugene – powiedział. – Nikt tu na komendzie nie lubił Wolfa. Nie po tym, jak nadął się jak balon po tej sprawie z bliźniakami Słodkiego Joego, ani po akcjach, które bez umiaru odwalał dla starego Złej Królowej, przez co wszyscy mieliśmy potem przesrane przez lata. Ale chcemy tego czy nie, to był policjant. Nasz gość. Inspektor. I musimy pokazać, że nie puszczamy płazem zamachu na któregoś z naszych, nieważne, w jakich sferach obracają się podejrzani. Rozumiesz? Zresztą… – Uśmiechnął się

paskudnie. – Gdybym miał choć cień wrażenia, że faktycznie to zrobiłeś lub zleciłeś, to znasz mnie. Już dawno byłbyś poza wszelkimi podejrzeniami…

Akurat, pomyślał Dragosavalij. Raczej negocjowalibyśmy właśnie astronomiczną cenę tego aktu przyjaźni. Ale nie odezwał się słowem, sączył tylko powoli swoją przyjemnie chłodną wodę, próbując uspokoić nerwy.

– A ci dziennikarze to skąd? – zapytał w końcu, po namyśle. – Święta Trójca?

Albero pokiwał głową.

– „Tribune” i „Herold” na pewno. Czy „Spookstad”, tego jeszcze nie wiem, zależy, czy wysłali kogoś kumatego i bezczelnego. Wiesz, oni muszą nas wykiwać, by się przedostać…

Jakby to było coś trudnego, przemknęło przez głowę grubasowi, ale i to zmilczał. Zamiast tego spytał:

– Do kiedy mnie oczyścicie ze wszelkich podejrzeń?

Albero się uśmiechnął.

– Sama informacja o twojej wizycie pójdzie zaraz w porannej. My zdążymy ją zdementować już w popołudniowej, tak byś mógł przeczytać o tym gościom na tym balu Margaret, wtedy już oficjalnie czysty jak ostatnia karta Świętej Księgi.

– No dobra, ale to wszystko naprawdę tylko po to, by wysłać opinii publicznej komunikat? – Dragosavalij wciąż nie wydawał się przekonany.

– Oraz aby kupić czas – wyjaśnił podkomisarz. – Potrzebujemy go, by pomyśleć i zbudować solidną podstawę pod teorię o tym legendarnym nowym graczu, co kosi konkurencję wraz z taksówkarzami. I tak mamy z jego powodu przesrane, to niech to będzie zaułek, w który mądrze zapędzimy tych wszystkich baranów z prasy. Niech się tym zajmują, dopóki nie wygrzebiemy czegoś prawdziwego. Albo lepszego. Potrzeba nam tylko paru godzin, gdy nikt nie zadaje pytań, czy w ogóle coś robimy.

– I kupicie te godziny moim kosztem, tak?

– Nie. – Albero się wyszczerzył. – Raczej z twoją pomocą i również dla twojego dobra.

Grubas zarechotał, po czym uczepił się blatu i z trudem podniósł z fotela.

– Kiedyś upomnę się za to dobro o przysługę, Albero – sapnął. – No dawaj, miejmy to za sobą.

Podkomisarz skinął głową, ale zaraz przypomniał sobie coś jeszcze.

– Eugene, możemy coś na ciebie znaleźć, gdy pogrzebiemy u Wolfa solidniej?

Grubas zamyślił się, ale w końcu potrząsnął głową.

– Nic nielegalnego, to i owo z pogranicza. A, no i możliwe, że kilka kwitów na szopki z sąsiadem. – Głową wskazał w stronę Urzędu Skarbowego stojącego nieopodal. – Ale nawet tam nie ma nic, czego nie da się wyprostować w tydzień.

Albero przygładził wąsa raz, drugi, po czym sięgnął po słuchawkę i wbił wewnętrzny.

– Dobra, to zaczynamy – powiedział. – Ostrzeż tego swojego wesołka, żeby nie robił burdy. To i owo już o nim tutaj słyszano.

Dragosavalij uśmiechnął się z satysfakcją.

– Masz na myśli Morta? I dobrze. To właśnie ciągle mu powtarzam, synowi zresztą też. Reputacja. Nie ma na świecie nic ważniejszego…

Opróżnił szklankę, a potem poprosił o jeszcze jedną. Gdy dopijał, w gabinecie zjawiło się dwóch mundurowych, a wraz z nimi lokaj.

– Wszystko w porządku, Mort. – zapewnił grubas, zdejmując marynarkę. – Poradzę sobie tutaj. Ty jedź po mecenasa Sandersa.

Splótł ręce i zasłonił je zgodnie z planem, a potem dał się wyprowadzić na korytarz.

Rozdział 3

Nie było mowy o miejscu siedzącym, Alfie ledwie wcisnął się do autobusu. Właściwie widząc go, wielki ciemnoszary blok na kółkach, dymiący jak smok z kilku rur umieszczonych na dachu i wypełniony ludźmi tak, że ich rozpłaszczone twarze kleiły się do szyb i kratek wentylacyjnych, muzyk w ogóle chciał zrezygnować z jazdy, ale było już za późno. Autobus zatrzymał się, kilka osób wysiadło, łapczywie zaciągając się lepkim, wilgotnym powietrzem, a zgromadzony na przystanku tłumek kartonów naparł, pchając Alfiego przed sobą.

Wsiadł więc, myśląc, że tylko jeden przystanek, że zaraz wysiądzie, ale w jakiś sposób ilekroć autobus stawał, wyjść było coraz trudniej, a zgromadzony w środku tłum zasysał coraz bardziej, wciągał w głąb pojazdu. Aż znalazł się tu, gdzie był w tym momencie, wtulony w słupek, z głową wciśniętą w ramiona. Oddychał płytko, by nie dać się klaustrofobicznej panice. Ktoś tam za jego plecami narzekał na remont, że się przeciąga, i faktycznie, Alfie przypomniał sobie, że przecież w prasie pisano o tymczasowym zamknięciu kolejki podmiejskiej wiodącej z Dystryktu Grumliga przez Podgardle, co powodowało ogromne utrudnienia zarówno dla robotników z Dzielnicy Mgieł, jak i urzędników Lepoan. Jeżeli tak, to była szansa, że większość tych śmierdzących sardynek wysiądzie, gdy tylko dojadą do Willow Station, i tam przesiądzie się już na pociąg podmiejski. Tej opcji Alfie trzymał się kurczowo.

Tuż obok niego stało kilku górników z dystryktu, jeden z nich z zaawansowaną egzofossilią, która obejmowała już bark, połowę szyi i lewą stronę twarzy i powoli sięgała w stronę oka. Chropowata stwardniała tkanka wyglądała, jakby zaraz miała się skruszyć, odłamać. Policzek mężczyzny, gdzie kolejne warstwy skóry listkowały, przywodził na myśl rybie skrzela.

Alfie wzdrygnął się, gdy pomyślał, że ten człowiek najwyraźniej jeszcze pracuje. Kilkanaście lat temu miasto na mocy królewskiego dekretu przyjęło ostatecznie postulat związków zawodowych i uznało, że obie

odmiany fossilii są chorobami zawodowymi, a także zgodziło się egzofossilikom przyznawać dożywotnie renty, o ile skamienienie przekroczy trzydzieści procent powierzchni ciała. Jednak stawka była rzekomo tak niska, że górnicy – w większości pochodzący z dzielnic za mostem, takich jak Fotleggur czy Gangrena – sami z siebie rezygnowali z przywileju, chcąc pracować tak długo, jak pozwoli im organizm. Aż do dnia, gdy zamienią się w kamienną skorupę wypełnioną gnijącymi wnętrznościami.

Ten tutaj robotnik był postawnym mężczyzną, dobrze zbudowanym i wnioskując po zdrowej połowie twarzy, niemal przystojnym. Przypominał postać z dawnych podań wykonaną przez ludowego rzemieślnika. Trochę za mocno ociosaną, o rysach jakby zbyt głęboko wyrytych, ale zamysł stwórcy przebijał nawet przez niedoskonałe wykonanie. Czując na sobie wzrok Alfiego, łypnął i warknął:

– Ciekawski, co? A wiesz, jak boli taką pięścią? – Podniósł rękę również pokrytą kamienną naroślą i potrząsnął nią lekko.

Jego kompani zaśmiali się, a Alfie spuścił wzrok, znowu próbując w myślach odliczać przystanki. Kiedyś, za czasów Skowytu, jeździł tą trasą – przesiadał się na objazdową linię AGC12 właśnie pod komendą policji – ale nie na wiele się to teraz zdało, bo nie miał jak zerknąć w okno, by złapać jakikolwiek punkt orientacyjny. Zostawały mu więc tylko kalkulacje, próba przypomnienia sobie wszystkich postojów wtedy i teraz, rozróżnienia, co jest przystankiem, a co postojem, gdy ktoś po prostu skorzystał z okazji, kiedy autobus stał na światłach, i naparł na drzwi, by wyrwać się na ulicę. W końcu dał sobie spokój i mocniej uwiesił się barierki.

Górnicy nad jego wtuloną w ramiona głową zaczęli rozmawiać o ostatnich przypadkach brutalnych gangsterskich porachunków.

– I pomyśleć, że człowiek całe życie chciał jeździć do pracy taksówką – powiedział jeden, a pozostali parsknęli. Alfie poczuł na karku kropelki ich śliny. A może to było tylko wrażenie?

– Jeszcze trochę i w Gangrenie się zrobi bezpieczniej niż tutaj – stwierdził drugi. – Tam to przynajmniej wiesz, że nikt na ciebie butelki żadnego destylatu nie zmarnuje.

I znowu śmiech, rechot, śmierdzące oddechy, oleista woń ropy i kwaśny odór potu. A do tego jeszcze zgrzyt trących o siebie kamieni, gdy

egzofossilik śmiał się razem z nimi, a kamienne listki skóry tarły jeden o drugi, jakby chciał policzkiem skrzesać ogień. Ktoś tam bardziej z przodu wydarł się, że złodziej, tłum się poruszył, autobusem zachwiało, ale kierowca opanował pojazd i tylko krzyknął coś niezrozumiale przez głośnik.

A potem nagle stanęli, trudno było orzec, czy na światłach czy na przystanku, ale rozległ się syk otwieranych drzwi, a Alfie dostrzegł niewielką lukę, jakby tunel pod pachami i między torebkami ściśniętych ludzi. Zanurkował tam i naparł do przodu, przepychając się ku drzwiom.

Zdążył w ostatniej chwili, prześlizgując się przez zamykające się drzwi i wypadając na słabo oświetloną ulicę.

Rozejrzał się. Autobus musiał jechać okrężną drogą, bo zamiast w Górnym Reuben, gdzie powinni dotrzeć już dawno, Alfie stał na jednym z osiedli Navalla Afiada, dzielnicy Wyspiarzy, zwanej przez co złośliwszych Podpaszką, bo znajdowała się właśnie pod pachą olbrzyma.

Nie znał tych okolic, a nazwy ulic niewiele mu mówiły. Wszystkie te domy, niskie, ceglane, były niemal identyczne, jeśli nie liczyć odróżniających je od siebie wąskich bramek czy furtek, dobudowanych drewnianych schodów bądź wąskich przejść między budynkami. Podobno nawet mieszkańcy gubili się w tym gąszczu identycznych uliczek z takimi samymi karłowatymi drzewkami posadzonymi w wykrojonych z chodników kręgach zieleni i to dlatego na każdym niemal rogu znajdował się pub z bardzo charakterystycznym, widocznym z daleka szyldem. Ten najbliżej Alfiego nazywał się Smutek Dziewicy albo Smutek Dziewiczy – krój pisma najwyraźniej pozostawiał odbiorcy ostateczną interpretację.

Alfie nie miał ochoty nic pić, a jeśli nawet, to z pewnością nie w wyspiarskim pubie, ale naprzeciwko lokalu stała żółta taksówka, co sugerowało, że jej kierowca pewnie siedzi w środku. Jeśli nie wypił jeszcze dość, myślał muzyk, może da się namówić na kurs i oszczędzi mi drałowania przez noc lub czekania na kolejny wypchany po dach autobus.

Ruszył w tamtą stronę. Już w połowie drogi otoczyły go zewsząd skoczne, folkowe dźwięki granej na żywo muzyki. Piosenki nie znał, ale jak niemal wszystkie tego rodzaju natychmiast skłaniała do podłapania rytmu i wystukiwania go nogą lub dłonią o udo. Alfie spostrzegł z rozbawieniem, że nieświadomie zaczął tańczyć w takt melodii. Podskakując tak i przyklaskując, dotarł do wejścia, pchnął drzwi i… wszystko ucichło.

Muzycy na scenie właśnie skończyli, urywając, co było typowe dla wielu tych żywych utworów, w pół dźwięku. Cisza nie zdążyła jeszcze wybrzmieć, gdy skrzypnęły drzwi i wszystkie oczy zgromadzonych zwróciły się ku wejściu. Patrzyli tak przez chwilę na Alfiego, a ten uśmiechnął się niepewnie i wzruszył ramionami.

– Potrzebuję taksówki – powiedział i niemal natychmiast stracił zainteresowanie tłumu.

Tylko jeden mężczyzna, siedzący przy barze starszy, korpulentny jegomość z marynarską brodą bez wąsa, w wełnianej marynarce naciągniętej na gruby golf i kaszkiecie w buro-szarą kratę, wciąż mu się przyglądał. W końcu skinął na Alfiego palcem, zachęcając go, by podszedł.

Muzykowi nie spodobał się ten gest, ale wiedział, że z wyspiarzami tak już jest – bywali nieokrzesani i bezczelni, jakby albo nie zdawali sobie sprawy z istnienia jakichkolwiek reguł, albo też mieli je gdzieś. Niektórzy, wychodząc na zewnątrz, do ludzi i świata, w końcu się adaptowali, ale tu przecież nikt nie musiał. Tu mogli być sobą. Alfiemu pozostawało więc albo podejść, albo wyjść i ruszyć na długi spacer. Zdecydował się na to pierwsze.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytał wyspiarz, gdy muzyk się zbliżył.

– Dolne Reuben, konkretnie to…

– A czym się zajmujesz? – Taksówkarz wszedł mu w zdanie. – W sensie na co dzień.

Alfie zmrużył oczy i już miał odpyskować, że nie rozumie, co to ma do rzeczy, ale zauważył, że przygląda mu się barman z jedną ręką skrytą pod kontuarem. Znaczyło to, że pytanie o to, kim jest, nurtuje nie tylko facecika w kaszkiecie.

– Jestem muzykiem, uczę dzieci grać na fortepianie, czasem trochę na skrzypcach…

– Tu uczysz? – zdziwił się taksiarz.

– Nie, na Memoire. Zrobiło mi się duszno w autobusie, to wysiadłem.

Taksówkarz patrzył na niego przez chwilę, wodząc wzrokiem to po ubraniu, to znów po nieogolonej twarzy Alfiego, jakby się zastanawiał, czy ktoś taki rzeczywiście może uczyć bogate dzieci muzyki. Uciekało mu przy tym lewe oko. Komicznie, zastanawiająco. Aż się chciało zapytać, czy ktoś taki może aby być taksówkarzem.

W końcu wyspiarz upił gęstego, ciemnego piwa i rozpogodził się nieco.

– Wybacz, brachu, ale ostatnio… Sam wiesz, co się dzieje. Człowiek woli swoich wozić po okolicy za pół darmo, niż się dalej w miasto wypuszczać, bo nigdy nie wiesz – wyjaśnił. – Ty jednak, druhu, nie wyglądasz mi na takiego, co ściąga ogień czy kule. Dopiję i jedziemy, gra?

Alfie wzruszył ramionami i zajął miejsce na stołku obok.

– Gra.

Zamówił małe piwo, jak kierowca przepił do zawieszonego nad barem trójkąta z płomieniem i wypił gęsty, kremowy płyn na trzy barbarzyńskie łyki. Kapela skończyła kolejny utwór i gładko przeszła do doprawionej szczyptą melodii recytacji na temat pewnej nieszczęsnej dziewicy mimo woli. Dziewczyna z utworu bardzo chciała się komuś oddać, ale za każdym razem w ostatniej chwili okazywało się, że jej przyszły kochanek ma jakąś straszną wadę nie do obejścia.

Alfie nie znał kawałka, a że opowiadany był ze swadą, tym bardziej się weń wsłuchał i już przy trzeciej czy czwartej strofie wraz ze wszystkimi powtarzał ostatni, zmieniający się co zwrotkę wers. Najbardziej podobała mu się chyba ta część o górniku z egzo i z wielkim, skamieniałym wzwodem. Mężczyzna zapewnił dziewicę, że to same zalety, bo dzieci z tego nie będzie, a mech, który już dawno porósł członek, będzie ją przyjemnie miział od środka. A gdy dziewczyna w końcu uległa namowom, okazało się, że cwaniak do swego mikrego przyrodzenia przywiązał zwyczajny kamień.

– Mikry ten robaczek spod kamienia łypał – ryknął rozbawiony tłum, a Alfie krzyczał wraz z nim: – Jakby o coś prosił i nieśmiało pytał!

Ktoś objął go ramieniem i zakołysał w lewo i w prawo, ktoś podsunął pod nos kolejne piwo i Alfiemu wcale nie chciało się już wracać do domu. Zerknął w stronę taksówkarza, chcąc go zapytać, czy jest możliwość, by wyjechali jednak nieco później, ale ten właśnie zamawiał kolejne piwo, więc muzyk uznał, że nie ma potrzeby.

Odwrócił się znowu w stronę niewielkiego podestu, na który wspięła się właśnie jakaś dziewczyna, jedna z tych typowych wyspiarskich łobuziar – płomiennoruda, zgrabna, drobna, już na pierwszy rzut oka mistrzyni ładowania się w kłopoty. Gdy się odezwała – a to jej najwyraźniej przypadła do zaśpiewania ostatnia zwrotka – jej zmysłowy, chrapliwy głos sprawił, że Alfie poczuł, jak w spodniach robi mu się ciasno. Tym razem tekst mówił o tym, jak to zrozpaczona dziewica postanowiła pożegnać się

ze swym smutnym życiem, rzucając się ze skały. Los chciał, że wylądowała bardzo fortunnie i nabiła się na gałąź.

– A wiatr potem poniósł w dal nad szpaler olch jej ciche, wdzięczne i rozkoszne: „Och!” – zaśpiewała cicho dziewczyna, a tłum wyryczał to samo już w pijackim unisono.

Ruda dygnęła ładnie, łapiąc za krawędzie krótkiej, sięgającej pół uda spódniczki, i zeskoczyła ze sceny. Wiedziony dawnym odruchem Alfie podniósł się, zamierzając ruszyć w jej stronę, ale poczuł na ramieniu łapę, która usadziła go na miejscu.

– Nie chcesz – zapewnił go rosły kudłacz siedzący obok. Uśmiechał się, więc była to raczej życzliwa porada niż groźba, ale nawet teraz, z lekko zamroczonym umysłem, muzyk wiedział, że w tym przypadku to w zasadzie żadna różnica. Westchnął więc tylko i skinąwszy głową, odparł:

– Skoro nie chcę, to nie chcę.

– Hej, panie nauczyciel – rozległo się od strony baru. – To jak, jedziemy?

Alfie wskazał na łazienkę.

– Zaraz będę – odparł.

Męska była zajęta, a gdy spróbował wejść do damskiej, jakaś dziewczyna stojąca tam przed lustrem posłała mu gniewne spojrzenie. Uśmiechnął się przepraszająco i wrócił na korytarz, myśląc, że czasem to, że świat idzie naprzód, nie jest takie fajne. Jeszcze piętnaście lat temu kobiety nie miały co liczyć na własne toalety. Sama zgoda na to, by wchodziły do baru czy pubu nie w charakterze kelnerki czy tancerki, wydawała się zmianą przełomową. A potem raz-dwa dostały prawo do głosowania, potem Kartę Zawodów Kobiecych i szereg innych przywilejów, aż wreszcie własne łazienki w każdym nieomal lokalu. Piętnaście lat i tyle zmian. Wystarczyło, że król się zakochał w miłośniczce postępu.

Alfie stał przez chwilę w korytarzu, przebierając nogami, a gdy wreszcie toaleta się zwolniła, wpadł do niej jak burza i zasunął zasuwkę. Zwykle wchodząc do łazienki zaraz po kimś, miał odruch wstrzymywania oddechu, ale tym razem zapomniał i kwaśny smród gówna wdarł się do jego nozdrzy, zginając go wpół nad muszlą. Zwymiotował raz, a potem drugi, brudząc przy tym deskę. Pościerał, co mógł, papierowym ręcznikiem, a wnętrze muszli spłukał najpierw moczem, a potem wodą ze spłuczki. Przyjrzał się sobie w pękniętym lustrze.

– Nawet po pijaku nie wyglądasz kusząco – stwierdził i umywszy ręce, wyszedł z łazienki.

Taksiarz już na niego czekał z kaszkietem zawadiacko przekrzywionym na bok. Zapytał o adres, a potem o to, czy Alfie na pewno ma pieniądze. W razie bowiem gdyby nie miał… i tu wyspiarz odchylił połę marynarki, gdzie zamocowaną miał krótką drewnianą pałkę z rzemieniem do przeciągnięcia przez nadgarstek. Muzyk potwierdził, że jest wypłacalny, po czym usiadł na tylnym siedzeniu i przycisnął nos do szyby.

– Gwiazdy – poprosił. – Chcę zobaczyć gwiazdy.

Taksówkarz, który zajął właśnie miejsce za kółkiem, zaśmiał się, jakby to był najlepszy dowcip na świecie.

– W tym mieście to gwiazdy co najwyżej kurwią się w drogich kurortach na Troll’s Face – powiedział, ruszając. – A to, mój druhu, jakby w przeciwnym kierunku.

***

Było dokładnie tak, jak powiedział Albero. Dziennikarze czekali na Dragosavalija przyczajeni za filarami, a gdy opuścił windę, doskoczyli, a to błyskając fleszami aparatów, a to zadając pytania zanotowane w oprawionych w skórę notesach. Zapewne wbrew ich oczekiwaniom Dragosavalij nie zasłaniał twarzy, nie wyglądał też ani na zirytowanego, ani przestraszonego. Po prawdzie z trudem powstrzymywał uśmiech.

Pięć osób, trzy redakcje. Święta Trójca. „Tribune” przysłało starego wyjadacza, Ludwiga Bernsteina. Gość może i wyglądał, jakby mieszkał w psiej budzie i miał jeden komplet ubrań, ale znał się na rzeczy. „Herold” postawił na młodego wyszczekanego przystojniaka o kwadratowej szczęce i nieco drobniejszego fotografa, a „Spookstad”, jak przystało na liberałów, zdecydowało się na kobietę, posyłając z nią wielkoluda, który pewnie bardziej, niż robić dla niej zdjęcia, miał dziewczę chronić. Grubas zawiesił na dziewczynie wzrok. Lubił takie. Szczuplutka, wysoka, w jednym z tych modnych ostatnio płaszczyków, zwanych dziwkarskimi prochowcami, bo sięgały powyżej kolana i sprawiały wrażenie, jakby nic pod nimi nie było. Nienaturalnie blada, pewnie za sprawą makijażu, do tego o włosach czarnych jak heban, takich też brwiach i ustach lśniących rubinową czerwienią.

– Panie Dragosławij, jak… – zaczęła, ale wszedł jej w słowo, uśmiechając się dobrotliwie.

– Nazywam się Dragosavalij, panno…

– Di Neve. Palla Di Neve, redakcja „Spockstad” – odparła automatycznie, wyraźnie zmieszana swoją pomyłką. Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec, który sprawił, że grubas nabrał na nią szczerej ochoty. Gdyby tylko mógł. Gdyby tylko… Westchnął i wzruszył ramionami.

– No więc panno Di Neve, niestety nie mogę pani udzielić żadnej informacji na temat sprawy, która się toczy. Nikomu z państwa.

– Ale jest pan w niej podejrzanym, nie świadkiem, tak? – zapytał Bernstein, notesem wskazując na jego zasłonięte ręce. Dragosavalij powiódł wzrokiem za tym gestem i spojrzał na swoją marynarkę, jakby pierwszy raz ją widział.

– To? – Uśmiechnął się drwiąco. – Nie, po prostu zrobiła się naprawdę gorąca atmosfera, a mnie i bez tego ma co grzać.

Napomniał się w myślach, żeby nie zachowywać się zbyt swobodnie, ponieważ mogłoby się to wydać podejrzane. Uznał jednak, że na razie jeszcze nie przekroczył granicy.

Policjanci eskortujący go odsunęli dziennikarzy na bok i kazali mu ruszyć. Posłuchał.

– Co łączyło pana z inspektorem Wolfem? – zawołała za nim Di Neve, ale zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyła się druga winda i wypadło z niej kilku kolejnych funkcjonariuszy. Zaczęła się przepychanka.

Dragosavalija wprowadzono do pomieszczenia przesłuchań i usadzono po jednej stronie wielkiego metalowego stołu naprzeciwko lustrzanej ściany. Świadomość, że ktoś stoi po drugiej stronie, w ciemności, i mu się teraz przygląda, bardziej bawiła go, niż irytowała, choć wiedział, że może się to lada chwila odwrócić, jeśli ta farsa potrwa zbyt długo. Czuł, że powoli ogarnia go senność, było wszak późno. Miał też świadomość, że nawet po powrocie do domu szybko nie zaśnie, bo będzie sprawdzał wszystkie możliwe tropy, nitki i linki łączące go z tym przeklętym Wolfem. „Nic nielegalnego”, zapewnił inspektora Albero. I był niemal pewien, że to prawda. Niemal…

Zabębnił palcami o blat.

– Hej, trochę mi się spieszy – zawołał, ale nikt nie zareagował na tę uwagę. Dopiero po kolejnych dziesięciu minutach zjawił się w pokoju jakiś młody mężczyzna.

Miał śniadą cerę i włosy przystrzyżone akurat na tyle, by nie zaczęły się układać w fale. Nosił koszulę rozpiętą pod szyją, spod kołnierzyka smętnie zwisał poluzowany krawat. Ciemnobrązowe szelki podtrzymywały beżowe spodnie, ale podciągały je nieco za wysoko, być może by zasłonić rysujący się wyraźnie brzuch, niepasujący do reszty tej nieomal sportowej sylwetki. Mężczyzna trzymał w ręku szarą papierową teczkę zawiązaną przybrudzoną białą wstążką.

– Detektyw Gratz – przedstawił się i zajął miejsce naprzeciwko Dragosavalija. Otworzył teczkę. – To ja będę z panem dzisiaj rozmawiał.

Grubas wzruszył ramionami.

– Albo i nie – odparł. – Gdzie mój adwokat?

Detektyw zajrzał do teczki, jakby tam kryła się odpowiedź na to pytanie.

– Jedzie – odpowiedział. – Czy życzy pan sobie na niego zaczekać?

– Zastrzegam sobie prawo do przerwania moich zeznań w dowolnym momencie i zaczekania na jego przybycie, jeśli uznam, że nie odpowiada mi forma czy kierunek rozmowy. – Dragosavalij wyrecytował formułkę, której kiedyś nauczył go mecenas Sanders na okoliczność podobnych sytuacji.

Gratz skinął głową.

– Zaprotokołowane – powiedział, a potem, jakby dopiero sobie o tym przypomniał, dodał: – Informuję pana, że cała ta rozmowa jest nagrywana i może być wykorzystana jako dowód w sprawie.

Tym razem to grubas pokiwał głową i rozłożył ręce w zapraszającym geście.

– Proszę zaczynać.

Detektyw pochylił się nad kartkami, musnął językiem palec wskazujący i przewertował dokumenty. Wyciągnął jakiś dokument, upewnił się, że to jego szukał, i podsunął go pod nos Dragosavalijowi.

– To kopia aktu własności mieszkania przy Mount Simeli. Widnieje na niej pańskie nazwisko.

– Zgadza się.

– Od jak dawna jest pan właścicielem lokalu?

Grubas uśmiechnął się.

– Data jest na dokumencie.

– To pytanie do protokołu – upomniał go detektyw.

– Rozumiem i jeszcze raz zapewniam pana, że moja odpowiedź jest prawdziwa. Data jest na przedstawionym mi dokumencie, a ja proszę o nierobienie ze mnie cyrkowej małpki. – Przerwał, pochylił się do przodu i szepnął konspiracyjnie. – To ostatnie można wykreślić z protokołu, jeśli pan chce.

Znowu oparł się wygodnie, nie przestając się uśmiechać. Policjant na powrót pochylił się nad aktami i zaczął w nich przebierać.

– Od jak dawna wynajmował pan swój lokal inspektorowi Wolfowi, panie Dragosavalij?

– Od kilku miesięcy.

– Ile wynosił czynsz?

– To żart, prawda? – zapytał grubas, zerkając podejrzliwie.

Detektyw zapewnił go, że w żadnym razie.

– Nie mam pojęcia, ile wynosił czynsz. Nie zajmuję się takimi sprawami osobiście.

Gratz pokiwał głową.

– A ile płacił panu Wolf?

Dragosavalij wiedział, że to pytanie pułapka. Nie mógł odpowiedzieć: „Nie wiem”, bo pewnie detektyw już wiedział, jak było naprawdę. Kłamstwo z kolei wyszłoby bardzo szybko, wystarczy, że sprawdzą finanse Wolfa.

– Inspektor – zaczął – zwrócił się do mnie z prośbą o przyjacielską przysługę, a ja…

– Tak określiłby pan wasze relacje? Jako przyjacielskie?

Grubas sapnął. Zdecydowanie nie podobało mu się, jak ten chłystek, ani chybi syn taborowego kurwiszcza z tamburynem, z nim rozmawia. To miało być rutynowe przesłuchanie, grzeczna, miła wymiana informacji, a nie takie…

– Panie Dragosavalij – ponaglił Gratz.

– Nie – burknął grubas. – Tak się mówi, ale chodziło o przysługę wobec partnera w interesach.

Detektyw udał zdziwienie.

– W interesach? Inspektor Wolf był oficerem policji, w dodatku wysokiej szarży. Każda forma współpracy biznesowej z nim…

– Dość! – warknął Dragosavalij. – To jest właśnie ten moment, kiedy zaczekamy na mojego adwokata.

Gratz bezradnie rozłożył ręce.

– Jak pan sobie życzy – odparł, wkładając dokumenty do teczki i zawiązując tasiemki na staranną kokardkę. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

– Powiedziałem już, że…

– Nie, nie musi pan na nie w ogóle odpowiadać – zaoponował policjant, wciąż skupiony jakby wyłącznie na wstążce. – To tylko pod refleksję, poza protokołem. Chodzi o to, panie Dragosavalij, że nie było śladu włamania. Drzwi były zamknięte na klucz, a mimo to ktoś dostał się do środka, poderżnął, nie, przepraszam, podziurawił inspektorowi gardło i zostawiwszy go w kałuży krwi, opuścił miejsce zbrodni w niewyjaśniony sposób.

– I chce mnie pan zapytać, kto jeszcze miał klucze do lokalu, tak? – Grubas przejechał ręką po fałdach na potylicy.

Detektyw jednak potrząsnął głową. Wstał, szurając krzesłem, i wsunął teczkę pod pachę.

– Moje pytanie brzmi: skoro to nie pan ani nikt od pana, komu dałby pan te klucze, to czy, no wie pan, nie boi się pan, że w ten sam sposób uda się temu komuś dostać również do pańskich innych posiadłości… na przykład tej przy Memoire?

Podszedł do drzwi i opuścił pomieszczenie, nie czekając na ewentualną odpowiedź.

***

– Trochę się po nim przejechałeś, Gratz. Niepotrzebnie.

Detektyw zamknął za sobą drzwi przyciemnionego pokoju, przeszedł na jego drugi koniec i stanął przed wielkim magnetofonem szpulowym. Zdjął z niego taśmy i raz-dwa założył nowe z półki po lewej.

– A co, myślałeś, że dam się tak szczerzyć skurwielowi przez cały czas, jakby nam robił świetny kawał?

Drugi mężczyzna miał na nazwisko Evans i również pracował w policji. Tak długo i mozolnie, że bez wsparcia i bez spektakularnych, medialnych

sukcesów, a jedynie codzienną, rzetelną dłubaniną to na ulicy, to znów w papierach, udało mu się dopracować stopnia inspektora, na co wielu nie starczało pomyślunku lub determinacji. Więcej nawet: coraz częściej powtarzana plotka głosiła, że ostatnio sprawy miały się dla niego wyjątkowo dobrze. Smród po nieregulaminowych zagraniach jego dawnego partnera wreszcie wywietrzał, sprawy osobiste się rozwiązały, a politykujący przełożeni doszli do wniosku, że dobrze byłoby pokazać czasem ludziom uczciwego policjanta z doświadczeniem. Niech sobie popatrzą, niech czują się bezpiecznie… Stąd szepty, że ten szpakowaty, gburowaty facecik, chodzący zawsze w jednej ze swych niezliczonych śmiesznych kamizelek, ma dużą szansę dochrapać się wkrótce stopnia podkomisarza. I ta sprawa, nawet tytularny w niej udział, miał mu w tym awansie pomóc. Przynajmniej w teorii.

– W zasadzie to… robi – stwierdził Evans – ale obaj wiemy, że to zabójstwo to nie on i nie ma co się wyżywać. W dodatku Albero nie będzie zadowolony. Miało pójść gładko, to jego kumpel, a przesłuchanie to pokazówka.

Gratz wzruszył ramionami, pakując taśmy z przesłuchania do torby. Z szafki pod urządzeniem wyjął nowe i zdarł z nich kartkę z wielkim, czerwonym X. Nałożył jedną z nich na szpulę i odsłuchał kawałek. Szum i piski. Kolejne przesłuchanie nie nagrało się z powodu problemów ze sprzętem.

– No może i miało – zgodził się. – Ale mnie wkurwił. Tym swoim tonem, uśmieszkami, tą tłustą pewnością siebie…

Evans westchnął. Właściwie powinien olać sprawę, był do niej przydzielony tylko jako doradca, głos rozsądku i rzecz jasna medialny pajacyk, niemal taki sam jak facet po drugiej stronie szyby. Tak, panie i panowie, sprawa jest na tyle ważna, że zajmuje się nią osobiście komisarz Evans. Tak, szukając sprawcy nie boimy się załomotać do drzwi posiadłości przy Memoire. Robimy, co się da, bo zabijając stróża prawa, na nie samo dokonano dziś zamachu!

Z drugiej strony wiedział, że jak coś pójdzie nie tak, a zachowanie Gratza czyniło taką możliwość bardzo realną, faktycznie każą mu się tym zająć. A tego zdecydowanie by teraz nie chciał. Wolf był tępym skurwielem i babranie się w jego szambie, łowienie w nim kogoś, kto będzie mógł zostać ewentualnym kozłem ofiarnym, brzydziło go i pozbawiało sił.

A przecież trzeba będzie to zrobić. Tej sprawy nie dadzą umorzyć ani też za długo ciągnąć.

I trzecia rzecz: lubił Gratza i szkoda by było dzieciaka na takie polityczne machlojki jak te tutaj. Rzecz w tym, że młody czasami tak bardzo przypominał mu jego dawnego partnera, że aż brał strach. McShane był niemal dokładnie taki sam, ciągle tylko „ale mnie wkurwił" i hyc na skróty. Tak podpadał kolejno wszystkim świętobliwym, aż gdy w kryminalnym mieli go dość, zafundowali mu zsyłkę do obyczajówki. I choć ostatecznie nie skończył tak źle – pensja królewska, mieszkanie w stolicy, teraz powrót do miasta w glorii i chwale jako agent NS – to Evans miał wrażenie, że wyczerpał tym swoim rozbiciem banku pokłady szczęścia za wszystkich podobnych sobie świrów. Dla Gratza mogło już nic nie zostać.

A skoro już o McShanie mowa, kolejny raz odezwał się w głowie Evansa ten sam co wcześniej upierdliwy głos, że może wypadałoby w końcu zejść to piętro niżej. Przywitać się. Puścić pewne rzeczy w niepamięć i…

Zorientował się, że młody detektyw przygląda mu się z niepokojem, więc potrząsnął głową i docisnął palcami nasadę nosa.

– A co ty tu jeszcze robisz?! Spierdalaj spalić taśmy!

– Ale ja…

– Spierdalaj – powtórzył komisarz. – I na przyszłość pamiętaj, że jak chciałeś być twardzielem, co to uciera nosa bogaczom, to trzeba se było żony nie brać i bachorów nie robić. Wtedy byśmy się twoimi wkurwami nie przejmowali, a może i ktoś by ci tam raz czy drugi zaklaskał. Teraz, jak żeś chciał, to od następnego morda w kubeł i nerwy na wodzy.

Gratz stał jeszcze przez chwilę, patrząc to na komisarza, to znów na siedzącego za szybą Dragosavalija. Grubas był podenerwowany, siedział jak na szpilkach. Mała rzecz, a cieszy. Zerknął na komisarza i miał wrażenie, że chyba dzielą tę myśl.

– Dobra, komisarzu, zgodnie z sugestią spierdalam i dziękuję – powiedział w końcu. – Może faktycznie trochę przegiąłem.

– Trochę. Choć puenta po przycięciu mogłaby iść w kinie.

Detektyw uśmiechnął się jak uliczny cwaniak, którym pewnie jeszcze nie tak dawno był.

– Pozdrowi pan ode mnie tego Szlachetnego.

– Jasne – odparł Evans, w myślach dodając: „Jak już tam kiedyś dotrę".

Wlepił wzrok w pokój za szybą i machinalnie sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, której nie było tam od lat.

***

Już pod domem, gdy taksówka zjechała pod same niemal wejście główne – trąc przy tym kołami o wysoki krawężnik i podskakując na źle umocowanej kratce ściekowej – Alfie zorientował się, że nie ma jak zapłacić kierowcy. Wszystkie drobne, jakie miał, wydał na piwo w Dziewicy, a przeczucie graniczące z pewnością mówiło mu, że Wyspiarz raczej nie wyda mu reszty z któregoś z banknotów od Dragosavalija.

Taksówkarz, widząc, że chłopak się kręci i ani nie podaje pieniędzy, ani nie wysiada, odwrócił się, przechylił głowę i zaczął mu się przyglądać.

– Pamiętasz, że o to pytałem? – zagadnął.

Alfie skinął głową, po czym przypomniał sobie o pałce i zamachał taksówkarzowi przed nosem pięćdziesiątką.

– Pamiętam też, co odpowiedziałem – odparł. – Problem, jak pan widzi, trochę innego rodzaju.

Wyspiarz gwizdnął z uznaniem i widać było, że się nieco rozluźnił. Owszem, był to pewien problem, ale daj, Święta Fabuło, żeby wszyscy mieli takie.

– A w domu może masz drobniej? – zapytał. – Dobrze by było, tobym od razu z łazienki skorzystał, bo mnie ciśnie. Nie nabrudzę. I nawet zniżkę ci za to dam.

Alfie pomyślał chwilę. W sumie nawet jeśli by sam nie miał, to wiedział, gdzie Mikrus trzyma coś na drobne wydatki. Mieli też kasetkę z pieniędzmi na wspólne jedzenie i czynsz, gdzie wciąż powinno leżeć kilka dijmarów.

– Tak – stwierdził w końcu. – Myślę, że możemy tak zrobić.

Wysiedli. Taksówkarz nawet się nie kłopotał zamykaniem samochodu. Alfie zwrócił mu uwagę, że to może i Reuben, ale w takich kwadratach jak Ciemna Dolina, gdzie właśnie byli, nikomu nie opłaca się zbytnia beztroska. Wyspiarz parsknął tylko.

– Kto w tym mieście kradnie taksówki, druhu?

Nikt, pomyślał Alfie. Ostatnio tylko palą w nich ludzi żywcem.

Alkohol niemal cały już uszedł mu z głowy i najwyraźniej zszedł do nóg, bo gdy wspinał się po krętych, drewnianych schodach, wspierając się na

lakierowanej poręczy, stopy nieustannie mu się plątały i źle wymierzały stopnie. A to za wysoko i Alfie leciał do przodu zaskoczony, a to za nisko i uderzał czubkiem buta o schodek. Najgorzej było na drugim, gdzie wciąż brakowało żarówki. Tam nie pomagało nawet uważne patrzenie pod nogi.

Taksówkarz szedł za Alfiem posapując cicho, wyraźnie nieprzyzwyczajony do takich wspinaczek. Trudno mu się było dziwić, skoro w dzielnicy, w której mieszkał, domy wyższe niż piętrowe można było policzyć na palcach, a on sam pewnie większość dnia spędzał, siedząc w domu, taksówce bądź pubie. Szedł jednak, nie narzekał, a gdy, już przy drzwiach, odezwał się szeptem, w jego głosie niemal nie słychać było zadyszki.

– Nie ma tam jakiejś młodej damy, którą powinieneś zawczasu ostrzec, druhu? – zapytał.

Alfie zaśmiał się cicho.

– Co najwyżej mój współlokator, ale chyba widziałeś pan faceta w samych gaciach.

Taksówkarz zmarszczył brwi i podrapał się po zarośniętej szczęce.

– Współlokator, mówisz?

Alfie, domyślając się z miny wyspiarza, o czym ten właśnie myśli, już otworzył usta, by się wytłumaczyć, ale zaraz je zamknął i wepchnął klucz do zamka. Przekręcił raz i szarpnął za klamkę, ale drzwi pozostawały zamknięte. Dziwne, bo przecież nigdy nie zamykali na więcej niż raz. Zwłaszcza Mikrus miał kiedyś teorię na temat zbędnych ruchów i tego, jak to szkoda na nie życia.

Tym razem jednak albo zapomniał, albo dał zamykać tej swojej cizi, gdy wychodzili. Albo, co całkiem możliwe, zaprosił ją do siebie, są teraz w środku, i to ona zamknęła od wewnątrz. Jeśli tak, to muzyk nie miałby nic przeciwko temu, by taksówkarz ją przestraszył. Mógłby i, cholera, na śmierć.

– Ej, bo mnie tu zaraz uszami pójdzie – ponaglił wyspiarz.

Alfie jeszcze raz przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Na wprost – powiedział, puszczając taksówkarza przodem. Sięgnął do włącznika światła po prawej, który zaskoczył dopiero za trzecim razem, ale to akurat stanowiło normę. Drucik w dyndającej na kablu żarówce rozżarzył się i w przedpokoju zapanowała żółtoblada jasność.

Zdjął marynarkę i powiesił na wieszaku, potem usiadł na stołku i powoli zzuł buty. Też chciało mu się sikać, ale chyba bardziej jednak czuł głód, dlatego wsunąwszy stopy w kapcie, poczłapał do kuchni. Tu również pstryczek nie zareagował za pierwszym razem. W tym przypadku nie pomogło jednak drugie i trzecie włączenie. W dodatku Alfie zdał sobie nagle sprawę, że coś tu śmierdzi, a on stoi w kałuży. Cokolwiek się tu rozlało, właśnie wsiąkało mu w kapeć, moczyło skarpetę…

Pstryczek wreszcie zaskoczył, a żarówka rozbłysnęła nagle z cichym „puff”, zwiastującym, że oto właśnie przepalił się cienki drucik w szklanej bulwie. Ten krótki błysk jednak wystarczył, by Alfie dostrzegł siedzącego na krześle skatowanego, zalanego krwią Mikrusa. Wystarczyło, by obraz jego twarzy – tej pogodnej piegowatej gęby, teraz z ustami zapchanymi kneblem ze ścierki, pozbawionej oczu, nosa i ze zdartym do połowy skalpem – wrył mu się głęboko pod powieki i wypalił w mózgu. Jakby strzelająca żarówka była lampą błyskową, a jego umysł aparatem fotograficznym.

Muzyk stłumił wrzask i nudności, wgryzając się boleśnie we własną pięść, a potem, dysząc ciężko, małymi kroczkami wycofał się do przedpokoju. Nie odrywał wzroku od ciemności. Przesiąknięty krwią kapeć mlaskał o podłogę, w kieszeni trzęsącej się nogi brzęczały klucze, a serce w piersi muzyka tłukło się jak oszalałe.

I wtedy w łazience coś gruchnęło.

POOL CLUB
TELEGRAM GRILL
TAXI
025070
DOCTOR MORTON

Rozdział 4

– Szlag, druhu, ale to wiadro to moglibyście z środka… – Wychodzący z łazienki taksówkarz urwał w pół zdania i zamarł z palcami na guzikach rozporka.

Naprzeciw niego stał Alfie, ściskając w rękach pierwsze, co najwyraźniej nawinęło mu się pod rękę – długą łyżkę do butów. Ani w dłoniach, ani w twarzy muzyk nie miał nawet kropelki krwi. Sporo za to miał jej na kapciu i wokół siebie w postaci błyszczących w bladym świetle rubinowych śladów.

Na widok taksówkarza odetchnął lekko i ten właśnie oddech, to tchnienie przywróciło taksówkarzowi zdolność ruchu.

– Co do kurwy? – warknął, sięgając po ukrytą pałkę. Wsunął nadgarstek w pętlę, mocno uchwycił za rękojeść i powoli ruszył do przodu.

– Trup. W kuchni. Mikrus – cedził Alfie przez zaciśnięte zęby.

– Mikrus? – nie zrozumiał wyspiarz. – Znaczy, że dziecko?

Alfie potrząsnął głową.

– Mój współlokator.

Taksówkarz ostrożnie podszedł do drzwi i spojrzał najpierw na podłogę, a potem w głąb, w ciemność. Musiał mocno wytężyć wzrok, by dostrzec zarys sylwetki, ale to w zupełności mu wystarczyło. Sarknął i w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie splunąć. Powoli przeniósł wzrok na Alfiego.

– W coś ty mnie, kurwa, wplątał?! – zapytał. W jego głosie pobrzmiewało autentyczne przerażenie. – W co…

Urwał, jakby nagle się zreflektował, że robi coś nie tak. Cofnął się o krok, potem drugi, gwałtownie odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

– Nie było mnie tutaj, słyszysz? – warknął jeszcze. – Nie było! Powiedz komukolwiek, a…

Alfie znowu potrząsnął głową. Opuścił trzymaną w rękach łyżkę.

– Nie powiem – stwierdził, schylając się po buty. – I idę z tobą. Muszę to zgłosić przecież, nie mogę…

Ale taksówkarz wypadł już z mieszkania i nie włączywszy światła na schodach, pędem rzucił się na dół. Chwilę potem rozległo się skrzypnięcie drzwi na dole, a zaraz potem odgłos zatrzaskiwanych drzwi samochodu. Silnik jednak nie zamruczał, opony nie zapiszczały przy gwałtownym zrywie. Może się zreflektował? Opanował pierwszy paniczny odruch? A może raczej…

Alfie zzuł kapcie, złapał w jedną rękę marynarkę, w drugą buty i nie kłopocząc się przekręcaniem zamka, cicho zszedł na dół. On również nie włączał światła, a do tego, gdy był już na samym dole, stanął bokiem przy drzwiach i zerknął przez szybkę.

Taksówka stała tam, gdzie wcześniej, kierowca czekał w środku. I tak, to był ten sam kierowca, bez dwóch zdań, w dodatku bębniący palcami w kierownicę, jakby się niecierpliwił. Czyli jednak drgnienie sumienia, a nie zasadzka, co przez moment przemknęło Alfiemu przez głowę. Bał się, że ktoś, może nawet sam oprawca Mikrusa, czeka tu na niego, że złapie go, wciągnie w zaułek i ogłuszy, a potem wywiezie gdzieś i zrobi to samo co Mikrusowi w mieszkaniu.

Obraz martwego współlokatora wrócił muzykowi pod powieki, więc szybko potrząsnął głową, by go odgonić, pchnął drzwi i wybiegł na ulicę. Rozejrzał się nerwowo na boki, dostrzegł jakiegoś mężczyznę, ale ten był za daleko, nie patrzył w tę stronę. Pewnie zwykły przechodzień…

Dopadł taksówki i wskoczył na miejsce obok kierowcy.

– Dziękuję, że zaczekałeś – wysapał do kierowcy. – Naprawdę…

Odpowiedzią było ostrze przyłożone mu nagle do szyi, a potem pytanie z tylnego siedzenia zadane nieco skrzekliwym, pozbawionym emocji głosem:

– Alfie Moore?

Nie było sensu zaprzeczać. Chciał skinąć głową, ale ledwie drgnął, poczuł najpierw pieczenie, a potem łaskotanie, gdy cienka strużka krwi popłynęła mu po szyi na pierś.

– Tak – odparł.

– Jedź!

Taksówka ruszyła.

***

Ozdobiona złotymi lokami głowa uderzyła o ścianę, odbiła się i potoczyła koślawo po podłodze. Znieruchomiała i leżała przez chwilę oparta na nosie, a w szklistości jedynego ocalałego oka odbijało się światło lampy. McShane podniósł ją i cisnął raz jeszcze.

Kiedyś wmówił sobie, że go to uspokaja, że pozwala zebrać myśli i że tak naprawdę z piłką byłoby tak samo, ale nigdy nie miał czasu, by wstąpić do sklepu i jakąś sobie kupić. W rzeczywistości nie chciał się przyznać przed samym sobą, jak nieopisaną frajdę sprawia mu obserwowanie tej małej gumowej główki, gdy najpierw leci – jej złociste włosy falowały wtedy w powietrzu, jakby zjeżdżała ze stromej górki na rowerze bez hamulców – potem, gdy zderza się ze ścianą i spada, a następnie toczy, łypiąc to szklanym okiem, to pustym oczodołem. Wyraz oburzenia na jej małej, namalowanej buzi. Taki kreskówkowy. Taki śmieszny…

„Ouch! Znowu to zrobiłeś, podły draniu – zdawała się mówić. – Jak ja cię kiedyś dorwę!”

Oczywiście dla ludzi, z którymi kiedyś pracował, miał inną historię, a właściwie kilka jej łzawych strzępków. Kiedyś, gdy ktoś go zapytał wprost, powiedział po prostu: „Pomaga mi się skupić”. Kiedy indziej rzucił sentencjonalne: „Pamięć bywa ulotna”. Miało to znaczyć, że niby nie pamięta, ale oczywiście po jego dawnym posterunku na Navalla Afiada rozeszła się wieść, że główka ma mu o czymś przypominać. Dalej poszło już łatwo. Na wyścigi policjanci szukali w przeszłości McShane’a kobiet: matki, sióstr, żon, kochanek, córek, a od pewnego momentu już wnuczek. Kogokolwiek, do kogo mogła należeć lalka. Kogokolwiek, kogo można było upamiętnić wyłącznie tym jednookim potworkiem.

Nie dementował, bo plotki działały na jego korzyść. Gdy poniosły go nerwy, czasem podczas reprymendy wyciągał główkę lalki i ściskał ją niby nerwowo, skupiając na niej uwagę przełożonego i powodując, że w magiczny sposób całe wydarzenie przestawało być tak naganne. Częściej zwykłe rzucanie osobliwej piłki o ściankę boksu gwarantowało, że ktoś przyjdzie i zapyta: „Co jest?”, przynosząc przy okazji świeżą kawę. W takich sytuacjach odpowiadał coś bełkotliwie i pytał o cukier.

Czasem któryś z nowych zapraszał go na piwo, bywało, że któraś wrażliwa kobieta ni z tego, ni z owego proponowała mu trochę czułości albo nawet bez słowa całowała, zamawiała taksówkę i zabierała do siebie.

Evans, z którym wtedy McShane pracował i który znał prawdziwą historię główki, czasem mu tego zainteresowania zazdrościł, na zewnątrz jednak zgrywał świętoszka. Kiedyś nawet spytał oburzony, jak może tak oszukiwać ludzi. McShane odpowiedział wówczas, że nigdy, przenigdy nie powiedział na temat swojej zabawki nawet słowa nieprawdy.

– A nawet gdybym prostował – dodał z bezczelnym półuśmiechem – gdybym powiedział, że wyłowiłem ją kiedyś z rynsztoka obok domu, gdzie popełniono brutalne morderstwo, co, jak wiesz, jest faktem, osuszyłem i zatrzymałem na pamiątkę, myślisz, że coś by to zmieniło? Że by w to uwierzyli? Nie na darmo większość ludzi ma Bajarza za Boga. Zawsze sobie dopowiedzą to, co chcą.

Główka poszybowała przed siebie po raz kolejny, ale tym razem ciśnięta nieco mocniej nabiła się na wystający ze ściany gwóźdź ze ściętą główką i zawisła, kołysząc się lekko. Delikatny podmuch od strony filtrów rozwiewał jej włosy w złotą mgiełkę, pusty oczodół łypał na McShane’a złowrogo, a uśmiech gwarantował zemstę. Któregoś dnia, któregoś…

Agent wstał, przeciągnął się i obiema rękami zaczesał włosy do tyłu. To, co zostało mu na dłoniach, mieszaninę brylantyny i tłustego deszczu, wytarł w leżącą na biurku szarą, spraną chustkę, a potem sięgnął po niedopitą kawę.

Na stole w kącie pokoju leżały dwie teczki z zamówionymi przez niego zdjęciami. Fotografie powinny się znaleźć na wielkiej tablicy korkowej, zajmującej niemal całą ścianę przydzielonego mu biura, rozmieszczone tak, by pomóc w procesie porządkowania myśli. Na razie na tablicy nie było zupełnie nic prócz małego skupiska pinezek o kolorowych łebkach w lewym dolnym rogu.

McShane westchnął. Powód, dla którego niczego jeszcze nie wywiesił, zdawał się prozaiczny. Czekał na ślusarza, który wstawiłby mu w nowym biurze nowy zamek. Kiedyś pomieszczenie to należało do szefa wydziału do spraw porządkowych miasta i wszyscy żartowali, że nie ma tu nic dość cennego czy tajnego, by w ogóle te drzwi zamykać. Bo niby co, mandaty za śmiecenie czy obnażanie się w miejscu publicznym?

Sens zamykania gabinetu pojawił się wraz z nadejściem nowej władzy, gdy burmistrz kazał zlikwidować wydział i jego obowiązki scedować na – tak jak to było wcześniej – funkcjonariuszy na co dzień patrolujących

ulice. Oszczędność była z tego ogromna, a puste, choć nadal w pełni umeblowane pomieszczenie zaczęto wykorzystywać jako pokój przesłuchań dla dziwek recydywistek. Dostęp do klucza miał więc każdy zainteresowany, a kilku go nawet dorobiło.

To, co miało się natomiast znaleźć na tablicy McShane'a, nie powinno być dostępne dla byle kogo. Pośród zdjęć znanych gangsterów i ich oficerów, żołnierzy, cyngli, pojawiały się twarze szanowanych biznesmenów, polityków, przedstawicieli związków zawodowych, gwiazd filmowych, a nawet, no właśnie, wysoko postawionych policjantów.

Ot, chociażby zamordowany właśnie inspektor Wolf. To właśnie o nim McShane myślał, rzucając piłką. Szuja jakich mało, ale tak śliska, a do tego umiarkowana w ambicjach, że wydawało się, że niezatapialna. W czasach, gdy jeszcze w coś wierzył, miał skurwiel parę prawdziwych, policyjnych sukcesów, McShane musiał mu to przyznać. Wśród nich rzecz jasna ten największy, gdy przyczynił się do uratowania porwanych dzieci Lindtbergów. Wyskoczył tam wtedy jak diabeł z pudełka, z kilkoma teoriami, z których jedna okazała się strzałem w dziesiątkę, a potem, podczas akcji odbicia maluchów, dał się nawet postrzelić w obronie dzieciaków. Ta akcja kupiła mu wdzięczność nie tylko Słodkiego Joego Lindtberga, ale i wszystkich bogaczy, a w pracy wywindowała na stanowisko, z którego nawet głupca trudno usunąć. A Wolf zdecydowanie głupi nie był. Tylko chciwy, bezczelnie cwany i wraz z upływem czasu coraz bardziej skorumpowany.

Tak, Wolf też miał się znaleźć na tablicy jako element układanki, teraz jednak na jego zdjęciu pojawi się czerwony krzyżyk. Czy to coś zmieni? Czy zachwieje porządkiem, który agent przyjechał tu wyśledzić?

W stolicy szefom NS bardzo się spodobał jego wykład o przestępczości zorganizowanej międzykrainowo. Długo się do niego przygotowywał, przełamał swą ogromną niechęć do przemówień, a nawet poprosił jednego prawnika, by pomógł mu napisać tekst. Potem uczył się go na pamięć, tak by swobodnie wygłosić, gdy przyjdzie pora. Wydał na to krocie, ale opłaciło się.

To bowiem, co powiedział, przedstawione odpowiednimi słowami i podparte argumentacją, legitymizowało działanie całej Noble Service. Potwierdzało po raz kolejny, że nie jest to tylko kosztowna fanaberia królewskiego brata.

„Przestępcy nie szanują żadnych praw, dlaczego by więc mieli stawiać sobie nasze ograniczenia administracyjne? – pytał dwa miesiące temu McShane podczas specjalnego zebrania w sali konferencyjnej głównej siedziby NS. A zarówno książę Rumple i senator Stinskin, jak i wszystkie te eleganckie, wysportowane gołowąsy w swoich okularkach i garniturkach, czyli pracownicy biura, kiwali głowami, wszak od dawna myśleli tak samo. – Mamy do czynienia z siłą, która jest niczym mgła – mówił dalej. – Gęstnieje z każdą chwilą, oblega nas, czujemy jej zapach, czujemy wilgoć. Dotyka nas, a jednocześnie jest nieuchwytna i rozciąga się dalej i dalej, a my nie widzimy jej krańców. Możemy ją rozwiać wokół siebie, ale już nie kilka metrów od nas, gdzie stoi inny człowiek, tak jak my zdezorientowany… – Słuchacze nadal kiwali głowami, choć w oczach niektórych dostrzegł już wtedy błysk wyczekiwania na konkluzję. Najwyższa pora, bo właśnie do niej zmierzał: – My, agenci Szlachetnej Posługi, jesteśmy wiatrem, który kiedyś, w przyszłości, może tę mgłę rozwiać. I gdyby była ona zwyczajną mgłą utkaną ze zwyczajnej wilgoci przyziemnej ludzkiej małostkowości, pewnie nie wyrywałbym się teraz, bo niecierpliwość to cecha Handlarza. – Tu zrobił zaplanowaną wcześniej pauzę, by religijna metafora wybrzmiała wszystkim w uszach, po czym podjął: – Tyle że to nie jest zwykła mgła, panowie. To mgła idąca znad olbrzyma, mgła niosąca nową odmianę społecznej fossilii. Jeżeli zawiejemy zbyt późno, ockniemy się w świecie, w którym wszyscy skamienieli od nieprawości!”

Sprawnie przeszedł do wyuczonych na pamięć liczb i danych. Zaprezentował kanały szlaków przerzutowych. Przypomniał, jakie legalne surowce są potrzebne do produkcji substancji zakazanych lub ściśle reglamentowanych. Na mapie przedstawił Krainy, gdzie prawo było najbardziej restrykcyjne, i te, w których było najmniej, po czym wyjaśnił, jak wykorzystują to organizacje przestępcze. Najmocniej skupił się na rynku środków farmaceutycznych, porównując ten zwyczajny, kontrolowany przez Koronę, i czarny, gdzie recepty przyjmowały formę zwitków banknotów, a liuotin, którego obie wersje, na obie odmiany fossilii, robiły zawrotną karierę jako narkotyki, przesypywał się jak legendarne góry złota w baśniach Świętej Księgi.

Wreszcie wskazał na przykładach, jak i dlaczego administracje poszczególnych Krain nie radzą sobie z lokalnymi baronami półświatka.

Wyciągnął informacje o astronomicznych kaucjach, łapówkach i bankietach, gdzie odbywały się spotkania na szczycie obu światów.

„Nikt sam z siebie, żaden gang, żaden przestępca, nie ma takich pieniędzy, by równać się z królem, ale oni wszyscy razem, gdy współpracują, gdy widzą w tym zysk do podziału większy niż dowolny osiągany w pojedynkę, mogą… w zasadzie wszystko. – Następnie wrócił do tego, do czego wcześniej nawiązał metaforą: – Ale nieważne, jak wielkie są macki przestępczego świata, nieważne, ile łbów wyrasta potem z jednej szyi: ta szyja jest jedna. To miejsce, skąd nadchodzi fossilna mgła. Grimm City. – Tego punktu swojej przemowy się bał, zarówno z powodu nieudolnego porównania, jak i niewątpliwego skrótu myślowego, jaki tu zastosował. Ponieważ jednak nikt się nie odezwał, tym odważniej i śmielej brnął dalej: – Idealny rynek zbytu. Bezpieczny, bo przecież ogromne zapotrzebowanie na medyczny liuotin jest tam faktem, reszta to kreatywna księgowość. Za sprawą portów znajdujących się w rękach prywatnych i właściwie pozbawionych nadzoru Korony to także idealny punkt przerzutowy za granicę. Grimm City to również miasto, w którym związki zawodowe na krzywdzie maluczkich ubiły ogromny kapitał, teraz inwestowany tam, gdzie jest największy zysk. A pralnia pieniędzy, jaką od lat jest całe Troll’s Face… Cóż, długo mógłbym wam mówić. Zróżnicowanie społeczne, wewnętrzne skłócenie i brak szacunku do legalnie wybranych władz, a jednocześnie poczucie, że skoro wyrośli na olbrzymie, są olbrzymem pośród miast. I kto wie, może mają rację. Może są, ale z pewnością nie pod względem moralnym. Pod względem moralnym są bowiem karłem! – Mógł to powiedzieć bez obaw, bo wszyscy wiedzieli, że z tego miasta właśnie pochodził. – Myślę… Więcej! Wierzę głęboko, jak głęboko pokładam wiarę w Bajarza i jego opowieści, że, jak powiedziałem, to właśnie tam znajdziemy dmuchawę mgły. Złapiemy trop, który doprowadzi nas do każdego zepsutego korzenia wrastającego w glebę naszego Królestwa. Teraz możemy sobie na to pozwolić, bo my jesteśmy świeży, pełni wigoru, a przestępcze struktury są stare, pełne łat i dawnych przyzwyczajeń. Wyrosłe z prymitywnych gangów, wychowane na ich wojnach, niewykształcone i wierzące w czystą siłę. Ale nie łudźmy się! Wkrótce, nadejdzie w Grimm City nowa siła. Podobno już tam kiełkuje! Uporządkowana, nowoczesna jak my i zepsuta do cna. I wtedy

możemy stanąć przed dużo trudniejszym, jeśli nie niemożliwym zadaniem jej pokonania”.

Nagrodzili go oklaskami, a on zanotował sobie w pamięci, by dorzucić prawnikowi jakąś premię. Sam siebie też zamierzał nagrodzić kolejką albo dwoma, bo tak wielu słów naraz nie powiedział chyba nigdy wcześniej. A już na pewno nie w taki sposób. Był jednak pewien, że ziarno zostało zasiane.

I rzeczywiście. Do tego magiczna fasola wyrosła zeń błyskawicznie, bo ledwie po paru tygodniach, gdy po serii zabójstw z eliminacją potencjalnych świadków prasa z miasta olbrzyma obwieściła pojawienie się „nowego gracza” w przestępczym półświatku Grimm City. „Proroka” McShane’a natychmiast oddelegowano, by zajął się swoim śledztwem od razu, przy współpracy lokalnej policji, podczas gdy NS miało się zająć „dawno zaplanowanym” przygotowywaniem w mieście biura i zbudowaniem tam wreszcie własnych struktur.

W praktyce załatwiono McShane’owi absolutne minimum w postaci służbowego mieszkania i listu do komendanta policji z prośbą o udostępnienie gabinetu. Nawet zamówienie agentowi ślusarza, o którego poprosił, przerastało urzędników Rumpela i Stinskina i musiał to zrobić sam, ustawiając się w kolejce petentów do najlepszego speca w mieście. Nie łudził się rzecz jasna, że nawet najlepszy nowy zamek powstrzyma skorumpowaną górę, ale przynajmniej ograniczy dostęp zwykłym, ciekawskim gapiom, którzy zupełnym przypadkiem mogli coś potem chlapnąć na mieście. No i stworzy pozory, które później mogły się przydać.

Kolejka była długa. Więc czekał. A wraz z nim zdjęcia w teczkach tutaj i kartony akt w wynajętym mieszkaniu. Całe to niepoukładane śledztwo i gotowe pytania-fundamenty, na których zamierzał potem ustawić kolejne, niczym domek z kart. Potem, gdy już odnajdzie wszystkie powiązania…

Nie, uśmiechnął się pod nosem. Był za stary na taką naiwność. To było przecież oczywiste, że ani świata, ani nawet tego tylko miasta nie zmieni, nie oczyści. Nie był nawet pewien, czy ono tego chce. Ale kto wie, gdy pogrzebie odpowiednio głęboko, może znajdzie kilka tych odpowiedzi, które pozwolą mu je zrozumieć?

Podszedł do stolika, rozsznurował jedną z teczek i po chwili szukania wyjął z niej zdjęcie Wolfa. Dobre, jeśli miał być szczery. Korzystne. Inspektor stał w płaszczu z postawionym kołnierzem, na głowie miał

kaszkiet, a w trzymanej przy ustach dłoni do połowy spalonego papierosa. Patrzył gdzieś przed siebie, być może na ciało na miejscu zbrodni, poważny, zamyślony…

McShane położył fotografię na biurku, złapał za czerwony pisak i na twarzy Wolfa narysował nie czerwony X, jak planował, a pytajnik. Następnie umocował pinezką zdjęcie w centralnym punkcie tablicy. Mogło tam wisieć, przynajmniej na razie, bo był to całkiem niezły punkt wyjścia. Dla szukania odpowiedzi nie o to, co jest, ale co będzie. Bo, tak jak mówił w stolicy, szło nowe. I najwyraźniej nie potrzebowało inspektora Wolfa. A przynajmniej nie żywego.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – zapytał McShane gumowej główki, zdejmując ją z gwoździa. I choć główka była zbyt obrażona, by zapytać, co takiego, agent odpowiedział mimo to: – Nie zgadniesz, kogo przypisali do sprawy tego palanta.

***

Jechali w ciszy, jeśli nie liczyć warkotu silnika, miarowej pracy wycieraczek z mozołem rozcierających smolistą wilgoć na przedniej szybie i sporadycznych komend rzucanych kierowcy przez pasażera z tylnego siedzenia.

– Skręć w lewo – odezwał się znowu i taksówkarz posłusznie skręcił. Wyspiarz wzrok miał wbity w środek drogi, kark sztywny, oczy zmrużone. – Nie chciał nic widzieć i nic słyszeć ponad to, co mu kazano.

Alfie wątpił, czy w ten sposób kupi życie. Nie, jeśli to ci sami ludzie, którzy zabili tych wszystkich taryfiarzy wcześniej. Tyle że tamci ginęli jako mimowolni świadkowie, a tutaj…

Myśl, że chodzi o niego, że to on jest tu głównym celem – a tak przecież było, facet z tylnego siedzenia znał go z nazwiska i czekał właśnie na niego – sprawiła, że wzdrygnął się mimowolnie i gwałtownie. Gdyby wciąż miał nóż przy szyi tak blisko jak na początku, pewnie właśnie poderżnąłby sobie gardło. Ale, pewnie biorąc pod uwagę właśnie podobne wypadki czy też po prostu istnienie dziur na drodze, facet lekko odsunął ostrze na bok. Wciąż jednak tam było, połyskiwało w blasku latarni, czaiło się gdzieś na granicy zasięgu wzroku, drażniąc niczym dziura po zębie, zachęcając, by sprawdzać jego obecność raz za razem…

I Alfie sprawdzał, robiąc jednocześnie gorączkowy rachunek sumienia. Szukał jakiegokolwiek powodu, dla którego ktoś niebezpieczny mógł się nim zainteresować. Czegoś, z czym on mógł mieć cokolwiek wspólnego i za co Mikrus zginął tak paskudną śmiercią.

– Druga w prawo – powiedział facet z tyłu.

Alfie znowu zerknął na nóż, a potem na boczne lusterko. Ktoś za nimi jechał. Czarny samochód, a w środku dwóch mężczyzn skrytych w cieniu. Może więcej? Nie dało się powiedzieć z tego miejsca. Dokąd go wieźli? I, na miłą Baśń, po co?!

– Prosto do końca ulicy i w lewo.

Musieli się zatrzymać, by przepuścić śmieciarkę, która wyłoniła się z zaułka. Jej kierowca wziął w pierwszej chwili za mały łuk, więc właśnie wycofywał nieudolnie, przez chwilę blokując oba pasy. Nim jednak ręka upatrującego w tym swojej szansy Alfiego spoczęła na klamce, ostrze ponownie dotknęło jego szyi i muzyk porzucił głupi pomysł.

– Celuję ci w głowę – zwrócił się pasażer do kierowcy, a Alfie zauważył, że ten nawet tego nie sprawdził w lusterku. Patrzył tylko przed siebie, przerażony, skupiony. Czy zostało w nim jeszcze cokolwiek z tego cwanego, rezolutnego wyspiarza, który straszył muzyka pałką i krzywił się na wzmiankę o dwóch chłopach mieszkających razem?

Po przeciwnej stronie ulicy, na sfatygowanych, wyślizganych schodkach siedziała grupka nastolatków. Coś pili, prowadzili ożywioną rozmowę, śmiali się, jakby to był biały dzień, a nie środek nocy w najniebezpieczniejszym kwadracie dzielnicy. Alfie uznał, że chłopcy musieli należeć do Owieczek Złego, młodzieżowej bojówki Pasterzy, lokalnego gangu starowiernych, którzy niepodzielnie rządzili dzielnicą od kilkunastu lat. Szczeniaki nie miały się więc czego czy kogo bać, bo to ich się bano.

Muzykowi przemknęło przez głowę, że przecież zna kilku Pasterzy osobiście, u jednego, Mike’a „Bulwy” Stillmana, grał nawet na weselu. Nie wziął za to pieniędzy, a zarówno pan młody, jak i wielu jego przyjaciół obiecywali za ten gest dozgonną przyjaźń i wsparcie w razie potrzeby. I zawsze pozdrawiali go na ulicy. Tylko czy miało to teraz znaczenie?

Żadnego, pomyślał, powstrzymując się przed odruchowym potrząśnięciem głową. Nawet gdyby mógł krzyknąć, zwrócić ich uwagę,

nie miał dość czasu, by wyjaśnić, kim jest, a oni nie mieliby czasu do namysłu. Poza tym, na litość, byli tylko bandą szczeniaków. Mogli na zamówienie wybić kilka szyb, pociąć sznurki na pranie lub spuścić komuś słabszemu łomot w zaułku. Ale dać radę co najmniej trzem uzbrojonym drabom?!

Dlatego też Alfie nie zareagował, gdy jeden z chłopców omiótł taksówkę leniwym wzrokiem znad podanej mu właśnie butelki, a gdy ich spojrzenia na moment się spotkały, uśmiechnął się tylko, na co tamten splunął pogardliwie i odwrócił głowę.

Śmieciarka wjechała w zaułek i dała znak światłami, że poczeka. Taksówka i samochód za nią ruszyły, nóż znowu odsunął się od gardła muzyka na krawędź zasięgu wzroku.

– Pierwsza w lewo i… zaraz potem w prawo.

Facet z tyłu zawahał się, Alfie usłyszał to wyraźnie. Zupełnie jakby sprawdzał mapę lub czytał zanotowane gdzieś wcześniej wskazówki. A to znaczyło, że nie jest stąd, że nie zna tych okolic tak jak Alfie. Dawałoby to pewnie jakąś nadzieję, gdyby udało mu się opuścić samochód, ale…

I wtedy coś do niego dotarło. Ulicą, w którą skręcali, była Jorinda Street, a następną wskazaną – Joringiel, jedna z niebezpieczniejszych ulic w dzielnicy, bo wynikiem administracyjnego sporu wyremontowana jedynie do połowy. Część wylano już asfaltem, ale od numeru jedenastego wciąż ciągnął się stary, wyślizgany bruk. Zwłaszcza po deszczu, wypełniającym nieregularne wgłębienia i szczeliny tłustą mazią, wczesną wiosną było tam jak na lodowisku.

Alfie wyprostował się i przygryzł od środka policzek, by facet z tyłu nie wyczytał z jego twarzy rosnącej ekscytacji. Odczekał moment, gdy weszli w pierwszy zakręt, ten w Joringiela, a potem w drugi. Minęli numer jeden, dwa…

Muzyk delikatnie uniósł lewą rękę…

…numer trzy, cztery…

…i oparł ją, mocno dociskając, na kolanie kierowcy. To samo w sobie nie wystarczyłoby, by przyspieszyć, zwłaszcza gdyby wyspiarz rzeczywiście wpadł w stupor i odciął się od świata, ale najwyraźniej była to poza, bo w mig pojął, o co Alfiemu chodzi, i docisnął pedał gazu. Taksówka wyraźnie przyspieszyła.

…sześć, siedem…

– Zwolnij – polecił facet z tyłu.

Ale taksówkarz jakby na przekór jeszcze trochę przyspieszył. Samochód za nimi został lekko w tyle, zamigał światłami.

…dziewięć, dziesięć…

– Powiedziałem zwoln… – krzyknął facet z tyłu. Nóż znowu drgnął, być może uniosła się też broń w drugiej ręce.

Ale było za późno. Rozległ się terkot jak z karabinu, gdy rozpędzona taksówka wpadła na śliski bruk. Rozbryznęły się oleiste kałuże, a chwilę potem, gdy kierowca skręcił gwałtownie w lewo, samochód zatańczył na szerokiej drodze, odwrócił się i przez chwilę jechał bokiem. Wtedy padł strzał. Był tak głośny i rozległ się tak blisko, że niemal rozerwał muzykowi ucho. W zasadzie wbity w siedzenie Alfie był pewien, że to postrzał, że właśnie oberwał w głowę.

Pomyślał, zaskakująco chłodno i beznamiętnie jak na okoliczności, że to dziwne. Przecież spluwa nie była przeznaczona dla niego, na niego czekać miało ostrze.

Taksówka tymczasem wykonała niemal pełen obrót, jednocześnie prześlizgując się przez drugi pas i chodnik, i z impetem uderzyła tyłem o schodki wiodące do kamienicy. Niemal dokładnie takie jak te, na którym siedzieli młodociani z Owieczek. Stanęła, a Alfie i kierowca spojrzeli na siebie i równocześnie sięgnęli do klamek w drzwiach. Żaden się nie obejrzał, by sprawdzić, co z facetem na tylnym siedzeniu, bo nie było na to czasu. Żył, nie żył, składał się do strzału, nie miało znaczenia. Wyskoczyli z taksówki, ale Alfie potknął się o schodek, runął na ziemię i… to uratowało mu życie, bo niemal w tym samym momencie seria z otwartego okna samochodu, który do tej pory jechał za nimi, w zasadzie rozcięła taksówkarza na pół i rozorała cały bok taksówki. Widocznie również dla mężczyzn z czarnego wozu nie miało znaczenia, czy ich kompan przeżył, czy nie. Zasada „żadnych świadków” była zdecydowanie ważniejsza.

Alfie leżał niezdolny choćby drgnąć, aż karabin ucichł na moment. Dopiero wtedy odważył się poruszyć lekko głową. Dostrzegł, że parę metrów na prawo od niego, za przydomowym paskiem ogródka, jest okno do piwnicy, uchylone. Gdyby podczołgał się dość szybko…

Wciąż brzęczało mu w lewym uchu, a całe ciało drżało w rytm niedawnego terkotu, ale i tak w jakiś sposób usłyszał, jak ci z czarnego wozu wysiadają i ruszają w jego kierunku, by się upewnić, czy dobrze

wykonali robotę. A może tylko tak mu się zdawało? Może to słuchowy omam? Nie miało teraz znaczenia, dlatego rzucił się na mokrą, brudną, lepką ziemię, ryjąc przez nią niczym robak. Doczołgał się do okienka i wśliznął do środka.

Miał szczęście, bo pod oknem piętrzyła się hałda węgla i zamiast polecieć na głowę, zsunął się po czarnym zboczu aż na samą podłogę. Towarzyszył temu głośny łoskot, ale przecież nie miało to znaczenia. Gdy tamci dojdą do taksówki, będą wiedzieli, co się z nim stało. Miał mało czasu.

Poderwał się na równe nogi, rozłożył ręce, by złapać równowagę, i po omacku ruszył w stronę, gdzie, jak zakładał, znajdowały się drzwi. Były rzecz jasna zamknięte, ale zamek był tak lichy, że wystarczyły dwa uderzenia barkiem, by się z nimi uporać. Wypadł na schody i wspiął się na parter.

Znalazł się przy drzwiach wejściowych, których również nie oszczędziła karabinowa seria. Szkło walało się wszędzie, a jeden z ostrych kawałków uzmysłowił Alfiemu coś, o czym najwyraźniej zapomniał – że nie ma butów. Syknął z bólu, gdy w śródstopie wszedł mu szklany sopel. Zagryzł pięść, by nie wrzasnąć.

Mężczyźni z czarnego samochodu rzeczywiście zbliżyli się do taksówki. Obaj mieli na sobie krótkie czarne kurtki, kaszkiety i twarze przesłonięte chustami. Żaden nie miał przy sobie automatu – pewnie został w samochodzie – ale obaj byli uzbrojeni.

Jeden z nich, ten wyższy, przyglądał się ciału wyspiarza, drugi w tym czasie nie bez wysiłku wyciągał z tylnego siedzenia ich pojękującego towarzysza. Facet żył jeszcze, ale pewnie była to kwestia czasu. Z tego, co Alfie zdołał dostrzec, brakowało mu kawałka twarzy i chyba paru palców, za to dziur w ciele miał aż nadto. Mamrotał coś, gdy niższy z mężczyzn ciągnął go do pojazdu, i znaczył bruk ślimaczym śladem krwi oraz zapewne treścią rozoranych jelit.

Wyższy obszedł taksówkę. Przyjrzał się śladom na ziemi, zniszczonym grządkom, otwartemu okienku. Potem znowu obszedł samochód szerokim łukiem i uniósłszy broń, cicho wbiegł po schodach.

Widząc to, Alfie schylił się, łapiąc za przypominający nóż kawałek szkła, a potem zerknął na zawiasy w drzwiach. Do zewnątrz, stwierdził i wycofał się w ciemność. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jeszcze

nigdy w życiu nikogo nie zabił, że nie wie, czy da radę wykonać pierwszy ruch, unieść ręce, zamierzyć się…

A potem drzwi się otworzyły i do środka wśliznął się zabójca. I Alfie dał radę. Wzniesione ostrze gładko weszło w szyję, rozcinając tętnicę. Wyszło z mlaśnięciem, by zaraz zagłębić się w niej jeszcze raz, i kolejny, aż muzyk nie trafił i szkło pękło w zetknięciu z czaszką osuwającego się mężczyzny.

Alfie, dysząc ciężko, wypuścił ściskany odłamek i wytarł ręce o spodnie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zaciął się głęboko w lewą dłoń.

Skoro boli, znaczy, że żyjesz, pomyślał i zachichotał obłąkańczo, patrząc na trupa. Potem znowu zerknął przez rozbitą szybę, co robi drugi z mężczyzn. Gość wyraźnie się niecierpliwił i lada chwila był skłonny tu przyjść. Chyba że…

Alfie znowu łypnął na zwłoki. Byli podobnego wzrostu, podobnej postury, a w takim świetle krwi nie powinno być widać na czarnym ubraniu. W dodatku w domach takich jak ten rzadko znajdowało się tylne wyjście, w zasadzie nie miał więc innej drogi ucieczki. Kucnął i tak szybko, jak pozwalały mu nerwy i zraniona ręka, zdjął z trupa buty, płaszcz, a potem jeszcze kaszkiet i chustę. Wzdrygnął się nakładając tę ostatnią – była mokra od krwi i śmierdziała wyziewami tamtego – ale w końcu się wyprostował, wziął broń do ręki i zrobił krok. Ból zranionej stopy rozbłysnął mu bielą w głowie, ale też uświadomił, o czym zapomniał. Zatkawszy lewe ucho palcem, a prawe ramieniem, strzelił dwa razy w dół, w stronę piwnicy. Dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz i niespiesznie, kuśtykając, ruszył po schodkach.

Drugi z mężczyzn ponaglił go gestem, więc Alfie zmusił się do truchtu. Zatrzymał się dopiero przy samochodzie, na chwilę gnąc się wpół, by złapać oddech, a potem wsiadł od strony pasażera.

– Dorwałeś go? – zapytał z mocnym czarnoziemskim akcentem.

Skinął głową, w myślach licząc do trzech. Chwilę temu sądził, że to będzie trudniejsze. Teraz wystarczyło mu wyobrazić sobie to, co ci goście zrobili z Mikrusem, i stwierdzić, że zapewne to samo chcieli zrobić z nim. I zrobią, jeśli choć jeden ujdzie z życiem.

Gdy powoli ruszyli, zatkał palcem lewe ucho, udając, że je czyści, a ramieniem osłonił prawe. A potem szybko przyłożył lufę do głowy

kierowcy i strzelił.

Samochodem szarpnęło, potoczył się jeszcze parę metrów i zatrzymał na krawężniku. Alfie wyskoczył z wozu i wcisnąwszy broń w kieszeń, pokuśtykał w ciemność.

***

Błąkał się bez celu, zataczając od jednej krawędzi chodnika do drugiej. Szedł bocznymi, często ślepymi uliczkami dolnego Reuben, o tej porze niebezpiecznymi, ale któż miałby mu niby zaszkodzić? I po co? W prawej dłoni, wciśniętej w kieszeń, wciąż ściskał rewolwer, w którym, jak zakładał, miał jeszcze trzy kule. Poza tym śmierć najwyraźniej go dziś nie chciała.

W uszach ciągle piszczało mu nieprzyjemnie i bał się, czy nie stracił częściowo słuchu. Bo cóż jeszcze miał prócz niego? Spojrzał na ranną rękę, a potem syknął z bólu, stając na dziurawej, krwawiącej stopie.

– Boli, znaczy żyjesz – wycedził przez zaciśnięte zęby, ale tym razem ani go to nie rozbawiło, ani nie przekonało. Mimo to człapał dalej, dumając, co właściwie powinien teraz zrobić.

Zgłosić się na policję, to jasne. Ale z drugiej strony właściwie co by powiedział? Początek historii, o znalezionym ciele i porwaniu jego i taksówkarza, brzmiał jeszcze w porządku, ale kto uwierzy, że potem on sam, bez doświadczenia większego niż okazjonalne wizyty na strzelnicy dawno temu, rozprawił się z trzema zawodowymi zabójcami? On sam jeszcze nie dawał temu wiary, za jedyne wytłumaczenie mając iście religijne doświadczenie – jak to mówili wierzący? – ingerencji narracyjnego absolutu. Albo też zwyczajne, pierdolone szczęście.

Poza tym teraz, gdy opadły nerwy, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Zupełnie jakby ktoś wtłoczył mu do żył i głowy gęste kłęby senności. Powieki robiły mu się ociężałe, nogi wiotczały z każdym kolejnym krokiem. Niczym pijany wytoczył się zza rogu prosto w żółtawy krąg światła ulicznej latarni…

– Oj, złociutki. Co z tobą? – zawołała stojąca nieopodal dziewczyna.

Była krągła, choć jeszcze nie na tyle, by nazwać ją grubą. Nieudolny makijaż podkreślał wszelkie pozostałości po trudnym dojrzewaniu i nawet w tym świetle widać było ciemne odrosty na niemal białych włosach.

Miała na sobie lśniącą bluzkę z wielkim dekoltem i spódniczkę tak krótką, że widać jej było klamerki do mocowania pończoch. Na ramiona narzuciła czerwony ceratowy płaszczyk z kapturem. I właśnie ten kawałek ceraty i wspomnienie dziewczyny widzianej kilkanaście godzin temu, a może po prostu zmęczenie i desperacja, sprawiły, że stłumił pierwszy odruch ukrycia się i zamiast tego sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Cała noc i śniadanie – wybełkotał.

Dziewczyna zaśmiała się. Miała całkiem ładny uśmiech.

– Och, pielgrzymie, za takie cuda to…

Umilkła, gdy zobaczyła banknot pięćdziesięciodijmarowy. Przełknęła ślinę niczym dziecko przed wystawą cukierni.

– Nie jesteś świrem, prawda? Ani policjantem?

– Nie i nie – odparł. Choć w tej chwili tylko tego ostatniego był pewien.

Dziwka wsunęła do ust kosmyk włosów i żuła go w zamyśleniu.

– Jeżeli jesteś, albo to fałszywka, to mój alfons Billy rozwiesi twoje flaki na wszystkich okolicznych drzewach – powiedziała w końcu.

Alfie skinął głową.

– Mam w domu tylko jajecznicę i boczek – dodała.

– Wystarczy – zgodził się.

Znowu umilkła i przyglądała mu się bacznie. Muzyk zdał sobie sprawę, że nie spojrzała ani w bok, ani w górę, jak dziewczyna, która rzeczywiście jest pod opieką alfonsa. Była tu sama, przed nią stał facet cały we krwi, za to z naprawdę kuszącymi pieniędzmi w dłoni. Na jej miejscu…

– Zatem zgoda – stwierdziła i westchnęła głośno, jakby chciała dodać: „Niech będzie moja strata”. Wspięła się po schodkach wiodących do budynku, ale przystanęła na przedostatnim i spojrzała przez ramię: – W tyłek nie biorę.

Na samą myśl o seksie Alfie miał ochotę się roześmiać. Powstrzymał się jednak i pokiwał głową.

– Nie w tyłek, zapamiętam.

Weszli na górę. Dziewczyna mieszkała na poddaszu, które kiedyś zapewne było strychem, ale zaadaptowano je na mieszkanie socjalne za administracji burmistrza Thompsona. Nikt nie pamiętał prawdziwej nazwy owego wspaniałomyślnego projektu, który miał pomóc uboższym, uczciwym obywatelom znaleźć zakwaterowanie na terenie miasta po tej

stronie mostu, bo wszyscy zgodnie nazywali go Ustawą Zapchajdziurą. W jej myśl każde poddasze czy pomieszczenie gospodarcze niebędące piwnicą, a spełniające podstawowe kryteria, miało zostać zajęte na poczet stworzenia mieszkania socjalnego dla najuboższych. W zamian za to właściciele kamienic czy zarządzające nimi spółki miały otrzymywać podatkowe ulgi i zniżki na węgiel lub ropę. Dostosowanie pomieszczeń miasto brało częściowo na siebie, udzielając ubogim kredytów.

Wbrew temu, co mówili sceptycy, projekt radził sobie lepiej lub gorzej po dziś dzień. Długo jednak nikt nie odważył się mówić, że największymi jego beneficjentami, a więc i propagatorami, byli bossowie półświatka, jak choćby Francisco Thornini, którzy zbili ogromne pieniądze na uważnym selekcjonowaniu ubogich, tak by żaden uciążliwy nie trafił do domu, którego lokatorzy regularnie opłacali swój spokój ducha. Działało to rzecz jasna w drugą stronę – gdy któryś właściciel kamienicy był wyjątkowo uparty lub gdy organizacja dostrzegła w budynku potencjał, którego nie dało się wykorzystać, póki byli w nim normalni lokatorzy…

Alfie co prawda wątpił, by mieszkańcy tego budynku cieszyli się, że mają za sąsiadkę prostytutkę, ale najwyraźniej nie przeszkadzało im to na tyle, by to zgłosić. Być może w myśl zasady: szanuj lokatora swego, bo możesz mieć gorszego.

Zwłaszcza że dziewczyna dbała o swój mały pokoik z niewielkim aneksem kuchennym i łazienką oddzieloną od reszty cienką ścianką i ceratową zasłonką.

Większość pomieszczenia zajmowało łóżko, obok którego stała zamknięta szafa i stosik wymiętolonych, podniszczonych romansów. Po drugiej stronie znajdowała się lampa z różowawym abażurem i coś jakby zestaw wędkarski skryty za firanką.

W kącie obok aneksu kuchennego Alfie dostrzegł niewielki stół i dwa krzesła.

– Jeśli potrzebujesz się odświeżyć… – Dziewczyna wskazała na zasłonkę.

Mało nie parsknął. Odświeżyć, dobre sobie.

– Potrzebuję opatrzyć dwie rany – powiedział. – Masz jakieś bandaże?

Przechyliła głowę jak sroka.

– A cóż takiego ci się stało? – zapytała.

Westchnął i usiadł na łóżku.

– W tych pieniądzach powinna być też klauzula o niezadawaniu pytań – odparł.

– Obustronna? Bo jeśli tak, to nie muszę ci mówić, czy mam…

– Rozciąłem rękę o szkło – poddał się. – Uciekałem przed bandziorami, którzy chcieli mnie okraść. Żeby dostać się do jednego budynku, rozbiłem szybę w drzwiach i…

Zasłoniła usta w geście nieomal teatralnego przerażenia. Z jej oczu wyczytał jednak, że wcale się nie zgrywa.

– Włamałeś się? – zapytała.

– Tak – przyznał. – Ale zapłaciłem za szkody, gdy tamci już dali mi spokój. Mam pieniądze, jak widzisz.

Przez chwilę przyglądała mu się, mrużąc oczy i zastanawiając się, czy kłamie.

– A noga?

– Nadepnąłem na szkło.

– No i? Masz solidne buty.

– Wtedy nie miałem – odparł i dostrzegł, że ledwie opuszczone ręce znowu wędrują do twarzy. Święta Narracjo, co z tą dziewczyną jest nie tak?! – Rozwiązał się i spadł mi po drodze. Ale wróciłem po niego potem.

– Wróciłeś po but?

– Lubię je. Masz te bandaże?!

Pokiwała głową i podeszła do szafek w aneksie. Gdy wspięła się na palce, spódniczka podjechała jej jeszcze trochę, ukazując rąbek koronkowych majtek, różowych jak abażur za plecami Alfiego. Dziewczyna wyciągnęła skórzaną apteczkę, z rodzaju tych zwijanych w rulon. Rozłożyła i wyciągnęła bandaże, gazę, nożyczki, spirytus i plastry. Podniosła wzrok, znowu mrużąc oczy. Wyglądała wtedy tak zabawnie i niewinnie jednocześnie. Jak dziecko, niepewne, czy dorosły nie robi go w konia.

– Idź się umyj – powiedziała. – Na brudne rany to nie ma sensu.

– Jasne. – Wstał, ale zachwiał się i gdyby go nie podtrzymała, pewnie runąłby na ziemię.

– Dobra, usiądź i poczekaj chwilę – odezwała się po chwili, po czym szybkim ruchem zdjęła z siebie najpierw bluzkę, a potem spódnicę i pas wraz z pończochami.

Została w samej różowej bieliźnie i Alfie musiał przyznać, że choć jak dla niego była zbyt puszysta, bez tej dziwkarskiej oprawy miała w sobie pewien wdzięk i powab. Zdał sobie sprawę, że coraz przyjemniejszą jest mu myśl, iż będzie się mógł wtulić dziś w te pełne piersi, zacisnąć ręce na pośladkach i ogrzać ciepłem tej dziewczyny. Pod warunkiem oczywiście, że zmyje wcześniej ten okropny makijaż.

Jakimś cudem musiała usłyszeć tę myśl, bo dotknęła policzka i uśmiechnęła się jeszcze ładniej niż wcześniej.

– Pójdę z tobą i pomogę ci, ale najpierw muszę to z siebie zmyć. Chyba że lubisz cyrkowe klauny.

– Nie, nie lubię – odparł.

– No właśnie.

Zniknęła za ceratową zasłonką, a on położył się na chwilę, myśląc o tym, co będzie jutro – co go czeka i jak zmieni się jego życie, które jeszcze wczoraj wieczorem sprawiało wrażenie, jakby wreszcie złapało właściwy rytm.

Spokojne życie mają tylko ci, których Bajarz lęka się wystawić na próbę przygody – mawiał jego religijny dziadek. I Alfie modlił się kiedyś, by okazać się godnym rzucenia mu wyzwania. Dziś najchętniej sprałby tego dawnego siebie na kwaśne jabłko.

Uśmiechnął się gorzko do tej myśli i z tym uśmiechem, w jednej chwili, zasnął.

Rozdział 5

Eugene Dragosavalij jadł w milczeniu śniadanie. Daniem głównym były gotowane kiełbaski z cielęciny, wciąż jeszcze parujące pod jego nosem, ale tego dnia bardziej niż na nie biznesmen miał ochotę na rozłożone na rozlicznych talerzykach dodatki. Raz po raz sięgał więc to po rzodkiewkę, to po plasterek rumianej szynki czy chrupki, wąski pasek papryki. Wszystko to zapijał słodką kawą z tłustym mlekiem.

Zwłaszcza w przypadku tej ostatniej czynności trudno było mu utrzymać wzrok tak nisko, jak chciał, i w tych właśnie momentach, gdy unosił kubek, jednocześnie odchylając głowę, przez krótką chwilę widział siedzącą naprzeciw żonę, paskudny grymas wykrzywiający jej śliczną twarz, ręce skrzyżowane na tych jakże cudownych piersiątkach, które tyle razy smakował i ciamkał jak najlepsze cukierki. Teraz ułożenie rąk wyraźnie przywodziło na myśl znaki umieszczone na końcu torowisk: „Przejścia nie ma!”. I jak Eugene znał małżonkę, jeszcze długo, długo nie będzie.

Ech, pomyślał z rezygnacją, mocząc paprykę w śmietanowym dipie: mieć babę jak każdy inny chłop, co to trzepniesz raz, niech się opamięta, a potem za kudły zaciągniesz do wyra, by wygrzmocić z niej te całe fochy. To nie, jemu się zachciało sterczących dumnie cycków arystokracji i pośladków krągłych jak uniwersyteckie słówka i twardych jak charaktery przodków. No to teraz miał, kurwa jego mać!

– Kiełbaski jedz! – warknęła.

Posłusznie sięgnął po widelec. Poczuł, że coś budzi się tam na dole, w luźnych piżamowych spodniach. Kogo on właściwie oszukiwał z tym całym trzepnięciem i ciągnięciem za włosy?

W końcu Margaret otarła serwetką kąciki ust i wstała od stołu. Dragosavalij odprowadził ją wzrokiem i gdy tylko zniknęła za progiem, sięgnął po leżącą na środku stołu gazetę. Przyniosła ją tutaj osobiście z holu, cisnęła pod nos i zamiast: „Dzień dobry” wycedziła: „Zobacz, przeczytaj!”.

Nie musiał czytać, wystarczyło mu zdjęcie i nagłówek, którego nie osłabił wstawiony na końcu zdania pytajnik. „Spokestad” i ta cholerna blada lafirynda, której nazwiska nie mógł sobie teraz przypomnieć, zrobiły z niego nie kogoś przesłuchanego w sprawie, nawet nie jednego z podejrzanych, ale głównego podejrzanego! W dodatku na zdjęciu, które wrzucili, Dragosavalij uśmiechał się tak, że, cholera, sam by siebie podejrzewał.

W obliczu tego tekstu i takiego przedstawienia tematu całe to nocne uspokajanie Margaret, do którego zabrał się, gdy tylko wrócił z komendy i zobaczył, że nie śpi, całe to tłumaczenie jej tego, co wcześniej wyjaśnił mu Albero – że to najlepszy sposób, by w zarodku uciąć wszelkie spekulacje i plotki i oczyścić się ze wszelkich podejrzeń – wzięło w łeb.

A najgorsze było to, że w zasadzie nie mógł się żonie dziwić. Przyjęcie, które miało się odbyć za parę godzin, było dla niej naprawdę ważne, ze względów tak osobistych, jak i służbowych, bo przecież służyło zebraniu datków na fundusz jednego z Kościołów epizodystycznych, gromadzący środki na lepszy start dla dzieci zza mostu. Ile osób wycofa się teraz w ostatniej chwili, wymawiając się byle powodem, by nie mieć nic wspólnego z kryminalistą zamieszanym w śmierć policjanta? Ile między piątą rano a południem, gdy w kolejnym wydaniu pojawi się, albo i nie, obiecane oczyszczenie z wszelkich zarzutów?

Wolną ręką urwał kawałek bagietki i umazał w kremowym twarogu ze śmietaną. Cholera, im dłużej o tym wszystkim myślał, tym bardziej był wściekły. Na Albero, że to wszystko tak nieskładnie wymyślił, na Wolfa, bo nie miał, skurwiel, gdzie zdechnąć. I wreszcie na siebie, gdy zdał sobie sprawę, że kolejny raz złamał daną sobie obietnicę. „Kiedyś będę tak bogaty, by mieć w dupie, co mówią o mnie ludzie”, zapewniał sam siebie raz za razem, gdy doznawał kolejnych upokorzeń na ścieżce kariery. Dziś najwyraźniej dotrzymał tylko połowy tego przyrzeczenia.

Na pierwszej stronie, pod nagłówkiem *Biznesmen Eugene Dragosavalij głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa inspektora Wolfa?*, znajdowały się dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało zabezpieczony przez policję budynek w Pępku, gdzie znajdowało się feralne mieszkanie. Na drugim Dragosavalij uśmiechał się jak król zbrodni. W samym artykule było parę nic niemówiących ogólników o okolicznościach śmierci i całkiem sporo opinii zarozumiałej cipci urażonej jego rzekomą impertynencją. W świetle

ostatnich zmian społecznych i rosnącego poparcia zmian związanych z ruchem walczącym o prawa kobiet te zarzuty były nawet gorsze niż całe to bzdurne oskarżenie. Robiły z niego szowinistę i mizogina, a więc salonowego wroga numer jeden. Naprawdę, nie było nic dziwnego w tym, że Margaret się na niego wściekła.

W holu rozdzwonił się telefon i Dragosavalij odruchowo wcisnął głowę między ramiona. Był pewien, że to pierwszy z zaproszonych na dziś gości dzwoni, by z prawdziwym żalem… ale niestety nieprzewidziana wcześniej okoliczność… i potem cały ten bełkot, jakiego z Margaret nieraz sami używali, by wykpić się z wydarzenia, które nagle straciło na prestiżu.

Okazało się jednak – o czym poinformował go Mort, który odebrał telefon i teraz przyniósł go tutaj na srebrnej tacy, ciągnąc za sobą kabel przez cały korytarz – że to mecenas Sanders chciał się dowiedzieć, czy wszystko u Dragosavalija w porządku i czy powinien przygotować stosowne pismo do redakcji „Spokestad” z żądaniem przeprosin za ton i wymowę artykułu.

Grubas wziął słuchawkę do ręki, ale miał w ustach bagietkę, więc dał sobie chwilę, by przełknąć i zapić kawą, po czym powiedział:

– Jak najbardziej mecenasie. I niech będzie gotowe na pięć po dwunastej. A najdalej kwadrans po powinno leżeć u ich naczelnego.

Zerknął na Morta i uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. Miał szczerą nadzieję, że grymas ten był identyczny jak na zdjęciu.

– A, i proszę zaznaczyć, że domagam się osobistych przeprosin od autorki artykułu. Za jej impertynencję.

Odłożył słuchawkę na widełki, nie czekając na odpowiedź mecenasa, i wziął się wreszcie do kiełbasek. Zdążyły już wystygnąć i smakowały paskudnie.

***

To sen, Alfie był tego niemal pewien. Ludzi i przedmioty wokół niego otaczała jakaś dziwna żółtawa aura, nie wiadomo, skąd dochodziły go pojedyncze, irytujące dźwięki fortepianu; wysokie tony i półtony, każdy niczym sztylet gładko wchodzący w ucho. No i jeszcze to miejsce. Nie miał pojęcia, skąd mógłby się znowu wziąć w tym barze przy stacji, przed kolejnym zestawem śniadaniowym kupionym mimo braku drobnych.

Ale mimo wszystko był tutaj, a wraz z nim ludzie, których wcześniej tu spotkał, i zupełnie inni, których pamiętał z dzieciństwa, a potem ze Skowytu. Był detektyw McShane ubrany jak kiedyś, gdy był jeszcze Robalem, ochroniarzem dziwek.

– Bardzo mi przykro z powodu Mikrusa – powiedział, gdy zauważył Alfiego.

I to akurat było normalne, pomyślał Alfie, cały czas analizując swoje obecne położenie. McShane znał Mikrusa z dawnych czasów. Nawet…

– Spał z jego cizią! – zaśpiewali chórem wyspiarze w ostatnim boksie. Wśród nich był też taksówkarz. Położyli go na stole, bo niczym olbrzym, na którym zbudowano to miasto, przedzielony był na pół. Dolna połowa siedziała na krześle, przytupując stopą, a jelita wystawały zza spodni niczym opuszczone szelki.

– Tak, to sen – powiedział na głos Alfie, a podstarzała kelnerka posłała mu wymowne spojrzenie, jakby chciała zapytać: „No i?”.

Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, więc pochylił się nad talerzem. I wtedy rozległ się dzwonek.

Wiedział, że to ona, ale nie uniósł głowy. Nie chciał? Nie mógł? Nie miało znaczenia. To był sen, tłumaczył sobie, nie miał pojęcia, czy w myślach, czy na głos. Nie zapamiętałeś jej twarzy, więc ją stworzyłeś na nowo i to już nie będzie ona. Nie mogłeś jej zapamiętać, nie po tym wszystkim, co wydarzyło się później.

Ale gdy podeszła i usiadła naprzeciwko, gdy poczuł jej słodki, cukierkowy zapach, a potem dotyk jej smukłych palców, którymi musnęła jego dłoń, wiedział, że owszem, mógł.

Podniósł głowę i przez chwilę patrzył w jej jasne oczy w ciemnej oprawie brwi i rzęs. Uśmiechała się i on też się uśmiechnął.

– Czy…? – zaczęła.

– Tak – wszedł jej w zdanie i wstał.

Razem wyszli i wsiedli do zaparkowanej tuż przed wejściem taksówki. Za kierownicą ktoś siedział i choć nie było jeszcze widać, kto to taki, Alfie się domyślał.

– Na most – polecił, a pusty oczodół Mikrusa siedzącego za kierownicą zwęził się, jakby przyjaciel puszczał oczko. A potem pojazd ruszył i zaczął podskakiwać na wybojach.

Alfie przyglądał się z zaciekawieniem, jak w rytm tych podskoków to unosi się, to znów z klapnięciem odpada częściowo zdjęty skalp na głowie taksówkarza.

– Masz niesforny tupecik – stwierdził obojętnie.

Dziewczyna się zaśmiała. Pochyliła się nad Alfiem i wsunęła mu język w usta. Odwzajemnił pocałunek i wciągnął ją na siebie. W taksówce było zaskakująco wiele miejsca, niemal jak w limuzynie Dragosavalija, ale nie mieli przyciemnianych szyb, więc ludzie zaglądali do środka, klaskali, krzyczeli coś niezrozumiale. Dziewczyna tymczasem zajęła się najpierw sobą, potem nim, i gdy już oboje byli nadzy – jej został tylko ten czerwony ceratowy płaszczyk, po którym spływała strużkami krystalicznie czysta woda – dosiadła go i zaczęła ujeżdżać. Najpierw powoli, ale potem, gdy wjechali na bruk i samochód wpadł w drgania, coraz szybciej i szybciej. Za oknami nie było już gapiów. Tłusty czarny deszcz ciął świat na kawałki ukośnymi liniami i tworzył na drodze zwierciadła kałuż połyskujące tęczowo w świetle latarni.

Alfie uniósł ręce do piersi dziewczyny, zacisnął na nich dłonie, a wtedy Mikrus zawołał:

– Zbaw mnie! – I skręcił gwałtownie.

Samochód zaczął wirować niczym karuzela, coraz szybciej i szybciej, jeszcze mocniej dociskając dziewczynę do Alfiego i sprawiając, że wchodził w nią jeszcze głębiej. W końcu nie wytrzymał i wystrzelił ładunkiem nasienia, czując jednocześnie, że robi mu się niedobrze…

Beknął nisko, głośno i przeciągle, a zaraz potem otworzył oczy. Leżał na łóżku, nagi, jeśli nie liczyć kilku opatrunków w różnych miejscach ciała, a między jego nogami klęczała dziewczyna, wypluwając coś właśnie w chusteczkę. Zauważyła, że patrzy, i zmieszała się.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza? – zapytała. – Nie lubię smaku.

Spróbował wzruszyć ramionami, ale poczuł ból rozchodzący się od karku jednocześnie w górę i w dół. Zerknął na swojego penisa wiotczejącego z każdym uderzeniem serca i kurczącego się niczym przysmażana na patelni krewetka.

Dziewczyna wstała. Miała na sobie komplet bielizny, podobny do tego z nocy, tyle że w innym kolorze, do tego rozwiązany szlafrok, granatowy, obszyty srebrną tasiemką. Ściągnęła go teraz paskiem i weszła do łazienki.

– Na stole jest obiecane śniadanie. Jeszcze ciepłe.

– Dziękuję.

Powoli, ostrożnie zsunął się z łóżka. Chciał się ubrać, ale nigdzie nie dostrzegł swoich ciuchów, a nagłe burczenie i ucisk w żołądku uświadomiły mu, co jest priorytetem. Wstał. Zrobił dwa kroki. Usiadł. Czuł się, jakby każdą, nawet najdrobniejszą czynność musiał teraz robić osobno, z pełnym skupieniem i w oderwaniu od innych. Bolało go niemal wszystko i czuł się źle, choć musiał przyznać, że sama pobudka była przyjemna.

Sięgnął po widelec i zabrał się do jajecznicy, zagryzając świeżą bułką z masłem. Gdzieś przy trzecim kęsie dostrzegł, że za dzbankiem kawy leży zwinięta w rulon gazeta. Sięgnął po nią, akurat gdy dziewczyna wyszła z łazienki.

– Piszą o tobie na stronie trzeciej – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

Zamarł w pół ruchu i trwał tak przez chwilę, a następnie szybko złapał gazetę, rozwinął i zajrzał do środka. Dłuższą chwilę nie mógł się dopatrzeć, o co chodzi dziewczynie, i błądził wzrokiem po zadrukowanych kolumnach „Herolda”. W jednym artykule burmistrz przedstawił kosztorys usunięcia martwych, oblepionych smołą drzew Graent Hjarty i zastąpienie ich nowymi, przytransportowanymi ze starej ziemi. W drugim, którego dokończenie znajdowało się na stronie dwunastej, związki zawodowe trzech kopalń zapowiedziały strajk i ponowiły żądania w sprawie zwiększenia darmowych dawek leków dla egzofossilików oraz znaczącą podwyżkę rent dla cierpiących na tę chorobę. „Dając tym odpowiedzialnym mężom i ojcom rodzin takie ochłapy za ich poświęcenie, sami pchamy ich w ręce tej okrutnej śmierci”, grzmiał młody przewodniczący ZZ Crumble, niejaki Otton Stewlins. Poniżej znajdowało się jego zdjęcie z informacją, że szerzej o nim i jego związkach z przestępczym bossem Francisco Thorninim napisano na stronie piątej.

Dopiero za drugim razem, gdy Alfie nieco się skupił, dostrzegł na samym dole w rogu ramkę, a w niej zwartego newsa, z rodzaju tych, które pisało się na kolanie i wklejało szybko, gdy gazeta szła do druku, a coś wyskoczyło w ostatniej chwili. Owym czymś, teraz w postaci zajawki, a mającym znaleźć swoje miejsce już w południe, była informacja o masakrze w dolnym Reuben, wynikiem której zginęły cztery osoby, w tym kolejny taksówkarz. Tożsamości trzech mężczyzn jeszcze nie potwierdzono, ale zakłada się, że to oni byli agresorami, a ich ofiara zbiegła.

Alfie podniósł wzrok i spojrzał na dziewczynę, ale ta nie patrzyła na niego. Szukała czegoś w szafie.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał. Nie było sensu kłamać czy zaprzeczać, zwłaszcza że w jej głosie wcześniej nie było wątpliwości. Ona wiedziała, że to on jest ową zbiegłą ofiarą. Pytanie, czy rzeczywiście miała go właśnie za ofiarę.

Odwróciła się i uśmiechnęła, równie ślicznie jak wcześniej.

– Z czym? – zapytała.

Zamachał gazetą.

– Aaa, z tym. – Wzruszyła ramionami i wróciła do przeglądania zawartości szafy. – Pewnie wyrzucę, jak skończysz czytać. Kupiłam, bo musiałam zejść po bułkę, a wiem, że niektórzy mężczyźni…

– O artykuł pytam – przerwał jej.

Znowu się odwróciła, tym razem autentycznie zdumiona.

– A co ja mam do niego? – zapytała. – Z ciekawości przejrzałam, co piszą. Długo spałeś, a mnie skończyły się książki. Muszę pójść na bazarek.

Skapitulował. Albo była tak głupia, że naprawdę nie wiedziała, o co mu chodzi, albo rzeczywiście miała to gdzieś. W sumie dlaczego nie? Zapłacił jej dobrze, krzywdy nie zrobił, a jakiekolwiek zgłoszenie sprawy kosztowałoby ją tylko ciąganie po posterunkach i pewnie famę na mieście, że donosi. A żadna dziwka nie ciągnie tak dobrze, by jej klienci wybaczyli jej wyciąganie przy okazji informacji o ich sprawach. Ta ostatnia myśl sprawiła, że ciało Alfiego przypomniało sobie miłą pobudkę. Załaskotało go w dole brzucha.

Dziewczyna wreszcie znalazła to, czego szukała. Wyjęła z szafy niewielką czarną torbę i rozwiązała sznurek. W środku znajdowały się ciemnobrunatne spodnie, koszula tego koloru i wysokie buty, a także zestaw do golenia w gustownym czarnym pudełku.

– Bieliznę uprałam, wyschła – powiedziała, kładąc to wszystko na drugim krześle. – Ale reszty się nie dało, więc zostaje ci to. To po jednym z moich dawnych klientów. Trzymał to tutaj na zmianę, ale nie przychodzi już od bardzo dawna. Podobno się nawrócił.

Alfie odłożył widelec i sięgnął po koszulę. Przyjrzał się charakterystycznemu krojowi, jak również wyszytemu ciemną nitką symbolowi na piersi: trójkątowi z płomieniem. Takie koszule nosili bajańscy kapłani, których obowiązywał celibat.

– Nawrócił, mówisz? – zadrwił.

Wzruszyła ramionami.

– Lepiej późno niż wcale, mówią niektórzy.

Roześmiał się serdecznie, po czym nagle, jakby dopiero sobie o tym przypomniał, wyciągnął rękę do dziewczyny.

– Alfie – przedstawił się. – Alfie Moore.

– Bardzo mi miło, Alfie – odparła, ściskając podaną dłoń. Uścisk miała zaskakująco silny i pewny.

– A ty?

I znowu ten śliczny uśmiech na pyzatej, idealnie symetrycznej twarzy, te dołeczki, równiutkie białe zęby i błysk szczerego rozbawienia w oczach.

– Ta tłusta kurwa z poddasza – przedstawiła się. – Ale możesz mi mówić Sue.

Roześmiali się oboje jak starzy znajomi, a potem on pochylił się do niej, sprawdzając językiem, czy gdzieś tam, między zębami, nie zawieruszyła się drobinka śniadania. Liczył się z odmową, dziewczyny ze Skowytu w tym miejscu wyznaczały jedyną w zasadzie nieprzekraczalną granicę, ale ona rozchyliła usta i przymknęła oczy niczym nieśmiała pensjonarka. Pocałowali się, a on sięgnął ręką pod szlafrok i delikatnie ścisnął jej pierś. Z satysfakcją przyjął jej ciche westchnienie…

Gdy kwadrans później skończyli, Alfie ogolił się i ubrał w kapłańskie ciuchy rozbawiony własną na to reakcją. Przez moment czuł się, jakby to on łamał przyrzeczenia złożone przez poprzedniego właściciela ubrań, i miał coś na kształt niezrozumiałych wyrzutów sumienia. Chcąc je stłumić, stanął przed łazienkowym lustrem w luźnej pozie i wsunął ręce do kieszeni burych spodni. I nagle zamarł. Pieniądze. Miał je przecież w tamtych spodniach, a potem płacił z nich dziewczynie…

– Sue? – powiedział głośno, starając się, by jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Tylna kieszeń – odpowiedziała. – I wstydź się swoich paskudnych myśli, wielebny.

Sięgnął do tylnej kieszeni i rzeczywiście pieniądze tam były. Jednocześnie poczuł ulgę i zażenowanie. Wyszedł z łazienki.

– Wstydzę się – powiedział i położył na stole jeszcze jeden banknot pięćdziesięciodijmarowy. Chrzanić to, myślał przy tym. Łatwo przyszło, łatwo poszło, a ta dziewczyna najpewniej uratowała mu życie.

Chciała zaprotestować, ale pocałował ją w czoło i zwinął ze stołu „Herolda”.

– Gazetę zabieram – powiedział. – I jeszcze bagietkę.

– Od nich się tyje – ostrzegła Sue, a on wzruszył ramionami.

– Niektórym to pasuje – stwierdził, podchodząc do drzwi i łapiąc za klamkę. – Dzięki, Sue.

Skinęła głową.

– Idź już.

Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i żując powoli bułkę, ruszył w dół schodów. Miał wrażenie, że z wizjerów gapią się na niego zaciekawieni sąsiedzi, łypią na jego strój i sapią z oburzenia, ale ta wizja bardziej bawiła go, niż krępowała. „Tłusta kurwa z poddasza” – tak przedstawiła się Sue, dając cudowny przykład dystansu do świata i siebie samej. Czemu nie korzystać z dobrych wzorów.

Wciąż się zastanawiał, co powinien zrobić, teraz jednak, w świetle dnia, opcje wydawały się prostsze. Oczywiście, że powinien zgłosić się na policję, tyle że nie na jakiś mały posterunek, gdzie wszystkie gangi, w tym pewnie i ci, którzy go szukali, miały swoich informatorów. Powinien zgłosić się na komendę główną i powołać się na notkę w „Heroldzie”. A może nawet nie notkę, bo zanim dotrze stąd na Podgardle, będzie już pewnie południe i zgodnie z zapowiedzią cały obszerny artykuł.

Wyszedł z budynku i mrużąc oczy przed słońcem, powoli ruszył w górę ulicy. Przypomniał sobie o detektywie – poprawka: agencie – McShanie i wczorajszym spotkaniu. Kiedyś się lubili i to jego zagajenie pozwalało przypuszczać, że ta sympatia jeszcze gdzieś się tli. Może mógł to teraz wykorzystać, by w komendzie głównej potraktowali go bardziej serio?

Przystanął, chcąc raz jeszcze zerknąć na notkę na trzeciej stronie. Tym razem jednak jego wzrok zatrzymał się na dłużej na stronie pierwszej. Poczuł, jak w jednej chwili krew odpływa mu z twarzy, a kolana zaczynają drżeć

„Podinspektor policji Grimm City zamordowany!”, krzyczał nagłówek, a poniżej znajdowało się zdjęcie budynku na Pępku. Tego samego, pod który Alfie zawiózł dziewczynę w czerwonym kapturku.

***

Evansowi nie spieszyło się do pracy. Zjawił się na komendzie dopiero koło dziewiątej. Późno, choć i tak wcześniej, niż zakładał po wczorajszych nocnych przeprawach z mecenasem Sandersem, adwokatem Dragosavalija. Wysportowany, siwy elegant z kancelarii Liesmith & Cousco udawał przyjaciela, uśmiechał się i nieustannie używał słowa „nieporozumienie", ale w nienaturalnie niebieskich oczach widać było zimny błysk. Facet nie umiał też do końca zapanować nad twarzą i raz po raz to wysuwał podbródek, wydymając wargi, to znów na moment wściekle odsłaniał kły. Kto inny może by i nie zauważył, ale Evans zbyt wielu w życiu takich przesłuchał – najpierw trenowanych, by być jak wściekłe psy, a potem ugłaskiwanych, by weszli w sztywny kostium tylko z zewnątrz przypominający garnitur za setki dijmarów.

I faktycznie, gdy się zjawił, od razu przypuścił atak. Uważnie dobierając słowa, właściwie nie rozmawiał – on informował, jak będzie, posiłkując się paragrafami i kilkoma papierkami ze skórzanej teczki. Gdy skończył, Evans nie miał w zasadzie nic do powiedzenia.

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy sobie te wszystkie nieporozumienia – powiedział na koniec prawnik, wyciągając do komisarza opaloną dłoń o wypielęgnowanych paznokciach. Uścisk jednak miał pewny, mocny, jakby ściskał rakietę do tenisa. – Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia tego niefortunnego pierwszego przesłuchania, ale to już jak wszyscy wypoczniemy, bo nerwy i zmęczenie to najgorsi doradcy. A na razie, komisarzu, bardzo dziękuję za współpracę. Miło było pana poznać.

Gdy podawali sobie dłonie, była pierwsza w nocy. Evans wypił jeszcze dwie szklaneczki podłego bourbona trzymanego w biurku właściwie sam nie wiedział po co i kazał się odwieźć do domu, a następnego dnia odebrać nie wcześniej niż o jedenastej. Ale już koło ósmej, po kilku godzinach niespokojnego, rwanego snu, zadzwonił, że jednak zmienił zdanie i będzie czekał na transport w kawiarni LenDuss za pół godziny. No, czterdzieści minut.

Wszystko jednak wskazywało na to, że prawnik Dragosavalija spał jeszcze krócej, bo gdy Evans dotarł wreszcie do swojego biura, czekał tam już na niego Gratz. Detektyw siedział na krzesełku petenta, nogę założył na nogę, a pod lewym, opartym na biurku łokciem miał pokaźnych rozmiarów papierową teczkę. W prawej dłoni trzymał parujący kubek z kawą. Na widok komisarza uśmiechnął się kwaśno.

– Niech zgadnę… – westchnął Evans. Zdjął marynarkę i obciągnął kamizelkę w szaro-czarno-bordową kratę. Obszedł biurko, usiadł na swoim miejscu, po czym wcisnął przycisk interkomu i przysunął twarz do urządzenia: – Agnes, będziesz tak dobra?

– Dzień dobry czy zły? – zaskrzeczało urządzenie.

– Gdybyś nie była damą, powiedziałbym… – zaczął.

– Trzy łyżki miodu i śmietanka, rozumiem.

– Jesteś wróżką, Agnes. – Wyprostował się i dopiero wtedy odezwał się do Gratza, kończąc myśl: – Odsunęli cię od tej sprawy, co? I teraz już nie tylko oficjalnie, ale i faktycznie zesrało mi się to na łeb.

Gratz wzruszył ramionami i spróbował uśmiechnąć się kpiąco.

– No przykro mi bardzo, że pan komisarz będzie teraz musiał… – przerwał i potrząsnął głową już poważnie. – Nie no, bez żartów. Naprawdę mi przykro, że mnie poniosło wczoraj. I tak, odsunęli. Tu jest wszystko, co mam.

Poklepał teczkę.

– Gruba – stwierdził Evans. Trudno było orzec, czy z uznaniem czy z niechęcią. – Bardzo gruba, zważywszy, że do morderstwa doszło wczoraj. Akta Wolfa?

Gratz pokiwał głową.

– To i kilka moich sznurków – odparł. – Szukałem powiązań między tym zabójstwem a atakami tego rzekomego nowego gracza na taksówki, wie pan, czy jest ktoś, komu szczególnie robi to dobrze, czy są jakieś powiązania między ofiarami…

Evans wyciągnął rękę i detektyw podał mu teczkę. Komisarz w milczeniu przejrzał zawartość.

Robiła wrażenie. Chłopak zabrał się do sprawy jak prawdziwy wyga, w dodatku w niebywałym przecież tempie kilku godzin. Nawet jeśli było to tylko zawężanie pola zainteresowań, pierwsze pomysły, bo jeszcze nawet nie tropy, to nadal jego praca robiła wrażenie – zebrał dokumentację, posegregował, pewnie nawet przeczytał. Miałby sporą szansę na rozwiązanie tej sprawy, gdyby dano mu szansę. Gdyby czarna policyjna robota, wolna od gładkich słówek i salonowych układzików, jeszcze naprawdę kogokolwiek tu, kurwa, obchodziła. To, co było w tej pracy ważne, całe to babranie się po łokcie w rynsztokowym gównie, składanie do kupy porwanych, niekompletnych strzępków informacji i wróżenie

z nich jak z fusów, miało dziś miejsce tylko w groszowych powieściach pisanych przez… no właśnie, emerytowanych gliniarzy.

Jasne, Gratzowi puściły wczoraj nerwy. Ale nie tak, by go naprawdę odsuwać od sprawy ku uciesze jakiegoś bogatego tłuściocha i jego wymuskanego adwokata. Noż kurwa!

Rzucił teczkę na biurko i przejechał rękami po twarzy.

– Tylko sprawa czy…?

– Na razie tylko – odparł detektyw. – Zrzucili na mnie jakieś afery domowe z ostrym finiszem i dwa czy trzy tematy do przeczekania. Mogło być gorzej.

Evans skinął głową. Owszem, mogło. Ale niewiele gorzej. Awantury domowe z trupem były szarą codziennością i właściwie nie było tam nic do rozwiązywania, należało tylko spisać odpowiednią liczbę raportów dla prokuratury. W tych okolicznościach był to raczej odpowiednik szkolnej kary, gdzie niesforny uczeń zmuszany jest do pisania na tablicy tego samego zdania raz po raz. Z kolei dwie sprawy czekające na umorzenie z braku dowodów – cóż, w policji to normalka, ale biada temu, na kogo wypadnie podpisanie ostatniego raportu. Będzie się to za nim ciągnąć i, przy co bardziej upierdliwym służbiście, wylezie przy każdej sugestii awansu.

„Bo mnie wkurwił”, przypomniał sobie słowa detektywa z wczoraj. No to teraz masz swoje wkurwienie, dzieciaku.

Do gabinetu weszła Agnes, korpulentna, rumiana kobieta pod pięćdziesiątkę w idealnie nijakim szarym kostiumie, niosąc na prostokątnej tacy dwa kubki z kawą. Z jednego z nich, bardziej przypominającego średnich rozmiarów doniczkę z uchem, wystawała beżowa pianka. Nad drugim, mniejszym, unosiła się para.

– Proszę, panie komisarzu – powiedziała, stawiając tacę na blacie, a następnie podsuwając mu pod nos wielki kubek. Ten drugi ustawiła przed Gratzem i wyjęła z jego dłoni ten, który wciąż trzymał.

Detektyw uśmiechnął się.

– Co należy zrobić, by opiekował się tobą taki anioł jak pani, Agnes?

Kobieta nerwowym gestem zaczesała za ucho niesforny kosmyk włosów. Ledwie kilka dni wcześniej postanowiła, za namową przyjaciółek z działu kadr, zmienić coś w sobie i padło na fryzurę w rodzaju tych modnych, jakie nosiły teraz aktorki w typie Lindy Nero – proste, choć z podkręconymi do

wewnątrz końcówkami, do linii brody, z przedziałkiem. Nie pasowało jej to nijak, bo twarz miała krągłą i pyzatą jak dobrze wypieczona maślana bułka, ale w oczach dobrotliwej Agnes czaił się demon, który za zniewagi nie brał jeńców, więc nikt nie odważył się skrytykować jej uczesania. I tylko ten przeklęty kosmyk…

– Na pana miejscu, detektywie Gratz, zaczęłabym od paru awansów – odparła kobieta. – A przynajmniej unikania drogi w przeciwną stronę.

– Agnes! – zawołał Evans, ale choć chciał zabrzmieć surowo, nie mógł się nie roześmiać. Gratz dołączył do niego, wskazując na kobietę palcem w geście mówiącym, że tak, chyba ma rację.

– Powinien pan pogadać z tym swoim Szlachetnym, komisarzu – odezwał się detektyw, gdy sekretarka zamknęła za sobą drzwi.

Evans odstawił kubek i mankietem otarł wąsa z piany.

– Słucham?

– No, ten Szlachetny, pana były partner…

– Wiem, o kim mówisz! – przerwał mu ostro Evans. – Pytam, co właściwie pozwala ci sądzić, że to twoja sprawa?

Gratz poruszył się nerwowo na krześle. Widać było, że nie spodziewał się takiej reakcji.

– No właśnie już nie moja, ale… Dziewczyny w sekretariacie mówiły mi, że też prosił o część materiałów. Teczkę Wolfa, sylwetki ofiar z taksówek. Chyba pracuje nad tą samą sprawą.

Komisarz ścisnął nasadę nosa i odetchnął kilka razy, powoli i głęboko.

– Przepraszam, Gratz. Mało dziś spałem i…

– Nie ma sprawy, komisarzu, rozumiem. – Detektyw podniósł się z krzesła i ruszył do drzwi, w dłoni wciąż ściskając kubek kawy. Wskazał na niego. – Myśli pan, że Agnes pozwoli mi to zabrać do siebie?

– Może. Jeśli obiecasz, że odniesiesz umyty – odparł Evans. Nie żartował.

***

Gumowa główka uderzała o ścianę. Pac, pac, pac…

Marco Vincenzi, l. 32, miejsce urodzenia Grimm City, Reuben. Żonaty, dwójka dzieci. Lokalny działacz społeczny, członek rady dzielnicy Reuben, dwukrotnie odznaczony za zaangażowanie w sprawę dożywiania najuboższych mieszkańców dzielnicy (w tym raz przez księżną Leokadię

podczas uroczystości z okazji Urodzin Królewskich). Współautor projektu pod ustawę Rady Miasta mającą na celu ograniczenie marnotrawienia żywności. Podejrzany o łapówkarstwo, handel głosami wyborczymi i wywieranie wpływów. Powiązany towarzysko z otoczeniem przestępczego bossa Franciso Thoriniego. Zamordowany przy ulicy Declourix (górne Reuben) z rąk nieznanych sprawców. Spalony wraz z pojazdem, żoną (Inez Vincenzi, l. 26) i kierowcą taksówki [nazwisko niewyraźne]. Zidentyfikowany na podstawie przedmiotów osobistych…

Pac… pac… pac…

Norman Carlson ps. „Chudy” l. [nieznane] urodzony [nieznane], recydywista, odbył wyroki za włamanie, pobicie ze skutkiem śmiertelnym i nieumyślne spowodowanie zabójstwa w więzieniu Weston (okręg Trzeciogórski, Kraina Grimm). Objęty amnestią z okazji narodzin księcia Stuarta. Tak zwany porucznik w przestępczych strukturach rodziny Räu. Obszar działania: Navalla Afiada. Zaatakowany przy ulicy Miltona J. Croxa, Navalla Afiada, po śmierci dekapitowany wraz z Luciusem Coxem i Warrenem „Plujką” Nicim (szeregowi żołnierze jego oddziału) oraz taksówkarzem Mirem Uleckim. Głowy całej czwórki umocowano na ogrodzeniu hurtowni odzieży ochronnej Petco Gibbildiego mieszczącej się przecznicę od miejsca dokonania zabójstwa, przy Terrice’a Stirenvolta, Navalla Afiada.

Pac… Pac…

I tak dalej i dalej. Kolejne raporty, kolejne zdjęcia rozwieszone na korkowej tablicy.

David Ullman, pseudonim „Szewczyk”, szef nocnego klubu powiązany z Thorninim. Jackson Crews i Gerard Banks, ta sama fucha, tylko że u Złej Królowej Reginy Räu. Nathaniel Hawkins, prawnik u Thorniniego, Leo Nelson, ksywa Śliski – księgowy kilku przykrywkowych firm rodziny Räu. Dla tych ostatnich pracował też Ian Stockton, lekarz dermatolog. Do tego jeszcze po stronie Thorniniego dochodziło trzech zamordowanych „poruczników” – Stiepan Wirow, zwany Płatkiem, Ferguson Knob i Alfonzo „Al” Sousa – a także kilku szeregowych żołnierzy.

McShane odłożył główkę lalki na biurko i mocno docisnął skronie, chcąc stłumić narastający ból głowy. Niewiele spał tej nocy, w dodatku bardzo niewygodnie, bo gdy się zorientował, że najwyższa pora się stąd wynieść, prawie świtało i powrót do domu nie miał już sensu. Zasnął więc na podłodze, przykryty płaszczem, z ręką pod głową, by obudzić się całkowicie połamanym.

Wstał, skorzystał z łazienki, a następnie pogonił jednego z mundurowych po mocną, czarną kawę, powołując się na rozporządzenie dotyczące Noble

Service, a w szczególności punkt: „Każdy funkcjonariusz policji niezależnie od stopnia ma obowiązek udzielić niezwłocznie wszelkiej pomocy agentowi wykonującemu czynności służbowe”. Potem zamówił jeszcze w archiwum kopie brakujących mu dokumentów i zabrał się do pracy opartej przede wszystkim na gapieniu się w ścianę i odbijaniu od niej gumowej główki.

Kimkolwiek był napastnik, ów tajemniczy „Nowy Gracz” zagrał ostro. W mieście działało kilkanaście mniejszych i większych organizacji przestępczych, ale do niedawna liczyły się tak naprawdę trzy: Rodzina Räu, Ferajna Francisco Thorniniego i mające mocne poparcie obecnej administracji małe imperium Irwina Grumliga-Hattawaya. Ten jednak w prostej linii potomek Leona Grumliga, założyciela przemysłowej części miasta, nazwanej zresztą jego nazwiskiem, ostatnio zachowywał się tak, jakby porzucił fach przestępczy i zajął się tylko legalnymi interesami swojej rodziny.

A więc dwa wielkie rody i mnóstwo szczeniąt podgryzających się nawzajem, byleby tylko uszczknąć coś z któregoś z interesów. Większość zresztą i tak płaciła czy to Thorniniemu, czy Räu za odwracanie od nich wzroku, by mogli wyrwać kwartał czy dwa i dusić tam sklepikarzy za ochronę, dostarczać mniej lub bardziej legalnych rozrywek w swych obskurnych melinach czy wreszcie wpływać na lokalną politykę poprzez utrwalanie reguł demokracji metodą kija i marchewki.

I nagle ktoś powiedział „dość” i zamiast walczyć o ochłapy, zaatakował tam, gdzie zaboli – na pograniczu stref wpływów między Reuben a Navalla Afiada. Na najniebezpieczniejszym, a więc i najlepiej pilnowanym przez obie strony terenie uderzył jednocześnie w oba cele. Była to być może najgłupsza, ale też i najbardziej śmiała akcja, na jaką ktokolwiek mógłby się w tym mieście zdobyć, i McShane nie miał pojęcia, czy tego kogoś podziwiać czy się go bać. Bo to był właśnie wróg, dla którego agent tu przyjechał. Dla którego wrócił do Grimm City.

Dwanaście ataków w ciągu tygodnia. To znaczy faktycznie więcej, ale pozostałe nijak nie pasowały do schematu, więc stanowiły po prostu część miejskiego kolorytu. Siedem ofiar po stronie Thornino, pięć u Räu. Trzynastka martwych cywilów, jeśli za taką uznać też żonę Vincenziego. Ostro, stanowczo, brutalnie, a przynajmniej raz, z tymi głowami na płocie, ewidentnie na pokaz…

I teraz – pomyślał McShane, skupiając wzrok na centralnym zdjęciu – inspektor Wolf. Przybrudzona gwiazda policji, człowiek, którego mógł w zasadzie przypisać do obu rubryczek, bo z tego, co słyszał, pracował z każdym, kto mu płacił, i lojalnie trzymał sekrety każdego w skryteczce swojego umysłu. Ułatwiał, ogarniał, przymykał oczy, czasem szepnął słowo czy dwa. Nie dopuszczał do sytuacji, w której musiałby się opowiedzieć za kimś konkretnym, a przestępcy, doceniając jego wartość, nie protestowali.

– Jak z dziwką – powiedział McShane do lalki. – Nie masz jej przecież za złe, że po tobie wzięła sobie kolejnego.

Lalka patrzyła na niego jednym okiem, zastanawiając się pewnie, czy ta uwaga była w ogóle potrzebna.

Agent upił kawy i podrapał się po zarośniętym policzku. Wciąż czuł się tak, jak zapewne wyglądał, i poważnie rozważał, czy nie zrobić sobie przerwy i nie pojechać do domu, by wziąć prysznic i przespać się ze dwie godziny. Potem, bo przecież w końcu kiedyś trzeba, podszedłby do tego cholernego Evansa, który może coś ma, i wtedy…

Ktoś zastukał, a po chwili w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa mundurowego.

– Detekt… znaczy, panie agencie, dzwonią z dołu, że ktoś tam koniecznie musi z panem porozmawiać.

McShane zmarszczył czoło.

– Kto taki?

– Duchowny podobno – odparł mundurowy. – Edytor chyba, ale ja się tam nie znam, niewierzący jestem. Mówi, że nazywa się Moore. Alfred Moore.

Agent mimowolnie się uśmiechnął. Alfie? Duchownym? Dobre sobie! I co on tu robi? Faktycznie, przypomniał sobie, spotkali się wczoraj, rozmawiali chwilę, ale czego ten dzieciak mógł teraz od niego chcieć? I to jeszcze tak pilnie. Mandat dostał i korzysta z zesłanej przez los odświeżonej znajomości? Portfel mu ukradli?

W końcu machnął ręką.

– Dawaj go tu.

***

Alfie siedział na niewygodnym drewnianym krześle w kącie przestronnego holu gmachu głównej komendy i bezmyślnie gapił się na ludzi stojących przy okienkach i na siedzących przy biurkach dyżurujących policjantów. Patrzył na znużonych funkcjonariuszy i podekscytowanych swoimi problemami petentów, słuchał krzyków oburzenia, lamentów i wybuchów wściekłości, próbując rozdzielić te wszystkie dźwięki, wyłowić, odseparować z sieci kakofonii, a potem dopasować do konkretnych osób. Kiedyś uczył się tego na lekcjach z harmonii i kompozycji, ale jednak muzyka łatwiej dawała się okiełznać. Kierowała się jakąś logiką. Tu był tylko chaotyczny hałas.

– Chaotyczny hałas – powiedział to na głos, a potem powtórzył jeszcze raz, i drugi, trzeci, coraz szybciej, bawiąc się tym słownym zlepkiem, jakby miał nadzieję, że owa pozbawiona sensu mantra ukoi jego skołatane nerwy. Ludzie patrzyli na niego, na to, co ma na sobie, i uznawali, że się modli. Wygodne.

Na kolanach trzymał poranną prasówkę. Nie wiedzieć czemu, każdą z gazet kupił u innego kioskarza, a potem przysiadł w parku i przeczytał pierwsze strony, próbując poskładać sobie wszystko w logiczną całość. A im bardziej przyglądał się artykułom, im mocniej wypatrywał powiązań ze sobą, tym były one wyraźniejsze.

Ot, dajmy na to głównym podejrzanym według „Spokestad” był Eugene Dragosavilij, czyli… jego nowy pracodawca. Jak wytłumaczyć policji, że oto był na miejscu zbrodni w czasie jej dokonywania, w nieswojej taksówce – co już samo w sobie było złamaniem prawa – a tego samego wieczoru odebrał pieniądze od głównego podejrzanego? W dodatku, choć były to pieniądze za małe, by mogły stanowić wynagrodzenie za zabójstwo, to jednak wciąż była to kwota zdecydowanie zbyt hojna jak na zaliczkę dla przeciętnego grajka za przygrywanie do kotleta. Nieważne, jak ów kotlet miałby być wykwintny.

Idąc na komendę, Alfie wyobrażał sobie, jak policjanci składają wszystko do kupy, a wszystko przemawia przeciwko niemu. Znalezienie się w przypadkowym barze, gdzieś daleko od domu, z głupią wymówką, dlaczego tu trafił, ślady w jego domu, ślady w taksówce i, był pewien, tam na ulicy, gdzie zostawił za sobą trupy. Czy byłby w stanie się uporać z trzema zabójcami sam jeden, gdyby nie był zabójcą? Wreszcie dziwka

z pewnością skłonna zeznać pod presją, że miała rannego klienta szastającego forsą…

Decyzja, którą podjął, gdy oficer dyżurny zapytał go, w jakiej sprawie przychodzi, była więc jedyną słuszną.

– Muszę się zobaczyć z agentem NS McShane’em. Ma tutaj swoje biuro – powiedział. – Proszę mu przekazać, że to bardzo ważne i że koniecznie muszę z nim porozmawiać. Nazywam się Moore. Alfred Moore. Agent McShane mnie zna.

Policjant skinął głową, przewertował sfatygowaną księgę zapisaną odręcznym pismem i przyłożywszy palec do jednego z numerów, wykręcił go na cyferblacie telefonu. W kilku zwięzłych słowach przekazał wszystko, co powiedział mu Alfie, a jemu samemu wskazał miejsce w kącie i kazał zaczekać.

Więc muzyk usiadł, gazety ułożył na kolanach i teraz, kwadrans później, gapił się przed siebie, szepcząc swą dziwaczną mantrę. Gdy zamykał oczy, widział martwego Mikrusa, gdy odpływał myślami, wiatr spychał je nad dolne Reuben, na brukowaną uliczkę Ciemnej Doliny, gdzie…

– Chaotyczny hałas, chaotycznyhałas, chaohała, chaoha…

– Pan, znaczy edytor Moore? – odezwał się ktoś. Alfie uniósł głowę i zobaczył stojącego nad sobą policjanta.

– To ja – odparł, nie wyprowadzając funkcjonariusza z błędu.

– Agent McShane zaprasza – powiedział tamten. – Zaprowadzę pana.

***

Mimo że McShane wiedział, czego się spodziewać, na widok Alfiego w stroju bajańskiego kapłana roześmiał się w głos i przez dłuższą chwilę nie mógł się opanować. Wciąż zanosząc się śmiechem, odprawił gestem funkcjonariusza, a potem wskazał Alfiemu wolne krzesło.

Ten usiadł i cierpliwie zaczekał, aż agent się opanuje.

– Mam kłopoty – powiedział w końcu.

McShane pokiwał głową, ocierając łzę.

– I to poważne, jak widzę – wydyszał. Atak śmiechu wyraźnie nieźle go wymęczył. – Jak to mawiają, jak trwoga to do…

– Zamordowali Mikrusa.

Agent w jednej chwili spoważniał, a jego ciemne oczy zwęziły się w maleńkie szparki. Znał Mikrusa, pamiętał go z dawnych czasów, zarówno z chwil dobrych, jak i złych, gdy ten w gruncie rzeczy pogodny chłopak związał się z dziwką i stał się chodzącą zazdrością. Dzieciak, o ile go pamięć nie myliła, był przy okazji licencjonowanym taksówkarzem, a to niestety wpisywało się w sprawę.

– Kto? – zapytał rzeczowo, łapiąc za leżący na stole notes. Wyjął zamocowany gumką ogryzek ołówka i energicznie przewrócił parę kartek. – Mów, co wiesz.

Alfie opowiedział więc o swoim powrocie do domu, o tym, jak odkrył zakatowanego współlokatora, i o wszystkim, co wydarzyło się potem. McShane tylko raz mu przerwał, wyjrzał na korytarz i przywołał do siebie jednego z policjantów. Ten – dzieciak o pociągłej, nieskażonej zarostem twarzy – podszedł i zatrzymał się tak, jakby miał zaraz stuknąć obcasami. Dostrzegłszy Alfiego, dodatkowo skłonił się nabożnie.

– Raport z dzisiejszej nocy, Ciemna Dolina, trzy trupy. – Zakomenderował McShane, po czym zawahał się i spojrzał przez ramię. – Trzy, prawda?

– Z taksówkarzem cztery – odparł muzyk.

– No tak, taksówkarz – westchnął agent. – Więc cztery. Nie wiem, który to posterunek i na jakim są etapie, ale chcę dostać, cokolwiek mają. Zwłaszcza zdjęcia.

Młody policjant odwrócił się na pięcie i pognał w głąb korytarza. Agent patrzył za nim chwilę.

– Żeby tak wszyscy byli tacy karni… – westchnął.

Wrócił za biurko i upił kawy.

– Jest jeszcze coś, panie…

– Mów mi McShane. – Agent machnął jedną ręką, a do drugiej wziął gumową główkę. Zgniótł ją raz, drugi i odłożył, by napić się kawy. – No, co takiego, chłopcze?

Alfie zawahał się. Do tego momentu mógł jeszcze zawrócić, wykpić jako świadek, który po prostu znalazł zwłoki przyjaciela. Jaka była szansa, że ktokolwiek do niego dojdzie? Ci trzej mogli być jedynymi, którzy wiązali go ze sprawą, pewnie przez to, co powiedział im Mikrus. No, chyba że to nie oni przesłuchiwali, a wtedy…

„Alfie Moore?”, usłyszał znowu w głowie ten skrzekliwy głos gościa z taksówki. I niemal poczuł na szyi chłód ostrza.

– Ja wiem, dlaczego Mikrus zginął – powiedział w końcu, a ledwie te słowa padły, miał wrażenie, że z piersi zsunął mu się wielki kamień. Pytanie tylko, czy zaraz nie wyląduje na stopie.

McShane podrapał się kantem dłoni po zarośniętym policzku.

– No, dawaj – zachęcił, a potem słuchał w milczeniu już kompletnej historii. Siedział tak jeszcze chwilę po tym, jak Alfie skończył mówić, aż wreszcie podniósł słuchawkę i bardziej chyba do siebie niż do muzyka powiedział, wybierając numer wewnętrzny: – No i jednak muszę, cholera. Się nie obejdzie. Myśli sobie człowiek, że ma uprawnienia na całe Królestwo, odpowiednie glejty i wielką instytucję za sobą, ale jak przychodzi co do czego, nadal trzeba starymi kanałami, bo całe to pieprzone NS nic nie może. Nic zupeł… No cześć, Evans. Tu Mc… Poznałeś? Dobrze. Zejdź tu do mnie z łaski swo… Ej, co?! Sam się pierdol! Prowadzisz sprawę Wolfa, a ja jako agent NS domagam się…

Kolejny raz przerwał i tym razem spojrzał z niedowierzaniem na Alfiego, a następnie cisnął słuchawką. Nie trafił na widełki, ale najwyraźniej miał to gdzieś, bo zamiast poprawić, złapał za gumową główkę lalki i rzucił nią w tablicę.

– Chodź – powiedział, łapiąc za zawieszoną na krześle marynarkę. – Przejdziemy się do tego kutasa i wyjaśnię mu, co znaczy się rozłączać w rozmowie ze mną!

Alfie wstał i posłusznie podążył za agentem.

***

Zatrzymała go dopiero Agnes. Do tego momentu McShane parł do przodu jak pociąg, z każdym pokonywanym schodkiem, z każdym metrem korytarza nabierając prędkości. Kipiała z niego taka złość, że któryś z funkcjonariuszy, równie odważny co niedoświadczony, spróbował go zatrzymać, uspokoić. Może nie rozpoznał w nim byłego asa dochodzeniówki i zobaczył tylko potencjalnie niebezpiecznego szaleńca? A może uwierzył w moc szkolenia w policyjnej akademii? Tak czy owak stanął detektywowi na drodze i wyciągnął przed siebie ręce pojednawczo,

a chwilę potem leżał już zalany krwią z rozbitego nosa, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.

Alfie uśmiechnął się drwiąco. Próbowałeś zatrzymać pociąg, ot co. Wiedział, pamiętał jeszcze ze Skowytu, na co było stać agenta, gdy się wściekał. Wiele z tych historii tylko mu opowiadano, ale wystarczyło być świadkiem jednej, by uwierzyć w całą resztę. Niejedna twarz rozbita na miazgę już nigdy nie odzyskała rysów, a pokruszone zęby wielu ofiar powbijane w czarne drewno kontuaru skrzyły się potem miesiącami niczym diamenty w bryle węgla lub robaki w kupie gówna.

I taki właśnie McShane, wściekły, dziki, nie do okiełznania, parł korytarzem. I gdy już miał grzmotnąć pięścią w drzwi, a pewnie i wejść razem z nimi do gabinetu, cichy, acz stanowczy kobiecy głos zatrzymał go w pół ruchu.

– Detektywie McShane. – Okrągła kobieta siedząca za niewielkim biurkiem przywalonym stosami dokumentów spojrzała na niego z wyrzutem. – No jakże to tak? Bez zapowiedzi? Zresztą inspektor Evans jest zajęty.

Alfie aż przystanął ze zdumienia i z dystansu kilku kroków, jakie dzieliły go od agenta, przyglądał się całej scenie.

McShane, wyraźnie zmieszany, cofnął się o krok i powoli opuścił rękę.

– Właściwie, Agnes, to już nie detektyw, tylko…

– Tak, słyszałam – odparła kobieta tym samym tonem, do którego jej mina pasowała aż nadto idealnie. – I to raczej nie wyglądało na szlachetne, co pan chciał zrobić, prawda?

Alfie parsknął, a McShane obrócił się błyskawicznie, by zabić go wzrokiem. Spojrzenie minęło głowę chłopaka o milimetry, poczuł jego podmuch na skroni i mimowolnie się cofnął.

Agent ponownie skupił wzrok na sekretarce, na chwilę przycisnął dłoń do ust, po czym powiedział:

– Potrzebuję pilnie porozmawiać z Evansem, Agness, to sprawa życia i śmierci.

Z rozmysłem skinęła głową.

– I, rozumiem, próbował pan już przez telefon, ale…

– Kazał mi się pierdolić – dokończył za nią McShane.

Ponowne skinienie. Jej pierś uniosła się i opadła w głośnym westchnieniu, po czym Agnes położyła obie dłonie na blacie biurka,

odsunęła się wraz z krzesłem i wstała. Powoli obeszła biurko, sięgnęła do klamki, ale nie nacisnęła jej, tylko posłała wymowne spojrzenie agentowi, by się cofnął. Gdy to zrobił, zapukała cicho i nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi.

– Inspektorze, robię kawę dla agenta McShane’a, czy pan również…

Alfie nie dosłyszał odpowiedzi, ale mógł jej się domyślić.

– Rozumiem – odparła niezrażona Agnes. – Dla pana zdecydowanie herbata. Proszę wejść, agencie McShane.

Cofnęła się o krok i zrobiła McShane’owi miejsce.

– Dziękuję, Agnes – powiedział agent. – I przepraszam.

– Proszę.

Wróciła na swoje miejsce przy biurku i spojrzała na Alfiego.

– A wielebny to na co czeka?

Przemknęło mu przez myśl, żeby powiedzieć, że na kawę, ale głos w jego głowie upomniał go, że raz już w ciągu tej doby uniknął śmierci i nie ma co nadużywać szczęścia.

– Na nic, przepraszam – powiedział, schylając lekko głowę, i podążył za McShane’em.

Rozdział 6

Ostatnia seria głośnych, nerwowych trzasków zakończyła blisko godzinną męczarnię. Palla Di Neve uniosła ręce znad maszyny i odchyliła na skrzypiącym krześle, wzdychając ciężko.

– Co, piękna, skończyłaś?

Wzruszyła ramionami, ale nie spojrzała na siedzącego po lewej Philla. Lubiła go, często jej bezinteresownie pomagał i zawsze był dla niej miły, ale odrzucała go jego niechlujność. Dziś przeszedł samego siebie – do przepoconej jak zawsze koszuli dołożył krawat z tłustą plamą, a całość okrasił garścią okruszków na rzadkiej brodzie. Rano, gdy podszedł się przywitać, ledwie zdążyła dyskretnie wstrzymać oddech.

– Nie martw się, piękna – powiedział pocieszająco. – Każdy z nas musiał kiedyś stracić dziewictwo.

– Mam to już dawno za sobą, Phill.

– Znaczy…

Przemogła się i spojrzała na niego, uśmiechając się smutnym, zmęczonym uśmiechem.

– Wiem, co miałeś na myśli. I dziękuję za wsparcie. Po prostu jestem trochę zmęczona i…

– Wściekła?

Tak, to było dobre słowo. Idealne, by opisać stan, w jakim teraz się znajdowała. Zepsuto jej wieczór, zmuszając, by gnała na komendę i na już napisała artykuł na poranną jedynkę. Siedziała nad tym do późnej nocy, ledwie zdążając z tekstem, a teraz, ledwie kilka godzin później, z wrzaskiem kazano jej wszystko odkręcić i przeprosić na pierwszej stronie popołudniowego wydania, bo przecież nie można tak beztrosko rzucać cienia podejrzenia na szanowanego biznesmena! Bo znowu układy, układziki, ktoś się z kimś dogadał, ktoś kogoś przekupił lub postraszył prawnikiem i nagle to, co jeszcze kilka godzin temu było prawdą, teraz, wbrew faktom, przestawało nią być, ustępując miejsca nowej, oficjalnej

wersji i stosownym przeprosinom. Czasem zwyczajnie miała ochotę tym rzygać.

– Nie, Phill – powiedziała na głos. – Tylko trochę rozczarowana, ale praca to praca.

To akurat była prawda, niezależnie od tego, jak bardzo nie miała teraz ochoty kląć na naczelnego „Spokestad” Steva Garretta. Stary poczciwiec i niegdyś dzinnikarski wyga sporo zaryzykował, dając jej tę posadę w czasach, gdy reporterki i dziennikarki można było w tym kraju spotkać rzadziej niż czyste niebo nad Grimm. Do teraz zresztą, nawet mimo rzekomego wiatru zmian, nie pracowało ich w tym zawodzie za wiele. Większość była za słaba, żeby się przebić, a te, które wybrały drogę na skróty, traciły cały szacunek branży i nikt nie chciał już z nimi rozmawiać inaczej jak tylko w łóżku, przy wieńczącym zapłatę papierosie. A ileż można się kurwić za materiały i małą pensję, skoro wystarczyło przejść przecznicę i na tym samym zarabiać kilka razy więcej już bez złudzeń i oszukiwania samej siebie?

– Chcesz kawy?

– Tak, poproszę – odparła automatycznie. Znowu pochyliła się nad biurkiem i wyjęła dwa białe arkusze przełożone fioletową kalką. Omiotła tekst wzrokiem, ostatni raz, na szybko, i wstała. – Idę z tym do korekty, zaraz będę.

Nikt jej nie odpowiedział. Philla już nie było, a wszyscy inni zajęci byli swoimi sprawami. Siedzieli przy telefonach lub maszynach w swych maleńkich boksach ustawionych jeden obok drugiego, ze ściankami obwieszonymi zdjęciami rodziny, rysunkami dzieci czy wreszcie artykułami dokumentującymi dotychczasową ścieżkę kariery. Czasem zdarzało się zdjęcie jakiejś aktorki, uwodzącej pozą, gestem, grymasem…

Mogłaś zostać jedną z nich, myślała Palla Di Neve, idąc zielonym redakcyjnym chodnikiem hańby i ściskając w ręce swoje upokorzenie zapisane gęsto na kartce brudnej od kalki. Wszyscy jej przecież mówili, że z jej urodą zwojowałaby świat. Tyle że ona nie chciała babrać się w fikcji. No to teraz miała…

Zatrzymała się przy chyba najbardziej uroczym i zarazem infantylnym biurku w całej redakcji, w całości obwieszonym kolorową włóczką przybierającą kształt a to misiowatej serwetki, a to dziecięcych bucików, sweterków, szaliczków i czapek. Redaktorzy czasem nazywali to miejsce

Upslandią albo Sklepikiem i przychodzili tu, ilekroć zdarzało im się zapomnieć o prezencie na jakąś rodzinną uroczystość. Czasem nawet zamawiali u pracującej tu blisko sześćdziesięcioletniej Welmy coś konkretnego, a ona cieszyła się, że jej pasja na coś się przydaje. Z pieniędzy, jakie otrzymywała, kupowała włóczkę, a resztę przeznaczała na domy sierot.

Palla lubiła Welmę i podziwiała to, jak kobieta w tym wieku potrafiła się dostosować. Całe życie na wsi jako prowincjonalna nauczycielka, a tu nagle śmierć męża, sprzedaż domu, by spłacić długi, i przeprowadzka do syna, do miasta. Trzy lata wytrzymała, bawiąc wnuki i znosząc humory synowej, aż wreszcie ruszyła dzielnicami Grimm, rozglądając się za pracą. Tak trafiła tu, pod skrzydła Steve'a Garretta, i została jedną z korektorek. Opłaciło się. Los oszczędził jej artretyzmu i kłopotów ze wzrokiem, pracowała więc niezwykle szybko, a jednocześnie skrupulatnie. Od pięciu lat pozostawała z czystym kontem; nie przepuściła nawet jednej literówki, nie zgubiła choćby jednego przecinka.

To ostatnie, choć robiło wrażenie na wszystkich, nie każdego interesowało w równym stopniu. Palli jednak zależało. Chciała, by wszystkie jej teksty były formalnie czyste i schludne. Nawet ten.

Położyła oryginał artykułu na biurku, obok króliczka na ołówki, i cofnęła się o krok.

– Welmo…

Korektorka uniosła chudy, kościsty palec, po czym wodząc wzrokiem od jednej krawędzi kartki do drugiej doczytała artykuł, który akurat miała przed sobą. Z rozmysłem dokonała dwóch zakreśleń, po czym odłożyła ołówek. Dopiero wtedy opuściła palec i zwróciła swą wysuszoną, ale pogodną twarz w stronę dziennikarki.

– To jest to sprostowanie do porannego artykułu, tak? – zapytała. – Bardzo mi przykro, skarbie.

Palla wzruszyła ramionami i już miała odpowiedzieć, że niepotrzebnie, ale ręce same jej jakoś opadły, a dolna warga zadrżała. Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i zwalczyła ten moment słabości. Było już jednak za późno, by udawać, że nic się nie stało.

– Mnie też jest przykro, Welmo. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Staruszka skinęła głową.

– Herbaty?

– Phil robi mi kawę.

– Ach, Phill. – Welma uśmiechnęła się pod nosem. – Dobry chłopak. Gdyby tylko o siebie zadbał czasem.

– Co powiesz na „codziennie”?

Roześmiały się jak najlepsze przyjaciółki, którymi może nawet faktycznie były. Palla nigdy się nad tym nie zastanawiała. Do Grimm City nie przyjeżdżasz przecież szukać przyjaźni, tylko… Przyjaciół. Tych przez duże Pe. Takich, którzy cię ustawią, pomogą, ale kiedyś upomną się o zwrotną przysługę.

Dość, upomniała samą siebie. Robisz się cyniczna.

– Dobra, Welmo, pogadałabym, ale muszę iść – powiedziała. – Podobno jest do zrobienia materiał o jakiejś strzelaninie w Ciemnej Dolinie dziś w nocy i…

– Hank Jacoby tam pojechał – odparła korektorka. – Steve posłał go tam z samego rana, bo dostał cynk.

– Ach…

– No nie rób takiej smutnej minki. Czekaj, mam tu coś dla ciebie. – Welma sięgnęła po coś przez długość biurka i podała dziennikarce zrobioną na szydełku torebkę w kształcie czerwonego jabłka. – Tylko uważaj, to w środku to trucizna.

Palla zajrzała do wnętrza i zobaczyła ręcznie opakowane krówki od Lindtbergów. Z równych, prostokątnych kosteczek patrzyli na nią chłopczyk i dziewczynka – bliźniaki. Znowu się roześmiała.

– Jesteś najlepsza, Welmo. Jak zawsze.

Staruszka pokiwała głową.

Gdzieś na drugim końcu przestronnej hali trzasnęły drzwi, a potem rozległ się – obie poznały go od razu – donośny baryton Hanka Jacoby’ego:

– Wstrzymajcie się z drukiem. Mam tu jedynkę!

Palla i Welma wymieniły spojrzenia.

– Wątpię – stwierdziła korektorka. – Ale wiesz, jak to jest na tym świecie. Czasem Bóg zsyła nam nagłe zwroty akcji.

Dziennikarka ruszyła między biurkami, z całych sił starając się nie biec. Czyżby rzeczywiście jej się upiekło? Czy faktycznie sprostowanie poleci w głąb numeru? Pójść musiało, wiadomo, ale choć taki drobny gest…

Zastąpiła drogę Hankowi zmierzającemu do swojego biurka.

– Jedynka? – zarzuciła kpiąco, wiedząc, że tym go sprowokuje.

Hank, postawny chłopak z Południa, który wrósł w to miasto, jakby był naroślą na ciele olbrzyma, wyszczerzył się triumfalnie.

– A co? Di Neve, szykowałaś się? – zapytał.

– Wolę wydanie poranne. Wiesz, prestiż.

Trafiło prosto w tę zarośniętą szczękę, jednak Hank zaraz odzyskał rezon i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Kolejny taksówkarz, ale tym razem ofiara zbiegła, a zostali zamachowcy – zajawił, po czym poklepał się po kieszeni marynarki, gdzie rysowała się wypukłość w kształcie notesu. – I tożsamość tychże, choć na razie znana tylko policji, ponoć wyraźnie wskazuje na to, że…

Zrobił pauzę i postąpił krok, przysuwając się do Palli. Nie ustąpiła i wytrzymała bezczelne spojrzenie tak długo, że dał za wygraną i się cofnął.

– O tym przeczytasz na jedynce popołudniówki. I potem jeszcze pewnie na kolejnych – dokończył. – A teraz wybacz, mam do napisania tekst.

Minął ją i ruszył do swojego boksu. Już po chwili rozległ się stamtąd jednostajny stukot maszyny do pisania.

Palla przejechała dłonią po twarzy. Innym razem byłaby wściekła. Przeszedł jej koło nosa taki temat, bo pracowała w nocy i nikt nie obudził jej na czas? Teraz jednak czuła wyłącznie wdzięczność, że opowieść świata czasem sama reguluje ważność wątków.

Sięgnęła do trzymanego w dłoni jabłuszka i zakosztowała ze smakiem skrytej w nim trucizny.

***

Chwila, gdy obaj mężczyźni przyglądali się sobie w milczeniu, przeciągała się w nieskończoność. McShane stał zaraz za progiem, mrużąc oczy, ze zwieszoną głową i rękami wzdłuż ciała – wyglądał, jakby szykował się do bójki. Evans przeciwnie, siedział za biurkiem wyprostowany, z jedną dłonią na blacie, drugą niewidoczną, być może na kolanie, a może na kolbie małego rewolweru w skórzanej kaburze zamocowanej gdzieś na szafce. Był spokojny, tylko jego siwy wąs podrygiwał czasem w nerwowym tiku.

Alfie zajął miejsce możliwie na uboczu, w głębi pomieszczenia, pod tablicą łudząco podobną do tej znajdującej się w gabinecie McShane’a. Chyba nawet – nie mógł tego stwierdzić na pewno, za krótko się przyglądał – wisiały na niej te same zdjęcia i dokumenty, choć raczej

w innym rozstawieniu. Muzyk stał, patrzył i czekał. Miał nieprzyjemną świadomość, że właśnie marnują czas na jakieś personalne rozgrywki.

W końcu inspektor wstał. Nie odrywając wzroku od agenta, obszedł biurko i wyciągnął rękę. Tamten ją uścisnął.

– McShane.

– Evans.

– A wielebny to…

– Stary znajomy spod przykrywki.

Brew inspektora uniosła się lekko, podobnie jak kącik ust.

– Niezbadane są wątki księgi życia, jak widzę. Co was sprowadza?

– Morderstwo – odparł McShane.

Evans westchnął i potrząsnął głową.

– Nie rozumiesz. Co was sprowadza do mnie? – rozszerzył pytanie, kładąc bardzo mocny nacisk na dwa ostatnie słowa.

– Twoje morderstwo – wyjaśnił niezrażony McShane.

– Moje?

– A kto prowadzi sprawę Wolfa?

– Ja.

– Więc twoje. Mogę usiąść?

Evans wskazał mu wolne krzesło, a sam wrócił za biurko.

– Dla wielebnego niestety nie mam, ale zaraz poproszę Agnes.

– Postoję – odparł muzyk. – I nie jestem edytorem.

Inspektor nie pytał więcej. Usiadł, upił łyk kawy i wykonał gest zachęcający McShane’a do mówienia.

– Potrzebuję, żebyś zorganizował ekipę i pojechał ze mną… – zaczął tamten, ale Evans mu przerwał.

– Na razie jeszcze mam w dupie, czego potrzebujesz, McShane – rzekł spokojnie – więc może spróbuj inaczej…

Alfie dostrzegł, jak na pomarszczonej, surowej twarzy agenta wykwitają ciemnoczerwone żyłki. W dawnych czasach, gdy agent był jeszcze Robalem, zawsze kończyło się to mordobiciem. Teraz jednak mężczyzna zdołał się opanować. Na moment ukrył twarz w dłoniach i sapnąwszy głośno, spróbował jeszcze raz:

– Ten młody tutaj to Alfie Moore. Grał w Skowycie Duszy, gdzie ja… – Wykonał niesprecyzowany gest, w jego mniemaniu najpewniej oznaczający

pracę pod przykrywką. – Jego współlokator, Patrick Creswell, Mikrus, robił na taryfie i chłopak czasem go zmieniał. Na przykład wczoraj, kiedy…

– Widziałem zabójczynię podkomisarza Wolf… – wyrwał się Alfie, ale urwał natychmiast, spiorunowany spojrzeniami dwóch par oczu. Evans sięgnął do szuflady, wyjął papierośnicę i zapałki z przaśnie lubieżnym logo Zadziorki, innego klubu z Troll's Face. Poczęstował tylko Alfiego, który odmówił, po czym sam wsunął papierosa do ust.

– Zabójczynię? – zapytał.

Agent potwierdził.

– Jest tego więcej – dodał. – Nie tylko ją widział, ale to on ją tam przywiózł. Taksówką Mikrusa, który…

– Nie żyje, jak mniemam – dokończył Evans. Strzepnął popiół na brudny spodeczek i odkaszlnął.

– Alfie wrócił późnym wieczorem do domu. – McShane kontynuował opowieść zasłyszaną od muzyka. – I znalazł ciało w kuchni. Mikrus był torturowany, co znaczyło…

Evans parsknął i wypuścił kłąb dymu.

– Wiem, co to znaczy, McShane. Gdzie pan mieszka, panie Moore? – Skrzętnie zanotował odpowiedź i zaciągnął się papierosem. – To była zła noc dla tamtej okolicy – westchnął, znów wypuszczając dym. – Chwilę temu przyszedł raport o strzelaninie z udziałem taksówkarza i ludzi Thorniniego. Podobno tym razem poszło inaczej niż zazwyczaj, bo ofiara zbiegła, a napastnicy… Co, czemu robisz miny?

McShane wyszczerzył się i wskazał kciukiem na Alfiego.

– Ofiara – powiedział. – I oczywiście, że poszło inaczej niż zazwyczaj, bo tamto wcześniej to przecież nowy gracz, a… czekaj, powiedziałeś Thorniniego, prawda?

– Tak, mamy nazwiska. Znane typki, płotki. Skąd reakcja?

McShane zerknął na Alfiego, który zbladł tak, że prawie zrobił się przezroczysty.

– Może jednak chcesz usiąść, mały, co? – zapytał.

Muzyk bardzo powoli pokiwał głową, po czym po prostu osunął się po ścianie na podłogę. W takim kontekście nazwisko jednego z największych bossów przestępczego światka Grimm City było niczym wyrok. Niczym śmiertelna diagnoza. Niczym…

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Agnes, niosąc tacę. Widząc tylko dwóch mężczyzn, rozejrzała się.

– A wielebny co tam robi pod ścianą? – zapytała zdziwiona.

– Godzi się z losem – stwierdził McShane.

– Na podłodze?

– Bardzo złym losem – uzupełnił Evans.

Sekretarka jeszcze przez chwilę przyglądała się Alfiemu, po czym położyła tacę na biurku i ustawiła kawę przed McShane'em, a herbatę przed inspektorem. Sięgnęła też po jego brudny kubek.

– Jeszcze piję – zaprotestował Evans.

Cofnęła rękę.

– Może mu wody przyniosę? Albo, nie wiem, ciasta trochę. Dziewczyny upiekły…

– Nie, Agnes. Nie trzeba, dziękuję.

– Oczywiście. – Rozejrzała się po pomieszczeniu i westchnęła. – Ale długo tu panowie nie siedźcie, wywietrzyć muszę.

Wzięła tacę i wyszła. Evans zgniótł niedopałek w popielniczce i od razu sięgnął po kolejnego papierosa, ale się rozmyślił. Odwrócił krzesło tak, by lepiej widzieć Alfiego, po czym założył nogę na nogę i zachęcił go ruchem dłoni.

– No to opowiadaj, chłopie, teraz ty, w co się wpakowałeś. Od początku, może McShane coś pominął?

Alfie milczał. Patrzył tępo w parapet przed sobą i ciężko oddychał. Miał wrażenie, że wszystko to, co przydarzyło mu się do tego momentu, wróciło w jednej chwili i zacisnęło się niczym pięść – wielka czarna pięść Francisco Thorniniego – tuż nad jego głową. Zeszłej nocy wcale nie udało mu się przeżyć. On po prostu odwlekł to, co nieuniknione.

– Alfie? – rozległ się głos McShane'a. – Rozumiem, że się martwisz, ale to jeszcze nie koniec świata. Dla ciebie to nawet lepiej, bo z kim jak z kim, ale z Thorninim da się rozmawiać. Powiesz mu, co chce wiedzieć i…

Chłopak drgnął.

– Powiem? – zapytał słabym głosem.

– Pewnie. Czemu nie? – McShane wstał z krzesła, zrobił parę kroków i przykucnął przed Alfiem. Skrzywił się, gdy trzasnęło mu w kolanach. – Słuchaj, przecież ty w zasadzie niewiele wiesz, a jeśli ma ci to kupić

życie… Czasem tak się robi, czasem idzie się na kompromisy, no nie, Evans?

Inspektor burknął coś, co równie dobrze mogło być odpowiedzią twierdzącą, jak i zaprzeczeniem. McShane wziął to jednak za dobrą monetę i kontynuował:

– Gorzej, że zabiłeś tych jego chłopaków, ale to się akurat zwali na nowego gracza. Nie wyglądasz na takiego, co w pojedynkę dałby radę trzem żołnierzom.

W oczach Alfiego coś błysnęło – mała przelotna iskierka życia. Agent dmuchnął w nią, z nadzieją na większy płomień.

– Do tego czasu zostaniesz ze mną. Zaraz pojedziemy do twojego mieszkania zobaczyć zwłoki i zabezpieczyć ślady, a potem…

Evans sięgnął do telefonu.

– Agnes, połącz mnie, proszę, z technikami. Szykuje im się robota. – Odsunął na moment słuchawkę od ust i zapytał: – Kiedy znalazłeś te zwłoki, młody?

– Ze dwanaście godzin temu – odpowiedział za Alfiego McShane.

– Powiedz, że to śmierdząca robota – powiedział Evans i odłożył słuchawkę na widełki. Westchnął. – Jedziemy tam razem, jak rozumiem?

– Na to wygląda – zgodził się agent.

***

– Osiemnaście do dwudziestu godzin – stwierdził beznamiętnym głosem technik.

McShane przyglądał się ciału z pewnego oddalenia. Nie chciał wchodzić w drogę specjalistom, słodko-mdlący smród gnijącego ciała drażnił mu nozdrza nawet stąd, nade wszystko zaś zależało mu na złapaniu szerszego kontekstu. Zawsze w takich sytuacjach starał się sobie wyobrazić, gdzie stał zabójca, co robił, jak się zachowywał. Do tego potrzebny był mu obraz całej kuchni, a nie tylko denata.

Ten ostatni, nie zważając na zamieszanie wokół siebie, gnił. Coraz trudniej było go rozpoznać, bo bladożółta twarz – pozbawiona już nieomal rysów, jakby ktoś nałożył na nią i docisnął natłuszczony masłem kuchenny papier – spuchła i nadęła się niczym balon. Oczy zapadły się częściowo

w czeluści posiniałych oczodołów, koniuszek języka sterczał zawadiacko spomiędzy rozbitych warg i niechlujnie wykarczowanych dziąseł.

W licznych ranach, poczerniałych i połyskujących niczym osad na kałuży, kłębiły się już larwy. Robiły to żwawo i energicznie, tocząc zawzięty bój o miejsce w wąskim wąwozie nacięcia. Te przegrane wypadały, by wić się i skręcać na zagięciach zakrwawionej koszuli czy spodni.

Najgorzej wyglądał jednak nacięty czerep. Skóra opinająca czaszkę została odciągnięta wraz z włosami, ale niezdjęta do końca, jakby ktoś w ostatniej chwili się rozmyślił. A może właśnie wtedy dostał to, po co przyszedł?

Rój małych muszek, które obsiadły ranę, to przemieniał się w rozedrgany tupecik, to znowu, gdy technicy poruszali ciałem, wznosił się nieco, tworząc wokół głowy denata czarną aureolę podobną do tej, jaką na obrazach miał czasem Handlarz – główny adwersarz Bajarza.

Takiego to właśnie Mikrusa – już nie tylko trupa, ale demonicznego Pana Rozkładu – zobaczył chwilę wcześniej Alfie, który wszedł na rozpoznanie. I trudno było jednoznacznie powiedzieć, czy sprawiła to ta mroczna, religijna alegoria, czy może jednak odstręczający wygląd i smród czegoś, co około doby wcześniej było jeszcze jego współlokatorem, ale ledwie skinął głową, w żołądku mu się zagotowało i odwrócił się, by zwymiotować. Od tamtej pory niemal nieustannie rzygał w łazience, raz po raz spłukując wodę i dysząc ciężko jak po długim biegu.

– Przyczyna zgonu? – zapytał Evans najbliższego technika.

Ten, dzieciak jeszcze, biały na twarzy, jakby właśnie skończył zmianę w piekarni, spojrzał na niego bez zrozumienia. Evans już otwierał usta, by rzucić coś bardzo nieprzyjemnego, ale dostrzegł to McShane i w dwóch krokach wszedł między chłopaka a inspektora.

– Nowy, co? – zapytał, kładąc technikowi rękę na ramieniu. Spojrzał mu prosto w oczy, jakby próbował wyczytać w nich odpowiedź na zadane pytanie, a może i kilka kolejnych. – Chodzi o to, który z tych wszystkich ciosów go zabił. Jeżeli w ogóle któryś konkretny.

Na twarzy chłopaka rozbłysnęło zrozumienie. Chciał odpowiedzieć, ale agent puścił już jego ramię i odwrócił się do Evansa.

– Chcesz odpowiedzi, to tam masz Kilinskiego. – Wskazał głową siwego głównego technika badającego właśnie zaciek krwi przy listwie podłogowej

na drugim końcu wąskiej kuchni. – A nie się nad chłopkiem-roztropkiem znęcasz. Kilinski, tak w ogóle to co ty tam robisz?

– Na pewno nie wpierdalam się innym w robotę, póki nie skończą – odparł technik. Jeszcze przez chwilę coś tam gmerał wąskim metalowym narzędziem przypominającym pilnik do paznokci. Wreszcie podniósł się do klęczek, przeciągnął i dopiero wtedy odwrócił. – No, już. Byłem ciekaw, gdzie się podziało gówno.

– Gówno? – Evans z McShane'em wymienili zdumione spojrzenia.

– No gówno, gówno. – Technik wstał, zdjął z rąk gumowe rękawiczki i wcisnął je do tylnej kieszeni spodni. – Popatrzcie na siebie. Jeden gnuśnieje za biurkiem, drugi pedali się z jaśnie księciem w Stolicy, to pozapominali. Kiedyś byście, kurwa jego mać, nie zadawali głupich pytań! Jakie gówno, też coś!

Przerwał, wyraźnie nie zamierzając zniżyć się do wyjaśnienia. Nie musiał jednak, bo nagle Evans stuknął się notesem w czoło.

– No tak, gówno! – zawołał. – Wypróżnienie w momencie zgonu.

Technik rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, jakie to proste?". Następnie pogładził palcem wskazującym swą siwą brodę i zaraz, odwróciwszy się, tym samym palcem wskazał na miejsce, które jeszcze przed chwilą badał.

– Tam są ślady po szmacie albo mopie – powiedział. – Krew jest rozmazana, czuć w niej zarówno detergent, jak i odchody. Ktoś tu mył podłogę, ale niespecjalnie przejmował się krwią, a właśnie gównem. Podobnie jest zresztą z ciałem. Zobaczcie…

Podszedł do ciała i wskazał ręką na nabrzmiały, opuchnięty brzuch i linię poniżej.

– Ma rozpięty pasek i częściowo zsunięte spodnie. W pierwszej chwili myśleliśmy, że chodziło o coś związanego z seksem, ale nie. Oni…

– Opuścili mu spodnie, zanim się posrał, i podtarli tyłek – dokończył za niego McShane.

Evans zmarszczył czoło.

– No dobra, ale po chuj w zasadzie…

– Nie mam pojęcia! – Kilinski rozłożył ręce.

McShane natomiast zmarszczył czoło, po czym podszedł do zwłok i pochylił się nad napuchniętą twarzą tak nisko, że przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał Mikrusa pocałować. Przyglądał się przez moment

nosowi, obmacał go na zgrubieniu, wreszcie kucnął i odchylił lekko głowę Mikrusa, po czym spojrzał od dołu.

– Twoje pytanie, Evans – powiedział, wstając – to o przyczynę zgonu. Nasz chłopak ma ją głęboko w nosie. Dosłownie. – Zaśmiał się, ale widząc, że nikt mu nie wtóruje, odchrząknął i wyjaśnił pokrótce: – Dzieciak ma w nosie gwoździa wbitego tak, by przebił mózg, a jednocześnie by nie rozwalić całego nosa.

– A wiedziałeś to, bo? – zapytał Kiliński.

– Bo pedalę się w Stolicy – zadrwił McShane, po czym przeniósł wzrok na Evansa. – Muszę stąd zabrać Alfiego, bo mi wyrzyga flaki. Jeżeli chcesz, możesz iść z nami, to ci powiem, co i jak. Przysługa za przysługę.

Inspektor schował notes do kieszeni.

– Potrzebuję dokładnego raportu dzisiaj, Kilinski – zwrócił się do technika. – Daj go Agnes, jeśli nie będzie mnie w biurze.

Rzucił przelotne spojrzenie spłoszonemu chłopakowi, którego wcześniej pytał o przyczynę zgonu.

– I doszkol personel z łaski, kurwa, swojej.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na korytarz.

– Co mu? – zapytał technik McShane’a.

Ten wzruszył ramionami.

– Szczęśliwie już od dawna nie mój problem – odparł. – Co do sprawy, podeślę ci potem parę tytułów do poczytania na wieczór, jak będziesz chciał. Nigdy nie jesteś za stary na nową wiedzę.

– Pierdol się, McShane.

– Agencie McShane, Kilinski. I pozdrów ode mnie Clarę i dzieciaki.

– Jasne.

***

Zanim McShane wyprowadził osłabionego Alfiego z domu, kazał mu się przebrać i spakować do walizki trochę rzeczy na zmianę. Następnie, gdy już znaleźli się na ulicy, zapytał go o jakieś nie za drogie miejsce w okolicy, gdzie będą mogli coś zjeść, napić się i pogadać. Owo „nie za drogie” rozbawiło muzyka, a na jego pozieleniałej twarzy pojawiło się coś na kształt smutnego, gorzkiego uśmiechu.

– To Ciemna Dolina – powiedział. – Tu „nie za drogie” musiałoby oznaczać za darmo. Kuchnia czarnoziemska może być?

McShane’owi pasowało, Evans miał gdzieś, co zje. Paląc kolejnego już papierosa, szedł zamyślony i składał w myślach elementy układanki.

Alfie poprowadził ich do Pallazo, małego lokalu wciśniętego między remizę strażacką a sklep ze starociami. Wszedł do lokalu pierwszy, ale ledwie przestąpił próg, zapach sprawił, że znowu zebrało mu się na mdłości. Cofnął się, odwrócił i zgiął wpół. Szarpnęło nim raz i drugi, ale od dawna nie miał już czym zwymiotować, skończyło się więc na suchym kaszlu i kilku łapczywych oddechach.

Agent i detektyw zostawili go tam, a sami weszli i skierowali się do baru.

– Specjalność zakładu trzy razy i coś do picia – polecił McShane, wiedząc, że w każdym lokalu w Królestwie pod ową uniwersalną nazwą kryło się coś świeżego i możliwego do podania w miarę szybko. Za dawnych czasów zawsze tak z Evansem zamawiali i teraz też inspektor nie wyraził sprzeciwu.

Zajęli miejsce przy stoliku pod oknem, z dala od kontuaru i stojącego za nim właściciela, znanego Alfiemu z widzenia. Klientami nie musieli się przejmować, bo poza nimi w wąskim, podłużnym lokalu, przywodzącym na myśl wypełnioną stolikami przeszkloną uliczną kładkę, nie było zupełnie nikogo.

Detektyw zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku, następnie wsunął się za stół i przez chwilę przyglądał stojącemu na zewnątrz Alfiemu.

– Dobra, mów – warknął zniecierpliwiony Evans.

Agent skinął głową, ale nadal milczał, opuszkami palców muskając czubki wykałaczek sterczących w małym kubeczku obok serwetek. Nie odezwał się, dopóki nie dołączył do nich zmaltretowany Alfie.

– Zamówiłem dla ciebie – powiedział, jakby to właśnie była kluczowa sprawa i dopiero teraz mógł przejść do innych kwestii. Zaczął od pytania: – Jakie mieliście skojarzenie, gdy po raz pierwszy zobaczyliście obrażenia na zwłokach?

Alfie uniósł umęczone spojrzenie, jakby prosił, by choć w ten sposób się z nim nie droczyć, choć to mu darować. Evans przez chwilę się nie odzywał, zakładając, że to pytanie retoryczne. Gdy jednak chwila ciszy się przeciągnęła, zatoczył dłonią kółko.

– No dzicy, jakieś dawne rytuały… no i?

– Nie dzicy. – Wyszczerzył się McShane. – Rdzenni. Szlachetny lud zamieszkujący tę ziemię, nim wolą Bajarza przybył tu łowca przygód, Król Ojciec i…

– Musisz, McShane? Naprawdę musisz?

– Trochę muszę, bo… O, dziękuję. – Poczekał, aż właściciel lokalu, najwyraźniej pełniący również funkcję kelnera, rozstawi napoje i rozłoży sztućce, a potem oddali się za kontuar. – No, w każdym razie tak. Chodzi o dzikich. Dla korony ostatnio stanowią oni nie lada problem, bo część plemion dogrzebała się na swych skrawkach ziemi do umarlaków takich jak ten tutaj – postukał nogą w podłogę – i zbiła szybki majątek na wydobyciu giganciej ropy. Są tacy, którzy twierdzą, że lepszej niż tutejsza, bo niewywołującej fossilii, ale to akurat bzdura. Ten syf ma w sobie każdy, kto choć raz odetchnął oparami krwi jakiegokolwiek olbrzyma i kiedyś…

– Mógłbyś do rzeczy? – warknął coraz bardziej zniecierpliwiony Evans.

McShane przerwał, upił wody, po czym klepnął Alfiego w plecy.

– Ty też pij. Odwodniony daleko nie uciekniesz.

Muzyk posłusznie podniósł szklankę, a agent podjął przerwany wątek:

– Chodzi o to, że ci dzicy za zarobione pieniądze powynajmowali starowiernych prawników, a ci wiesz, jacy są. Gdy trzeba, z własnej matki ostatnie pieniądze wyduszą. No i zaczęła się batalia o odzyskiwanie ziemi, a król potrzebował arsenału. Oczywiście dostarczyć go mieli… jego rodzony brat i zaprzyjaźniony senator. I tak każdy pieprzony agent NS dostał do zapoznania się księgę plemion i rzeczy, na które powinien być wyczulony. Taki, rozumiecie, zbiór haków, pod płaszczykiem tego, że Szlachetni powinni dbać o poszanowanie kultur na terenie całego Królestwa. A żeby szanować, trzeba znać.

Znowu przerwał na łyk wody, a potem zawiesił się na moment, patrząc przez okno na dzieciaka roznoszącego południówkę. Chyba „Herolda”, ale z tej odległości trudno było stwierdzić.

– No więc uczyliśmy się o tych, ekhem… kulturach. O rytualnych śmierciach, o kanibalizmie, seksualnym wyuzdaniu i koślawych, dziwacznych bogach. Po lekturze tej broszurki to aż się człowiek zastanawiał, czemu nie wycięliśmy tych wariatów w pień. Albo, to już bardziej serio, czemu nikt nikogo za jej napisanie nie pozwał. W każdym razie…

Nastąpiła kolejna pauza, tym razem dłuższa, bo właściciel lokalu zjawił się już z jedzeniem. Ustawił przed każdym z mężczyzn miseczkę klopsów w gęstym bladopomarańczowym sosie i spory talerz prażonej fasoli. Giął się przy tym, skręcał i uśmiechał, jakby obsługiwał samą rodzinę królewską. Zaraz jednak uśmiech spełzł mu z twarzy.

– Coś nie tak? – zapytał, wyraźnie zaniepokojony, gdy Alfie na widok posiłku tylko stęknął.

– Nie, w porządku – mruknął Evans. – Wszystko w porządku. Może pan?

Właściciel lokalu wycofał się rakiem, a mężczyźni zabrali się do jedzenia. Inspektor i agent szybko, niemal łapczywie, muzyk niechętnie, dziobiąc fasolę widelcem jak kapryśne dziecko.

– I było tam, w tej broszurce, takie plemię, szczep właściwie – mówił dalej McShane. – Nazywali się Shorouki. Dziwaczni goście, ale jak na dzikich mocno swego czasu rozwinięci. Wierzyli, że ich przodkowie walczyli ze skrzydlatymi postaciami o niezwykłych mocach, bardzo wyrafinowanymi i okrutnymi. Podobno te istoty jednego ich wodza, mężczyznę imieniem Newegwasu’u, przybiły kiedyś do drzewa długimi, metalowymi gwoździami i zostawiły tam, aż wyzionął ducha po długich dniach i nocach cierpienia. Jego wojownicy oczywiście zapowiedzieli zemstę i wykosili skrzydlatych jednego po drugim, każdemu wbijając w nos jeden z owych gwoździ z ciała ich wodza.

– Dlaczego w nos? – zapytał nagle Alfie, jakby się ocknął.

– I ilu było tych skrzydlatych? – chciał wiedzieć Evans.

McShane nabił na widelec klopsa, podniósł go przed oczy i patrzył przez chwilę, jak kulka mięsa osuwa się powoli po zębach sztućca.

– Ilu ich było, nie wiem, ale jeżeli pytasz, skąd aż tyle gwoździ, to pewnie się namnożyły. W tych religijnych pierdołach zawsze się coś cudownie namnaża, patrzysz czy nie patrzysz. Co się natomiast tyczy tego nosa… nie wiem, Alfie. Coś tam było o tym, że ich czaszki były twarde, a skóra niewrażliwa na cięcia. Z drugiej strony podobno ten Newegwasu’u kiedyś poderżnął gardło iluś tam skrzydlatym, kiedy spali. Znowu, to religia. Nie oczekuj konsekwencji czy logiki.

Chapsnął klopsa na jeden kęs, po czym szybko nałożył na widelec trochę fasoli. Wrzucił do ust, ledwie przełknął mięso i przewrócił oczami z satysfakcją.

– Dobre, cholera, naprawdę dobre.

– Gówno? – wtrącił Evans i zaraz zrobił taką minę, jakby rzucał agentowi wyzwanie: powiedz głupi żart, a wbiję ci widelec w oko.

McShane najwyraźniej zrozumiał, bo odpowiedział całkiem poważnie:

– Skrzydlaci krwawili, a jakże, ale najwyraźniej nie puszczały im zwieracze. Nie wiem czemu. Pewnie chodziło o to, że byli istotami nadprzyrodzonymi, a takie to jak księżniczki i dupeczki z rozkładówek nie srają. Shoroukim nie wolno zabijać ludzi, za to mają pełną swobodę, by wykańczać skrzydlate nasienie. Więc to sprzątanie to taki rytuał, czy też, jak wolisz, oszukiwanie bogów. Nie ma gówna, znaczy to nie był człowiek.

Evans zamyślił się, po czym odłożył sztućce, sięgnął po notes i przez chwilę coś w nim notował. Raz tylko podniósł głowę, by zapytać, jak się pisze Shorouki. McShane zapytał go w odpowiedzi, czy wygląda jak jebany słownik. Wreszcie, gdy skończył, wstał, dopił wodę, pogrzebał w kieszeni, rzucił na stół banknot pięciodijmarowy.

– Dobra, posprawdzam parę rzeczy – powiedział. – Rozumiem, McShane, że na razie pracujemy nad tym razem, tak?

Agent wzruszył ramionami.

– Chcesz czy nie, na to wygląda. Jak dotąd twoja sprawa to jedyny trop do mojej, więc…

– Dobrze. – Evans pokiwał głową. – To wpadnij później, może będę coś miał. Pomyślimy też, co z nim.

Brodą wskazał na Alfiego, który wciąż dłubał widelcem w niemal nietkniętym posiłku.

– Jasne, wpadnę. – McShane zmarszczył czoło, jakby opadła go nagła wątpliwość. – A, Evans, miałem pytać już u ciebie w biurze, ale mi wyleciało. Po co właściwie ściągaliście wieczorem tego bogatego tłuściocha?

– Dragosavalija? – Evans machnął ręką. – Wynajmował mieszkanie Wolfowi i robił z nim jakieś interesy, więc Albero kazał go ściągnąć i przesłuchać. Pokazówka pod media, że niby nikt nie jest bezkarny i każdy…

– A wiesz, co to za interesy? – przerwał mu detektyw. – I czy mogę wpaść na następne przesłuchanie?

Inspektor potrząsnął głową.

– Nie będzie kolejnych, faceta już oczyścili z podejrzeń. Zresztą po co ci z nim gadać, skoro trop prowadzi już zupełnie inną drogą? Thornini, ci

dzicy… mało ci?

– Zawsze mało, aż do rozwiązania. – McShane westchnął i nabił na widelec kolejnego klopsa. – A tu musi być coś na rzeczy, że zareagowali tak sprawnie. No i nie lubię takich nadętych, bogatych dupków i tego, jak łatwo i szybko się ze wszystkiego wyplątują.

– Wkurwiają cię, co? – zapytał z krzywym uśmiechem Evans. – Dobra, to do później.

McShane pomachał mu brudnym od sosu widelcem.

Przez chwilę on i Alfie jedli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

Za oknem grupa dzieciaków grających w szmaciankę została przegoniona przez bandę chłystków, którzy zalegli na schodkach przy kamienicy naprzeciw. Barwy mówiły jednoznacznie, że należą do Owieczek, być może byli to nawet ci sami, których Alfie widział zeszłej nocy, jadąc taksówką.

– Zależy panu na tym, agencie? – zapytał w końcu muzyk.

Powiedział to tak cicho i niepewnie, że w pierwszej chwili McShane nawet się nie zorientował, że mówi do niego. Gdy to do niego dotarło, odwrócił się i przyjrzał muzykowi. Chłopak już rano nie wyglądał za dobrze, teraz jednak przypominał cień samego siebie. Wymięte ubranie wisiało na nim jak na szatnianym wieszaku, włosy miał w nieładzie, a ciemne sińce pod oczami kontrastowały z bielą zapadniętych policzków.

– Mów mi McShane, dobra? Będzie prościej – powiedział. – I co masz na myśli, mówiąc „tym”?

Alfie odłożył widelec i otarł usta chusteczką.

– Chodzi mi o rozmowę z Dragosavalijem – wyjaśnił. – Jeżeli to naprawdę ważne, to… no, sam pan wie, skąd miałem te swoje pieniądze. W zasadzie niczego jeszcze nie odwoływałem i… może dałoby się coś zrobić. Oczywiście nieoficjalnie, ale robiłem już kiedyś taki numer, choć z innych powodów i… No, działało.

Brew McShane’a powędrowała w górę.

– I mówisz, że mógłbyś mnie wkręcić na to przyjęcie? Jak?

– Jest kilka sposobów. – Alfie wyciągnął rękę, tak jakby miał owe sposoby na dłoni i właśnie szykował się, by je zaprezentować. – Najprostszy wymaga od pan… znaczy od ciebie odpowiedzi na dwa bardzo ważne pytania.

– To znaczy?

– Jesteś znany? W sensie: rozpoznawalny?

McShane zastanawiał się chwilę.

– Chodzi ci o to, że jak Wolf? Nie. Może mnie znać trochę osób na Podpaszce, bo dawno temu tam pracowałem, może ktoś na komendzie z dawnych dni.

– A jako agenta?

McShane uśmiechnął się gorzko.

– Sam widziałeś, jak to działa. Nawet na komendzie mało kto się orientuje, a biura oficjalnie jeszcze nie ma.

Alfie dziabnął widelcem fasolkę. Milczał tak długo, że agentowi zdawało się, że już się nie odezwie. W końcu, nie podnosząc wzroku, zapytał cicho:

– A umiesz śpiewać, McShane?

Rozdział 7

Evans dojeżdżał już do komendy, gdy nad miastem rozryczały się syreny. Zaklął. Wiedział, co to oznacza. Taksówka karnie zjechała do krawężnika, a kierowca sprawdził okna z przodu i poprosił inspektora o zrobienie tego samego na tylnym siedzeniu.

– Szczelne – odparł Evans, a kierowca westchnął.

– Majątek człowiek wydaje na te filtry, mówię panu, to nie jest normalne.

Policjant skinął głową, choć w zasadzie się nie zgadzał. Patrzył przez okno na cały ten tłum ludzi, którzy w pośpiechu, choć bez paniki, szukali teraz bezpiecznego schronienia czy to w sklepach i budkach telefonicznych, czy w dających się zamknąć bramach, i nie mógł się pozbyć wrażenia, że, przynajmniej chwilowo, to właśnie jest norma. Cena postępu.

Nazywano to zjawisko efektem wulkanu i choć miało też swoją oficjalną nazwę, nikt jej w zasadzie nie używał, bo potoczna była prostsza i pasowała lepiej. Byli też tacy, co nazywali nagły wyrzut kopalnianego pyłu w powietrze „pierdnięciem z Doliny Mgieł” – do nich należeli ci, którzy nie dali się przekonać władzom, że efekt to w zasadzie mniejsze zło.

Z tego, co inspektor rozumiał, a nigdy tak naprawdę nie zagłębiał się w temat, chodziło o jakieś uwięzione w zastygłej giganciej ropie bąble gazowe. Wcześniej górnicy dłubiący w tunelach żyłowych pod miastem natykali się na taki i tracili mnóstwo czasu, a często i życie, próbując stopniowo, powolutku zmniejszyć ciśnienie w bąblu, a następnie zupełnie go zneutralizować. Gdy się udawało, wznawiali pracę i kończyło się na opóźnieniach i wynikających z tego ogromnych stratach finansowych. Gdy coś szło nie tak, drgały szyby w pobliskich sklepach, czasem przerywało jakąś rurę pod brukiem albo komuś ze ściany spadał obrazek, a pod ziemią grupa górników nie musiała się już nigdy więcej martwić skutkami postępującej fossilii. Eksploatowana żyła na jakiś czas stawała się niedrożna, śledztwo biura bezpieczeństwa pracy ciągnęło się pokazowo, a straty, przy tak wysokim zapotrzebowaniu na ropę, szły nieraz w miliony.

Długo myślano, jak sobie z tym problemem poradzić. Ostateczne rozwiązanie zmniejszyło śmiertelność i, co ważniejsze, koszty dla koncernu Grumliga, ale jednocześnie przeniosło ciężar niedogodności na mieszkańców. Teraz, gdy wykryto bąbel, górnicy dostawali dodatkową, płatną, przerwę na kawę czy papierosa, a specjalna ekipa instalowała nad tunelem urządzenie zwane smokiem i uruchamiała je na umówiony sygnał. „Smok” dokonywał zabiegu pospolicie zwanego punkcją: w wyznaczonym miejscu przebijał się przez kilka warstw ziemi i wchodził w bąbel i zasysając jego zawartość, po czym – to jedyne, co nieznający się na rzeczy Evans wiedział na pewno – niczym wulkan wyrzucał w powietrze pchane gazem tony drobnego, czarnego pyłu, który niesiony wiatrem i mocą potężnych dmuchaw rozmieszczonych w całej okolicy na koszt koncernu unosił się nad miastem, by wreszcie osiąść gdzieś na wodzie lub plonach.

To właśnie odszkodowania dla rybaków i rolników, a także rosnące koszty ponoszone na rzecz choć powierzchownego oczyszczenia miasta, sprawiały, że nowy burmistrz i jego rada mocno rozważali odejście od „smoków” i przywrócenie dawnego porządku. Gdy bowiem łapówki przestały wystarczać, by Rada Miasta przymykała oczy, dokonano stosownych obliczeń. I nagle okazało się, że życie każdego ocalonego górnika, na które się powoływano, wdrażając program, kosztowało miasto majątek. I choć nie powiedziano tego głośno, wszyscy wiedzieli, że żadne życie nie jest warte aż tyle.

– Ma pan coś do czytania? – zapytał z troską kierowca. – Wie pan, włączyłbym radio, ale w tym syfie…

– Nie trzeba, dziękuję – odparł Evans, nie odrywając wzroku od szyby i wpatrując się w te wszystkie kolorowe płaszcze i kurtki…

Czuł, jak z każdą chwilą narasta w nim gniew. Na postój, na kopalnie i efekt wulkanu, który zatrzymał go w tym miejscu, na środku ulicy w środku dnia. Nade wszystko jednak był to gniew na owe mniej lub bardziej elegancko skrojone ceratowe błękity, granaty, turkusy, zielenie, żółcie, burgundy, purpury i inne odcienie, których nawet nie umiał nazwać. Nie pamiętał. Gdzieś mu tam raz czy drugi mignęło w jakimś sklepowym katalogu czy na plakacie, ale przecież nie przywiązywał do tego takiej wagi, by zapamiętywać.

Całą tę wielobarwną hałastrę ślepo podążającą za modą na kolory miał zresztą, w zależności od nastroju, albo za stado potulnych, karnych owiec,

którym co powiesz, to zrobią, albo za bandę hipokrytów. Chcesz mieszkać w brudnym, zaropiałym i czarnym mieście Grimm? To noś się, kurwa, w jego barwach! Śmierdź jak ono, a nie mam, nie oszukuj ludzi wokół, fałszywych jak ty, zapachem kwiatów, cytrusów czy Bajarz wie czym jeszcze. Grimm City lepi się od tłustych czarnych kropel! Między jego budynkami niemal nieustannie wirują płatki czarnego śniegu, a powietrze jest ciężkie i naznaczone śmiercią!

– Jakby pan chciał – odezwał się znowu taksówkarz – to mam tu jakieś broszurki. Jacyś epizodyści zostawili, a nie zdążyłem wyrzucić. Większość to, za przeproszeniem pana szanownego, jakieś tam religijne pitolenie, ale są też dowcipy, krzyżówka i takie historie z życia wzięte, co to…

Evans sięgnął do kieszeni po portfel.

– Wie pan co? Ja się chyba jednak przejdę – powiedział. Zerknął na taksometr i odliczył stosowną kwotę.

– Panie, teraz?! Jak zaraz, za przeproszeniem szanownego pana, pierdolnie, to…

– Zaryzykuję. – Inspektor podał mężczyźnie pieniądze, otworzył drzwi i wysiadł.

Drobinki pyłu zaatakowały natychmiast, wdzierając się w nozdrza i pod powieki, więc schylił głowę, zmrużył oczy, a nos i usta zasłonił dłonią. Wiatr wzbierał powoli, ale trudno było stwierdzić, dokąd je poniesie. Tu, na dole, między budynkami dęło zwykle w każdym kierunku.

Evans szedł chodnikiem, starając się trzymać środka, tak by nie obijać się raz po raz o sklepowe drzwi i nie kluczyć między krzywo zaparkowanymi samochodami. Kto bowiem z kierowców mógł, zjechał na pobocze. Inni, nieliczni, albo próbowali bezczelnie wykorzystać nagły prześwit, albo po prostu zaciągali hamulec tam, gdzie stali. Co z tego, że na środku? Włączali światła i cześć.

Kobieta z wózkiem, która właśnie przecinała Evansowi drogę, zatrzymała się i obejrzała.

– No już, Edgarze! – zawołała, przekrzykując syreny, do kilkuletniego chłopca ściskającego w rękach drewnianą lokomotywę. – Jak się nie pospieszysz, to nadejdzie mgła.

– Nie boję się mgły – odkrzyknął chłopiec.

– I ten pan cię zabierze – kobieta wskazała kciukiem na Evansa, a ten zaśmiał się w duchu i ominął ją i wózek szerszym łukiem.

– Pana też się nie boję – odparł głośno rezolutny malec i inspektor, jeszcze bardziej rozbawiony, pomyślał, że może warto sobie zapamiętać twarz chłopca, bo w tym mieście policji nie bali się tak naprawdę tylko przestępcy i ich politycy. Kto wie, na kogo mały Edgar wyrośnie w przyszłości.

Powietrze gęstniało. Przestrzeń nad ulicą z każdą chwilą coraz bardziej przypominała starą sfatygowaną fotografię, poszarzałą, ziarnistą, rozmytą. Do nosa wraz z pyłem wdzierał się gorzkawo-metaliczny zapach giganciej ropy. Lada chwila wiatr się wzmoże, a wtedy popiół i pył zastygające na ścianach budynków zaczną się odklejać płatami niczym źle położona elewacja. Lada chwila strzępy czerni wznosić się będą ku dachom wieżowców i wyżej lub wirować nisko nad ulicami. „Latawce znad zgliszczy”, śpiewał kiedyś… ten, jak mu tam… ten od *Ponurego miasta Grimm*.

Syreny umilkły i na moment na ulicy zapanowała cisza. Evans przystanął, powiódł wzrokiem wokoło i pomyślał, że takie miasto – na chwilę przed nastaniem sztucznej nocy, szare, puste, milczące – nawet lubi. A potem rozległ się głośny klakson czerwonej półciężarówki, facet w seledynowej kurtce stojący po drugiej stronie ulicy zaczął się drzeć na sklepikarza, który zamknął drzwi swojego przybytku, a w zamykanym właśnie kiosku zaczęło głośno trzeszczeć radio barwy…

Chuj wie jakiej, pomyślał Evans, czując, że gniew wraca. Kolorowy, kurwa jazgot!

Przyspieszył.

***

Wchodząc do komendy, rozważnie wybrał boczne wejście dla personelu. Idąc wąskim, przeszklonym korytarzem, widział ściśnięty tam tłum ludzi skrytych przed pyłem – szczęściarze zajęli ławki dla petentów, inni siedzieli na podłodze, pod filarami lub przy pustych tego dnia biurkach. Mimo ścisku, harmidru i wszystkich tych barw, od których można było dostać oczopląsu, oficerowie dyżurni wciąż starali się wykonywać swoją pracę i przyjmować zgłoszenia. Evans zastanawiał się, ile z tych ostatnich było faktycznymi doniesieniami o krzywdach, a ile powstało teraz, z nudów i na

poczekaniu, bo ileż można siedzieć pod ścianą na zimnej, kamiennej posadzce.

Dotarł do windy, skinął głową windziarzowi, pyzatemu chłopakowi imieniem Billy czy Bobby i wcisnąwszy się w kąt, pochylił się, opierając ręce na udach, po czym parę razy odetchnął głęboko.

– Coś nie tak, inspektorze? – zapytał głęboko zdziwiony windziarz.

– Coś? – odparł Evans. – Dam ci piątaka, jeśli powiesz mi, co z tym popieprzonym miastem i światem jest w porządku.

Chłopak zaśmiał się cicho.

– Też tak mam, jak idzie… czasem to tak czuję, wie pan, jakby mi to czarne myśli oblepiało.

Winda zatrzymała się, dzieciak odsunął kratę i Evans wyszedł. Niemal od razu wychwycił spojrzenie Agnes, mówiące, że powinien zawrócić, ale winda już odjechała, a stojący przy biurku sekretarki wysoki, elegancki mężczyzna zdążył się odwrócić. Czekał cierpliwie, aż Evans podejdzie, po czym ukłonił się lekko.

– Pan inspektor, nareszcie – powiedział jednostajnym, pozbawionym emocji głosem. – Mortimer Schreck.

Wyciągnął rękę, a inspektor uniósł swoją, jak się okazało, brudną od sadzy i pyłu. Nie cofnął jej jednak, tylko czekał, co zrobi tamten. Schreck uścisnął ją bez wahania.

– Jestem tutaj z polecenia pana Dragosavalija – powiedział. – Czy możemy na słówko?

– Proszę.

Mężczyzna zawahał się.

– Czy możemy… w pana gabinecie?

– Nie – rzeczowo i stanowczo odparł Evans. – Proszę, w czym mogę panu pomóc?

Mężczyzna rozejrzał się i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął południowe „Spokestad”. Rozłożył gazetę na biurku, przeprasował rękawem i odsunął się o krok, by zarówno Evans, jak i Agnes mogli zobaczyć materiał z pierwszej strony – rzekomo przełom w sprawie zabójstw dokonywanych na taksówkarzach. Nagłówek głosił: *Starzy gracze podejmują grę?*.

– Mój pracodawca poszedł państwu na rękę, zjawiając się tutaj wczoraj i udzielając wszelkich wyjaśnień – powiedział, uśmiechając się drapieżnie

i raz po raz odsłaniając proste, ostre zęby. To denerwowało inspektora jeszcze bardziej nawet niż irytująco spokojny ton czy dobór takich, a nie innych słów. Schreck wyglądał jak warczący pies. – Dobre imię pana Dragosavalija zostało narażone na szwank i komisarz Albero zapewnił, że jeżeli podejrzenia się nie potwierdzą, to w wydaniach południowych wszystkich…

– Czy ja wyglądam jak inspektor Albero? – wszedł mu w zdanie Evans.

– Słucham?

– To przez wąsy, one wprowadziły pana w błąd… Mort?

Schreck natychmiast zmrużył oczy.

– Nie wydaje mi się, żebym pozwolił panu na taką poufałość, inspektorze Ev…

– A mnie się nie wydaje, żeby pańska tutaj obecność była w ogóle legalna, Mort. Przychodzi pan do mnie, żeby wymusić na mnie interwencję w redakcji szanowanego dziennika, powołując się przy tym na rzekomą rozmowę z wysokim oficerem policji, który zapewnił podejrzanego, że wszystko rozejdzie się po kościach? To chce pan powiedzieć?

Zaczął ostro, ale z każdym kolejnym zdaniem ściszał głos i studził emocje, tak że pod koniec mówił już zupełnie normalnie, a nawet z pewnym rozbawieniem.

Schreck spokojnie dał mu skończyć, po czym z miną, jakby właśnie zagrywał ukrytego w rękawie asa, powiedział:

– To właśnie komisarz Albero mnie do pana przysłał. Powiedział, że pan odpowiada za śledztwo i z pewnością zajmie się tym niedopatrze…

– Mam głęboko w dupie, co powiedział panu Wąsica. – Evans rozłożył ręce w geście udawanej bezradności. – I mówiąc szczerze, mam też gdzieś dobre imię pańskiego klienta. Jest podejrzanym w mojej sprawie i…

– Był – poprawił go Schreck.

– Jest podejrzanym w mojej sprawie – powtórzył Evans z naciskiem – i dopóki ja ją prowadzę, to dobro śledztwa będzie dla mnie najwyższym priorytetem.

Mortimer Schreck przez dłuższą chwilę przyglądał się inspektorowi w milczeniu, jakby chciał go sobie naprawdę dobrze zapamiętać. Wyglądał na takiego – na gościa, który zapamiętuje, a potem przyczaja się w ciemnym zaułku, by domknąć sprawę.

– Dopóki pan ją prowadzi – powtórzył w końcu za Evansem. A potem znowu uniósł górną wargę, błysnęły ostre zęby. – Może tak. Może to właśnie jest rozwiązanie, bo inaczej się chyba nie dogadamy.

– Zdecydowanie nie, Mort.

Schreck znowu się skrzywił, jakby smagnięty tym zdrobnieniem, ale zaraz opanował mimikę i wściekły grymas przeszedł w ten sam co wcześniej drapieżny uśmiech.

– Do zobaczenia zatem, inspektorze Evans – powiedział, po czym odwrócił się do Agnes i skłonił lekko. – Szanowna pani?

Kobieta odkłoniła się i Schreck ruszył korytarzem, by zniknąć za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

Dopiero wtedy Agnes odetchnęła i się odezwała:

– Czy to nie za takie właśnie podejście detektyw Gratz ma w tej chwili kłopoty, inspektorze?

Evans wzruszył ramionami.

– Nie jestem już detektywem, Agnes – odparł.

– Tu zgoda, choć nie jestem pewna tego „już”, inspektorze.

Evans musnął palcem wąsa, najpierw lewego, potem prawego. W sumie on też nie był pewien. Teoretycznie Albero nie był jego bezpośrednim przełożonym, ale w praktyce ten oślizły, łasicowaty dupek mógłby, gdyby chciał, sporo nabruździć. I pewnie będzie chciał, zawistne małe bydle!

– Nie mogłem inaczej, Agnes – powiedział w końcu, podchodząc do drzwi gabinetu i łapiąc za klamkę. – Chciałem, ale… mnie wkurwił.

– To też już gdzieś słyszałam, inspektorze – odparła.

Tak, pomyślał. Ja też.

***

Nie zdążyli przed nadejściem efektu. Pewnie gdyby nie procedury, którym musiał się podporządkować kierowca, udałoby się bez trudu, ale dosłownie przystanek przed tym, na którym mieli wysiąść, syreny ucichły, a to był, zgodnie z regulaminem, ostatni sygnał dla autobusów. Kierowca miał się wówczas bezwzględnie zatrzymać – najlepiej w pierwszej możliwej zatoczce – oraz, po kolei: włączyć wszystkie światła wewnątrz i na zewnątrz pojazdu, zamknąć obieg wentylacji i uruchomić dopływ tlenu z butli. Pasażerowie mogli oczywiście opuścić pojazd, ale zanim to

nastąpiło, kierowca miał obowiązek każdego z nich osobno pouczyć o potencjalnym niebezpieczeństwie poruszania się w ograniczającym widoczność pyle.

Przynajmniej tego ostatniego udało im się uniknąć, bo McShane machnął legitymacją i kazał natychmiast otworzyć drzwi. Gdyby nie to, utknęliby z dwieście metrów wcześniej i wtedy na pewno musieliby gdzieś przeczekać. W innych dzielnicach pojawiali się co prawda latarnicy – zwykle bezdomni, którzy tylko czekali „pierdnięcia", by wylec z latarenkami i za garść drobnych bawić się w przewodników dla zagubionych w czerni wędrowców – ale tu, na Grobli, w dzielnicy Spalla, gdzie mieszkał McShane, obowiązywały inne zasady. Ktoś do ciebie idzie, a w okolicy nie ma świadków? W dodatku ma na głowie kaptur, a na twarzy maskę? Wiej! Spierdalaj, gdzie się da, albo kładź się na ziemi i miej nadzieję, że cię nie zauważy.

Gdy nadeszła chmura, właściwie widzieli już okna obskurnej czynszówki, do której zmierzali. McShane obejrzał się, odwrócił całym sobą z głową wtuloną w ramiona i prawą ręką wskazał na wejście, próbując przekrzyczeć wzbierający wiatr. Alfie nic nie zrozumiał, ledwie słyszał, ale domyślił się, o co chodzi. Gdy przestanie widzieć, ma iść prosto.

I wtedy zza budynków wyłoniła się pchana powiewem dmuchaw czerń. Wyższa niż gmachy Podgardla i górujące nad nimi żurawie dźwigów. Sunęła niczym potężna fala, pożerała kolejne budynki i ulice i rosła z każdą chwilą. Jej heroldami były szybujące na wietrze płaty pozlepianych cząsteczek przypominające wielkie, drapieżne ptaszyska, i czarne drobinki, będące trochę jak śnieg, trochę jak kwieciste płatki. Wirowały na wietrze, sunęły do przodu. Tańczyły, jakby radośnie zapowiadały wielkie święto.

Kiedyś Alfie zastanawiał się, skąd się tego bierze aż tyle – jak jeden bąbel gazu może uwolnić tak wiele ciężkiego przecież pyłu.

Teraz nie było czasu na podobne rozważania. Muzyk, widząc falę, przystanął przy pobliskiej złamanej latarni, pochylił nieco głowę, ale wciąż wpatrywał się w cel, do którego będzie musiał zaraz doskoczyć. Wiatr z wszędobylskich dmuchaw wiał coraz mocniej, szumiało mu w uszach, a powietrze przed nim z każdym mrugnięciem stawało się gęstsze i czarniejsze. Jak melasa.

Odczekał chwilę, aż nie był już w stanie zobaczyć nic przed sobą, i wtedy, z jedną ręką przy ustach i nosie, a drugą wyciągniętą przed siebie,

ruszył. Lepkie, tłuste drobinki natychmiast okleiły go całego, zmieniając w czarną, połyskującą figurę. Coś, najpewniej butelka, tocząc się, uderzyło o jego stopę. Potknął się o krawężnik, prawie upadł, ale szedł dalej, mając nadzieję, że na skutek chwilowej dekoncentracji nie zmienił kierunku marszu. Na zewnątrz robiło się coraz ciszej, za to w głowie szum narastał. Czerń zatykała uszy, wdzierała się do nosa i ust. Zalewała go.

Ile razy tak trzeba, żeby zarazić się fossilią, myślał mimowolnie, stawiając kolejne, coraz bardziej niepewne kroki. Unosił teraz nogi wysoko i opuszczał ostrożnie, nie chcąc na nic nadepnąć. Gdyby ktoś go zobaczył…

Kolejny próg, potem trochę ziemi, może trawnik i wreszcie dotknął ściany. Macając ją niczym ślepiec, którym chwilowo się stał, dotarł do wejścia i złapał za klamkę. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i wygrzebał z kieszeni pomiętą, ale jak pamiętał, wciąż czystą chusteczkę, po czym przetarł nią najpierw oczy, potem usta, aż wreszcie wysmarkał czerń z obu dziurek nosa. Dopiero wtedy udało mu się poczuć papierosowy dym i zobaczyć siedzącego na schodach agenta.

– To przekora, nie? – zapytał McShane. On też wyglądał jak statua z lukrecji, z tym że zdążył już przetrzeć jako tako całą twarz. Wyglądała teraz jak namalowana.

Alfie nie zrozumiał. Właściwie to ledwo usłyszał, odetkawszy dopiero jedno ucho.

– Bo ja wiem – rzucił wymijająco.

– Musi kierować nami przekora. – Agent wstał, skiepował papierosa o poręcz i pstryknął niedopałek do piwnicy. – Jaki inny można mieć powód, by nadal mieszkać w takim mieście jak to, niż wielka, nieodparta chęć powiedzenia wszystkim, że mają się pierdolić.

Alfie wyczyścił drugie ucho, a potem zatkał usta i nos i nadął policzki, mając nadzieję, że to pomoże. McShane roześmiał się na ten widok.

– Chodź już, młody. Są na to lepsze sposoby, a na razie i tak nam się teraz nigdzie nie spieszy. Mamy kilka godzin, akurat by znowu zacząć wyglądać i może złapać chwilę snu, co?

Weszli na trzecie piętro i McShane dłuższą chwilę majstrował przy zamku.

– Coś się stało z kluczami? – zapytał Alfie. – Pył?

Agent pokręcił głową.

– Zawsze tak jest, gdy próbuję się dostać do nieswojego mieszkania – odparł z uśmiechem, nadal mocując się z zamkiem. W końcu pchnął drzwi i puścił Alfiego przodem.

– Łazienka na lewo od wejścia, za zasłonką, ręczniki papierowe w lewej szafce, a potem zwykłe w prawej.

– A pa… znaczy ty nie wchodzisz? – zdziwił się muzyk.

– Mówiłem ci przecież, to nie moje mieszkanie – odparł detektyw, najwyraźniej zaskoczony pytaniem. – Ja idę do siebie.

I rzeczywiście odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi naprzeciwko i bez większego trudu je otworzył. Już miał zniknąć za progiem, ale Alfie go powstrzymał.

– Ej, chwila, ale jak…

McShane westchnął i powoli się odwrócił.

– Gdy tu dotarłem, okazało się, że dano mi złe klucze, dowiezienie właściwych miało zająć parę godzin, a mnie się chciało lać i potrzebowałem prysznica. Więc zapukałem naprzeciwko, zamachałem legitymacją i powołałem się na ustawę o NS, mówiącą, że agent ma prawo dokonać tymczasowego wypożyczenia mienia, jeśli uzna sytuację za tego wymagającą. Więc wypożyczyłem ich łazienkę, a potem sypialnię. I zastrzegłem, że mogę być zmuszony tak robić w przyszłości, a na następny dzień przygotowałem sobie na to glejt. Gospodarze są w pracy, a ja mam tylko jedną łazienkę, więc uważam sytuację za wymagającą dokładnie takich kroków. Jasne?

Alfie stał przez chwilę w milczeniu, aż w końcu skinął głową.

– A jak przyjdą, gdy będę się kąpał? – zapytał wreszcie.

– To powiedz im, że za podglądactwo jest paragraf, ale poza tym niech się czują jak u siebie – odparł McShane i wszedł do swojego mieszkania.

Zdezorientowany Alfie postał jeszcze trochę w progu, po czym również zamknął drzwi i zaszył się w środku tymczasowo przejętego lokalu.

***

– Dasz radę z tym grać? – zapytał McShane, zmieniając opatrunek na dłoni muzyka.

Siedzieli już, obaj wymyci, w ciasnej klitce służącej agentowi jednocześnie za gabinet, jadalnię i sypialnię: Alfie – kolejny raz ubrany

w pożyczone ciuchy, tym razem jednocześnie zbyt luźne w ramionach i za krótkie – na fotelu, a McShane na skraju niezaścielonego łóżka.

– Pewnie konkursu pianistycznego bym nie wygrał, ale… – Chłopak poruszył palcami i lekko się skrzywił. – Ale nie sądzę, by ktoś wymagał tam ode mnie klasyki. Zresztą, jak mawiał mój nauczyciel: jeśli nie radzisz sobie z graniem, po prostu śpiewaj głośniej.

Syknął, gdy agent zamiast odpowiedzi zalał ranę bourbonem.

– Tak, młody – zgodził się McShane. – Ja też cierpię, ale nie mam nic innego. To mówisz, że jak powinniśmy się ubrać na wieczór?

Alfie wzruszył ramionami.

– Ty jak chcesz, będziesz robił za artystę. Burtona J. Ella od przeciętnego kartona odróżniłbyś chyba tylko po kołnierzyku. Co do mnie… – Zawahał się. – Potrzebuję pożyczyć trochę pieniędzy, skoro tam jednak idę. Dostałem zaliczkę, żeby się ubrać, ale… chyba zgubiłem.

– Jasne. Ile?

– Stówę.

McShane, który właśnie wziął solidnego łyka z trzymanej w rękach butelki, teraz parsknął na łóżko i twarz muzyka.

– Przepraszam – powiedział, ocierając usta. – Ale mówisz o tej stówie tak lekko…

– Uszedłem z życiem i poniekąd piszą o mnie w gazetach. Zgubione sto dijmarów to przy tym nie jest aż tak wiele.

Agent skinął głową.

– Jeśli tak na to spojrzysz… – zgodził się. – Jesteś pewien, że nie ukradła ci ta dziwka od wielebnego?

– Jestem pewien – odparł Alfie z przekonaniem.

– No dobra – westchnął detektyw, wstając. – To zobaczymy, co się da zrobić. Choć tak w ogóle uważam, że stówa za ciuchy na jedną noc…

Alfie nic nie odpowiedział. Wsunął za to rękę do kieszeni i upewniwszy się, że wciąż są w niej dwa pięćdziesięciodijmarowe banknoty, wyraźnie odetchnął.

McShane wyszedł z pokoju, po czym wrócił z pięcioma dwudziestkami.

– Masz, pokwitujesz mi potem – powiedział, rzucając je na łóżko. – Podpiszesz też obowiązkowo kwit o współpracy, bym mógł wygospodarować dla ciebie jakieś miejsce i ochronę.

Nie było w tym nawet cienia pytania, więc Alfie tylko skinął głową.

– Wieczorem obskoczymy ten bal, zobaczymy, co mówią w lepszym świecie, a rano skontaktujemy się z Evansem i sprawdzimy ten trop z dzikimi, którzy załatwili twojego kumpla.

– Skąd będziemy wiedzieć, którzy to?

McShane sięgnął po papierosa.

– A ty skąd wiesz, w który klawisz kiedy przywalić? – odparł. – Jesteś poturbowany, więc zajmij łóżko, ja się położę w kuchni. Obudzę cię, jak chmura zejdzie.

Wyszedł, zabierając ze sobą popielniczkę.

Alfie pozostał w fotelu. Patrzył na nieodmalowane ściany ze śladami po niegdyś wywieszonych tam zdjęciach i obrazach, po ramach mebli przylegających do ściany. Nad drzwiami dało się dostrzec charakterystyczny kształt trójkąta z ognikiem, od którego, jakże symbolicznie, szły pęknięcia farby niczym promienie lub błyskawice. Kiedyś musiała tu mieszkać pobożna rodzina, pewnie liczna, czarnoziemska, bo to właśnie ta społeczność zdominowała okolicę. Ilu ich tu wtedy było? Jedna rodzina? Dwie? Rekordowo ludzie mieszkali w takich klitkach po cztery familie, ponad dwadzieścia osób. Gdy tak na to spojrzeć, agent był teraz prawdziwym panem na włościach.

– Do wszystkiego się można przyzwyczaić – powiedział Alfie, ziewając. Jego powieki nagle zrobiły się ciężkie, a całe ciało słabe. Przeniósł się na łóżko i jeszcze przez moment wpatrywał w drgającą czerń za oknem. Wydawało mu się, że widzi tam ludzką sylwetkę, kogoś siedzącego na krześle. Zasnął.

***

Palla dość szybko zdała sobie sprawę, że jej radość w związku ze sprostowaniem była przedwczesna. Co prawda jej artykuł rzeczywiście ustąpił miejsca na pierwszej stronie materiałowi Hanka o nocnej strzelaninie, ale w związku z tym, jakby w ramach rekompensaty, naczelny zobowiązał ją do napisania artykułu o wieczornym przyjęciu u Dragosavalija i jego żony. Pretekstem była charytatywna zbiórka oraz niezwykle sprzyjająca sytuacja – kompletna lista pracowników i gości stworzona dla ochrony, która bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiła do redakcji.

– Jeden złośliwy komentarz i pakujesz biurko – powiedział Palli Steve Garrett, wręczając jej zadrukowaną kartkę. A ona, choć wiedziała, że ta surowość naczelnego jest przecież na pokaz, że nie mógł inaczej, poczuła w sercu bolesne ukłucie zdrady.

Dopiero po jakimś czasie, wystukując na klawiaturze maszyny okrągłe zdania w stylu: „Wszystkim tym znamienitym gościom przygrywać będzie utalentowany młody pianista Alfred Moore", zdała sobie sprawę, że tak naprawdę to przecież żadna kara. To, że bohaterem wcześniejszego tekstu, sprostowania i aktualnie tworzonego artykułu jest ten sam człowiek, nie powinno mieć aż takiego znaczenia. Rzetelność dziennikarska to choć minimum obiektywizmu, a nie kierowanie się własną urażoną dumą.

Zrobiło jej się głupio i miała ochotę zajrzeć do biura Garretta, by go przeprosić. Zdała sobie jednak sprawę, że przecież nic mu nie powiedziała, że nic nie wyszło poza strefę myśli. Dlatego zamiast przepraszać, dopisała artykuł do końca, a potem wykręciła kartkę z maszyny i przyjrzała się własnym słowom z ołówkiem w dłoni. Wykreśliła parę przymiotników – w tym oba określające pianistę, nie wiedziała wszak nic ani o jego wieku, ani talencie – a kilka słów zastąpiła synonimami, po czym przepisała tekst na czysto i zaniosła go Welmie. Dopiero wtedy, z poczuciem spełnionego obowiązku, zaczęła się zastanawiać, co właściwie powinna robić z resztą dnia.

Z pomocą, niczym dobra wróżka, przyszła korektorka, która nie odrywając wzroku od otrzymanego tekstu, zapytała jakby mimochodem:

– Złociutka, a nie znasz ty aby przypadkiem kogoś w kostnicy przy Fitcher's Bird?

Zanim Palla zdążyła odpowiedzieć, że owszem i że Welma powinna o tym wiedzieć, bo przecież nieraz plotkowały o Ichabodzie Strafsonie, tamtejszym patologu i cichym wielbicielu dziennikarki, korektorka uniosła wzrok i uśmiechnęła się wymownie.

– Bo wiesz – wyjaśniła – Hank rozpytuje o to wszystkich, chce pociągnąć swoją dobrą passę, ale go, zdaje się, odprawili stamtąd z kwitkiem i nie może się niczego dowiedzieć o ofiarach. No to pomyślałam, że zapytam, bo nie wiem, czy sam by się odważył przyjść do ciebie, zwłaszcza gdy masz taki… hmmm, nie najlepszy dzień.

Palla nachyliła się błyskawicznie i ucałowała staruszkę w policzek.

– Kochana jesteś, wiesz? – szepnęła. – Pędzę!

– Może poczekaj – zaniepokoiła się Welma. – Nie słyszałaś syren? Zanim przedmuchają…

– Będę już z powrotem. – Wyprostowała się i dłońmi przeczesała włosy. – Nic się nie martw, wezmę z magazynu kombinezon i maskę i znajdę jakiegoś latarnika. Naprawdę… nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Stawiaj przecinki we właściwych miejscach – odparła staruszka, wciąż się uśmiechając. – Oszczędzisz mi pracy.

***

Problem z kombinezonami był taki, że gdy lata temu zaopatrywano w nie redakcyjny magazyn, nikt nawet nie pomyślał, że kobiety będą dziennikarkami, a co dopiero takimi rzeczywiście wysyłanymi w teren, i to jeszcze w czasie efektu. W końcu jednak – lekceważąc złośliwe docinki obleśnego magazyniera i przetrzymując jego obrzydliwe próby wykorzystania sytuacji i obmacania jej przy okazji ściągania pasków, podwijania gumowych rękawów i nogawek – Palla znalazła względnie odpowiedni rozmiar. Wyglądała w nim pokracznie, ale mogła się poruszać w miarę swobodnie, a przynajmniej w kostnicy nikt nie będzie jej robił problemów, że jest brudna.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała z chłodną uprzejmością.

– Zawsze do usług – zapewnił magazynier, oblizując się obrzydliwie. Gdy sięgnęła po leżące na blacie rękawiczki jednorazowe i maskę, musnął jej dłoń zrogowaciałą, pożółkłą opuszką. – Nie tylko w takich sprawach.

Skinęła głową, mając głęboko gdzieś, jak mężczyzna odbierze ten gest, i z prawdziwą ulgą wyszła z magazynu, a zaraz potem, nałożywszy maskę i rękawice, z budynku.

Szybka maski niemal natychmiast zaszła czernią, ale Palla wiedziała, że nie należy jej przecierać. Nie od razu. Dużo lepszą taktyką było odczekanie w bezruchu, aż pył zastygnie, i odklejenie zespolonej całości jednym ruchem. Było to upierdliwe, ale jeżeli szło się prawidłowo, z głową pochyloną i dłońmi po obu stronach szybki, dało się wytrzymać. Zwłaszcza jeśli miało się ze sobą doświadczonego latarnika, który szedł przodem, tworząc niejako wyłom w pyle.

Gdy tylko odkleiła z okularów czarną warstwę, dostrzegła wysokiego, ubranego w czarno-żółty płaszcz mężczyznę z pulsacyjnie migającą

latarenką. Zamachała do niego, ale zdała sobie sprawę, że szanse na to, że zobaczył ten gest, były znikome, a krzyczeć nie było sensu – szum wiatru i pracujących w oddali dmuchaw z pewnością zagłuszyłby jej słowa. Poza tym musiałaby na moment unieść maskę, a na to nie miała najmniejszej ochoty. Zamiast tego ruszyła więc w jego kierunku, wymijając stojące na środku drogi samochody.

W jednym z nich, na tylnym siedzeniu, siedziała mała dziewczynka. Szyba pojazdu, przez którą patrzyła, musiała być bardzo tłusta, bo pył przesadnie się do niej nie przyklejał. Palla pomachała małej, a ta wygięła buzię w podkówkę. Zaraz potem do dźwięków pyłowej burzy doszedł donośny, dziecięcy płacz.

To on sprawił, że latarnik się obejrzał, a widząc Pallę w świetle reflektorów, ruszył w jej stronę. Gdy się zbliżył, machnął latarnią w lewo i prawo, a ona uniosła kciuk i tak głośno, jak tylko mogła, zawołała:

– Kostnica przy Fitcher’s Bird.

Zrozumiał, znowu zamachał latarnią i odwróciwszy się, złapał za końcówkę sznurka, która oplatała go w pasie, a którą latarnicy nazywali „svans” – „ogonkiem”. Palla złapała za sznurek i pociągnęła lekko, dając znać, że jest gotowa. Ruszyli.

Sunęli powoli, klucząc między samochodami. Pył, nawet gdy nie przyklejał się do szkieł maski, skutecznie ograniczał widoczność. Idący przed nią mężczyzna był tylko zarysem, plamą na tle czerni, a tego, co znajdowało się choćby o krok dalej, nie potrafiła już dojrzeć.

Czasem, gdy podchodzili nieco bliżej witryn sklepowych rzucających na ulicę słabe, rozproszone światło, widziała przyklejone do szyb dziecięce twarze. Bywało, że ktoś dorosły, najczęściej matka, stał za maluchami i odprowadzał ją wzrokiem, jakby była potworem z dawnych podań, wyłaniającym się z mroku, by pożerać ludzi.

W sumie, pomyślała z rozbawieniem, nie było to takie dalekie od prawdy, skoro była tu, gdzie była, ubrana w kombinezon i maskę, a na dodatek – z czego właśnie zdała sobie sprawę – coraz bardziej głodna. Dobrze, że chociaż chłopcy w kostnicy zawsze mieli zapas świeżych kanapek.

Nie miała pojęcia, ile już uszli, bo choć były to okolice doskonale jej znane, to klucząc w tej rozedrganej, wirującej ciemności, idąc to środkiem drogi, to znów wchodząc posłusznie w boczne uliczki, a nawet wąskie

zaułki, powoli traciła orientację. Rację miał, pomyślała, Burton J. Ell, śpiewając w *Latawcach znad zgliszczy*, że „to miasto jest inne, spowite czarnym śniegiem” i że „wygląda jak to, czym będzie za sto lub tysiąc lat”. Charakterystyczne punkty orientacyjne, takie jak witryny, kolorowe neony czy wreszcie charakterystyczne fasady budynków, znikały pod grubą skorupą pyłu i jeszcze kilka dni po efekcie ulice miasta przypominały bardziej górskie kaniony niż komunikacyjne arterie i żyły metropolii. Dobrze, że te podziemne bąble zdarzały się raz, dwa razy na kwartał.

Przewodnik szedł pewnie, a gdy wreszcie przystanął i odwróciwszy się, zamachał dwukrotnie latarnią, że są na miejscu, okazało się, że dotarli tam niewiele wolniej niż dziennikarce zajęłoby przejście tego dystansu przy normalnej pogodzie w godzinach szczytu. Wdzięczna dała mężczyźnie znak, by wraz z nią wszedł do holu kostnicy, a tam rozpięła kombinezon, by wydobyć portmonetkę, i zapłaciła mu sporo więcej, niż sobie zażyczył.

Dopiero teraz, gdy zdjął gogle i opuścił chustę, mogła się przyjrzeć jego pociągłej, interesująco surowej twarzy. Przyjął ten sowity napiwek jako coś zupełnie oczywistego. Skinął głową bez słowa, schował pieniądze do wewnętrznej kieszeni płaszcza zapinanej na dwa guziki i cichym, gardłowym głosem polecił się na przyszłość.

– Bardzo chętnie – odparła.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle od strony ulicy dobiegły huki pojedynczych wystrzałów, a zaraz potem wrzaski przerwane nagle terkotem karabinu maszynowego. Odruchowo cofnęła się o krok i przyłożyła ręce do ust.

– Zawsze ktoś korzysta z okazji – rozległo się za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła grubego mężczyznę w białym fartuchu, okularach i ze starannie przystrzyżoną kozią bródką. Znała go, Strafson przedstawił ich sobie kiedyś – jego jako kolegę po fachu, ją, oczywiście, jako najjaśniejszą gwiazdę dziennikarstwa w mieście – i rozmawiali potem parę razy przy oględzinach zwłok. Był to człowiek pogodny, bystry i empatyczny, choć, jak to kiedyś powiedział Ichabod, praca uczyniła jego poczucie humoru czarniejszym niż miasto po deszczu. Kreyt, tak się chyba nazywał. Imienia nie pamiętała.

– Co masz na myśli? – zapytała, bardziej, by podjąć rozmowę, niż z ciekawości. Wszak łatwo było się domyślić, o co mu chodzi.

– No półświatek – wyjaśnił Kreyt. Podszedł bliżej i wytarł ręce w nieskazitelnie biały ręcznik. – A to mali przestępcy korzystający z tego durnego zarządzenia o udzielaniu schronienia każdemu podczas efektu napadają na sklepy. A to grube ryby pod osłoną czarnego śniegu oczyszczają sobie przedpole. Musi być w tym jakaś ważna dla nich symbolika: takie zabicie kogoś w środku dnia, na głównej ulicy. Choć jak dla mnie, gdyby mieli jaja, robiliby to, nie czekając na pierdnięcie losu. Kreyt jestem.

Wyciągnął rękę do przewodnika. Ten, wyraźnie zaskoczony, najpierw przyglądał się pulchnej, różowej dłoni, aż wreszcie ściągnął rękawicę i uścisnął podaną rękę.

– Porter – przedstawił się, by zaraz potem dodać: – Muszę iść, pył opada.

Szybko nałożył rękawiczkę, naciągnął chustę na usta i opuścił gogle. Sięgnął po stojącą na ziemi latarnię i skinąwszy dziennikarce i patologowi na pożegnanie, wyszedł na zewnątrz. Na moment do kostnicy wdarł się szum dmuchaw. Potem zapadła cisza.

– Ciekawe, kim był ten facet – powiedział po chwili Kreyt.

– Masz na myśli pana Portera?

– Aha. – Patolog uniósł prawą dłoń, podsuwając ją dziennikarce niemal przed oczy, i obrócił, pokazując jej wnętrze i zewnętrze. – Zazwyczaj latarnicy to bezdomni, prawda? A widziałaś kiedyś tak czystego bezdomnego?

Opuścił dłoń, wytarł ją w bialutki ręcznik i przyjrzał się materiałowi z zaciekawieniem. Palli skojarzyło się to nieprzyjemnie z jej pierwszym chłopakiem, który miał głupi, obrzydliwy zwyczaj przyglądania się swoim wysiąkanym smarkom na chusteczce.

– Zastanawiające… Muszę go sobie zapamiętać, a najlepiej narysować – mruknął Kreyt bardziej do ręcznika niż do kobiety, ale najwyraźniej się zreflektował, bo przeniósł wzrok na nią, a lewy kącik jego ust uniósł się nieznacznie.

– Miło cię widzieć, dziennikarska gwiazdo. Przychodzisz pewni w tej samej sprawie, co kolega, co?

– Cóż mogę rzec? – rozłożyła ręce w geście bezradności i uśmiechnęła się możliwie najbardziej rozbrajająco i uroczo. – Znasz mnie.

Patolog pokiwał głową.

– Trochę znam, choć pewnie nie tak dobrze jak Strafson. Słowo daję, jakby kiedyś przyszło policji do głowy sprawdzić jego szafkę, to już byś miała, piękna, ochronę. Każdy artykuł w ramce jak święty obrazek!

Zaśmiała się nieco nerwowo. Zdawała sobie sprawę z obsesji Ichaboda na jej punkcie, ale mimo to takie ciekawostki nadal przyprawiały ją o ciarki. Kreyt musiał wyczuć owo zdenerwowanie, bo położył jej dłoń na ramieniu i spojrzał prosto w oczy.

– Nic się nie bój, mimo wszystko jesteś dla niego zbyt żywa – uspokoił. A zaraz, jakby po namyśle, dodał: – Gdyby ci natomiast kiedyś przyszło, czego rzecz jasna nie życzę, trafić do naszej kostnicy w innej roli, obiecuję wziąć tę zmianę i podejść do sprawy możliwie profesjonalnie.

– Dobra, dobra. – Palla zaśmiała się już zupełnie naturalnie i odsunęła o krok, by zdjąć kombinezon. – Bardzo doceniam tę przysługę, ale na razie…

– Tak, wiem, chcesz innej. – Kreyt podrapał się po karku. – I w sumie mogę ci pokazać tych truposzy, żaden problem. Twojemu koledze też mogłem, tylko…

– Hank nie jest moim kolegą – żachnęła się.

– No właśnie – przyznał patolog. – W każdym razie nie mam problemu z pokazaniem ich tobie. Ciała jak ciała, w dodatku wiemy już, kto zacz, choć tego ci, rzecz jasna, powiedzieć nie mogę. Już i tak, zanim nasi milusińscy tu dojechali, w świat poszła wieść, dla kogo rzekomo pracowali. Teraz tym bardziej wszyscy patrzą nam na ręce.

– Szkoda, ale rozumiem.

– No właśnie – powtórzył Kreyt, po czym dał jej znak, by ruszyła za nim w głąb holu, w stronę przeszklonych drzwi. – Zdjęć też ci zrobić oczywiście nie dam i dlatego zastanawiam się… nie, zostaw te rzeczy tutaj, mamy elektryczny zamek przy biurku, to zaraz zamknę główne wejście i nikt tu nie wejdzie… zastanawiam się, rozumiesz, czy ty liczysz, że ich sama rozpoznasz, czy co? Znaczy z twarzy?

– A zachowały się? – zaciekawiła się.

– One tak – odparł patolog.

Zatrzymał się przy biurku i rzeczywiście coś wcisnął, a potem podszedł do drzwi. Pociągnął za klamkę i puścił Pallę przodem.

– Znaczy, naprawdę ciekaw jestem, po co ci to, piękna. A może po prostu chciałaś skorzystać z okazji, by podroczyć się ze Strafsonem?

Palla milczała, uśmiechając się tylko. Co miała powiedzieć? Że faktycznie liczyła, że dziś na dyżurze będzie Ichabod? On pokazałby jej wszystko, czego by chciała, pozwoliłby nawet pogrzebać we wnętrznościach ofiar, gdyby naszła ją taka ochota. Gdyby zamiast patologa dyżurował tylko któryś z techników, też nie byłoby najgorzej. Wówczas kazałaby mu do Strafsona zadzwonić i ten albo by tu przyjechał, albo wydał telefonicznie odpowiednie polecenia.

O Kreycie jednak, musiała przyznać, niemal zupełnie zapomniała i on, w żaden sposób niepodlegający swemu koledze i najwyraźniej odporny na jej urok, stanowił pewną niedogodność. Choć oczywiście nie aż taką, by rzeczywiście, jak sugerował, miało się to dla niej skończyć wyłącznie oględzinami zwłok.

Zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi drzwiami i Kreyt, stanąwszy dokładnie na środku, obejrzał się na dziennikarkę, wyszczerzył i skłonił teatralnie, a następnie pchnął oba skrzydła naraz. Mocno, ale nie na tyle, by drzwi dotknęły gumowych odbojników przy ścianach, i wkroczył do środka. Palla weszła za nim i spojrzała najpierw na rząd stalowych szafek, wyglądających trochę jak biblioteczny katalog dla olbrzymów, a potem na obciągnięty ceratą stół, na którym leżały rozkrojone zwłoki.

Klatka piersiowa była otwarta, żebra wyglądały jak obciągnięte skórą kościste palce wyłaniające się ze środka. Zupełnie jakby ciało było jakąś mityczną bramą, przez którą próbował się przedostać dużo większy niż te zwłoki stwór.

Przełknęła ślinę. Jej organizm za każdym razem reagował tak samo. Najpierw czuła podchodzącą do gardła gulę i suchość w ustach, za to oczy zaczynały łzawić. Robiło jej się trochę słabo i miała poczucie, że nie będzie w stanie zrobić kroku, ale gdy udawało jej się w końcu przełamać, zły czar pryskał i od tego momentu wszystko już było normalnie.

Tym razem jednak przynajmniej na to ostatnie nie zamierzała pozwolić.

– Czy – zaczęła, korzystając z suchości gardła. Jej głos brzmiał szorstko, a odchrząknięcie przyszło jej zupełnie naturalnie. – Czy ten na stole to jeden… przepraszam.

Przyłożyła dłoń do ust i beknęła cicho, a następnie spuściła wzrok i lekko pochyliła głowę, jakby usiłowała ukryć, że się czerwieni.

– Przepraszam, naprawdę – szepnęła, odwracając się na pięcie. – Łazienka…

– Drugie drzwi po lewej – powiedział Kreyt. – Ale jak zarzygasz podłogę, to też się nie martw, akurat na zmianie ma być taki strasznie wredny sprzątacz i…

Palla nie słyszała już reszty. Wyszła na oświetlony bladym światłem korytarz i szybko odliczyła drzwi. Uchyliła trzecie, włączyła światło, odkręciła wodę i na moment przystanęła, próbując sobie przypomnieć, gdzie znajduje się pomieszczenie, do którego faktycznie zamierzała się dostać. I czy był choć cień szansy, że Kreyt, podobnie jak Ichabod, zostawiał je otwarte.

Najciszej, jak potrafiła, wróciła aż pod salę sekcyjną i skręciła w prawo. Pierwsze drzwi, drugie, trzecie… Zatrzymała się przy czwartych i nacisnęła klamkę. Pchnęła lekko, ale nic to nie dało, więc już miała zrezygnować, ale przypomniała sobie, że kiedyś te drzwi się zacinały. Były osadzone za nisko, czy też jakieś ruchy tektoniczne wybrzuszyły w tym miejscu podłogę, wymagały więc lekkiego podniesienia przed pchnięciem. Palla zmieniła ustawienie, uniosła drzwi za klamkę i naparła barkiem. Drgnęły i po chwili była już w środku.

Nie mogła włączyć głównego światła, więc po omacku doszła do biurka i włączyła stojącą na blacie małą lampkę. Wtedy wyprostowała się i rozejrzała po pomieszczeniu, którego ściany w całości przysłaniały wysokie regały pełne nieodebranych nigdy rzeczy osobistych.

Nie miała w zasadzie, pojęcia czego szuka, a karteczki przywiązane do matowych toreb, czasem zawierające nazwiska, a czasem dwie literki N, nic jej nie mówiły. Nie miała pojęcia, jak nazywały się ofiary, wiedziała tylko orientacyjnie, kiedy je przywieziono. I choć na fiszkach widniała również rubryczka „data”, to wpisywania tejże nikt nie pilnował.

Rozczarowana chciała już zrezygnować, ale wtedy zorientowała się, że na szerokim blacie biurka leżą dwie niezapieczętowane torby. W środku dało się dostrzec podziurawione kulami ubrania, brudne buty, a w jednej także portfel i, w osobnej torebeczce, karteczkę z dwoma słowami: „Alfred Moore”. Coś jej mówiło to nazwisko, ale kompletnie nie wiedziała…

– Byłem przekonany, że to kobiece mylenie kierunków to mit – rozległ się głos za jej plecami. Podskoczyła nerwowo i odwróciła się, zaczesując za ucho kosmyk włosów. Próbowała się uśmiechnąć, ale mina patologa sprawiła, że sobie darowała i tylko potulnie zwiesiła głowę.

– Potrzebowałam tego…

– Wiem – odparł. – Nie myślałem tylko, że aż tak bardzo, by zrobić sobie z kogoś ci życzliwego wroga.

Przesunął się lekko na bok, wskazując na drzwi.

– Informuję cię, że wszystko, co tutaj zobaczyłaś, jest ściśle tajne i w razie wycieku nie omieszkam poinformować policji, skąd masz informacje – powiedział, gdy go mijała. – A następnym razem, zanim się tu zjawisz, upewnij się, czy aby na pewno Ichabod jest w pracy. I czy jest sam, bo inaczej…

– Nie musisz mi grozić, Kreyt.

W milczeniu przeszli do głównego holu. Palla pospiesznie włożyła skafander, a patolog odblokował drzwi i stanął za biurkiem czekając, aż dziennikarka wyjdzie. Cały czas z tą samą miną biednego, oszukanego dziecka.

Zrobiło jej się go żal, bo pomyślała, że ten człowiek naprawdę więcej wiedział o martwych niż o żywych. O tych drugich najwyraźniej wcale nie miał pojęcia.

– Mimo wszystko dziękuję, Kreyt – powiedziała, złapawszy za klamkę.

Po chwili danej mu na odpowiedź – która, tak jak się spodziewała, nie nadeszła – nałożyła maskę i wyszła przed kostnicę.

Pył przerzedził się na tyle, że nie potrzebowała przewodnika, by wiedzieć, w którą iść stronę. Ruszyła w lewo.

Patrząc, jak co głupsi i bardziej niecierpliwi kierowcy usiłują ruszyć i nieudolnie manewrują między wciąż stojącymi na środku ulicy pojazdami, obracała w myślach zapamiętane dwa słowa. Imię i nazwisko. Alfred Moore.

Zanim dotarła do siedziby „Spokestad”, już sobie przypomniała, skąd je zna. I co przyjdzie jej teraz, niekoniecznie z radością, zrobić.

***

Kreyt odczekał, aż dziewczyna zniknie za rogiem, po czym zablokował drzwi i sięgnął po słuchawkę. Wybrał numer i odczekał kilka sygnałów.

– Strafson – rozległ się niski głos drugiego patologa.

– Była – powiedział Kreyt, po czym zrobił pauzę. Docisnął ramieniem słuchawkę do twarzy, zdjął okulary i zaczął przecierać rąbkiem kitla. – I myślę, że dostała, czego chciała, choć sposób, w jaki to zrobiła… No

mniejsza o to. W każdym razie, Strafson, pierwszy i ostatni raz robię z siebie idiotę z jej powodu. Ona cię wykorzystuje, chłopie.

– Wiem – odparł głos. – Dziękuję.

– W porządku – rzekł Kreyt, po czym odłożył słuchawkę. Wsunął okulary na nos i zabębnił palcami o biurko, usiłując sobie przypomnieć, co właściwie miał teraz zrobić.

Przypomniał sobie o niedawnych strzałach w ciemności i już wiedział. Przygotować stół.

Rozdział 8

W jego śnie na środku wielkiej, ciemnej sali pachnącej kurzem, potem i impregnatem do drewna stało krzesło. Dotknął oparcia, by się upewnić, że jest prawdziwe, a potem usiadł.

Punktowy reflektor z góry oświetlił fortepian stojący na niewysokim podeście. Ktoś przebiegł palcami po czarno-białej klawiaturze, szybko, wprawnie, melodyjnie.

Alfie chciał zaklaskać, ale zdał sobie sprawę, że nie może – w skrępowane ręce wżynał się boleśnie cienki, lecz mocny sznurek. Muzyk przyjrzał się obojętnie najpierw lewej, potem prawej dłoni, szarpnął od niechcenia i wzruszył ramionami, jakby takie rzeczy się po prostu zdarzały.

Ze sceny popłynęła dalej muzyka, a kolejne dwa reflektory, zamocowane pod nieco innym kątem, rozświetliły teraz postać pianisty. Burton J. Ell. Alfie zakrzyknął z radości, a z jego ust, niczym kropelki śliny, posypały się białe czerwie.

Muzyk odwrócił się w jego stronę i wycelował palcem jak z pistoletu, puszczając oko. Zawsze tak robił na koncertach do jednego z fanów, zanim zagrał swój wielki przebój *Kuloodporny*. I tym razem również rozległy się pierwsze dźwięki, a chwilę potem słowa:

> Przepełniony bólem, w dłoni trzymał kulę
> A na stole leżał już śliski od smaru gnat.

Alfie znał ten utwór, chciał śpiewać razem z J. Ellem, ale wstydził się robactwa w swoich ustach, dlatego tylko mruczał i kołysał głową.

W pewnym momencie, akurat gdy muzyk śpiewał refrenowe:

> Szast i prast, i pusty trzask…,

Alfie odchylił głowę do tyłu i kichnął. Z jego nosa wystrzelił kilkucalowy, zakrwawiony gwóźdź i obróciwszy się w powietrzu, wszedł gładko w gardło barda Grimm City.

Burton J. Ell złapał się za szyję, wycharczał coś, a potem upadł na fortepian, uderzając głową w klawiaturę i tak zamarł.

Alfie czekał, co będzie dalej. A potem zgasły światła…

***

– Widziałeś, co się działo przed chwilą za oknem, Evans? No więc w miejscu, w którym mam twoje procedury, jest, wyobraź sobie, jeszcze ciemniej! Nie będziesz mi… kurwa!

Alfie poderwał się na łóżku i przez chwilę tarł oczy. W pokoju panował półmrok. Ćmiło go w skroniach, a dłonie wciąż pachniały mu lawendowym mydłem, którego zużył aż za dużo w łazience sąsiadów agenta. Siedział tak jeszcze przez chwilę, przyzwyczajając się do jawy, po czym zsunął nogi z łóżka i poczłapał do kuchni.

– Dzwonił Evans – powiedział siedzący przy stole McShane.

– Wiem, słyszałem.

Agent albo nie zwrócił uwagi na ton tego przytyku, albo też miał go dokładnie tam, gdzie procedury inspektora. Zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół na brudny spodek.

– Dowiedział się paru rzeczy o Shorouki, a także ma trochę zdjęć panienek, które powinieneś obejrzeć.

– Brzmi fajnie. – Alfie podszedł do kuchenki i podniósł metalową kawiarkę. Zajrzał do środka i usatysfakcjonowany zawartością przelał ją do zdjętego z suszarki kubka. – Więc o co były te wrzaski?

– Chce, żebyśmy przyjechali tam teraz.

Alfie skinął głową. Upił kawy.

– A my nie możemy, bo…

– Jedziemy ci kupić ciuchy.

Muzyk przez chwilę czekał na jakiś uśmiech, choćby jego cień, sugerujący, że te słowa były żartem, ale McShane z tą samą co wcześniej miną, poważną, nieco zamyśloną, zaciągnął się papierosem i machinalnie strzepnął popiół do popielniczki.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, McShane – zaczął nieco niepewnie Alfie – ale jest między wami jakaś zaszłość, co?

Agent wzruszył ramionami.

– Kiedyś byliśmy parą – powiedział.

– Masz na myśli partnerami? – upewnił się Alfie, ale McShane i tu zostawił go bez choćby cienia sugestii, czy to żart. Dopalił papierosa, wgniótł niedopałek w spodek i wstał.

– Chmura zeszła, ale zajęło jej to dłużej niż zwykle, więc mamy mało czasu – powiedział. – Masz jakiś pomysł, gdzie chcesz jechać na zakupy?

Alfie dopił zawartość kubka i wstawił go do zlewu.

– Boldtale? – zaproponował.

– Gdzie to? Pępek pewnie?

– Pępek.

– Czyli potrzebujemy taksówki. – McShane podrapał się po zarośniętym policzku, a widząc minę Alfiego, wreszcie się uśmiechnął. – Spokojnie, Evans mówił, że chwilę temu, podczas zawiei, była już strzelanina z udziałem żółtej bryki. To nam daje statystycznie sporą szansę, że jakoś się prześliźniemy kostusze pod ostrzem, nie sądzisz?

Alfie nie sądził, ale nie zamierzał też komentować. Zamiast tego zapytał tylko:

– Masz jakieś ceratowe płaszcze? Tam na zewnątrz będzie teraz czarno i tłusto jak…

– No, no, bez rasistowskich żartów. – Humor McShane'a najwyraźniej miał się coraz lepiej. – Przedpokój, szafa, górna półka. Nakładki na buty masz na dole.

Chwilę później wyszli z budynku. Alfie miał na sobie ceratowe wdzianko, McShane, ubrany na czarno i w skórzanym płaszczu, ograniczył się do założenia nakładek na buty.

Taksówka już na nich czekała. Oparty o maskę młody chłopak o śniadej twarzy cisnął niedopałek na ziemię i wgniótł go stopą w czarne, tłuste błoto, a następnie zapytał, czy mają coś, co chcą włożyć do bagażnika.

Agent i muzyk popatrzyli po sobie.

– Jeszcze nie – stwierdził wreszcie agent – ale wszystko tak powykładane folią kusi bardziej, niż myślisz, chłopcze.

Alfie przewrócił oczami. Pomyśleć, że jeszcze chwilę temu wkurzała go powaga McShane'a.

– Jedźmy już – poprosił.

***

Było ich czterech i wyglądali jak bracia, choć z tego, co Evans wiedział, nie było między nimi żadnego pokrewieństwa. Kilka lat wcześniej nawet się nie znali, spotkali się dopiero przy okazji kongresu dla dzikich, zorganizowanego, by uciszyć nastroje społeczne po mających miejsce zamieszkach na tle rasowym.

Podobieństwo widoczne na czterech rozwieszonych na tablicy zdjęciach było jednak niezaprzeczalne. Te same szerokie czoła, głęboko osadzone oczy, lekko spłaszczone bulwiaste nosy i wydatne, kwadratowe szczęki. Wystające kości policzkowe sprawiały wrażenie tak ostrych, że aż dziw, że nie przecinały skóry. Nawet bruzdy na gładko ogolonych czaszkach sprawiały wrażenie takich samych. Jedyni w Grimm City potomkowie Shorouki. Idealni podejrzani.

Trzech z nich więcej niż połowę swojego życia siedziało gdzieś na południu, głównie za rozboje, czwartemu upiekło się przy oskarżeniu o brutalny gwałt, gdy okazało się, że ofiara jest dla sądu niewiarygodna.

Dwa lata temu uznali, że warto trzymać razem i podnajmować się przy co brudniejszych robotach na terenie całego Królestwa. Przygarnęli sobie na tę okoliczność kogoś na kształt impresario – Goltona Wiggisa, drobnego złodziejaszka i bazarowego cwaniaka z niewyparzoną gębą, który zawsze wiedział, skąd wieje wiatr. Chłystek dorabiał kiedyś jako policyjny informator, ale teraz podobno mocno zhardział.

Cóż, przyjdzie chyba sprawdzić jak bardzo, pomyślał Evans, odchylając się na krześle. Zaplótł ręce na karku i zamknął oczy. Niemal w tym samym momencie rozległo się pukanie, a zaraz potem do biura weszła Agnes, niosąc w jednej ręce specjalny, impregnowany płaszcz, a w drugiej skórzaną teczkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale to najwyższa pora na obiad, inspektorze – powiedziała. – I to taki, który powinien pan zjeść na mieście…

– Dziękuję, Agnes, nie jestem… – zaczął, ale nagle zmarszczył czoło i wyprostował się. – Kto tu idzie? Wąsica?

Agnes pokiwała głową.

– Właśnie dostałam wiadomość. Becky zatrzymała go dla mnie nad czymś „niecierpiącym zwłoki”, ale podobno z trudem.

Evans przejechał rękami po twarzy i westchnął. Oparł dłonie na blacie i zaczął się podnosić, ale zaraz opadł na krzesło i potrząsnął głową.

– Nie, Agnes, nie będę uciekał jak jakiś tchórz. Poczekam i…

– I padnie dużo słów, które już na zawsze uczynią was śmiertelnymi wrogami – dokończyła Agnes. – Inspektorze, pan wie, że ten aspekt sprawy ucichnie za dzień lub dwa, jeżeli tylko się przez ten czas nie spotkacie. Ale jeśli teraz… – Zamachała teczką. – Co ja panu oczywistości tłumaczę. Zdjęcia podejrzanych zapakowane, kopie akt świeżutko z archiwum i fotografie tych dziewczyn, co pan chciał, też. Może pan sobie spokojnie, w kawiarni, obejrzeć.

Ewans uśmiechnął się półgębkiem.

– Przecież wiesz, że nikt nie robi równie dobrej kawy jak ty.

– Złotousty – prychnęła, ale widział, że mile ją te słowa połechtały.

Ponownie westchnął, po czym wstał i ruszył w stronę tablicy, ale Agnes z gracją czołgu zastąpiła mu drogę.

– Ja to pozdejmuję, komisarzu, pan się nie martwi – powiedziała, wpychając mu najpierw płaszcz, a gdy go nałożył, również teczkę. – Proszę już iść. Schodami.

– Naprawdę, Agnes… – zaczął, ale machnął ręką. Pewnie miała rację. – Jakby dzwonił McShane…

– Przekażę, że jest pan w domu.

– Tak właśnie. I każ mu się pierdolić. Wąsicy zresztą też.

Agnes pokręciła głową z dezaprobatą.

– Dorośli mężczyźni, na stanowiskach, a czasem zupełnie jak dzieci – skwitowała.

***

– Przepraszam, ale jeszcze raz, bo chyba nie zrozumiałem – powiedział Stave Garrett, pochylając się nad blatem swego ogromnego biurka. Mebel był bowiem tak monstrualnych rozmiarów, że wcale nie tak drobny naczelny „Spokestad”, siedząc za nim, niemal znikał. – Co mam ci niby zorganizować?

Palla rozglądała się po pomieszczeniu, zachowując się tak, jakby była tu po raz pierwszy i nigdy wcześniej nie widziała szafek pełnych ustawionych na przemian książek w twardych oprawach i pokrytych patyną nagród, przeszklonych ramek z dyplomami i najlepszymi jedynkami. Wreszcie ponownie skupiła wzrok na Garretcie.

– Zaproszenie na przyjęcie do Dragosavalija – powtórzyła prośbę, uśmiechając się niewinnie i lekko przechylając głowę. Pytaj dalej, mówiła ta poza. Jestem gotowa na wszystkie pytania, jakie możesz teraz zadać.

Rzeczywiście, w takim stopniu, w jakim to było możliwe, zważywszy na dość nietypowe okoliczności i rzucone wcześniej słowa, podeszła do tego spotkania tak profesjonalnie, jak tylko umiała. Zanim nawiedziła biuro naczelnego, skorzystała z prysznica za magazynami i przebrała się w jeden z trzymanych w pokrowcach strojów na specjalne okazje – tym razem wybór, skonsultowany rzecz jasna z Welmą, padł na grafitową, idealnie skrojoną garsonkę. Dobrała do niej czarne pończochy i buty na płaskiej podeszwie. Włosy spięła w staranny kok, nałożyła też dyskretny makijaż. Zrobiła wszystko, co mogło zadziałać na naczelnego, bez jednoczesnego przekraczania jasno wytyczonych przez niego granic.

Zadziałało od pierwszej chwili, widziała to w jego oczach, słyszała w tonie. Potem wystarczyło już tylko lekko podnosić temperaturę, aż do osiągnięcia pożądanego efektu. Zadając swoje pytanie po raz pierwszy, wiedziała, że to właściwy moment. Teraz wystarczyło tylko skupić uwagę naczelnego na pozytywach płynących z tej niewątpliwie nietypowej sytuacji.

– Chciałabym, jeśli to możliwe przeprosić go osobiście, a w dodatku publicznie – dodała i odchyliła się na fotelu. Zaszeleścił nylon, gdy założyła nogę na nogę. – Oczywiście nie dlatego, że czuję się w jakikolwiek sposób winna, ale myślę, że potrzebne nam oczyszczenie atmosfery, nie sądzisz?

Garrett przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, marszcząc czoło i skubiąc siwe włoski sterczące mu z ogromnego nosa. U każdego innego faceta Palla uznałaby to za obrzydliwe, ale w przypadku naczelnego „Spokestad” było co najwyżej zabawne. „Urocze”, mówiła Welma, jak zawsze gdy dorosły mężczyzna zachowywał się jak wyrośnięty dzieciak.

– Tak po prostu doszłaś do wniosku, tak? – zapytał w końcu. – Po tej całej scenie, którą urządziłaś wcześniej? Po tym wykładzie, jaki mi tu zaserwowałaś o wolności prasy, o misji. Po tych wszystkich słowach, którymi mnie określiłaś, teraz chcesz…

Spuściła wzrok, jakby zawstydzona, zaraz jednak spojrzała na niego tymi samymi roziskrzonymi oczami.

– Najwyraźniej zmądrzałam.

– W kilka godzin?

– Objawienie.

Garrett westchnął. Mogli się tak przekomarzać resztę dnia, a i tak nic by z tego nie było. Spróbował wprost:

– Powiesz mi, co kombinujesz, di Neve?

– Postawiłabym cię wtedy w bardzo złej sytuacji, szefie – odparła, wciąż się tajemniczo uśmiechając.

– A teraz stawiasz mnie…

– Przed okazją na naprawdę dobry materiał. – Pochyliła się do przodu i spojrzała naczelnemu w oczy. – Steve, naprawdę, pójdę tam i przeproszę. Bez numerów, bez dwuznaczności. Przełknę dumę i zrobię, co trzeba. A materiał, z którym wrócę, nie będzie dotyczył tego tłuściocha. I będzie bombą, tyle ci mogę powiedzieć.

– Która pewnie wybuchnie mi w twarz – mruknął Garrett i podrapał się po śnieżnobiałej czuprynie. Przez chwilę patrzył na przyglądającą mu się w skupieniu dziennikarkę, po czym złapał za słuchawkę.

– A gdybym zapytał, co to za materiał?

Wzruszyła ramionami.

– Byłoby ci potem niezręcznie przed Hankiem.

Garrett westchnął i potrząsnął głową.

– Moglibyście kiedyś zrobić coś razem, z pożytkiem dla gazety, a nie takie wojenki.

Uśmiech na twarzy Palli w jednej chwili nabrał drapieżności.

– Wyobraź sobie, że on też tak uważa, choć chyba nie o dobro gazety mu wtedy chodziło. Poza tym ja mierzę znacznie…

– Już, sio mi stąd – przerwał jej ostro. – Nie będzie mi tu żadna siksa patrzeć, jak się płaszczę.

Palla poderwała się z miejsca.

– Jesteś kochany, Steve – powiedziała, pochylając się nad biurkiem, i pocałowała szefa w policzek.

Ten wzdrygnął się, jakby wcale nie sprawiło mu to przyjemności.

– Obym tego nie żałował – mruknął, wybierając numer.

– Nie będziesz – odparła. Odwróciła się, obciągnęła spódnicę ciasno opinającą jej zgrabną talię i ruszyła do wyjścia, kręcąc biodrami. Wiedziała, że gapi się teraz na jej tyłek, i wyjątkowo nie miała nic przeciwko. Uważała, że zasłużył sobie na ten mały pokaz.

***

Starał się nie myśleć o tym, że właśnie zamiast stawić czoło temu śliskiemu, giętkiemu karierowiczowi Albero, ucieka przed nim drogą przeciwpożarową. Próbował przekonać samego siebie, że to dla dobra śledztwa, że jeśli on się tym nie zajmie, lada chwila trafi się jakiś biedny głupek, który napaścią na sklep czy może nawet kradzieżą portfela wepchnie głowę pod topór i stanie się podejrzanym w sprawie śmierci Wolfa. Wcisną mu broń, wmówią wersję na przesłuchaniu, a potem powieszą albo na resztę życia zamkną w Domku Trzeciej Świnki. Ten scenariusz wydawał się obecnie bardziej prawdopodobny niż standardowe umorzenie za pół roku. W końcu zginął ceniony policjant.

Wrócił myślami do Shorouki. Po co Thornini ich wynajął? Miał przecież swoje zaplecze zbirów, pewnie równie brutalnych, a niezostawiających aż tak wyraźnych podpisów. Chyba że chciał, by… Nie, to przecież bez sensu.

W sumie najlepiej byłoby zapytać samych Shorouki, ale szanse, że którykolwiek piśnie choć słowo, były równe zeru. Akta mówiły o tym wyraźnie, żadna presja, żadna dźwignia stosowana oficjalnie lub nie, nie miała prawa zadziałać. Żadne pozbawianie snu, bicie, torturowanie, szantażowanie krzywdą wymierzoną w bliskich. Ich przodkowie walczyli z boskim orszakiem, to zobowiązywało. Zresztą i tak nie miał podstaw, nikt nie podpisze mu świstka zezwalającego na zawinięcie przedstawicieli mniejszości na podstawie tego, że ktoś zastosował ich dawny religijny rytuał. Nie po tym, jak sytuacja z dzikim ledwie się uspokoiła.

Był już na dole, w holu, gdy dotarło do niego, że przecież McShane jest w zupełnie innej sytuacji. Evans nie był pewien, czy jego pozycja agenta NS dawała mu możliwość do aresztowania bez nakazu, po prostu na blachę, ale miał takie wrażenie. To by było logiczne.

A jeśli nawet nie, to skoro on, inspektor policji, nie wiedział, to inni ludzie tym bardziej, i agent znajdzie sposób, by nagiąć przepis na czas potrzebny do dokonania aresztowania i wydobycia informacji. Mogliby przydybać Shorouki razem z ich impresario, a Evans wątpił, by ta mała gnida była równie twarda jak jej podopieczni.

Przystanął. Machnięciem ręki zbył dwóch funkcjonariuszy, którzy przywitali go gorliwym: „Panie inspektorze” i przez chwilę rozglądał się wokoło, myśląc intensywnie. Nie było na co czekać, ci goście mogli

zniknąć w każdej chwili, gdy tylko ich zleceniodawca zwęszy, że coś się dzieje. Zresztą takich jak oni lepiej łapać nocą. Po zmierzchu robią się aktywni. Gdyby tylko McShane nie uparł się rozmawiać z tym cholernym tłuściochem Dragosavalijem. Ale gdy się zawziął, był czasem jak pierdolony osioł.

Wtedy przyszło mu do głowy rozwiązanie. Zerknął w stronę małych wind, ale hol główny wciąż pełen był ludzi, którzy kryli się tutaj przed pyłem, ich rozłożonych na podłodze płaszczy, kurtek, stosików zbudowanych z zakupowych toreb. Przedzieranie się przez ten bajzel zajęłoby więcej czasu, niż to wszystko jest warte. Windą główną mógł natomiast jechać do niego Albero, a byłoby głupio, gdyby się teraz spotkali. Dlatego po chwili namysłu Evans zawrócił i pchnąwszy drzwi wszedł z powrotem na klatkę schodową. Sprawnie, pokonując po dwa stopnie, wspiął się na drugie piętro i skręcił w wąski korytarz po lewej. Bez trudu odnalazł maleńkie jak schowek na szczotki biuro Gratza. Drzwi były otwarte, detektyw siedział z nosem w papierach.

Evans, zanim wszedł, zastukał we framugę.

– Mogę? – zapytał.

Gratz podniósł wzrok i się wyprostował.

– Tak, oczywiście, inspektorze. Kawy?

– Zrobienie jej zajmie dłużej niż moja sprawa – odparł Evans. Wszedł i zamknął za sobą drzwi, a po namyśle przekręcił klucz. Przyglądający mu się detektyw zagwizdał cicho.

– Coś poważnego się kroi – stwierdził.

Inspektor pokonał dystans dwóch kroków dzielący go od biurka i cisnął wyjęte z teczki akta Shorouki na stos papierów. Dopiero wtedy usiadł na wysłużonym krześle. Założył nogę na nogę, dłonie zaplótł na kolanie.

– Czytaj – polecił.

Gratz sięgnął po teczkę, przejrzał zdjęcia, przeleciał wzrokiem po formularzach akt.

– Któryś z nich zabił Wolfa?

Evans potrząsnął głową.

– Przeciwnie: tak jak my szukają zabójcy.

Gratz raz jeszcze przyjrzał się czarno-białym zdjęciom, po czym zamknął teczkę i zawiązał wstążeczkę.

– Niezłe wsparcie, inspektorze – powiedział. – Ale w takim razie tym bardziej nie wiem, czemu zawdzięczam…

– Ci czterej to nasi podejrzani w sprawie o bardzo brutalne morderstwo – wyjaśnił Evans. – Mamy podstawy przypuszczać, że pracują dla Thorniniego i że szukając dla niego zabójcy Wolfa, torturowali i zamordowali niewinnego człowieka. I dlatego…

– Mogę o coś zapytać? – przerwał mu Gratz.

– Skąd wiemy, że dla Thorniniego?

Detektyw potrząsnął głową.

– Bardziej ciekawi mnie to „my”, inspektorze. Bo nie podejrzewam pana ani o nagły przerost ego, ani o równie nagłą skłonność do współpracy z… w sumie kimkolwiek z komendy. Bez urazy.

Evans skubnął wąsa, próbując ukryć wesołość.

– Powiedzmy, że śledztwo trochę się… uszlachetniło. Na razie myślimy nad tym wspólnie z agentem McShane’em.

Gratz podniósł kubek, jakby wznosił toast.

– Jeśli wolno mi to powiedzieć: nareszcie, inspektorze – skwitował wesoło. – Trochę historii krążyło o tym, jaki z was duet, i do tego…

Urwał nagle pod spojrzeniem Evansa i upił łyk kawy, by uzasadnić chwilę ciszy, równie nagłej co ciężkiej.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Ale wracając do tematu, rozumiem, że jestem panu do czegoś potrzebny, tak?

Evans pokiwał głową.

– I że raczej nie dostanie pan ludzi, zwłaszcza po tym, jak, podobnie jak ja, podpadł pan Albero?

Ponowne skinienie.

– I czy dobrze rozumiem, że potrzebny panu ktoś, komu wierzy pan choć trochę bardziej niż reszcie… Och, na Święty Wątek, to nie pierdolone szarady, inspektorze. Mógłby się pan odezwać jak człowiek, a nie kazać mi zgadywać.

Evans znowu skubnął wąsa.

– Nic panu nie kazałem, detektywie. Uznałem, że dobrze się pan bawi – odparł. – A co do pomocy, to potrzebuję, by ich pan dla mnie znalazł. Z akt, gdy je pan przeczyta, dowie się pan, że lubią się bawić w spelunach przy Troll’s Face. Potrzebuję kogoś, kto ich dla mnie dzisiaj przypilnuje.

Gratz zastanawiał się przez chwilę. Widać było, jak waży w głowie ciężar akt, które czytał przed przyjściem Evansa, jak wodzi wzrokiem po odrapanych, burych ścianach tej pozbawionej okna klitki. Po wysłużonym kalendarzu z dziewuchą zaglądającą zalotnie przez ramię, po wypełnionym długopisami pucharze piłkarskim trzeciej ligi i korkowej tablicy pełnej pinezek i skrawków kartek, oczyszczonej ani chybi w pośpiechu i nerwach. Wreszcie jego wzrok znowu skupił się na twarzy inspektora. Poklepał otrzymaną teczkę i uśmiechnął się łobuzersko.

– Będzie to pana kosztowało kwiaty dla mojej żony – powiedział. – Obiecałem jej dzisiaj kolację przy świecach. I Herlitz, zna pan Herlitza, prawda, inspektorze?

– Wielki taki? Mundurowy, zdaje się? – upewnił się Evans – Tak, mieliśmy okazję się poznać. Solidny, woził mnie kiedyś.

– Tak, właśnie ten. No więc on, niech pan sobie wyobrazi, pół miasta zganiał w zamieci, by mi te pieprzone świece kupić.

– No to jak już kupił, to nie zginą – odparł Evans, wstając. – Niech pan weźmie ze sobą kogoś zaufanego, by go tam zostawić, jak już ich znajdziecie. Pan przyjedzie wtedy po mnie.

– Wezmę Herlitza właśnie, o ile się zgodzi – powiedział detektyw. – A do pana to znaczy gdzie?

– Na Memoire – odparł podkomisarz. – Ja z kolei będę musiał złapać McShane'a, który będzie tam dzisiaj brylował na parkiecie. Zamierzam też, trochę przy okazji, podrażnić naszego pana nietykalnego.

– Dragosavalija?! – Gratz wyszczerzył się jeszcze szerzej. – To zmienia postać rzeczy, inspektorze. W takiej sytuacji to ja wiszę panu kwiaty i świece.

Złapał za słuchawkę i szybko wykręcił numer.

– Podeślijcie mi tu Herlitza… Tak, domyślam się, że dopiero się domył. To nawet lepiej, krzeseł nie upierdoli…

Evans zaśmiał się cicho i ruszył w stronę drzwi. Przekręcił klucz i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak detektyw Gratz żegna go niedbałym salutem. Skłonił się lekko w odpowiedzi i wyszedł.

***

Alfie podejrzewał, że McShane będzie się czuł nieswojo. Ktoś taki jak on, troglodyta ujarzmiony krawatem, ale przecież nie tak, że zaraz oswojony, nigdy przecież nie będzie pasował do miejsc takich jak ekskluzywny dom handlowy Boldtale przy ulicy Oll Rinkrank, gdzie od cen większe były tylko ego snujących się po budynku klientów i ich pogarda dla pospólstwa.

Agent jednak wpasował się w to miejsce wyśmienicie. Zwyczajnie miał wszystko gdzieś. Nie przeszkadzały mu ani westchnienia, ani stęknięcia, gdy w niedoczyszczonych buciorach wstąpił na rozłożony w holu dywan o gęstym włosiu, nic sobie nie robił ze spojrzeń czy szeptów na temat swojej fryzury, płaszcza, nieogolonej twarzy. Po prostu parł do przodu, mijając kolejne butiki, rzeźbione lady i stojaki pełne kreacji. W dłoni trzymał legitymację agenta NS, która w tej chwili była dlań niczym magiczna różdżka usuwająca z drogi wszelkie przeszkody.

– Teraz w lewo – rzucił idący za McShane'em muzyk i agent natychmiast, bez cienia zawahania, skręcił w lewo.

Stojący przy stojaku ludzie, dwie eleganckie damy i siwy gentleman, czmychnęli przed nim jak wioskowe kury przed kołami samochodu. Alfie to wykorzystał.

Z każdą chwilą coraz bardziej bawiła go ta sytuacja. Kiedyś, właściwie wcale nie tak dawno temu, przychodził tu, by pogapić się na nowe kolekcje, i mimo że ubierał się na te eskapady jak do ślubu, swojej chłopskiej aparycji zmienić nie mógł – pospolita twarz, kartoflowaty nos, kwadratowa szczęka i blizna rzucały się w oczy przy pierwszym spojrzeniu. To jednak jeszcze o niczym nie przesądzało, mógł wszak być jednym z miejskich gangsterów, zabijaków, którzy opanowali alchemiczną sztukę zamiany krwi w złoto. Lecz zaraz potem wytrawny koneser mody męskiej dostrzegał także niedoskonałości jego tak starannie dobieranego stroju – taniość materiału, nie ten ścieg czy może szelest podszewki – i wtedy czar pryskał ostatecznie. Nikt rzecz jasna nie przestawał być wtedy uprzejmy, ale nie miało to już nic wspólnego z traktowaniem go jak klienta. Był gapiem, czyli kimś niżej nawet niż tutejsi sprzedawcy czy magazynowi, bo jego obecność w sklepie pozbawiona była jakiegokolwiek celu.

Wystarczył jednak ktoś, na kim pełne wyższości reakcje nie robią wrażenia – barbarzyńca w świątyni – by pogarda ustąpiła miejsca czystemu strachowi. Co też się może wydarzyć, co się zmieni teraz, gdy już ktoś tak jawnie zakwestionował obowiązujące tu zasady i wprowadził

własne? Sytuacja była warta piosenki i w głowie muzyka powstawały już pierwsze rymy.

Dotarli na miejsce. Salon krawiecki Girschrand i Syn przypominał trochę misternie rzeźbioną skrzynkę na biżuterię, tyle tylko, że w makro skali i z wystawowymi szybami na jednej ze ścianek. Za nimi, na podwyższeniu, stały pozbawione twarzy manekiny z ciemnego drewna ubrane w garnitury i fraki uszyte zgodnie z najnowszą modą. Dopiero tu, przystając przed drzwiami, McShane starannie wytarł buty, zanim wszedł do środka. Alfie obejrzał się jeszcze i powoli powiódł wzrokiem po wszystkich tych ludziach, którzy udawali, że wcale się im nie przyglądają. Wreszcie, mając dość tej zabawy, rozłożył szeroko ręce i skłonił się w pas. A potem, robiąc minę, jakby był rozczarowany brakiem oklasków, podążył za agentem.

McShane zdążył się już zapoznać z właścicielem sklepu, staruszkiem zgiętym nieomal wpół ciężarem lat i z łysiną konsekwentnie wypierającą siwiznę z jajowatej czaszki. Choć wiekowy i pomarszczony, pan Girschrand prezentował się jednak dumnie i nad wyraz elegancko, na co niewątpliwie miał wpływ staranny dobór stroju – kraciastej, bordowo-grafitowej kamizelki włożonej na białą koszulę, grafitowych spodni w idealny kant i elegancko wypastowanych czarnych butów. Kontrowersje wśród znawców mogła co prawda wywoływać zawiązana pod szyją czarna krawatka, ale i ona dopełniała obrazu dawnej elegancji, jaki mężczyzna prezentował.

– A oto i nasz wirtuoz – powiedział agent, ledwie zabrzmiał dzwonek nad drzwiami. Odwrócił się nieco i wskazał krawcowi Alfiego. – Jak mówiłem, mamy mało czasu, ale materiał wdzięczny. Nasz budżet natomiast to sto dijmar…

– Dwieście – poprawił Alfie i natychmiast poczuł, że się czerwieni. Przez moment, jedną krótką chwilę, żałował, że się w ogóle odezwał. Co by mu szkodziło ubrać się za stówę? Zdał sobie jednak sprawę, że na przyjęciu u Dragosavalija ktoś, być może sam gospodarz, natychmiast dostrzegłby różnicę.

Jakby to miało jakiekolwiek znaczenie, pomyślał, w kontrze do własnego rozumowania, i sięgnął do kieszeni po banknoty. Pięć dwudziestek otrzymanych od McShane’a uzupełnił dwoma pięćdziesiątkami.

– Dwieście – powtórzył.

Agent przyglądał się najpierw muzykowi, potem pieniądzom. W końcu potrząsnął głową na znak, że chyba nigdy nie zrozumie takiej rozrzutności, i znowu uśmiechnął się do krawca.

– No więc dwieście – powiedział. – Ma pan coś dla nas, mistrzu?

Staruszek wziął pieniądze i chwilę się zastanawiał.

– Za taką kwotę raczej coś gotowego i skromnego – powiedział. – No, chyba że… Panowie wybaczą.

Zniknął na zapleczu. McShane odprowadził go wzrokiem i dopiero gdy mężczyzna zniknął za kotarką, spojrzał na Alfiego z rozbawieniem.

– Dał ci dwieście dijmarów? Na ciuchy na jeden wieczór? Naprawdę?! – nie dowierzał.

Alfie wzruszył ramionami.

– Może wiąże ze mną przyszłość?

– Wtedy to się pierścionek kupuje – odparł McShane i znowu pokręcił głową. – Dwieście dijmarów…

Muzyk postanowił dać agentowi chwilę na oswojenie się z tą nowiną i zajął się kontemplowaniem zawartości sklepu. Przyglądał się a to misternie rzeźbionej ladzie, w której pod szkłem skrzyły się w blasku lamp spinki do mankietów i krawatów, a to paskom zwisającym z wieszaka przypominającego drzewo. Wzdłuż lewej ściany stał rząd manekinów, każdy w garniturze w innym stadium uszycia – zupełnie jakby starszy pan przygotował tu lekcję pokazową dla adeptów. Po prawej znajdowały się dwie pary drzwi wiodące do przebieralni, równie ozdobne jak lada czy fasada sklepu.

Resztę butikowej przestrzeni wypełniały manekiny. Pozbawione twarzy, za to w zupełnie naturalnych, ludzkich pozach, prezentowały, jak zgina się materiał na łokciach czy kolanach, jak układa marynarka przy podnoszeniu rąk, a jak przewieszona zawadiacko przez ramię. Słowem: elegancja w praktyce.

Miło byłoby być tutaj stałym klientem, pomyślał Alfie. Wyobraził sobie siebie na stołku w kącie, unoszącego rękę do pomiaru i krzywiącego się na widok szpilek w ustach pana Girschranda.

Krawiec tymczasem wrócił, niosąc przewieszony przez przedramię garnitur w szerokie czarno-białe prążki. Położył go na ladzie i wskazał nań

dłonią, a widząc niepewną minę muzyka, uśmiechnął się i poprawił okulary.

– Fakt, wymaga odwagi i nietuzinkowości – powiedział cichym, matowym głosem. – Ale myślę, że zrobi pan wrażenie, na jakim panu zależy. No i… – brodą wskazał na opatrunek na ręce muzyka – Będzie się wyśmienicie komponował. Zamówił to pewien artysta, ale… zrezygnował.

Alfie podszedł do lady i dotknął materiału. Był delikatny, niemal eteryczny, a z drugiej strony włókna wyglądały na mocne, trwałe. Krój też mu się podobał. Tylko te kolory…

– Mistrz pewnie dawno nie wychodził – McShane głośno wyraził wątpliwość muzyka – ale to stanowczo nie jest miasto na biel, zwłaszcza dzisiaj.

Staruszek pokiwał głową, jakby ze zrozumieniem, zaraz jednak uśmiechnął się chytrze i zapytał:

– A od kiedy to ludzie z Memoire przejmują się tym, co im narzuca świat wokoło? Po to jesteś bogaty, by czniać na to i czynić sobie świat podległym.

Trudno się z tym było nie zgodzić, pozostawał jednak szereg wątpliwości, które muzyk z agentem musieli omówić na osobności. Gdy wrócili, McShane wyraził ich zgodną opinię, mówiąc:

– Przymierzamy.

Alfie wziął garnitur i udał się do przymierzalni. Tam pospiesznie zrzucił z siebie ciuchy i upewniwszy się, że nie ma na nogach żadnych drobin sadzy, ostrożnie wciągnął spodnie. Pasowały jak ulał, podobnie jak czarna koszula dołożona do zestawu. Dopiero kamizelka, odstając w dwóch miejscach, zburzyła wrażenie, że garnitur był szyty dla niego. Marynarka, jak się okazało, również wymagała drobnych dopasowań.

Ale nawet z tymi niedoskonałościami, gdy Alfie uniósł wzrok i przyjrzał się sobie w lustrze, zobaczył kogoś, kim zawsze chciał się stać, mimo że nigdy nie potrafił tego dookreślić. Ten ktoś prezentował elegancję, świeżość, szyk i niemal bezczelne postawienie się utartemu schematowi. Nawet jego pospolita gęba nabrała finezji, jakiejś inteligenckiej głębi. Pomyślał, że może to lata ćwiczeń i praktyka uczyniły go pianistą, ale prawdziwym artystą stał się dopiero teraz. I nie miał na to najmniejszego wpływu jego dorobek, a jedynie to, co właśnie poczuł – że może wszystko.

Gdy wyszedł z przebieralni, nie musiał nic mówić. McShane i krawiec wyczytali z jego twarzy, o czym myśli. Girschrand żwawym krokiem, zupełnie jakby w jednej chwili odmłodniał, przeszedł przez sklep, wytoczył na jego środek masywny stołek i kazał Alfiemu na nim stanąć. Wydając muzykowi komendy i operując to miarką, to szpilkami, błyskawicznie oznaczył miejsca do poprawki i polecił zdjąć garnitur.

– Zaraz dam panom karnet do kawiarni Lelewa trzy sklepy dalej – powiedział do McShane'a, gdy Alfie się przebierał. – Spoczną tam sobie panowie na dwa lub trzy kwadranse, zakosztują ich wyśmienitej kawy lub gorącej czekolady i któregoś z przysmaków, a ja uwinę się raz dwa. Czy buty…

– Musimy kupić – McShane wszedł mu w słowo, a staruszek pokiwał głową, by zaraz nią pokręcić.

– Dołożymy w gratisie, bo nie można psuć kompozycji byle czym albo szukać nerwowo na ostatnią chwilę – stwierdził, tymi ostatnimi słowy odnosząc się wyraźnie do coraz częstszego zerkania agenta na zegarek.

Podreptał za ladę i wrócił z dwoma kartonikami wyglądającymi jak złote bilety.

– Proszę, oto te karnety. Nie więcej jak trzy kwadranse i… osobiście polecam sernik.

CAVE
DANCE

Rozdział 9

Mort wszedł do pomieszczenia dla służby, zamknął za sobą drzwi i stanął tuż za progiem, zaplatając ręce za plecami.

– Ktoś grzebie w śmietnikach – powiedział.

Większy z dwóch ochroniarzy siedzących przy ogromnym nielakierowanym stole posłał mu niechętne spojrzenie i podniósł kubek kawy.

– Przerwa – mruknął i na moment obnażył górne zęby, co tak rozbawiło jego kompana, że aż parsknął. Ciemne kropelki rozprysnęły się po stole.

Mort westchnął. Powiódł wzrokiem po przestronnym pomieszczeniu, pootwieranych szafkach, wodzie rozchlapanej na blacie obok zlewu, kawie na podłodze niedbale zamiecionej nogą pod szafkę, kubkom poprzewracanym na suszarce. Odwrócił głowę w drugą stronę i pod oknem, w kącie, dostrzegł przestraszoną Minnie, jedną z pokojówek. Ze wzrokiem wbitym w podłogę i głową wciśniętą między ramiona łkała cicho, składając serwetki. Mort znał życie i takich jak ci tutaj na tyle, by mieć pewność, że gnojki zalecały się do niej niewybrednie, odkąd tu weszły. Może nawet któryś spróbował macanek? Hołota do wynajęcia, że też pan Dragosavalij się na to zgadzał.

Z drugiej strony, pomyślał, nie miał za dużego wyboru. Zwykle wydarzenia takie jak to obstawiały w ramach współorganizacji największe agencje ochrony mienia, ale wiadomo, kto za nimi stał i trudno się było biznesmenowi dziwić, że w ostatniej chwili podziękował im za ofertę, decydując się na firmę z ogłoszenia.

Gdyby tylko pozwolił się tym zająć Mortowi. Potrzebowałby dwóch godzin, by z dawnych kolegów zmontować załogę umiejącą się zachować, znającą się na rzeczy i nierobiącą z kuchni chlewu.

No i, skrzywił się z obrzydzeniem, oni nie wyglądaliby jak goryle wciśnięte w przymałe garnitury.

Postąpił krok do przodu, ale nikogo to nie obeszło. Ochroniarze wrócili do przerwanej rozmowy, do pogaduszek o tanim, a jakże dobrym mięsie

gdzieś na Navalla Afiada i o tym, że córka rzeźnika lubi się rżnąć na półtuszach.

– Panowie, przerwa przerwą, ale…

– Spierdalaj – warknął większy i potarł dłonią, porośniętą z góry czarnym włosiem, o nieogolony policzek.

Mort zerknął na Minnie, a potem powoli zdjął marynarkę i odwiesił ją na wieszaku stojącym na lewo od drzwi. Z mankietów wyjął spinki i włożywszy je do kieszeni, zaczął podwijać rękawy.

To zwróciło uwagę osiłków. Większy przyjrzał mu się ze zdumieniem, po czym zarechotał i trącił kompana łokciem.

– On się chyba chce z nami bić – stwierdził.

Drugi ochroniarz bez słowa wstał od stołu, obejmując lewą dłonią prawą pięść, jakby ją ugniatał i zbijał. Chrupnął zastany kark, górna warga uniosła się w szyderczym uśmiechu.

– Niech próbuje.

Mort tymczasem rozwiązał i odwiesił na wieszak muchę, a wreszcie rozpiął guzik koszuli pod szyją. Tak przygotowany spokojnie ruszył w stronę stołu. Zamiast jednak podejść do siedzących po prawej ochroniarzy, obszedł mebel z lewej strony i skierował się do wyjścia wiodącego na ganek dla służby. Gdy pchnął drzwi, za jego plecami rozległ się śmiech.

Pokonał cztery betonowe, świeżo obmyte z pyłu stopnie i przeszedł przez garażowy podjazd, aż do budki, w której stały kosze na śmieci. Kątem oka dostrzegł, że oba osiłki stoją w oknie i mu się przyglądają, komentując i śmiejąc się na przemian.

Między kubłami Mort zauważył dwóch umorusanych chłopców. Nie wyglądali na starszych niż dwanaście lat. Na postrzępionym kocu, który zapewne zamierzali związać w tobołek, leżały świeże kuchenne odpady – zbyt otłuszczony kawałek mięsa, końcówki warzyw i owoców, pokruszone lub nadpalone wypieki. Pracowali zawzięcie i bardzo metodycznie, najpierw przewracając kubeł, potem grzebiąc we wszystkim, co wypadło, i wreszcie zbierając resztę co do obierki. Kamerdyner nie mógł tego nie docenić, dlatego tylko uśmiechnął się pod nosem, a potem stuknął butem w jeden z kubłów, by zwrócić uwagę intruzów.

Odwrócili się błyskawicznie i zamarli niczym zwierzęta na drodze, uwięzione w snopach świateł. Patrzyli na Morta tymi wielkimi

przerażonymi oczami, niezdolni, by pisnąć choć słowo. Młodszy miał wokół oka zsinienie świadczące o początkach egzofossilii.

Mort pozwolił im zawiązać tobołek, a po namyśle rzucił im jeszcze dwa dijmary i garść drobniaków. Następnie poinformował, co się stanie, jeśli jeszcze kiedykolwiek ich tutaj zobaczy, i kazał spadać, uważnie obserwując drogę, jaką obrali. Dopiero gdy przeskoczyli przez parkan, odwrócił się i ruszył do domu.

Zerknięcie w okno uzmysłowiło mu, że ochroniarze nadal się na niego gapią, zapewne coraz bardziej przedłużając przerwę, na którą się powołali.

Właściwie, myślał Mort, w całej tej sytuacji było trochę jego winy. Mógł ustalić zasady już na samym początku, ledwie przyszli, a nie teraz, gdy lada chwila mieli się zacząć schodzić goście. Tak naprawdę jednak, przyznawał to ze szczerym bólem, wróciwszy do domu, bardziej cieszył się własnym szczęściem i radosnym dlań splotem okoliczności, niż martwił się sprawą przyjęcia.

Po nieudanej próbie załatwienia sprawy na komendzie pierwotnie planował od razu zadzwonić do pana Dragosavalija, więcej, zamówił nawet taką rozmowę w restauracji naprzeciwko policyjnego gmachu, ale w pierwszej chwili nie udało się uzyskać połączenia, a potem rozmyślił się, uznając, że w związku z jak zawsze niemożliwym do przewidzenia efektem jego pracodawca ma teraz dość nowych zmartwień. Czy gościom będzie się chciało przedzierać przez czarne miasto? I czy w ogóle chmura opadnie na czas?

Siedział więc, popijając wodę i skubiąc mocno krwistego steka, i zastanawiał się, jak w inny sposób załatwić sprawę tej dziennikarki „Spokestad” i sprostowania. Co zrobić, by nie wracać z pustymi rękami. Wreszcie jak dobrać się do tego pyskatego, cwanego gliny Evansa. Wszystkie pomysły, jakie przychodziły mu do głowy, bardziej jednak szkodziły, niż pomagały, więc w końcu odpuścił, a gdy chmura wreszcie przeszła, wziął taksówkę i czym prędzej udał się na Memoire, by choć tu wykazać się jako taką przydatnością.

Czasem wystarczy poczekać, powtórzył w myślach, raz jeszcze uśmiechając się na niedawne wspomnienie radości, jaką wywołała w nim wiadomość, że dziennikarka postanowiła wyrazić skruchę i prosi o dopisanie jej do listy. Co prawda w pierwszej chwili wietrzył podstęp, ale gdy zgodziła się podpisać także przygotowane przez mecenasa

zapewnienie, że nie puści żadnego tekstu o przyjęciu bez autoryzacji Dragosavalija, odetchnął z ulgą. Jego szef miewał swoje za uszami, jak każdy. Ale to, co wydarzyło się wczoraj i co działo się dziś… nie, na to z pewnością nie zasługiwał.

Mort przystanął, jakby się zawahał, po czym skręcił w prawo, w stronę bramy garażowej. Z kieszeni wyłowił plik kluczy i na dotyk wybrał właściwy. Otworzył boczne drzwi, a potem na chwilę zniknął w środku, po czym wrócił z pokrowcem na garnitur i lekarskim sakwojażem. Zamknął garaż i dopiero wtedy wrócił do pomieszczenia dla służby.

Ochroniarze rzecz jasna wciąż tam byli. Gdy wszedł, akurat wracali do stołu, przyglądając mu się z tymi samymi drwiącymi minami.

– Świetna robota – skomentował większy.

Mort zlekceważył go zupełnie. Ruchem głowy przywołał siedzącą w kącie Minnie i wręczył jej pokrowiec.

– Potrzymaj chwilę, muszę zadzwonić – powiedział i rzeczywiście podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Torbę postawił na blacie i otworzył, a następnie przytrzymał słuchawkę ramieniem. Lewą ręką wybrał numer na tarczy, zaś prawą szukał czegoś we wnętrzu sakwojażu.

– Schreck z tej strony – przedstawił się. – Potrzebuję pilnego wywozu śmieci. Tak… dyskretnie, od zaplecza… Nie, sam wywóz, dziękuję.

Odwiesił słuchawkę i na moment wsunął drugą rękę do torby, a zaraz potem odwrócił się frontem do stołu, unosząc ręce jak do gardy. Na knykciach połyskiwały mu teraz dwa masywne srebrne kastety.

Mniejszy siedział bokiem i w pierwszej chwili niczego nie zauważył, ale większy zareagował niemal natychmiast. Poderwał się z krzesła i gdyby dystans, jaki dzielił go od Morta, był o krok, dwa dłuższy, być może by zdążył. Teraz jednak odległość była wręcz idealna dla kamerdynera, który wykorzystał ją, by nabrać rozpędu i siły i doskoczywszy, wyrżnąć ochroniarzowi w skroń, gdy ten był jeszcze na ugiętych kolanach, z ręką na oparciu. Cios był tak mocny, że mężczyzna zdołał tylko zatrzepotać powiekami i bezwładnie osunął się na siedzisko. Wyglądało to, jakby się rozmyślił, odpuścił.

Mort tymczasem odwrócił się błyskawicznie i już stał oko w oko z drugim z ochroniarzy. Ten zdążył wstać, a nawet wyprowadzić cios, ale na tyle nieprecyzyjny, że kamerdyner uchylił się bez wysiłku. Potem wystarczył już tylko mocny hak, by posłać przeciwnika na ziemię wraz

z krzesłem, i już z przyklęku cios od boku, w twarz, by chrupnął pękający nos. Mężczyzna jęknął cicho, jakby prosząc się o kolejny cios. I ten rzeczywiście nadszedł, również jego pozbawiając przytomności.

Kamerdyner zsunął z dłoni kastety i sprawdził mężczyźnie puls na szyi. Dopiero wtedy podniósł się z klęczek i wrócił do torby. Wyjął z niej dwie pary kajdanek.

– Wyciągnij z pokrowca świeżą koszulę dla mnie, proszę – powiedział do Minnie, nie patrząc w jej stronę. – Za chwilę zjawi się tutaj dwóch śmieciarzy. Wejdą od tyłu, a ty ich wpuścisz i pozwolisz posprzątać.

Podszedł do większego z ochroniarzy, wykręcił mu ręce i spiął ciasno z tyłu. To samo zrobił z jego kompanem, przewróciwszy go uprzednio na brzuch. Potem przez chwilę przyglądał się sporej kałuży bordowej krwi.

– Niech to dobrze wywabią – polecił, rozpinając guziki koszuli. – I niech pamiętają o oddaniu kajdanek. Zapamiętałaś?

– Tak, panie Schreck. – Pokojówka dygnęła i podała mu świeżą koszulę.

Nałożył ją sprawnie, wcisnął w spodnie i wpiął mankietowe spinki. Dopiero wtedy uśmiechnął się do dziewczyny.

– Już, nie ma strachu – rzekł, unosząc palcem jej drżący podbródek. – To będzie udany wieczór.

Powiedział to z przekonaniem. Naprawdę tak uważał i ze swojej strony zamierzał zrobić wszystko, by wszystko poszło zgodnie z harmonogramem.

***

Przypomniał sobie o tych słowach i tej myśli nie dalej jak pół godziny później, patrząc w oczy Alfiego Moore’a. Chłopak był oczywiście na liście osób do wpuszczenia, tej drugiej, zawierającej służbę i obsługę przyjęcia, ale już jego niezapowiedziany towarzysz nie, i to stanowiło problem dla kolejnego wynajętego ochroniarza, dla którego najwyraźniej polecenie „nikt spoza listy nie wchodzi” było nie dość precyzyjne. Mort, który naprawdę miał tej cholernej, podnajętej bandy coraz bardziej dosyć, musiał więc odejść od głównego wejścia, gdzie wraz z gospodarzami witał gości, i zjawić się tutaj tylko po to, by powiedzieć to jedno zdanie:

– Nikt spoza listy nie wchodzi.

Moore, elegancki nad podziw w tym swoim czarno-białym garniturze, ufryzowany jak gwiazdor kina lub gangster, chyba za mocno wczuł się

w rolę, bo zamiast po prostu przyjąć odmowę do wiadomości, zaczął tłumaczyć, że to niespodzianka, że pan Dragosavalij z pewnością się ucieszy, bo towarzyszący mu jegomość to autor wielu kompozycji Burtona J. Ella i zgodził się wystąpić dziś nieodpłatnie po starej z Moore'em znajomości. A pianista uznał, że to wyśmienity pomysł.

I tak dalej, w kółko, trochę na boku i ciszej, a potem znowu głośno, w ekscytacji. Tymczasem za nimi rosła już powoli kolejka dostawców i innych zaplanowanych na wieczór artystów, coraz bardziej zniecierpliwionych i jojczących, że nie zdążą się przygotować. Mort wyczekał więc pauzy w wypowiedzi Moore'a, by ponownie, tym razem dobitniej powtórzyć:

– Nikt spoza listy nie wchodzi.

Ale muzyk oczywiście znowu zaczął swoje, że może faktycznie powinien się porozumieć, zapytać, ale że spotkali się z jegomościem na skutek splotu okoliczności i źle byłoby nie skorzystać z okazji, a teraz to z tego wszystkiego mógłby wyjść skandal, bo jakże to tak nie wpuścić mistrza, i że – to już dodał szeptem, teatralnym gestem zasłaniając usta – przecież pan Dragosavalij nie chciałby urazić wrażliwej duszy artysty.

Mort westchnął. Była racja w tym, co mówił chłopak, choć towarzyszący Moore'owi jegomość – nazwiskiem Grotzkowiak, jak przedstawił go muzyk – wyglądał raczej na takiego, którego bez awantur dałoby się opędzić butelką dobrego bourbona. Gdyby jednak nie, byłby to drugi raz w ciągu doby, gdy złe języki zyskałyby pretekst, by o jego pracodawcy mówić nieprzychylnie.

– Poczekajcie tu – powiedział w końcu i udał się do głównego wejścia.

Tam odczekał, aż gospodarze przywitają się serdecznie z naczelnikiem wydziału transportu i jego młodą żoną, rzekomo niegdysiejszą striptizerką w barze na dalekim południu, i stając za Dragosavalijem, szepnął mu do ucha kilka słów. Ten zawahał się, ale po chwili zerknął na żonę i – o ile Mort znał szefa – w tym momencie przemknęło mu pewnie przez głowę, że taką niespodzianką mógłby wynagrodzić małżonce choć część ostatnich nieprzyjemności.

– Zaproś – szepnął, szeroko się uśmiechając i wyciągając ręce do sezonowej gwiazdy teatru, panny Ristlow, i jej urodziwego towarzysza, zapewne partnera z desek teatralnych.

Mort wrócił więc do wejścia dla służby i polecił wpuścić Moore’a i Grotzkowiaka, przepraszając tego drugiego, że musi wchodzić tylnymi drzwiami. Ten odparł, że nic nie szkodzi, i dodał coś o zaglądaniu za kulisy świata.

– Dla artysty to kluczowe – powiedział, a kamerdyner wyraził zadowolenie, że w ten sposób przyjdzie mu uczestniczyć w procesie twórczym.

Po namyśle dodał, że jeśli obaj muzycy nie mają nic przeciwko, odprowadzi ich osobiście i przy okazji doglądnie, jak się w środku sprawy mają.

– W ogóle jesteście panowie w samą porę, zespół grający przed wami podobno właśnie kończy – powiedział, puszczając ich w progu przez drzwi, przez które jeszcze nie tak dawno wchodził, niosąc sakwojaż i pokrowiec. „W samą porę” wypowiedziane tonem, którego użył, było oczywiście zawoalowaną reprymendą. Być może zbyt subtelną, bo ani Moore ani Grotzkowiak nie zdawali się wyrażać skruchy.

Przeszli razem przez wysprzątane już pomieszczenie dla służby, a następnie szeregiem wąskich korytarzy dotarli do szerszego, znanego Alfiemu, prowadzącego do gabinetu gospodarza. Na jego środku kilkoro gości gromadziło się wokół prowizorycznego stoiska z książkami i rozmawiało ze stojącą za ladą dziewczyną.

Mort jednak poprowadził muzyków w drugą stronę, bliżej wyjścia i tam przez szerokie, dwuskrzydłe drzwi weszli do przestronnej, białej sali balowej, gdzie już w kilku miejscach elegancko ubrani goście łączyli się w małe grupki.

Kamerdyner omiótł salę wzrokiem. Upewnił się, że wzdłuż stołu z przekąskami co kawałek stoi wyprostowana, uśmiechnięta kelnerka, a kucharz czuwający nad daniami gorącymi nie zdążył się ubrudzić.

Stoliki rozstawione za parkietem z daleka wyglądały w porządku. Ubrani na biało chłopcy pilnowali, by wszystkie krzesła były zasunięte, a serwetki czy kartoniki z nazwiskami stały równo. Gdy tylko zjawiał się na sali ktoś nowy, jeden z młodzieńców natychmiast materializował się obok, by odprowadzić na właściwe miejsce.

Teraz też ten stojący najbliżej ruszył w ich kierunku, ale Mort odprawił go nieomal niezauważalnym ruchem dłoni i poprowadził muzyków do niewielkiego stoliczka skrytego za podestem, na którym gniotąc się na

skrawku przestrzeni przed białym fortepianem, przygrywał niemrawo tercet dęty.

Po drodze kamerdyner skłonił się szpakowatemu mężczyźnie, którym był nie kto inny jak pan Crooks, właściciel domu handlowego Boldtale, a zaraz potem bez skrzywienia przyjął pusty kieliszek po winie, którym zamachała na niego wychudzona, pomarszczona blondynka o wielkich ustach – cień dawnej Luisy Turner-Gillroy, aktorki i żony tragicznie zmarłego producenta filmowego Ernesta Gillroya. Mort przeszedł kilka kroków z jej kieliszkiem i odstawił na tacę jednego z krążących po sali kelnerów.

– Proszę, niech się panowie rozgoszczą i zaczną, kiedy uznają za stosowne – powiedział, gdy dotarli na miejsce. I znowu ton, jakiego użył, z miejsca dookreślił, że najlepiej, gdyby za „stosowne” uznali „niezwłocznie”. Tym razem najwyraźniej komunikat został właściwie odczytany, bo Moore uniósł ręce, splótł dłonie, wyłamał palce i powiedział:

– Jak dla mnie, choćby już. – A potem, wyłapawszy spojrzenie Morta, popatrzył na swoją zabandażowaną dłoń. – To? Żaden problem, proszę pana. Co innego, gdyby obcięło mi palec czy dwa…

– Nie życzę – odparł kamerdyner, po czym upewnił się, że niczego więcej muzykom nie trzeba, i wrócił do gospodarzy przy głównym wejściu.

Dotarł tam w samą porę, by być świadkiem spotkania państwa Dragosavalijów z Pallą di Neve, dziennikarką „Spokestad”. Rozmowa, dłuższa nieco niż pozostałe powitania, wyglądała na miłą, choć nietrudno było dojrzeć, że ta obustronna, wylewna wręcz serdeczność wiele kosztuje zarówno gospodarzy, jak i dziennikarkę. Mort osobiście wybrał chłopaka, który odprowadził pannę di Neve na jej miejsce, i polecił mu dyskretnie obserwować i przysłuchiwać się, z kim, a także o czym rozmawia.

Gdy większość ważniejszych gości znalazła się już w środku, gospodarze opuścili posterunek przy drzwiach, a wtedy Mort wstąpił na zajmowany przez nich wcześniej niewielki podest, gotów czynić honory wobec ewentualnych spóźnialskich. Słysząc stłumione dźwięki fortepianu i śpiew Moore’a, a także śmiechy i gwar dochodzące z wnętrza posiadłości, czuł radość, że mimo przeszkód wszystko się udało. Z ważnych osób z listy brakowało naprawdę niewielu i Mort przypuszczał, że większa w tym była wina efektu niż porannego artykułu. A w dodatku…

Zmarszczył czoło i wytężył wzrok, przyglądając się uważnie samochodowi po drugiej stronie ulicy. Czyżby dojrzał w środku

czatującego tu kierowcę? Szukającą skandalu hienę z brukowca?

– Zastąp mnie. – Skinął na stojącego za nim chłopaka i wyszedł za bramę.

Szybkim krokiem pokonał brukowaną jezdnię i zatrzymał się przed pojazdem. Poczekał, aż kierowca opuści szybę, i zapytał, starając się z całych sił nie cedzić słów.

– Inspektor Evans. Mimo najszczerszych chęci trudno mi uczciwie stwierdzić, że miło mi pana widzieć.

Policjant wzruszył ramionami i przygładził wąsa.

– Mnie też patrzyło się na pana lepiej z dystansu, Mort.

– Rozumiem, że ma pan stosowny nakaz?

– Żeby samemu, w wolnym czasie, spędzać czas we własnym samochodzie, w dodatku przy drodze publicznej? – zdziwił się inspektor. – Myślę, że tak, mam wszelkie uprawnienia, by to robić. Nazywamy je potocznie prawem jazdy.

Mort zgrzytnął zębami. Nie zepsuj niczego pochopnością, napomniał się w myśli. Nic złego się nie dzieje. Wszystko jest w porządku.

– Myślę, że na wszelki wypadek poproszę mecenasa Sandersa, by dopisał to do naszej skargi na pana – powiedział w końcu. – Już on oceni, co jest zgodne z prawem. Myślę, że zna się na tym lepiej niż my obaj.

– Na dopisywaniu? Jestem przekonany – zgodził się policjant. – W zasadzie jedyna wątpliwość, jaka mnie w tej chwili dręczy, to pytanie, co by było, gdybym zlecił uważniejsze przyjrzenie się ochronie dzisiejszego przyjęcia. Ciekaw jestem bardzo, kto wystawił rekomendacje tym gentlemanom i z kim mają, powiedzmy… długofalowy kontrakt.

Wskazał brodą na przechadzających się wzdłuż parkanu ochroniarzy, a Mort obejrzał się posłusznie, z największym trudem powstrzymując się, by nie parsknąć śmiechem. Jakże piękne podsumowanie dzisiejszych przygotowań, pomyślał. Całe to niedawne zajście w pomieszczeniu dla służby, nerwy z nim związane, poniesione koszta sprzątania warte były tej jednej chwili i słów, które mógł wypowiedzieć bez cienia blefu:

– Ależ niech pan się nie krępuje, inspektorze. Może ich pan nawet zabrać, jeśli w zastępstwie przydzieli pan państwu Dragosavalijom kilku mundurowych. Pokładamy wiarę w policji Grimm City. Prawie całej…

– Nie wątpię – odparł Evans, ponownie gładząc wąsa. – A teraz czy mógłby pan…? Troszkę mi pan zasłania i utrudnia.

Wykonał gest, jakby odpędzał natrętną muchę, i kamerdyner nie mógł sobie darować drobnej złośliwości, jaką było stanie w miejscu kolejnych kilka minut. Dopiero słysząc za sobą kolejny zatrzymujący się przy bramie pojazd, odwrócił się i bez słowa pożegnania wrócił na swoje stanowisko.

***

Gratz stał na schodach przed budynkiem komendy i czekał czekał na Herlitza. Funkcjonariusz, gdy detektyw streścił mu sprawę – a zwłaszcza gdy wspomniał o tym, że to prośba Evansa, którego obaj sobie cenili – zgodził się niemal natychmiast. Zaznaczył jednak, że wolałby w zaistniałych okolicznościach nie testować granic cierpliwości przełożonych i nie schodzić ze służby przed czasem.

Gratz rozumiał to jak chyba nikt inny, umówili się więc na spotkanie przed komendą kwadrans po dwudziestej. Piętnaście minut było czasem, jakiego sierżant potrzebował, by złożyć raport i przebrać się w cywilne ciuchy.

Słońce nad miastem zdążyło już zajść i po raz drugi tego dnia Grimm City zawładnęła ciemność. Z tym że ta, w porównaniu z wywołaną efektem, była ciemnością jedynie z nazwy. Szczególnie tu, na Podgardlu, gdzie jeszcze dobrze nie opadł pył, a już zabrano się do gruntownego czyszczenia fasad urzędowych gmachów. Wzdłuż ulicy jarzyły się na pomarańczowo latarnie, nad nimi biurowce płonęły gorliwością zatrudnionych w nich kartonów – w przestronnych oknach można było dostrzec ich cieniste sylwetki pochylone nad biurkami.

Ci, którzy szczęśliwie skończyli już pracę, wypięli papierowe kołnierze, przywdziali kolorowe płaszczyki i teraz czekali ściśnięci wokół przystanków albo wzdłuż chodników, machając na przejeżdżające taksówki.

Mrok, ten prawdziwy, który rządził ulicami jeszcze kilka godzin temu, znajdował się teraz wyłącznie wysoko nad nimi. Unosił się pomiędzy tęsknymi spojrzeniami marzycieli i romantyków a gwiazdami, gotowy co najwyżej spuścić na miasto kolejną tłustą ulewę.

Na myśl o deszczu Gratz odruchowo postawił kołnierz skórzanej kurtki. Jeśli czegoś w tym mieście naprawdę nie lubił, to właśnie jego. Nawet

pojedyncza kropla spadająca na kark była niczym liźnięcie obleśnym, tłustym ozorem.

W końcu, nieomal dokładnie z wybiciem umówionego kwadransa po dwudziestej, zjawił się funkcjonariusz Herlitz. Przystanął u szczytu schodów i się rozejrzał, a dostrzegłszy detektywa, machnął ręką i ruszył w jego stronę.

Był potężnym, zwalistym brodaczem, synem kamieniarza z Północy. Budził strach wśród band szczeniaków i respekt – a być może nawet coś na kształt sympatii – u większych graczy zarządzających jego dzielnicą. Gdy jeszcze patrolował ulice – zanim trzy miesiące temu oddelegowano go do głównej, z zamiarem przeszkolenia na sierżanta – słynął z tego, że umiał w rozsądny sposób zachować proporcje między uczciwością wobec odznaki i sumienia a rozsądkiem. Mawiano nawet, że tam, z góry, gdzie tkwi głowa Herlitza, może i nie wszystkie grzeszki widać, ale biada tym, których przewinienia jednak zauważy.

Gratz przyglądał się olbrzymowi i zdał sobie sprawę, że chyba pierwszy raz widzi go w cywilu. Zabawne, ale w tej kurtce z cielęcej skóry, szerokich płóciennych spodniach, wielkich, wysokich buciorach i zawadiacko przekrzywionym kaszkiecie wyglądał na jeszcze większego niż normalnie. Nie wspominając już o tym, że prezentował się również trochę groteskowo.

– Minę ma pan jak moja żona dziś rano, detektywie – zagrzmiał wesoło, wyciągając do Gratza rękę na powitanie.

– Ona też miała ochotę wytłumaczyć panu, że ubieranie nie polega na wybieraniu losowych rzeczy z szafy? – zapytał detektyw, ściskając podaną dłoń.

Śmiech olbrzyma zwrócił uwagę paru osób, a jedną czy dwie skłonił do przyspieszenia kroku. Gratz po raz kolejny uznał, że wzięcie ze sobą właśnie kogoś takiego jak Herlitz było wyśmienitym pomysłem. Może nie do samej obserwacji, ale gdyby coś nagle poszło nie tak…

– Idziemy? – zapytał.

– Jasne. – Olbrzym kiwnął głową. – Swoją drogą, detektywie, będzie pan musiał potem mojej małżonce powiedzieć, co i jak, bo jak do niej zadzwoniłem, żeby wiedziała, że dziś mam robotę po tajniaku na Troll’s Face, to mi powiedziała, że jestem zwyczajnym ochlaptusem i żebym jej kitu nie wciskał, tylko do domu wracał, bo dzieciarnia.

Gratz się roześmiał.

– Jak załatwimy to jak trzeba, to nam Evans wystawi takie laurki, że będziesz sobie mógł w honorowym miejscu w domu powiesić – odparł, przypominając sobie własną uwagę o kwiatach dla własnej żony. Potem jednak spochmurniał, bo dotarło do niego, że równie dobrze, nakłaniając funkcjonariusza do tej roboty, robi mu pod górkę. Bo prawda była taka, że inspektor Evans nie był najlepszym koniem do obstawiania w tej gonitwie.

Zeszli ze schodów i przez chwilę podążali szerokim chodnikiem, zdawałoby się pod prąd całemu kolorowemu tłumowi. Trudno się było dziwić – zmierzali w stronę krainy weekendowej rozpusty, a jakby w kalendarz nie patrzeć, do końca tygodnia było jeszcze daleko i o Troll's Face nikt z autochtonów nawet nie myślał. W takie dni jak ten populacja dzielnicy rozrywki ograniczała się zazwyczaj do grupy zblazowanych turystów i, to w podlejszych barach i klubach, zapijaczonych stałych bywalców.

Gratz uważał, że to dobrze. Akta, z którymi się zapoznał, wskazywały na to, że Shorouki, o ile w ogóle byli w mieście, powinni przebywać w jednym z pięciu miejsc, w których zwykle przesiadywali. Trzy z nich znajdowały się przy Troll's Face, dwa, sądząc po adresach, burdele, i to te gorszego sortu, w portowej Spalli.

Odległość, jaka dzieliła policjantów od dzielnicy rozrywki, nie była duża. Samochodem musieliby kluczyć plątaniną jednokierunkowych uliczek, co pewnie zajęłoby im dobry kwadrans albo i dłużej, zależnie od ruchu. Pieszo jednak wystarczyło iść prosto, minąć ratusz po prawej i wejść do rozciągającego się za nim parku, gdzie między pasami wyjątkowo zadbanej zieleni ciągnęła się wysypana żwirem aleja, zwana czarną ścieżką. Nazwa wiązała się zarówno z długością odcinka, jak i faktem, że mimo starań trudno było doczyścić żwir z sadzy.

Za ścieżką i pierzeją drzew trzeba było jeszcze przekroczyć jeden z romantycznych, łukowatych mostków rozciągniętych nad parowem zarośniętym chaszczami i wchodziło się prosto na Troll's Face.

Przybyłych witała tam wielka, kolorowa brama, migająca tysiącem lampek jak te prowadzące do cyrku czy lunaparku. Z lewej do środka zapraszał dwumetrowy stand przedstawiający kuso ubraną, lubieżnie uśmiechniętą dziewczynę, z prawej do wejścia zachęcał ani chybi sam Marketer, w skrzącym, srebrzystobłękitnym fraku nałożonym na gołe ciało

i w cylindrze z podstawą główki wyłożoną złotymi dijmarami. I dziewczyna, i demon regularnie puszczali do wszystkich lampkowe oko.

Zaraz za bramą rozpoczynał się deptak, ciągnący się po łuku wzdłuż wybrzeża i to na nim i w jego bezpośrednim sąsiedztwie działo się w tej dzielnicy najwięcej. Z jednej strony plaża i ocean, z drugiej pierzeja złożona z najlepszych i najdroższych hoteli, wystawnych kasyn i restauracji mistrzów kuchni.

Dla tych ostatnich zjawiali się tu najbogatsi i najsławniejsi. Ci kilka szczebli niżej zaklinali rzeczywistość na deptaku i szukali okazji, a zwyczajni obywatele zjawiali się tu, by zakosztować choć iluzji luksusu. Z papierowymi torbami pełnymi przysmaków zakupionych w którejś z bocznych uliczek, w odświeżonych, czyściutkich kreacjach przechadzali się to tu, to tam. Niedyskretnie zaglądali w okna limuzyn czy za plażowe parawany, całymi godzinami przesiadywali w kawiarnianych ogródkach nad maleńką filiżanką herbaty i oczywiście zbiegali się tłumnie, ilekroć gdzieś pojawiała się tablica z napisem „Plan filmowy. Zakaz wstępu”.

Detektyw Gratz nie zaliczał się do żadnej z tych grup. Przeciwnie, nie lubił tego miejsca, bywał tu z rzadka, a pytany przez znajomych spoza miasta, czy warto wpaść tu choć na chwilę, odpowiadał nieodmiennie słowami swego nieodżałowanej pamięci ojca: „To miejsce jest jak stara kurwa, myśląca, że tapetą i świecidełkami zdoła przykryć zgniliznę i próchno”.

I pomyśleć, przeszło przez myśl detektywowi, że Trolls’s Face powstało ku czci Bajarza. Nawet mozaiki na deptaku przedstawiały obrazki ze Świętej Księgi. Co zresztą stało do dziś kością niezgody między władzami miasta a Kościołem bajańskim domagającym się demontażu deptaka i przeniesienia go w bardziej godne miejsce. To był chyba jedyny przypadek w historii miasta, gdy ówczesny burmistrz Killgore Trout stracił cierpliwość, kazał się hierarchom Kościoła pierdolić, a usłyszawszy, że za te słowa i tę decyzję przyjdzie mu doznać wiecznej męki, wzruszył ramionami i stwierdził: „Zdarza się”.

Szli tym właśnie spornym deptakiem, utrzymując niemal równy krok mimo różnicy wzrostu. Minęli kilka zamkniętych teraz sklepików ze słodyczami i budkę z wodą sodową, a potem smukły drewniany budynek Stag’s. Krążyły plotki, że urzędowały w nim dziewczyny tak piękne, iż dla własnego bezpieczeństwa w zasadzie go nie opuszczały, a robiąc to

okazjonalnie i zawsze pod ochroną, ubierały się luźno i zasłaniały twarze, by faceci nie szaleli na sam widok. O tych samych dziewuchach mówiono, że były gotowe zgodzić się na absolutnie wszystko, kwestią była jedynie cena.

Oczywiście bardziej prawdopodobna wersja, ku której skłaniał się między innymi detektyw, mówiła o tym, że dziewczyny po prostu sprowadzono gdzieś z daleka i przetrzymywano wbrew ich woli. Nikt tak naprawdę nie wiedział, do kogo Stag's należy, ale niewątpliwie był to spory gracz, skoro obyczajówka nie wyrywała się, by robić więcej niż rutynowe, zwykle zapowiedziane odpowiednio wcześniej kontrole.

– Dawno tu nie byłem. – Herlitz przerwał rozmyślania Gratza, przystając nagle i rozglądając się na boki. – Do Słodkich Usteczek to chyba tu, prawda?

Wskazał dłonią wąską uliczkę między ogromnym kasynem Aces'of'Spades – należącym podobno do Thorniniego – a czarnoziemską restauracją o niewymawialnej nazwie. Detektyw podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam, w życiu tam nie byłem.

Funkcjonariusz się zmieszał, ale postanowił darować sobie ewentualne tłumaczenia i zamiast tego z rozmysłem skinął głową.

– Tak, sądzę, że tędy będzie najszybciej – stwierdził i nie czekając na odpowiedź, ruszył sprężystym krokiem w stronę zaułka.

Gratz został w tyle. Wydobył z kieszeni papierośnicę i odpaliwszy ostatniego zmaltretowanego szluga od sztormowej zapałki, zasalutował nim Rockowi Schererowi w stroju policjanta. Monstrualnie wielka podobizna aktora umieszczona na billboardzie ustawionym na molo wychodzącym daleko w morze uśmiechała się zawadiacko.

Detektyw odpowiedział uśmiechem i zanotował w pamięci, że w ramach rewanżu za odwołaną kolację powinien zabrać żonę właśnie na ten film. *W służbie miłości*, czyli miłość i policyjna robota – wyglądało jak coś w sam raz dla nich. No i jeszcze ten Scherer. Chyba nie było kobiety, która by się w nim nie kochała, czy to skrycie, czy zupełnie otwarcie. Pewnie gdyby pewnego dnia jego żona przyszła i powiedziała mu, że…

– Hej de… idzie pan? – Herlitz przytomnie nie użył jego stopnia.

– Tak – odparł Gratz. – Już idę.

***

Alfie w teatralnym geście uniósł dłonie znad klawiatury fortepianu. Dźwięki urwały się nagle, a po sekundzie absolutnej ciszy na sali rozległy się gorące owacje. Bez okrzyków, bez gwizdów – jak zwykła robić publiczność, do której przywykł – ale zdecydowanie entuzjastyczne.

– Naprawdę jesteś dobry, młody – szepnął z uznaniem McShane.

– Dziękuję, pan też poradził sobie bardzo dobrze – odparł muzyk.

Ku własnemu zaskoczeniu mówił zupełnie szczerze. Mimo zapewnień agenta, że ten śpiewać umie i lubi, i tak, oczywiście wie, co to jest tonacja, Alfie bał się tego momentu uwiarygodniania McShane'owej przykrywki i aż do teraz nie dawało mu to spokoju i nie pozwalało się rozluźnić.

Wybrany przez nich utwór, *To bez znaczenia*, był co prawda jednym z prostszych w repertuarze Burtona J. Ella, ale to wcale nie znaczyło, że banalnym. Ta nieomal melorecytacja, z wymruczanym, wibrującym refrenem – w oryginale śpiewanym przy wsparciu chórku sopranów – wymagała bowiem talentu zarówno muzycznego, jak i aktorsko-estradowego.

Była to nostalgiczna ballada o mężczyźnie, który spacerując ulicami Grimm City, snując się zaułkami i alejami parków, po kolei odkłada tu i tam różne przedmioty symbolizujące ważne dla niego momenty, które odeszły, zostawiając po sobie tylko taki drobiazg i dziurę w sercu. Pozbywszy się wszystkiego, stwierdza, że jedyne, co teraz ma, „to pusta kieszeń, akurat na dłoń, i szczerba w zębach, by gwizdać".

I McShane zaśpiewał to dokładnie tak, jak trzeba. Zaczął co prawda minimalnie pod dźwiękiem, ale natychmiast skorygował i dalej już płynnie snuł opowieść, wodząc wzrokiem po przyglądających mu się widzach. Nikogo nie faworyzował, nikogo, przynajmniej z pierwszych rzędów, starał się też nie pominąć. Jednocześnie wykazywał się wyśmienitą znajomością i zrozumieniem tekstu, jak i artystyczną pewnością siebie, pozwalającą mu na subtelne pogrywanie sobie ze słuchaczami. Jak wtedy, gdy odwrócił się od młodej aktoreczki akurat w porę, by zaśpiewać w twarz panu Bilbersowi, skarbnikowi miasta i bohaterowi drugiego planu dziesiątków nieudolnie maskowanych afer, że

unika spojrzeń, patrzy gdzieś w dal
w ściągniętych ustach czując
metaliczno-krwisty smak.

A gdy piosenka zbliżała się do finału, faktycznie wcisnął dłoń w kieszeń i wracając na scenę wzdłuż zawiłej ścieżki mikrofonowego kabla, śpiewał beztrosko jak człowiek, który wie już, że nie ma nic do stracenia. Już na podeście, profesjonalnie odsuwając mikrofon, by uniknąć sprzężeń, zagwizdał cicho, a potem zwiesił głowę i zamarł na kilka ostatnich dźwięków.

Tak, pomyślał Alfie. To był naprawdę bardzo dobry występ i McShane zdecydowanie umiał śpiewać. Co skłaniało do pytania, jakie jeszcze talenty miał nieujawnione. I ile z nich wykorzystywał w swoich pracach pod przykrywką.

Na scenę, z pomocą dostawionych schodków i uczynnego Morta, wdrapał się Dragosavalij. Uścisnął dłoń McShane’a i sapiąc ciężko, poprosił go o mikrofon.

Potrzebował chwili, by wyrównać oddech, ale potrząsnął nerwowo głową, gdy Mort podsunął mu szklankę wody. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

– Szanowni goście… zanim o tym wyśmienitym występie i naszym znakomitym gościu… Nie dalej jak wczoraj miałem okazję słuchać wypracowania mojego syna o legendzie założycielskiej naszego miasta. – Przerwał na chwilę i dobywszy z kieszeni chusteczkę, otarł nią pot z czoła. – Tekst napisany świetnie i nie zdziwcie się państwo, jeśli dzieciak za parę lat zawalczy o najważniejsze nagrody literackie. Tak, panie Feelgood, do pana mówię. Rośnie panu konkurencja!

Rozległy się śmiechy, a wspomniany pan Feelgood, chudy jak tyczka mężczyzna o pociągłej twarzy i kruczoczarnych włosach, podniósł kieliszek, przepijając do słów gospodarza.

– Życzę mu tego – powiedział pełnym uprzejmości tonem człowieka o niezagrożonej pozycji.

Alfie, który kiedyś zaczytywał się w jego *I wówczas powrócą olbrzymy* czy *Jak mam na imię, złotowłosa?* i pozostawał pod wrażeniem niebywałej kontroli autora nad każdym zapisanym słowem, uważał, że Feelgood mógł sobie spokojnie na taki ton pozwolić. Nie tylko wobec syna Dragosavalija.

– Nie o moim brzdącu chciałem jednak powiedzieć, ale o opowieści – gospodarz podjął przerwany wątek. – Historia upadku olbrzyma i tego, co się z niego narodziło, to bowiem wspaniały, jeśli nie najwspanialszy zwrot akcji w dziejach. Oto ten, który gnębił i uciskał, stał się… tak, pani pułkownikowo, już kończę, już… Chciałem powiedzieć, że żyjemy w miejscu, gdzie chyba jak nigdzie indziej na świecie powinniśmy rozumieć sformułowanie „zwrot akcji”. I teraz ciekawostka: czy wiecie państwo, jakiego słowa używają na to ludy północne z dawnego lądu? Bo tak, to jedno słowo…

Dragosavalij skierował mikrofon w stronę publiki, ale żaden z gości nie zdecydował się zaproponować niczego głośno. Dragosavalij machnął ręką, że to nieważne.

– Ja sam do niedawna nie wiedziałem. Powiedziała mi dopiero moja cudowna Margaret. Kochanie… – Zwrócił się do stojącej przy ścianie małżonki, kobiety o pociągłej, surowej twarzy, teraz jednak rozciągniętej w nieco zawstydzonym uśmiechu. – Zdradzisz rozwiązanie naszym wspaniałym gościom?

Kobieta pokręciła głową i mówiąc coś cicho, zamachała ręką przed coraz mocniej rumianą twarzą. Dragosavalij nie zamierzał jednak ustępować.

– No, nie daj się prosić – powiedział, po czym podał Mortowi mikrofon, a ten szybko podszedł z nim do gospodyni i podsunął jej pod usta.

– Kierre – rzekła kobieta nieco zachrypniętym głosem, po czym natychmiast odwróciła głowę, jakby właśnie nakłoniono ją do powiedzenia jakiegoś wyjątkowo wstydliwego świństewka.

Mort obejrzał się na pracodawcę, upewniając się, że to wszystko, po czym wrócił do niego z mikrofonem.

– No właśnie, Kierre – podjął Dragosavalij. – W innej pisowni kojarzy nam się wszystkim z symbolem karcianym, wielkim czerwonym sercem. I tak się składa, że nie jest to skojarzenie przypadkowe, o czym świadczy każdą swoją akcją Epizodystyczny Ruch Dobrej Przemiany „Kierre”. Więcej o nim powiemy później, byście, drodzy państwo, z czystym sumieniem mogli go wesprzeć, ale już teraz pozwolę sobie przytoczyć słowa założyciela Ruchu, obecnego tu zresztą ojca Charlesa Parro.

Dragosavalij spojrzał w kierunku człowieka stojącego mniej więcej pośrodku sali i wszyscy zebrani jak na zawołanie odwrócili się w tamtą stronę. Ojciec Parro był dobrze zbudowanym mężczyzną o nieco szerokich

ramionach, kanciastej twarzy i głęboko osadzonych oczach. Od lewego ucha aż po nos przez jego śniadą twarz ciągnęła się wąska różowa blizna. Otoczony wianuszkiem kobiet w różnym wieku, ubrany w garnitur, a nie w charakterystyczny brązowy strój, bardziej niż z kapłanem kojarzył się z gwiazdorem filmowym, grywającym wiecznych antagonistów amantów pokroju Rockiego Scherera.

Dragosavalij, wyciągnął z kieszeni niewielki kartonik, a Mort uczynnie podał swemu pracodawcy okulary i przytrzymał mikrofon.

– Nie będzie mi miał ojciec za złe cytatu, prawda? – zapytał gospodarz.

Kapłan wzruszył ramionami i odezwał się potężnym, tubalnym głosem:

– Nic, czego nie naprawiłby odpowiedni datek na cele naszego ruchu.

Wywołało to oczywiście kolejną falę wesołości, a Dragosavalij zapewnił, że w takim razie czuje, że może cytować bez obaw.

– „Gdyby chodziło tylko o opowieści, nie potrzebowalibyśmy Bajarza. Jednak to, co spisane, nie tylko jest jak skała twarde, ale i jako ta skała odporne na zmiany i nieczułe. I każdy, kto ma dość siły, może użyć skały do własnych celów. Czyż bowiem kamyczki, którymi mały chłopiec znaczył drogę powrotną do domu dla siebie i siostry, różnią się czymkolwiek prócz rozmiaru od głazów zaszytych w brzuchu złego wilka dybiącego na małą dziewczynkę i jej babcię? Dopiero właściwa interpretacja jest zaczynem zmiany. Zrozumienie…”

Dragosavalij uniósł wzrok znad kartki, a potem spokojnie przeczekał oklaski, zanim znowu uniósł mikrofon do ust.

– To piękne słowa, ojcze, i piękna idea. Dziękuję za nią – powiedział. – W książce, która jest do zakupienia na stoisku w przedpokoju w cenie, którą uznacie za słuszną, znajdziecie tych pięknych słów więcej. A do tego czyta się ją jak najlepszą powieść, bo to, co przeżył nasz szanowny gość, zanim dokonała się jego przemiana i mundur porzucił na rzecz, no, innego munduru, to… Zresztą przeczytacie. A tymczasem… – Odwrócił się i gestem zaprosił do siebie McShane’a. Ten podszedł i umiejętnie kryjąc niechęć, pozwolił się grubasowi otoczyć ramieniem. – Pewnie myśleliście państwo, że w uniesieniu tych wszystkich słów zapomniałem już, po co tu wszedłem… Ty się tak teraz nie śmiej, Gilbercie Woo, na sesjach Rady Miasta nie mniejszy z ciebie gaduła… W każdym razie, moi drodzy, nie zapomniałem. Chwilę temu słyszeliście znaną nam wszystkim balladę, której wykonanie było niezwykłe właśnie ze względu na jej interpretację.

Oto bowiem, dzięki uprzejmości pana Moore’a, którego zaprosiłem, by umilał państwu dzisiejszy wieczór, zawitał dziś do nas autor kompozycji Burtona J. Ella, do tej pory skromnie pozostający w cieniu wielkiego barda. Jak słyszeliśmy, zupełnie niesłusznie. Panie i panowie oto…

– Karl – podpowiedział uczynnie McShane.

– Karl Grotzkowski.

– Grotzkowiak.

Dragosavalij zmieszał się i odchrząknął, czerwieniąc się i zerkając ukradkowo w stronę żony.

– Przepraszam, to zdenerwowanie w obcowaniu z prawdziwą sztuką. Oczywiście Grotzkowiak. – Odwrócił się do McShane’a i wyciągnął doń rękę. – Mistrzu, dziękujemy ci za to, że dałeś nam nie tylko słowo, ale i interpretację. A panu, panie Alfredzie, dziękujemy wraz z moją kochaną Margaret za tę cudowną niespodziankę. To prawdziwe Kierre dla naszego przyjęcia.

Rozległy się niepewne oklaski, które zaraz przerodziły się w prawdziwą burzę. McShane skłonił się lekko, po czym wskazał najpierw na Dragosavalija, również bijąc brawo, a następnie, robiąc krok w bok, także na Alfiego.

Ten wstał z siedziska i również się ukłonił, a potem stanął obok McShane’a i czekał, aż publiczność wyrazi swoje uznanie.

– Mistrzu? – zadrwił cicho, zasłaniając usta, jakby chciał odkaszlnąć. – Nie mogę uwierzyć, że tak gładko nam to przeszło.

– Próżność do spółki z ignorancją – odparł rozbawiony McShane. – Czy nie o tym jest aby z połowa Świętej Księgi?

W końcu owacje ustały, a Dragosavalij, dostrzegłszy znak szefa sali, zaprosił uprzejmie wszystkich, w tym również muzyków, do ich stołów na podawany właśnie posiłek. Z głośników umieszczonych pod sufitem rozległy się trzaski, a potem dźwięki któregoś z smoothandwave’owych przebojów. Wiele z nich zaczynało się zupełnie tak samo.

Alfie raz jeszcze przyjął podziękowania od gospodarza, powstrzymując się od parsknięcia, odczekał, aż ten kolejny raz wyrazi swoje uznanie dla pracy McShane’a, i zgrabnie zeskoczył z podestu. Na stole już czekał na niego talerz parującej zielonej zupy ozdobionej kleksem śmietany.

Agent zdecydował się skorzystać ze schodków. Idąc, cały czas wpatrywał się w wystającą ponad tłum głowę ojca Perro.

– Czy mi się wydawało, czy widziałem w otoczeniu wielebnego bliźniaczkę Lindtberg? – zapytał, zajmując miejsce przy stole i rozkładając serwetkę na kolanach.

Alfie przełknął kawałek pszennej bułki.

– Greta – odparł. – I faktycznie, była tam, w niebieskiej sukience.

McShane sięgnął po łyżkę, uniósł ją, ale zaraz opuścił, marszcząc czoło.

– Widziałeś ją kiedykolwiek wcześniej bez brata?

Alfie wzruszył ramionami. Tak po prawdzie to słynną dziedziczkę cukierniczego potentata widywał do tej pory wyłącznie na zdjęciach w gazetach albo przy okazji jakichś wydarzeń kulturalnych czy akcji charytatywnych. W ogóle miał wrażenie, że ta ładna, nieco może pucułowata blondynka nie pokazywała się za często publicznie, chyba że na takich jak ta zamkniętych imprezach na zaproszenie. Ale faktycznie, zwykle była wtedy z Hansem, swym bratem bliźniakiem.

– Nie wiem – stwierdził w końcu. – Może źle się poczuł, a było już za późno, by wycofali się oboje. Albo…

– …albo jest w żałobie – wszedł mu w słowo McShane.

Tym razem to Alfie zmarszczył czoło i potrzebował chwili, by zrozumieć.

– Aa, masz na myśli, że po Wolfie? – zapytał nieco za głośno, w dodatku akurat w chwili, gdy w głośnikach ucichł utwór.

McShane syknął i rozejrzał się, ale szczęśliwie nikogo nie było akurat w pobliżu. Stoliki dla gości znajdowały się w drugiej części sali, a kelnerzy nie czuli się w obowiązku przesadnie nadskakiwać muzykom.

– Tak – powiedział w końcu. – Mam na myśli Wolfa. Przecież po tym całym porwaniu traktowali go jak członka rodziny. Wypowiadali się o nim jak o wybawcy, bliźniaki mówiły do niego „wujku”. Większość swych kontaktów i wpływów ten kutas zawdzięczał właśnie zażyłości z Lindtbergami. Coś się zmieniło przez te lata, gdy mnie tu nie było?

– Nie – odparł Alfie i zamyślił się na chwilę. – Chyba nie. Przynajmniej nic głośnego.

– No właśnie. – McShane znowu uniósł dłoń z łyżką. I znowu ją opuścił i mało dyskretnie obrócił się na krześle. Przez chwilę przyglądał się towarzystwu siedzącemu przy niewątpliwie głównym tego wieczoru stoliku. Ojciec Perro, państwo Dragosavalijowie, jakaś młoda dziewczyna, której McShane nie znał, i właśnie Greta Lindtberg, ubrana w błękity, jak

zawsze wyciszona, wycofana, ale też uśmiechnięta i zdawać by się mogło, rozluźniona.

– No, Alfie, powiedz sam – zwrócił się w końcu do towarzysza. – Czy ona ci wygląda na kogoś w żałobie?

Rozdział 10

Był czas, że Słodkie Usteczka świetnie prosperowały ze względu na swoją jakość, potem na legendę, aż wreszcie… prosperować przestały. Nie z dnia na dzień, nie wynikiem skandalu, ot, po prostu czasy się zmieniły, na Troll's Face skoczyły ceny, ale już nie jakość, i klienci ruszyli tam, gdzie taniej można było dostać ładniejsze i mniej przechodzone dziewczyny, a każdy kieliszek alkoholu nie był rundką rewolwerowej ruletki. Nie bez znaczenia była też dyskrecja i anonimowość. Obecność filmowych gwiazd na deptaku ściągała w okolicę hieny z aparatami i łatwo było przypadkiem wejść w kadr i znaleźć się na okładce magazynu plotkarskiego. Co może nie byłoby takie złe, gdyby człowiek, w krzywo dopiętych spodniach i zarzyganej koszuli, właśnie nie wracał zygzakiem z kurew.

Na szczęście jednak dla Usteczek znalazł się pewnego dnia romantyk z przepastnym portfelem, który zabity dechami lokal przywrócił z niebytu. Człowiek ów, niejaki Kasper Wintler, w dzieciństwie był wielkim fanem niezwykle brutalnych komiksów o prywatnym detektywie Trewsie i to właśnie za jego sprawą przyjechał pewnego dnia ze stolicy właśnie tu, na Troll's Face, by zobaczyć lokal, którego legenda posłużyła za fabularną podstawę dla pierwszego zeszytu.

Tyle że w komiksie przetrzymywaną na piętrze dziewczynę ratował z rąk więżącego ją bossa umięśniony i błyskotliwy detektyw Trews, a nie żylasty, podstarzały Logan – farmer z dalekiego południa. Komiksowa wersja opowieści o brawurowej akcji i strzelaninie nie skończyła się też dla jej bohatera postrzałem w brzuch i powolnym umieraniem z własnymi flakami w garści. Choć w obu wariantach dziewczynie i kilku jej koleżankom udało się zbiec i wrócić do rodziców.

Kilka z nich nawet wytoczyło Thorniniemu proces, ale dało sobie spokój, gdy pewnego dnia każdą z nich odwiedził z przyjacielską wizytą komitet złożony z trzynastu osób. Jednym z nich był człowiek bossa – to on miał ze sobą koszyczek ze smakołykami, winem i kopertą zawierającą pięćset dijmarów – a pozostali stanowili nieco przypadkową i mocno przestraszoną

zbieraninę członków rodzin ławników z wybranej do procesu ławy przysięgłych.

Odwołanie procesu w niczym jednak nie umniejszyło legendy Usteczek. Przeciwnie, nadało historii bardziej tragiczny rys i tym mocniej zainspirowało artystów. Prócz komiksu powstała jeszcze książka, kilka piosenek, powoli szykowano się do filmu. A w wielu lokalach, nie tylko w Grimm City, powszechnym stał się drink o nazwie Flaki Logana, gdzie przejrzystość wódki zakłócano najpierw barwionymi na czerwono obierkami kandyzowanej pomarańczy poskręcanymi jak jelita, a potem zaprawiano bourbonem i odrobiną żółtka dla nadania stosownego odcienia.

Nowy właściciel postawił na sentyment i odtworzył w Słodkich Usteczkach wszystko tak, jak było, od stolików i krzeseł przez stroje dziewczyn po ślady po kulach z fuzji Logana na ścianie, barze czy oparciach foteli. Jedynym dodatkiem, na jaki się zdecydował, była stosowna tabliczka przy drzwiach wejściowych: „Szanownych klientów z prasy informujemy, że klientów miewamy krewkich, a na ochronie lokal oszczędza”. I na razie jakoś się to chyba kręciło.

Gratz myślał sobie o tym wszystkim, wpatrując się w zdjęcie Wintlera oprawione w ramkę i zawieszone na lewo od wejścia. Siedzieli tu z Herlitzem już dobry kwadrans, powoli sącząc gorzkie, jasne piwo i na zmianę udawali, że się sobie żalą. A to na robotę, a to kobiety… co tylko przychodziło im do głowy. A że generalnie przychodziło mało, większość czasu po prostu milczeli, pijąc i walcząc ze sobą, by się nie oglądać.

Miejsce, które wybrał sobie detektyw, samo w sobie dawało niezły widok na salę – wystarczyło się wyprostować. W dodatku siedział pod naścienną lampką i jego postać, a zwłaszcza twarz, kryły się w cieniu. Gorzej było z rosłym Herlitzem, skąpanym w bladym świetle tej samej lampki i w dodatku siedzącym tyłem do drzwi i wszystkich pozostałych klientów. Nadrabiał miną i słabymi żartami, ale widać było już na pierwszy rzut oka, że bardzo źle się z tym czuje. Gratz wcale mu się nie dziwił, ale zamieniać się nie zamierzał, podobnie zresztą jak pozwolić sobie na wyrzuty z powodu korzystania z przywilejów własnego wyższego stopnia.

– Co jest następne na liście? – zapytał po dłuższej chwili Herlitz. – I co ważniejsze… Nie, mała, dzięki… Szlag, niezła, nie?

Gratz wychylił się ostentacyjnie, by przyjrzeć się nogom i pupie dziwki. Była zgrabna, owszem, ale trochę za chuda i za mała, pewnie dopiero

niedawno urosły jej cycki. Wzruszył ramionami.

– Ujdzie. Co najważniejsze?

– No, co będzie, jak ich nie znajdziemy w żadnym z tych miejsc?

Gratz podniósł kufel i przepił do kogoś przy barze. Herlitz obejrzał się i zobaczył kobietę pod czterdziestkę – niezbyt urodziwą, w dodatku siedziała w miejscu, w którym białe światło baru mogło bez przeszkód szydzić z niedoskonałości jej urody. Mimo to emanowała pewnością siebie.

– Znacie się? – zapytał funkcjonariusz.

– Nie. – Gratz posłał kobiecie jeszcze jeden szeroki uśmiech, a potem przeniósł wzrok na rozmówcę. – Ale przygląda mi się od dłuższego czasu i może się przydać.

Herlitz zmarszczył brwi, wyraźnie nie nadążając za myślami Gratza. Ten jednak nie zamierzał niczego wyjaśniać. Upił kolejny łyk piwa i spojrzał na zegarek.

– Jak nie znajdziemy ich we wskazanych miejscach, to zrobimy jeszcze jedną rundkę – powiedział. – Albo i dwie, dopóki Evans nie powie, że wystarczy.

Rosły policjant pokiwał głową i łypnął na kufel, a potem się wyszczerzył.

– Jeśli o mnie chodzi, to w to mi graj, ale, bez urazy, pan to mi wygląda na takiego, co kilka rundek i… no Bajarz wie, co zobaczy.

To powiedziawszy, odchylił głowę, wlał do gardła resztkę złocistego płynu i przetarł usta przedramieniem.

– Nic to. – Zaszurał krzesłem i wstał. – Idę spuścić z tonu i jak dla mnie możemy wędrować, bo sam pan rozumie, żona żoną, ale…

– Tak – odparł Gratz, zupełnie jakby się zgadzał, a potem zerknął w stronę kobiety przy barze. Ta złowiła jego spojrzenie i zawoławszy coś do kelnera, a potem wymieniwszy z nim parę słów, wstała, niespiesznie obciągnęła sukienkę i nieudolnie maskując zdenerwowanie, ruszyła, by zająć miejsce zwolnione przez wielkiego policjanta

Gdy znalazła się ledwie kilka kroków od stolika, Gratz wstał i wyciągnął rękę.

– Tyrell. Tyrell McKlusky – przedstawił się, uśmiechając się szeroko.

– Gina Larice – odparła, unosząc dłoń grzbietem zwróconą do góry.

Gratz nie był pewien, czy nie skrzywiła się na to jego złamanie etykiety, bo była ponad to, bo umiejętnie maskowana desperacja kazała jej przymknąć oko, czy wreszcie zwyczajnie nie wiedziała, że właśnie popełnił

nietakt. Każda z tych trzech opcji coś o niej mówiła, ale tylko pierwsza niekoniecznie sprzyjała jego planowi.

Pochylił się nad blatem, ujął jej dłoń i ucałował ją niezdarnie, przywierając do niej na moment całą powierzchnią ust niczym dziecko do szyby wystawowej cukierni i wywracając oczy tak, by widzieć jej twarz. Nawet w tym świetle dostrzegł, jak kobieta oblewa się lekkim rumieńcem. Czuł, jak wzbiera w niej podszyty podekscytowaniem chichot. Czyli jednak, samotna panna lub wdowa żądna przygody w podrzędnym barze. Świetnie!

– Mam nadzieję, że przed chwilą nie zamówiłaś sobie niczego? – zapytał, prostując się. Zdał sobie sprawę, na jak wiele sposobów można było to zdanie zrozumieć, więc dodał pospiesznie: – Od dłuższej chwili zbieram się, by postawić ci drinka… Gino.

Chichot wyrwał się niczym czknięcie, a jej zmęczona, tu i ówdzie poznaczona zmarszczkami twarz nabrała jeszcze więcej kolorów.

– Powiedziałam mu tylko, żeby zerkał tu czasem, na wypadek gdybyś był jakimś świrem.

– Umiesz rozpoznać świra?

Wzruszyła ramionami.

– Miałam nadzieję, że on umie.

Zaśmiali się oboje. Gratz obszedł stolik, by podsunąć jej krzesło, gdy siadała, i zabrać sprzed nosa pusty kufel. Dopiero to ostatnie sprawiło, że Gina zainteresowała się Herlitzem.

– A twój kolega nie będzie zły?

– Nie wiem. Każdy szuka szczęścia na własną rękę.

Spochmurniała.

– Nie myślisz chyba, że jestem łatwa? – zapytała, a to, jak bardzo się przy tym spięła, wyraźnie sugerowało, że od jego odpowiedzi wiele zależało.

Ale też lekkie drżenie, pomyślał Gratz, mówiło, że bardzo chciałaby wierzyć w szczęśliwe zakończenie tego spotkania. Zwłaszcza że już siedziała, już była o krok za niewidzialną linią. Teraz wystarczyło tylko nie naciskać za mocno.

– A czy jest dziś na świecie ktoś, komu prawdziwe szczęście przychodzi z łatwością? – odparł sentencjonalnie, a zaraz potem dodał: – Czego się napijesz?

Znowu to zawahanie w jej oczach. Wcześniej piła piwo, jak oni, choć z małego pokala. Teraz jednak wolała chyba nie być laską od piwa. Pomógł jej rozstrzygnąć dylemat, proponując kieliszek białego wina. Skorzystała z wyraźną ulgą.

– To zaraz wracam – powiedział, ruszając w stronę baru.

Idąc, czuł się trochę jak drań. Nie chciał od niej wiele, wszystko dla dobra sprawy, ale jednak ją wykorzystywał, ani myśląc dawać nic w zamian. Czym różniło się to, co właśnie robił Ginie, od sztuczek, jakich wobec jego Vivian stosował jej były mąż? Słusznością sprawy?

Przypomniał sobie, jak zobaczył swoją przyszłą żonę po raz pierwszy, na wąskim, drewnianym krzesełku posterunku. Z początku myślał, że przyszła tam ze skargą, ale ona siedziała tam, by zapewnić, że nie ma zamiaru wnosić skargi na tego skurwiela, że wszystko jest w porządku, że i tak zamierzała dać mu te pieniądze. I siebie. „On po prostu taki jest”, wyjaśniła z tym smutnym, przepraszającym uśmiechem, a on, choć wtedy była dla niego tylko jedną z wielu ślicznotek, którym przypadły w udziale pechowe karty, miał ochotę tego gnoja zabić.

Ponad rok zajęło, by wybić jej go z głowy. Kolejny, by pomóc jej jako tako wrócić do normy. A i teraz, Gratz był pewien, nadal gdy o nim wspomni, dręczą ją wyrzuty sumienia. Jakby w jakiś sposób była winna temu, że kretyn spróbował okraść Kozicka, samozwańczego księcia Wschodniej Gangreny, i skończył jak wszyscy przed nim i wszyscy po nim – na dnie kanału, zapakowany w kilka małych obciążonych worków.

To, co teraz robił Ginie, przyszło mu tak naturalnie, bo kiedyś, dawno temu, takie zagrywki należały do standardowego repertuaru sztuczek. Podrywał dziewczynę, a potem mówił, że jest tu służbowo i musi domknąć sprawę, najczęściej małżeńskiej zdrady. Potem niby przypadkiem wysypywał się z tego, na kogo czeka, i zanęcał tak długo, aż dziewczyna zobowiązywała się pomóc, poobserwować, dać znać. W większości przypadków sprawdzało się znakomicie, a dodatkowo, zanim się ożenił, bywało, że po zamknięciu sprawy jeszcze korzystał z okazji. Niby nic złego, niby wszyscy dostawali to, czego chcieli… Tylko ten gorzki posmak w ustach. Ta świadomość, że być może ten skurwiel, były mąż Vivian, też uważał, że przecież nikogo nie krzywdzi. Albo co gorsza, że formalny status związku daje mu prawo brać, co i kiedy chce…

Stanął przy barze. Skinął na barmana, a ten, obsługujący właśnie jakiegoś grubaska i siedzącą przy nim dziwkę, ruchem głowy dał znać, że zauważył i że moment. Detektyw odwrócił się więc tyłem do kontuaru, łokcie opierając na blacie. Chciał się uśmiechnąć do Giny, ale zamiast tego zamarł w pół ruchu wpatrzony w schody wiodące na piętro. Lewy kącik jego ust uniósł się powoli, a usta poruszyły się w bezgłośnym: „Mam cię”.

Na niskim półpiętrze stał bowiem bosy drab w rozchełstanej koszuli, której biel jeszcze mocniej podkreślała brąz skóry i czerń tatuaży. Na szyi miał kilka wisiorów, każdy na rzemieniu innego koloru. Obejmował w pasie słaniającą się dziewczynę z rozmazanym makijażem i rozmawiał z kimś u szczytu schodów.

Pewnie, pomyślał Gratz, z drugim ze swych plemiennych braci.

– Chyba na tym jednym drinku się jednak skończy, Gino – mruknął pod nosem. – Mam nadzieję, że będzie ci smakował.

– Co podać? – rozległo się zza jego pleców.

***

Rząd pijanych klientów oddających mocz na wyłożoną płytkami ścianę męskiej toalety skojarzył się Herlitzowi ze zdjęciami jeńców skazanych na rozstrzelanie przed plutonem. W równym szeregu, wzdłuż muru, ręce jakby splecione, zwieszone głowy…

Jegomość obok policjanta, tak jak on czekający na swoją kolej, wsparty o miskę umywalki, musiał mieć to samo skojarzenie, bo w pewnej chwili ułożył palce w kształt pistoletu i bezgłośnie pociągnął za niewidzialny spust, a potem puścił do Herlitza oko. Ten wzruszył ramionami.

Zaraz potem zwolniło się jedno miejsce i obaj drgnęli, ale Herlitz gestem wskazał, że poczeka. Tych kilka sekund nie robiło mu żadnej różnicy. Zresztą jegomość nie zdążył jeszcze rozpiąć rozporka, gdy kolejny z sikających skończył otrzęsiny i odstąpił od ściany. Policjant zajął miejsce i nie bez satysfakcji zaprezentował współstaczom swoje przyrodzenie. Sikał długo, mocnym strumieniem, bardzo uważając, by nie opryskać sobie spodni. Gdy skończył, nie zdążył się jeszcze dobrze odsunąć, a już kolejny ktoś wepchnął się na jego miejsce. Pod umywalkami natomiast zaczynała się robić prawdziwa kolejka.

To dobrze, że zaraz się stąd zbieramy, pomyślał Herlitz, dopychając się do kranu. Kolejnych piw nie będzie mógł się pozbyć z taką łatwością.

– Ej, chuju, chlapiesz – warknął na policjanta pryszczaty chudzielec z paskiem siwizny na skroni, któremu alkohol najwyraźniej dodał nieco za dużo odwagi.

Herlitz zmierzył go wzrokiem, po czym uniósł ręce tuż przed twarz tamtego i gwałtownie strzepnął z nich pozostałe krople. Chudzielec zamrugał – trudno powiedzieć, czy za sprawą kropel czy po prostu zaskoczony – i już otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy nagle z sali głównej dobiegły ich podniesione głosy, odgłosy szarpaniny, a wreszcie piskliwy wrzask i dźwięk tłuczonego szkła.

Herlitz, pełen złych przeczuć, odwrócił się i złapał za drzwi. Szarpnął za nie i stanąwszy w progu, rozejrzał się po sali. Zdążył jeszcze dostrzec wybiegającego z lokalu mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Gogginsa – impresario dzikich, a gdy przeniósł wzrok, również zwalonego na stolik Gratza. Wokół pełno było szkła, z blatu ściekały drinki, a otrzeźwieni szokiem ludzie gromadzili się nad detektywem w szemrzącym półokręgu.

Kilku nawet podeszło nieco bliżej, chcąc się dowiedzieć, co się stało, czy mogą pomóc – a może po prostu ze zwykłej ciekawości – ale wtedy kobieta stojąca tuż obok detektywa znowu wrzasnęła. Gratz poderwał się nagle, jakby się obudził, a spomiędzy dociśniętych do szyi palców trysnęła jasnym strumieniem tętnicza krew. Mężczyzna zarzęził jeszcze, zadrżał konwulsyjnie, po czym znów runął, waląc głową o blat i strącając zeń kolejną szklankę.

Herlitz doskoczył do niego, ale nawet go nie dotknął. Zamiast tego spojrzał na kobietę i warknął:

– Mów!

– Dziki… – wymamrotała kobieta. – Przysiadł się, kiedy Tyrell poszedł po drinki. Nazywał mnie kurwą! Tyrell przyszedł i kazał mu odejść, ale tamten nie chciał, i wtedy Tyrell powiedział mu ostrzej. Ale ich było więcej, złapali Tyrella, a tamten, ten z bliznami na twarzy… on wstał i… zrobił ruch, taki szybki ruch, że wyglądało tylko, jakby straszył. Taki koło szyi mu zrobił. Jakby straszył, zrobił…! A pozostali…

Zaczęła się trząść. Herlitz nie potrzebował więcej, by się domyślić przebiegu wydarzeń i uwierzyć, że to, co się stało, wydarzyło się ot tak, bez

większego powodu. Zerknął jeszcze raz na policjanta, na kałużę krwi na stole rozrzedzoną zaciekami drinków. A potem energicznym krokiem ruszył w stronę wyjścia.

Ludzie, widząc jego zaciętą twarz, jego zaciśnięte pięści i usta i zmrużone oczy, rozstępowali się przed nim szybko i bez słowa, a krępy stojący przy samym wejściu facecik z cienkim wąsikiem otworzył mu nawet drzwi.

– Pobiegli w lewo – powiedział usłużnie.

***

Alfie, nieobyty w zwyczajach wyższych sfer, w pierwszej chwili zdumiał się, jak blisko było bogaczom, politycznym i intelektualnym elitom Grimm City do weekendowej zbieraniny w co porządniejszych barach Troll’s Face. Mogły ich oczywiście odróżniać dobierane kreacje, fryzury, liczba widelców przy talerzu, potrawy, jakie jedli, czy rubinowy rozbłysk wina w kieliszkach świadczący rzekomo o szlachetności rocznika, często jednak nie były to różnice widoczne na pierwszy rzut oka, bowiem przedsiębiorczy krawcy i restauratorzy z klasy średniej coraz lepiej radzili sobie z naśladownictwem opartym na tańszych zamiennikach.

Jedni i drudzy, elity i kartony, używali również innych słów. Elitom naturalniej przychodziło używanie tych dłuższych, czasem zapożyczonych z obcych języków; wśród aspirujących kartonów dominowały słowa aktualnie modne, nawet jeśli nadużywane i stosowane nieadekwatnie. Tematy jednak pozostawały te same, dyktowane przez nagłówki pierwszych stron gazet i radiowe newsy.

Najmocniej pozorność wszelkich różnic ukazywał jednak moment, gdy towarzystwo zdawało sobie sprawę, że może się nareszcie poczuć swobodnie. Na Troll’s Face ten moment przychodził szybko, niemal od razu po zajęciu stolika i opróżnieniu pierwszego kufla. Po to wszak ludzie zjawiali się w kurorcie, zwłaszcza wieczorami, by wypiąć kartonowy kołnierzyk, zaczerpnąć tchu i trochę się zabawić. Tu, na Memoire, pierwsze chwile wydarzenia wyznaczał jeszcze mniej lub bardziej dookreślony protokół, kolejność witania, dopełnienie charytatywnego obowiązku, pierwszy posiłek, pierwszy utwór, pierwsze przemówienie. Potem jednak atmosfera stawała się coraz luźniejsza, a zabawa coraz bardziej uniwersalna

w swej formie. Rozrywkowa muzyka, plotki, żarty – Alfie ze zdumieniem obserwował, jak podciągnięte pod samą grdykę krawaty luzowały się z każdym kolejnym utworem, każdym kolejnym kieliszkiem…

Lubił to, cenił sobie barometr gwaru, mówiący mu, że pora na zmianę nastroju. Z taką publicznością mógł pracować, opierając się na intuicji.

Kilka energicznych numerów przypomniało mu jednak dotkliwie o ograniczeniu, jakie stanowiła ranna ręka. Najpierw piekący ból, potem czerwień przesączająca się przez opatrunek zmusiły go do kilku krótkich przerw, a w końcu jednej zdecydowanie dłuższej.

To właśnie wtedy McShane zdecydował się zaśpiewać solo. Jak powiedział, z każdym kolejnym ukradkowym spojrzeniem rzuconym w jego stronę czuł się coraz bardziej jak cyrkowe dziwadło zamknięte w klatce i wystawione na pokaz. Narastała w nim, jak to ujął, potrzeba mocniejszego uzasadnienia swojej obecności.

Miał też, co istotne, pomysł na utwór. Tym razem nie było to nic z repertuaru J. Ella, a stara wyspiarska pieśń, melodyjna i prosta, którą mógł zaśpiewać *a capella*.

– Musisz odpocząć – stwierdził – a ja zacząć działać. Nie przyszedłem tu, żeby wpieprzać sernik.

Alfie nie wyglądał na przekonanego, choć konieczności zrobienia sobie przerwy kwestionować nie zamierzał. Ograniczył się więc do pytania:

– Jesteś pewien?

Agent pokiwał głową.

– Musisz odpocząć, a ja mam pewien plan. Obserwuj uważnie pannę Lindtberg.

– Ooo, to już nie z gospodarzem chcesz gadać?

McShane podrapał się po policzku, jakby się zastanawiał.

– Z nim też, ale teraz to ona nie daje mi spokoju.

Muzyk chciał jeszcze o coś zapytać, ale McShane odwrócił się doń plecami i ruszył w stronę sceny. Wspiął się na podest, wyprostował, wzdychając i kładąc lewą rękę na krzyżu, wreszcie zastukał w mikrofon, by zwrócić na siebie uwagę.

Natychmiast ucichła muzyka z głośników, a do tych kilku tańczących na parkiecie par dołączyły pojedyncze osoby z kątów sali. Goście siedzący przy stolikach przerwali rozmowy, spoglądając z zaciekawieniem w stronę sceny. Tu i tam rozległy się nawet niemrawe oklaski na zachętę.

Agent skłonił się lekko.

– Szanowni państwo, ufam, że nie macie mnie jeszcze dosyć – powiedział, wywołując pomruk wesołości. – Przyznaję, nigdy nie byłem w ojczystych stronach moich dziadków, a pewnie nawet przegoniono by mnie stamtąd, gdybym tam trafił, bo przecież nie wyglądam jak wyspiarz. Cóż jednak poradzić, miłość nie wybiera, a uroda mej czarnoziemskiej babki…

Przewrócił oczami, wywołując kolejny pomruk wesołości.

– Jak bym jednak nie wyglądał, pieśni z wysp mam w duszy, a dziś jedną z nich chciałbym, za zgodą szanownych gospodarzy, zadedykować człowiekowi, który dla tego miasta zrobił więcej niż ktokolwiek. Oddał za nie życie, a to największe z poświęceń. Dlatego pozwólcie państwo, a zwłaszcza pani, szanowna panno Greto, dla której ta śmierć to tym większa strata…

Zrobił pauzę, czekając, aż słowa te dotrą do dziewczyny w niebieskiej sukience. Widział, jak urywa w pół zdania, jak ktoś tłumaczy jej pospiesznie, o czym mowa, a ona sama odwraca się z malującym się na twarzy zdumieniem. Rękę zaciśniętą w pięść przyłożyła do dekoltu.

– Pamięci inspektora Wolfa – powiedział McShane, unosząc mikrofon niczym kielich. A potem zaczął śpiewać.

***

– Teraz patrz – powiedział McShane, gdy zszedł ze sceny i usiadł przy stoliku. Uśmiechając się z satysfakcją, strzepnął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach, po czym sięgnął przez stół po lukrowaną babeczkę.

Zdążył ją rozkroić na pół i odkroić widelczykiem kawałek w sam raz na kęs, gdy zaszurało dostawiane krzesło. Za jego plecami rozległo się głośne sapanie gospodarza. Dragosavalij położył Alfiemu rękę na ramieniu, ścisnął lekko, zapewne z uznaniem, a potem ciężko opadł na siedzisko, skupiając wzrok i uwagę już wyłącznie na McShanie.

– To była piękna pieśń i piękny gest, mistrzu – powiedział, ocierając z czoła krople potu. Sposób, w jaki mówił, pozwalał uważnemu słuchaczowi dojść do wniosku, że o ile w kwestii pieśni naprawdę tak uważa, o tyle gest budził w nim bardziej niepokój czy też wątpliwość niż

uznanie. – Tak z czystej ciekawości, mogę zapytać, skąd pan znał inspektora?

McShane wzruszył ramionami.

– Czytałem o jego dokonaniach w gazetach i byłem nieodmiennie pod wrażeniem – odparł. – Mówiono tam o nim również wiele złych rzeczy, ale z tym to akurat wiem, jak jest, na przykładzie Burtona.

Westchnął teatralnie i przewrócił oczyma.

– Mówię panu, gdyby choć mały procent tego, co o nim wypisywano w brukowcach, był prawdą… No ale to cena sławy, zawsze to Burtowi powtarzałem. Sam uważam za błogosławieństwo, że mało kto, jak pan i pańscy szanowni goście, wie, kim jestem. To wiele ułatwia.

Dragosavalij gorliwie pokiwał głową i palcem wskazującym starł spod nosa krople potu. Chciał jeszcze coś dodać, ale spojrzał w stronę parkietu i dostrzegł zmierzającą w ich stronę Gretę Lindtberg.

– Och, widzę, że nie tylko ja doceniłem pański gest. Greto…

– Eugene, panowie! – skłoniła się Lindtberg, gdy Alfie i McShane podnieśli się z miejsc. – Pozwolą panowie, że się na chwilkę przysiądę?

– Oczywiście, panno Greto – powiedział McShane, zupełnie niepotrzebnie kiwając na kelnera, który i tak już niósł w ich stronę dodatkowe krzesło. – I jeszcze raz moje kondolen…

Pokręciła głową, a jej śliczna pyzata buzia wykrzywiła się z wyraźnym niesmakiem.

– To był bardzo miły gest, dziękuję – powiedziała, wyraźnie ważąc słowa. – Ale to mojego brata łączyła z inspektorem emocjonalna więź. Mnie od lat już nie.

Alfie uśmiechnął się pod nosem, zdając sobie sprawę, że agent najwyraźniej utrafił z powodem nieobecności Hansa Lindtberga. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że jego uśmiech może być źle odebrany, zasłonił więc usta zdrową ręką, udając, że drapie się w policzek.

Kelner tymczasem dostawił krzesło i stanął za oparciem. McShane przegonił go i to on, gdy Greta siadała, podsunął jej krzesło.

– Proszę o wybaczenie, panno Greto – powiedział, sadowiąc się na własnym miejscu. – Nie miałem pojęcia, że coś się stało. Swoją wiedzę czerpałem z gazet i…

– Rozumiem – odparła dziewczyna. – I to dobrze, że udało się uniknąć rozgłosu w tej sprawie, bo sytuacja nie była przyjemna. Nie chcę źle mówić

o zmarłym, ale pan Wolf… wykorzystał zaufanie, jakim obdarzyła go moja rodzina, w sposób, który go tego zaufania pozbawił. Przynajmniej w moich oczach. Nic wielkiego czy godnego skandalu, ale okazał się innym człowiekiem, niż wydawało się, że jest.

Chyba że od początku widziało się w nim tanią, sprzedajną mendę, pomyślał McShane. Zaraz jednak rozwinął tę myśl, że lepiej zorientować się późno, jak najwyraźniej Greta Lindtberg, niż wcale, jak najwyraźniej jej brat. W ogóle gdy mówiła, był pod wrażeniem jej tonu, doboru słów i towarzyszących im przemyślanych, płynnych i oszczędnych gestów. Mimikę również miała pod niemal pełną kontrolą, choć agent wiedział, gdzie w takich przypadkach szukać emocji. Oczy. One zawsze okazywały się niepokornie szczere. A to drgającą powieką, a to zerknięciem w bok czy nieuzasadnionym skurczeniem się bądź rozszerzeniem źrenic potrafiły dać znak, którego szukał.

Greta Lindtberg nie była w tym względzie wyjątkiem. Mówienie o Wolfie wyraźnie ją irytowało, podobnie jak cała ta sytuacja. I dobrze!

– Czy byłoby dużym nietaktem, gdybym zapytał… – zaczął McShane, ale przerwała mu stanowczo:

– Tak. Współczuję panu Wolfowi, nikomu nigdy nie życzyłam śmierci, ale…

Przerwała, westchnęła i spróbowała się uśmiechnąć.

– W każdym razie, bo nie chcę zajmować panom więcej czasu, dziękuję za ten gest. Choć niepotrzebny, znajduję go wielce miłym, bo wiem, że u jego podstaw leżała dobra wola. Wolałabym jednak, by ta sprawa była jasna: nie jestem właściwą adresatką tych kondolencji.

– Rozumiem, a co do intencji, tak właśnie było – skłamał McShane i podniósł się, widząc, że Greta szykuje się do wstania. Odsunął jej krzesło, uchwycił za podaną dłoń, a gdy już stała, uśmiechnął się i jeszcze raz przeprosił, za, jak to ujął, nietakt. Potem jeszcze przez chwilę patrzył za nią, gdy pożegnawszy się również z Alfiem i Dragosavalijem, ruszyła przez parkiet do swojego stolika, skąd uważnie przyglądał się jej ojciec Parro.

Gdy agent był już był pewien, że kobieta go nie usłyszy, usiadł i westchnął:

– Wydawałoby się, że olbrzym pod nami nie żyje już dawno, ale wystarczy, że człowiek na moment zdejmie dłoń z pulsu tego miasta…

– Wiem, co pan ma na myśli. – zgodził się Dragosavalij. – Szczerze mówiąc… – Przerwał i sięgnął przez stół po babeczkę. Upewnił się, że nikt, a nade wszystko żona, na niego nie patrzy i wepchnął ją w usta. Chwilę trwało, nim przełknął. – Szczerze mówiąc, ja też byłem bliski złożenia pannie Grecie kondolencji, ale moja małżonka w porę powiedziała mi, że… Nie wiem w sumie, tam chyba o pieniądze coś poszło. I o osobowość inspektora. Wie pan, znałem go, to dobry człowiek był, ale trudny. Jeśli pan rozumie.

Jak mało kto, pomyślał znowu McShane, ale wiedział, że jakakolwiek forma przyznania grubasowi racji, zgodzenie się z nim ot tak, utnie temat. On natomiast zamierzał go drążyć, więc zamiast tego pokręcił głową.

– Jak mówiłem, niewiele wiem poza tym, co w gazetach – stwierdził, a potem posłał Alfiemu wymowne spojrzenie. Ten w lot je podchwycił.

– Panowie wybaczą – powiedział, wstając. – Obowiązki wzywają.

Skłonił się im obu i ruszył w stronę fortepianu. Agent i gospodarz zostali sami.

– Chodzi o to – powiedział Dragosavalij, gdy rozległy się pierwsze dźwięki *Latawców znad zgliszczy* – że w tym mieście łatwo się ubrudzić, zwłaszcza gdy człowiek zajmuje się… no wie pan, sprzątaniem brudów.

– Znaczy zorganizowaną przestępczością, to ma pan na myśli? – upewnił się McShane. I zanim gospodarz zdążył się odezwać, zanęcił jeszcze: – Bo wie pan, właśnie dziś tak się złożyło, że w trakcie efektu przeczekiwaliśmy z Alfiem w takim lokalu i tam było dwóch policjantów. I oni rozmawiali, a ja tak, rozumie pan… mimowolnie słyszałem. Po prawdzie to nie wiem, czy to mój słuch, wścibstwo czy ich niedyskrecja, ale usłyszałem… i to mnie zdziwiło, że… – Obejrzał się na tańczące pary, na kelnerów i wreszcie na kamerdynera, który przyglądał się im ze swego miejsca przy drzwiach, a potem pochylił się nad stołem, by myśl skończyć teatralnym szeptem. – Według policji zabójców inspektora Wolfa szukają ludzie Thorniniego.

Dragosavalij, który otworzył usta, by coś powiedzieć, kłapnął nimi, na powrót je zamykając, i przez chwilę wpatrywał się McShane’a w milczeniu.

– Czytał pan poranne gazety, prawda? – zapytał w końcu. – Czytał pan, że przesłuchano mnie w tej sprawie.

Agent powoli skinął głową, jakby niepewny, co to ma wspólnego z tym, co przed chwilą powiedział.

– Rozumiem więc, że pyta pan powodowany tym niezdrowym rodzajem ciekawości. Chce pan wiedzieć, czy się boję, tak? – Zniknęły gdzieś i wcześniejsza uprzejmość, i ospałość grubasa, za to coraz wyraźniej tliły się w jego oczach ogniki gniewu. Każde jego słowo, choć wypowiedziane niby tak samo, tym samym tonem, było gorętsze od poprzedniego. Gospodarz panował nad sobą coraz słabiej. – To dlatego pan się tu zjawił, Grotzkowski? Żeby zapytać, czy boję się, że jakiś przestępca…

– Grotzkowiak – wszedł mu w zdanie McShane. – I nie jakiś przestępca, a Francisco Thornini. I tak, oczywiście, że chcę wiedzieć, czy pan się boi i czy nie ma pan wrażenia, że naraża rodzinę. Bo ja bym się bał. Szczerze mówiąc, bałbym się jak cholera.

Dragosavilij zmrużył oczy i pochylił się nieco do przodu. Nozdrza falowały mu teraz, górna warga uniosła się lekko i byłby pewnie kazał się McShane’owi wynosić, gdyby nie nagłe dźgnięcie fałszywego dźwięku, za którym zaraz poszły kolejne, raniąc uszy. Wszyscy, także gospodarz i agent, odwrócili się w stronę Alfiego, który jednak nie przerwał grania, zgarbił się tylko, umilkł i kontynuował utwór, ale już bez śpiewu. Dokończył w ten sposób zwrotkę i przeszedł do refrenu, gdy Dragosavalij wstał.

– Myślę, że nie będziemy kontynuować tego tematu – stwierdził. – Ufam, mistrzu, że będzie się pan dobrze bawił… o ile nie będzie pan sobie zaprzątał głowy bzdurami rodem z tanich kryminałów.

McShane również wstał i uśmiechnął się pojednawczo.

– Dziękuję. I przepraszam, jeśli poczuł się pan dotknięty. Nie było to moją intencją i nie chciałbym, by uznał pan, że nadużywam gościnności – powiedział.

Gospodarz odzyskał nad sobą panowanie. Odpowiedział uśmiechem i poklepał agenta po ramieniu.

– To nie tak – powiedział. – Ale jakkolwiek podziwiam pana i pańską pracę, zauważam na przykładzie panny Lindtberg i własnym, że ma pan niezwykłą umiejętność…

– Nieświadomego wyprowadzania z równowagi?

Dragosavilij zaśmiał się sztucznie.

– Pan to powiedział – stwierdził, a zaraz potem dodał: – A teraz wybaczy pan, małżonka czeka. Jeżeli chciałby pan, przy naszym stoliku…

Położył rękę na stole, jakby chciał się o niego zaprzeć, a wtedy niemal znikąd doskoczył doń jego kamerdyner, służąc mu ramieniem. McShane

również wstał.

– Chętnie dołączę – powiedział. – Ale myślę, że obaj potrzebujemy teraz chwili.

– Może i słusznie. Ale potem naprawdę szczerze zapraszam.

Oddalił się tą samą drogą przez parkiet, co wcześniej Greta Lindtberg.

McShane odprowadził go wzrokiem, po czym usiadł i wreszcie dokończył napoczęte ciastko.

***

Pierwszy z serii fałszywych dźwięków wywołany był nagłym skurczem w rannej dłoni. Alfie grał akurat opowiadającego o losach emigrantów *Wyspiarza w Grimm City*, piosenkę z optymistycznym tekstem, ale dość smutną melodią, gdy nagle poczuł ból i zwyczajnie nie trafił w klawisz. Zgrzyt wdarł się do jego uszu jak ostrze noża, jak…

Gwóźdź, pomyślał. Gwałtownie poczuł, jakby w jego głowie runęła tama i zalała go fala przejmującego, rozdzierającego smutku. Miał wrażenie, jakby ktoś zdarł z okna grubą wełnianą kotarę i ostre światło chlasnęło go po oczach, powodując łzawienie i pieczenie.

Wcześniej przez głowę raz czy drugi przemknęły mu bolesne myśli o Mikrusie, ale przecież dobrze sobie z nimi radził – ktoś mógłby powiedzieć, że aż za dobrze. Że za łatwo to przyjął, że uporał się z tym, jakby to nie było nic takiego, jakby chodziło o jakiś drobiazg, a nie śmierć przyjaciela, do której przecież sam doprowadził! Gdyby nie on, gdyby nie ten przeklęty kurs, gdyby nie dziewczyna, która rzuciła na niego urok jak wiedźmy w księdze Bajarza…

Przez głowę przemknął mu nagle tysiąc obrazów, jakby oglądał mocno poszatkowany, zmontowany na szybko film. Dom, Troll’s Face, wspólne szwendanie się po mieście, podrywanie dziewczyn i krzesło. On na krześle. Opuchnięta twarz. Mikrus, kurwa, przepraszam!

Kolejne fałszywe dźwięki. Jakby te łzy cieknące mu teraz z oczu chciały zagrać własną melodię. Drżące dłonie nie trafiały tam, gdzie trzeba, głos się załamał, jakby przygnieciony olbrzymim ciężarem. Dziesiątki spojrzeń, wszyscy patrzyli na niego, niektórzy z troską, większość z dezaprobatą. Spierdoliłeś, zagrałeś fałszywie. Przez twój fałsz on nie żyje. Zabiłeś Mikrusa! Fałszujesz! Zabiłeś, fałszujesz, zabiłeś, fałsz…

Uratowała go krótka pauza w utworze. Umilkł, uniósł dłonie, poruszył nimi w powietrzu i zlekceważył paniczny lęk przed położeniem ich z powrotem na klawiaturze. Miał wrażenie, jakby znów był przed swoim pierwszym koncertem, gdy nagle wywiało mu z głowy wszystkie nuty, wszystkie lekcje. Był tylko on i czerń oraz biel klawiszy.

Kolejny dźwięk wszedł czysto. Skupił się na następnym, odpuszczając sobie śpiewanie. Potem na jeszcze jednym i kolejnym. Łzy nadal płynęły ciurkiem, rozmywając rzeczywistość, ale przecież nie musiał patrzeć. Jego palce wiedziały, co robić, wystarczyło im zaufać. Więc ufał, grał, przepraszał i płakał. A gdy wygrał ostatnią z nut, zdał sobie sprawę, że choćby nie chciał, musi tu siedzieć, bo tym utworem pozbawił się resztek sił. Nie był w stanie nawet drgnąć, ponowne uniesienie dłoni, choćby po to, by przetrzeć oczy, przekraczało jego możliwości. Siedział więc, dyszał cicho i czuł, jak łzy wielkości grochów kapią mu na uda.

Nie zareagował, gdy nagle wyrósł nad nim cień, a potem kobiecy głos zapytał:

– Mogę?

Zanim zdążył zareagować, przed jego oczami pojawiła się smukła dłoń, uchwyciła za mikrofon i wyjęła go z uchwytu.

– Szanowni państwo. – Mocny głos sprawił, że niemal wszystkie szmery natychmiast ucichły. – Najmocniej przepraszam, że przerywam państwu zabawę, ale chciałam coś ogłosić i… sumienie nakazuje mi zrobić to publicznie.

W tym momencie nawet te ostatnie szmery zgasły, nawet Alfie zmusił się do tego, by wreszcie przetrzeć oczy i unieść głowę. Dostrzegł, że obok fortepianu stoi szczupła brunetka. Nieznajoma przedłużyła jeszcze i tak przeciągającą się już pauzę i podjęła:

– Nazywam się Palla di Neve i ta część z państwa, która regularnie czyta „Spokestad” miała pewnie okazję zapoznać się z niektórymi moimi artykułami, w których zawsze stawiam na rzetelność i prawdę. Czasami jednak, i to jest w tym fachu najtrudniejsze, należy wyczuć moment, kiedy fakty układają się w gotową historię, inaczej rodzą się nieprzyjemne nieporozumienia.

Znowu przerwała. Wyszukała wzrokiem gospodarza i uśmiechając się, ostatnie słowa skierowała właśnie do niego:

– Chciałam więc przeprosić pana Dragosavalija, że pisząc artykuł, który pojawił się w porannym wydaniu naszej gazety, źle wyczułam ów moment, nie odczekałam i tym samym pozwoliłam, by na naszego gospodarza padł cień bezpodstawnego podejrzenia. Dostałam nauczkę na przyszłość i jestem wdzięczna, że umożliwiono mi przeproszenie w takiej formie. Dziękuję.

Rozległy się głośne oklaski, a dziennikarka dygnęła i odwróciła się, by odłożyć na miejsce mikrofon. Jej uśmiech, gdy stanęła już tyłem do publiczności wydał się Alfiemu nieprzyjemny, drapieżny i złośliwy. Jak okazało się zaraz potem, nie pomylił się specjalnie.

– Panu to dziękuję szczególnie – zwróciła się do Alfiego, gdy już się upewniła, że znajduje się poza zasięgiem i tak wyłączonego mikrofonu. – Gdyby nie panowie, to przed chwilą nie byłoby nawet w połowie tak zabawne.

– Zabawne? – nie zrozumiał Alfie.

Wzruszyła ramionami.

– Może być ironiczne, jak pan woli. Właściwie to nawet bardziej pasuje.

– Chyba nie rozumiem…

Z głośników popłynęły dźwięki jakiegoś skocznego utworu, co oznaczało, że odgórnie wysłano Alfiego na kolejną przerwę. Pewnie przez to fałszowanie, pomyślał. Uznano, że mu się przyda.

Palla di Neve opuściła klapę klawiatury i przysiadłszy na niej, założyła nogę na nogę.

– Jak pan myśli, jak zostaną odebrane moje słowa w kontekście tego, że przyjęcie odbywa się pod obserwacją agenta Szlachetnej Posługi? No, proszę się tak nie dziwić, przecież wystarczy choć znikoma znajomość biografii Burtona J. Ella, by wiedzieć, że wszystkie utwory napisał sam. Zresztą cóż by ze mnie była za dziennikarka, gdybym nie wiedziała, jak wygląda jedyny jak dotąd agent NS w naszym mieście. Wody?

Znowu nie czekając na odpowiedź, odbiła się dłońmi od fortepianu, zgrabnie zeskoczyła z podestu i podeszła do pustego stolika dla muzyków, by napełnić dwie szklanki. Alfie przyglądał się jej z rozdziawionymi ustami, ale gdy się zorientował, jak może teraz wyglądać, poderwał się z miejsca i również zeskoczył z podestu. Gdy podszedł, dziennikarka podała mu szklankę.

– Dragosavalij to idiota – powiedziała rozbawiona. – Albo mniejszy, jeśli w swej nowobogackiej ignorancji sam kupił panów bajeczkę, albo większy,

jeśli działa z panami i resztą policji w zmowie. Spora grupa gości zna tożsamość agenta McShane’a. Stawiałabym, że może nawet jedna czwarta wie albo się domyśla. Ludzie mogą nie sprawiać takiego wrażenia, ale się interesują. Zwłaszcza gdy są umoczeni i mają zalążki paranoi.

Jeśli do tej pory w głowie Alfiego kiełkowała myśl, że może kobieta blefuje, to teraz, z chwilą, gdy padało nazwisko agenta, stracił resztki wątpliwości. Westchnął z rezygnacją i wypił wodę duszkiem.

– Czemu więc nikt nic nie mówi? – zapytał po chwili, ocierając usta wierzchem dłoni.

Palla ponownie wzruszyła ramionami.

– Znasz tę apokryficzną historię o królu strojnisiu, która, nie wiedzieć czemu, nie trafiła do księgi Bajarza?

Alfie znał. Jedno z pierwszych erotycznych doznań, jakich doświadczył, miało miejsce, gdy z fascynacją wpatrywał się w obraz nawiązujący do tej legendy, przedstawiający owego króla, w rzekomo nowych szatach, a w rzeczywistości gołego, gdy wraz z równie nieubranymi dwórkami i dworzanami paradował po mieście. Dzieło nazywało się *Krzyk mody*, bo, rzeczywiście, jak w legendzie, gdzieś w kącie był tam mały chłopiec, który coś krzyczał. Zapewne kanoniczne: „Król jest nagi”.

Nie zamierzał tego mówić dziennikarce, podobnie jak dzielić się refleksją, że jego kompletnie nie dziwił brak tej opowieści w Świętej Księdze. Raz, że nie spisali jej kronikarze Bajarza, Jakub i Wilhelm, a dwa, że przecież stawiała w złym świetle samego króla, a przecież wbrew temu, co obie głosiły, religia i władza zawsze szły pod rękę.

Ostatecznie więc jedynym, co Alfie zrobił, było skinienie głową, co jednak w zupełności wystarczyło Palli, by rozwinąć myśl.

– Uważam więc – powiedziała – że to jest taka sama sytuacja. Nikt nie chce pokazać, że wie, wszystkim na rękę jest grać w tę śmieszną gierkę. Zresztą to całkiem zabawne widzieć agenta NS, jak mruczy niczym zmęczony życiem wyjadacz S’n’W. A jeszcze zabawniejsze jest wyobrażenie sobie, jak długo szukali w swoich szeregach pana, Moore, kogoś, kto tak dobrze radzi sobie z klawiaturą. Szczerze mówiąc, pańska… nazwijmy to, powierzchowność, zwłaszcza dopełniona blizną i opatrunkiem, nijak nie sugeruje aż takiej muzycznej biegłości i gracji. Gratuluję.

Komplement brzmiał szczerze, dlatego Alfie uśmiechnął się lekko.

– Usiądziemy? – zaproponował, odsuwając krzesło dla Palli.

– Chętnie. – Zajęła miejsce. – Rozumiem, że pan… Przepraszam, jak brzmi teraz jego nazwisko?

– Grotzkowiak.

– No właśnie, pan Grotzkowiak, zaraz wróci i będę go mogła zapytać o wywiad na wyłączność.

Alfie wzruszył ramionami.

– Może pani zapytać choćby teraz, pewnie jest w łazience.

Palla udała oburzenie, ale uniesiony w rozbawieniu kącik ust zdradzał dość jasno i wyraźnie, że wcale się nie gniewa.

– To żadną miarą nie była stosowna uwaga, panie Moore. Uznajmy jednak, że puszczę ją mimo uszu, a pan wyświadczy mi podobną uprzejmość i odpowie na jedno moje pytanie.

– Słucham.

Przeciągnęła ten moment, wciąż utrzymując na twarzy ów nieco drwiący, ale w gruncie rzeczy życzliwy uśmiech. Uzupełniła obie szklanki, obejrzała się przez ramię i komuś skłoniła, a następnie napiła się wody. Alfie, którego coraz bardziej denerwowało to przedstawienie, już miał się odezwać, przerwać tę farsę, gdy wreszcie zadała swoje pytanie:

– Skąd w kieszeni niedoszłego zabójcy taksówkarza wzięła się karteczka z pańskim nazwiskiem, panie Moore?

Muzyk zamrugał gwałtownie. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Podniósł szklankę, ale tylko trzymał ją na wysokości twarzy, jakby próbował się za nią skryć. Wreszcie odchrząknął i siląc się na zdecydowanie już spóźnioną obojętność, wzruszył ramionami.

– Może szukał dla dziecka nauczyciela muzyki?

Palla nagrodziła śmiechem ten słaby w gruncie rzeczy żart, zaraz jednak spoważniała, pochyliła się nieco i konspiracyjnym szeptem powiedziała:

– Albo da mi pan coś, Moore, albo sama poskładam to w historię.

– I popełni pani ten sam błąd co dziś rano? Uzupełni pani niedobór faktów fantastycznymi domysłami? – zadrwił Alfie. – Przed chwilą pani za to publicznie przepraszała.

Uśmiech spełzł z jej twarzy, zastąpiony gniewną zawziętością.

– Dla dobrego tematu zrobiłabym o wiele więcej.

Alfie rozparł się na krześle.

– I to ja, pani zdaniem, rzucam niestosowne sugestie? Jak już powiedziałem, mój kolega jest pewnie w łazience, a pani… Oho, widzę, że pani też zaraz będzie zajęta.

Brodą wskazał na coś za nią, a Palla obejrzała się i zobaczyła zmierzającą w ich stronę panią Dragosavalij. Dziennikarka odstawiła szklankę i podniosła się z krzesła.

– Wrócimy do tej rozmowy – zapewniła, po czym wyszła gospodyni naprzeciw.

Alfie odprowadził ją wzrokiem, w gruncie rzeczy wdzięczny za tę rozmowę. To, co mu powiedziała, to o karteczce, było pewnym zaskoczeniem, ale gdyby się zastanowić, nie tak znowu dużym. Wiedział przecież, że czekali na niego, że brutalnie przesłuchiwali Mikrusa. Bez większego trudu wydobyli nazwisko, a któryś je zapisał – ot i cała zagadka.

Dużo bardziej zdziwiło go, że tak wielu uczestników przyjęcia znało prawdziwą tożsamość McShane’a. Czy naprawdę nikt się nie wysypał? Nie rzucił choćby jednym żartem, nie wziął na bok gospodarza, by mu wytłumaczyć, że stał się marionetką w rękach władzy? A może faktycznie Dragosavalij o wszystkim wiedział i grał z nimi wszystkimi w swoją własną grę? Przecież nie było szans, by ktoś, kto dorobił się takiego majątku, był jednocześnie tak głupi i naiwny, tak nieobeznany z otaczającą go rzeczywistością. Tacy naiwni bogacze zdarzali się przecież tylko w księdze Bajarza!

Mimo tych rodzących się teraz pytań, a może właśnie dzięki nim, rozmowa z dziennikarką pozwoliła Alfiemu na powrót wziąć się w garść. Wciąż czuł na twarzy zaschnięte łzy, ściągające skórę, jakby przejechał po niej klejem, w ustach nadal miał słony posmak, a obolała ręka pulsowała nieprzyjemnie, ale w głowie nieco mu pojaśniało, odzyskał kontrolę. Zaraz, gdy McShane wróci, Alfie o wszystkim mu powie, a potem razem zadecydują, co zrobić – dalej odgrywać tę farsę, wiedząc, że nie dowiedzą się niczego konkretnego, czy zebrać się przed czasem i pewnie nie zarobić ani grosza więcej.

Opcji było jeszcze kilka, ale wszystkie one mogły poczekać. Na razie Alfie potrzebował chwili przerwy. Upewnił się, że w wewnętrznej kieszeni ma swoje kupione w Baldtale papierosy Marie Laveaus, a następnie wstał od stołu i idąc wzdłuż ściany, skierował się na taras.

SHAVE
BAY RUM
10¢
HOT TOWEL
Hair Cut and Shave 30¢
Single Haircut 20¢
Shampoo 20¢
Electric Massage 20¢
Ceders Hairbah 30¢
Zzz

Rozdział 11

Siedzenie w samochodzie dawało w kość plecom Evansa, dlatego inspektor średnio co pół godziny wysiadał, opierał się o maskę i wypalał papierosa ze wzrokiem wlepionym a to w bramę posiadłości Dragosavalija, a to w spacerujących wzdłuż parkanu ochroniarzy. Fakt, że nie musiał – jak to bywało za dawnych czasów podczas podobnych obserwacji – ani się kryć, ani też półleżeć na rozłożonym siedzeniu czy chować, ilekroć ktoś przejeżdżał, stanowił miłą odmianę. Okolica natomiast, w której przyszło mu dziś siedzieć – cicha, spokojna, zadbana – sprawiała, że w zasadzie siedzenie tu było nieomal jak wolne popołudnie. Bywały dni, że byłby skłonny zapłacić za takie wieczory. Gdyby jeszcze nie te przeklęte, obolałe plecy… no ale te dokuczałyby mu, gdziekolwiek by nie był.

Zaciągnął się papierosem i korzystając z pomarańczowego blasku lampy ulicznej, sięgnął po notes, by raz jeszcze przyjrzeć się zrobionym w ciągu ostatniej godziny notatkom.

Dziwna to była sprawa, a jeszcze dziwniejsze to, jak się rozwijała. Z jednej strony mógł mówić o niebywałym wręcz szczęściu, bo minęła ledwie doba, a już miał naocznego świadka, trop wiążący w jakiś sposób zabójstwo z wielkim graczem, kolejną powiązaną zbrodnię wraz z motywem, a także, w tym drugim przypadku, bardzo wyraźne sugestie odnośnie do jej bezpośrednich sprawców.

Tyle że gdyby się zastanowić, to w zasadzie… nie mieli nic. No, prawie nic, bo jednak tego młodego Moore’a czekało jeszcze żmudne przeglądanie kartotek, zdjęć i rysopisów – może znajdzie tam swoją morderczynię w czerwonym płaszczyku.

A poza tym? Nie, w zasadzie nie miał nic więcej. Zamachowcy polujący na Moore’a może i byli rewolwerowcami Thorniniego, ale przecież każdy papug wykazałby bez trudu, że równie dobrze mogli działać na własną rękę. Albo dołączyć dyskretnie do innej załogi, jeśli warunki tajemniczego nowego gracza okazałyby się korzystniejsze. Tak mówiliby prawnicy Thorniniego.

Z kolei sami dzicy, gdyby sprawy zaszły tak daleko, nie obroniliby się już przecież przed najpodlejszą nawet, najbardziej nieprawdziwą sugestią, bo jak mówi stara portowa przyśpiewka, martwi opowieści nie snują. Adwokatów też raczej nie najmują, bo i po co.

Śmierć tego Creswella wpisywała się co prawda w sprawę Wolfa, ale póki nie mieli zabójców, póki ich nie złamali, nigdzie tak naprawdę nie prowadziła. Zresztą zlecone na boku poszukiwanie tych Shorouki też miało lipne podstawy – legendarny rytuał, który McShane wytrzasnął nie wiadomo skąd? Historyjka o dumnym plemieniu dzikich walczących z istotami nadprzyrodzonymi? Z jednej strony bzdura jak szlag, z drugiej skoro McShane do niej dotarł, skoro przedstawiono mu ją w stolicy, każdy mógł to gdzieś przeczytać, a potem zrealizować, by wodzić za nos policję i wykorzystując rasowe uprzedzenia wobec dzikich, przekierować podejrzenia. Agnes, by znaleźć w dokumentach tych czterech dzikusów i ich impresario, trzeba było raptem kilku godzin, a przecież nie miał wątpliwości, że jeśli chodzi o akta personalne ludzi z Grimm City, to, czym dysponowała policja, nie mogło się równać z kartotekami rodzin Räu czy Thornino. Czym dysponował nowy gracz, jeśli to rzeczywiście jego sprawka?

Masa pytań i jak zwykle podświadome poszukiwanie tej jednej odpowiedzi, która ze wszystkiego zrobi opowieść, baśń niczym z księgi Bajarza. Evans nigdy nie uważał się za człowieka religijnego, ale czym innym było wierzyć lub nie, a czym innym odrzucić ład i porządek świata, w którym się przecież wychował, który przenikał każdy aspekt jego życia. Czy mieszkając w mieście do złudzenia przypominającym ciało olbrzyma, ba, widząc niegdyś na własne oczy bryłę węgla w kształcie ludzkiego serca, wciąż pulsującą, drgającą, wciąż tłoczącą podziemnymi tunelami tysiące hektolitrów czarnej mazi stanowiącej w gruncie rzeczy esencję tego miasta, mógł zupełnie i całkowicie odrzucić wszystkie zasłyszane w dzieciństwie historie? Czy cuda, jakich w niewyjaśniony sposób dokonywali technicy, nie pozwalały zracjonalizować opowieści o kościach zdradzających tożsamość zabójcy? Wreszcie czy po tych wszystkich sprawach, gdzie okazywało się, że matki kupczyły własnymi dziećmi za działkę leku na fossilię, tak trudno było uwierzyć w historię o dziewczętach, które mając niepowtarzalną szansę na tron, obcinały sobie pięty i stopy?

Bajanizm, ale i niemal wszystkie religie przed nim i wiele odłamów po nim, uczyły, że żyjemy w jednej wielkiej opowieści, jednak składającej się z setek tysięcy małych. Każda opowieść zaś ma jedno nadrzędne prawo – niezależnie od poziomu skomplikowania ma jeden finał, gdzie wszystko splata się w całość.

A co jeśli nie…?

Evans cisnął niedopałek na ziemię, przygniótł go butem i już miał wrócić do samochodu, gdy nagle zauważył w bramie znajomą sylwetkę Mortimera Schrecka. Kamerdyner zmierzał w jego stronę, a jego chód, postawa i zawzięta mina świadczyły, że z czymkolwiek przychodził, mocno go to rozjuszyło.

I rzeczywiście, ledwie zbliżył się na odległość pozwalającą na wyrażenie swej dezaprobaty bez specjalnego podnoszenia głosu, obnażył zęby, warcząc niczym rozjuszony pies:

– To już jest pierdolony szczyt, Evans. To już jest, kurwa, szczyt!

W pierwszej chwili podkomisarz pomyślał, że na balu zorientowali się, kim jest McShane. Już nawet miał coś na to odpowiedzieć, w porę jednak ugryzł się w język. Formalnie z jego byłym partnerem nie łączyło go nic prócz przeszłości. Należeli do różnych służb, w zasadzie prowadzili też dwa różne śledztwa, na razie tylko hipotetycznie ze sobą powiązane. Lecz zanim zdążył otworzyć usta, by zamiast tłumaczenia rzucić ostatecznie jakąś złośliwość, Schreck dokończył, co jego zdaniem jest owym pierdolonym szczytem.

– Nie jesteśmy pana, komisarzu, centralą telefoniczną i może być pan pewien, że pańscy przełożeni dowiedzą się o tej jawnej kpinie i dręczeniu obywateli. Pan Dragosavalij…

Evans zmarszczył czoło.

– O czym pan mówi, Schreck?!

Kamerdyner zmierzył policjanta wzrokiem, najwyraźniej rozważając coś w myślach, wreszcie prychnął i odwrócił się na pięcie.

– Proszę za mną – powiedział i nie czekając, ruszył.

Evans podążył za nim, nie kłopocząc się zamykaniem samochodu.

– No więc? – zapytał, zrównując się z Mortem. – Powie mi pan, o co chodzi?

– Dzwoni do pana niejaki Herlitz, funkcjonariusz. Rzekomo sprawa jest najwyższej wagi i musi pilnie z panem rozmawiać. Do tego bezczelnie

zagroził, że jeśli pana nie wezwę, wyśle tu kilka radiowozów, by aresztować mnie, pana Dragosavalija i kogo podleci za utrudnianie śledztwa!

Gdy podeszli do bramy, zbliżył się do nich strażnik, ale Mort odgonił go zdecydowanym gestem.

– Szczyt! – powiedział jeszcze i umilkł.

Evans również, przynajmniej na razie, nie miał nic do powiedzenia. W jego głowie pojawiły się nagle tysiące myśli. Co takiego się stało, że Herlitz musiał zadzwonić? Czyżby daleki strzał, jakim było śledzenie tych akurat czterech typków, okazał się właściwy? Ale nawet jeśli, mieli przecież procedurę określającą sposób komunikacji, a ta nie obejmowała wplatania w nią osób trzecich. Zapomnieli w ekscytacji? Stracili głowę? Gratza o to nie podejrzewał, ale tego Herlitza nie znał, mogło się zdarzyć, że puściły mu nerwy. Tylko gdzie w takim razie był detektyw? Rozdzielili się?

Gdy znaleźli się w pomieszczeniu dla służby, Mort wskazał na leżący na blacie telefon.

– Proszę – powiedział. – Tylko szybko.

Evans podszedł i podniósł słuchawkę. Przyłożył ją do ucha, ale na moment zasłonił mikrofon.

– To sprawa służbowa, Schreck – powiedział i mimo całego napięcia, jakie czuł w związku z tym telefonem, mina kamerdynera, gdy opuszczał pomieszczenie, sprawiła mu satysfakcję. Z wyrażającym ją uśmiechem odsunął rękę od mikrofonu i przedstawił się do słuchawki.

– Musi się pan tu natychmiast zjawić. Róg Barenhauter i Luciano na Spalle, podejrzani są w budynku, ale zaraz się stąd zawiną. Pakują się bardzo szybko.

Czyli jednak, pomyślał Evans. Czasami najprostsze tropy były tymi właściwymi. Ciekawe, dokąd się tak spieszą. I dlaczego czekali z tym aż do wieczora.

– Gdzie jest teraz Gratz? – zapytał.

Następne zdanie, które usłyszał, było ostre i bolesne niczym siarczysty policzek wymierzony z zaskoczenia.

– Zabili go, komisarzu – powiedział Herlitz i zaraz dodał już bardziej obrazowo. – Zaszlachtowali jak…

– Powtórz adres – przerwał mu Evans. Docisnął słuchawkę do ramienia i dobył notes, a usłyszawszy adres, szybko go zanotował. – Gdzie jest…

ciało Gratza?

– W Słodkich Usteczkach, przy Troll’s.

To również Evans zanotował, na wszelki wypadek.

– Zadzwoń do mojej sekretarki – polecił. – Nie będzie jej już w biurze, ale jej numer prywatny to pięć sześć trzy dwa dwa siedem jeden. Powiedz jej, niech zadzwoni do dyspozytorni i załatwi wysłanie tam patrolu i techników.

– Ale…

– Nie przerywaj i zrób, co mówię. A potem siedź na dupie i obserwuj podejrzanych, a jak się przemieszczą, jedź za nimi. I dzwoń, gdy nadarzy się okazja. Też do Agness, jasne?

– Jasne.

Evans rozłączył się i podszedł do drzwi, za którymi krył się Schreck. Otworzył je.

– Ściągnij mi tu natychmiast McShane’a! – rozkazał, a widząc zdumienie na twarzy kamerdynera wyjaśnił: – Ciemny, zaczesany do tyłu, przyszedł z muzykiem. Natychmiast, Mort!

W innych okolicznościach obserwowanie, jak zrozumienie powoli wypiera krew z twarzy Schrecka, pewnie by go bawiło, w tym jednak momencie nawet o tym nie myślał. Złapał kamerdynera za poły marynarki i przyciągnął do siebie.

– Ściągnij go, kurwa, natychmiast, albo ja tam wejdę i zrobię taki skandal… taki skandal…

Puścił i cofnął się o krok, dysząc ciężko. Mort poprawił marynarkę, przetarł twarz i minąwszy policjanta, przeszedł przez pomieszczenie do drzwi wiodących w głąb rezydencji.

– To się tak nie skończy – wycedził na odchodnym.

Chwilę później wrócił z wyraźnie zaskoczonym McShane’em, który w biegu mocował się z niedopiętym rozporkiem.

– Co do… – zaczął, ale z miny Evansa wyczytał, że to nie jest czas na jakiekolwiek pytania.

***

Niewprawnemu słuchaczowi zdawać się mogło, że to szum oceanu, ale Alfie wiedział, że na to ów dochodzący z daleka dźwięk był stanowczo zbyt

miarowy, zbyt jednostajny. Ponadto wrażenie, że dobiegał od strony skalistych klifów, było mylne. Wywoływała je, niewątpliwie celowo, prosta akustyczna sztuczka: fale odbijały się od wysokich parkanów rezydencji przy Memoire, wracając konfundującym słuchacza echem. Wszystko po to, by starannie zamaskowane dmuchawy, a wraz z nimi nawilżacze raz po raz wypryskujące z siebie mgiełkę słonej wody, mogły jeszcze bardziej potęgować wrażenie, że ta jedna dzielnica stanowi naturalną enklawę odgrodzoną od wszystkiego, z czym wiązał się przemysłowy charakter miasta Grimm.

Być może innego dnia Alfie nawet by to ocenił, dziś jednak, jak pewnie zazwyczaj po efekcie, system bardziej niż zwykle ujawniał swoje niedostatki. Wilgoci w powietrzu było więcej, a ponieważ dmuchawy nie do końca radziły sobie z aż taką ilością osadu i pyłu, na każdej ławeczce, krześle czy poręczy tarasu gromadziły się tłuste krople wilgoci. Trzeba było niezwykle uważać, by nie dotknąć tej przemysłowej rosy – jak ją w myślach nazwał muzyk – i trwale nie zapaskudzić garnituru.

Kosztował dwie stówy, upominał się raz za razem Alfie. Wiesz, ile to pieniędzy?! A potem przypominał sobie, że zapłacił stówę za noc z dziwką i nie mógł nie uśmiechnąć się drwiąco.

Stał na tym tarasie już dobry kwadrans. Początkowo wyszedł tu, by uspokoić emocje związane z Mikrusem, jak i uporządkować myśli w związku z tym, co powiedziała mu dziennikarka. A potem zapalił jednego papierosa Marie Laveaus, zaciągnął się słodkawym, orzeźwiającym dymem i zdał sobie sprawę, że w zasadzie nie chce tam wracać. Bo i po co? Prędzej czy później gospodarz albo się dowie, kim jest McShane, albo ujawni, że wiedział od początku. Tak czy owak nie zapłaci, pewnie też zadba, by Alfie nie dostał w Grimm City nawet jednego zlecenia. Mógł to zrobić, bogaci ludzie mogą wszystko, nawet gdy są idiotami. Wtedy po prostu nie zdają sobie sprawy ze swoich możliwości.

Tak, przyjście tu było głupie, beztroskie zaproszenie McShane’a, liczenie na to, że sztuczka, która kiedyś zadziałała na jakąś idiotkę w barze, chwyci i tu, w wyższych sferach, gdzie część ludzi mogła znać Burtona J. Ella osobiście, stanowiła podręcznikowy wręcz przykład naiwności. Czy też, jak kiedyś przeczytał w gazecie czy jakiejś antyreligijnej broszurce: wywołane bajańskim wychowaniem wrażenie, że narracja świata toczy się wokół

naszych losów i sprzyja nam, kosztem rzeczywistości, dla uatrakcyjniania historii.

– Taaak, uatrakcyjnienia – szepnął wpatrzony w szpaler równych drzew rosnących wzdłuż parkanu. Czy to były olchy? W jednej chwili przypomniała mu się przyśpiewka z wyspiarskiego baru. Śpiewała ją ta ruda, fajniutka, do której, jak mu powiedziano, wolałby nie zagadywać. Czy coś by się zmieniło, gdyby to zrobił? Gdyby do domu wrócił dopiero rano, gdy na ulicy w pobliżu domu panowałby normalny ruch? W sumie ludzie Thorniniego mogli się tym nie przejmować, Grimm City widziało już nie takie bezczelności, ale czy…

Przeszklone drzwi za jego plecami otworzyły się i na taras wylał się gwar z wnętrza, a także słowa ojca Perro. Edytor, otoczony wianuszkiem słuchaczy, głównie kobiet, widać również potrzebował zaczerpnąć tchu. Stał teraz ledwie kilka kroków od palącego muzyka i kontynuował rozpoczęty jeszcze wewnątrz wątek.

– Mam wrażenie – mówił tym swoim niskim, głębokim głosem, uważnie dobierając słowa i wyraźnie je wymawiając – że tym, co doprowadziło do zmiany naszej duchowości, do wykształcenia się nowych doktryn, nowych religii, jest nade wszystko gorące pragnienie człowieka, by coś znaczyć. Spójrzmy bowiem: nasi starsi bracia w wierze, starozakonni legendyci, wierzą nie tylko w to, że każdemu z nas jest pisana jedna historia, ale też, że jej dokładne wzory i ścieżki zapisane zostały dawno w umysłach prostego ludu w postaci baśni i podań. Spisane przez nich proste historie są surowe, brutalne i często niezrozumiałe dla nas, współczesnych. Jak bowiem odnieść bezpośrednio do naszego życia, dajmy na to, opowieść o Wróblu mszczącym się za potrącenie wozem Psa? Są to jednak wzory zachowań niepodlegające dyskusji, a co najwyżej interpretacji. Legendyci są więc skazani podwójnie, tak na gotową opowieść, jak i na schemat. W takim przypadku musisz postąpić tak, w takim tak… Wszystko dla nadrzędnego celu, jakim jest wielka, wciąż nienapisana księga. Epicka powieść wszech czasów, której wszyscy jesteśmy częścią.

Alfie zauważył, że wznoszący się i opadający palec gestykulującego kapłana wykreśla w powietrzu metrum na trzy czwarte. Walc, pomyślał z rozbawieniem, wesoły walczyk nad doktryną. Zanotował w pamięci, by być może kiedyś napisać coś takiego. Gdziekolwiek będzie… jeśli będzie. Bo może w tej głównej historii życia jego epizod sprowadzał się do bycia

świadkiem śmierci inspektora Wolfa? Może tu właśnie się kończyło jego zadanie?

– Bracia bajanie, jak szanowni państwo wiecie doskonale – kontynuował ojciec Perro – nie zostawiają nas tylko z Księgą i polem do interpretacji. Bajarz, który zstąpił, by ruszyć w świat, by opowiadać swoje historie konkretnym ludziom, uczy, że co prawda każdy z nas ma swoje zadanie, ale to nie tak, że stanowi mały skrawek wielkiej historii. Wszyscy jesteśmy opowiadaniami, które, gdy odnajdziemy naszą historię, być może trudną, ale ciekawą, znajdą się w Świętej Księdze. Gdy jednak posłuchamy Handlarza, który szuka łatwego zysku i zawsze idzie na skróty, sprowadzimy samych siebie do roli streszczenia i przepadniemy… Przepraszam, wpadłem w kaznodziejski ton, a nie chciałem przecież państwa zanudzać.

Łatwo się było domyślić, że to kokieteria i Alfie uśmiechnął się na myśl, że ten rosły mężczyzna o surowej, pooranej twarzy trzepie teraz metaforycznymi rzęsami jak byle podlotek. Zwłaszcza że oczywiście przyniosło to pożądany skutek. Zgromadzeni, wśród których Alfie dostrzegł Gretę Lindtberg i znanego mu dotąd jedynie z afiszów radnego dzielnicy Reuben Helixa Quossa, niemal natychmiast jęli nalegać na kontynuację wywodu. Ojciec Perro chwilę się wzbraniał, rzucił jedną czy drugą luźną uwagę, ale wkrótce ochoczo podjął przerwany wątek.

– W uproszczeniu zatem: nie są więc bajanie częścią powieści jak ich starsi bracia w wierze, ale każdy z nich ma szansę znaleźć się w ogromnej antologii jako osobne opowiadanie. To wciąż podporządkowanie życia jednej historii, tyle że już własnej. I w tym momencie zjawiają się moi współbracia różnych odłamów Kościoła epizodystycznego. Wierzymy, że dzieje ludzkości to nie powieść, nie zbiór opowiadań, a cała biblioteka. Życie każdego z nas składa się natomiast z dziesiątków, może setek epizodów, które domknięte stanowią opowiadania, a niedomknięte zwyczajne, rozgrzebane notatki, do których z czasem tracimy serce. I, wybaczcie państwo, jeśli urazi to niektórych z was lub jeśli uznacie moje słowa za herezję wobec waszej wiary, ale to dopiero daje nam prawdziwą wolność i sens życia. Świadomość, że w naszym życiu może się zdarzyć gorszy epizod, słabsze opowiadanie. Wówczas należy je domknąć i sięgnąć po kolejną historię. To właśnie staramy się robić za mostem, gdzie tak wielu ludzi zaczęło od niezwykle smutnych, gorzkich opowieści o dzieciństwie w,

co tu ukrywać, slumsach. Chcemy im pomóc domknąć te opowiadania i zacząć kolejne…

– Ciekawi to pana?

Zasłuchany w słowa ojca Perro Alfie nie zauważył, że Greta Lindtberg podeszła do niego i rozłożywszy chusteczkę na barierce, oparła się o nią łokciami. Wygięta w niedbałej, w jakiś sposób wyzywającej pozie, wpatrzona, jak wcześniej on, w drzewa, z ledwie napoczętym papierosem w długiej szklanej fifce.

Wzruszył ramionami.

– To o starozakonnych i bajanach już słyszałem – odparł. – Epizodyści to dla mnie nowość. Nie jestem specjalnie religijny.

Wypuściła z ust smugę dymu i uśmiechnęła się.

– Być może w tym, co pan właśnie powiedział, jedno wynika z drugiego, panie…

– Moore – przedstawił się. – Alfie.

Spojrzała na niego, lekko przekrzywiając głowę, jakby chciała się upewnić, czy rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Czy była jedną z tych osób, które znały nie tak znowu sekretną tożsamość McShane’a? Nie, wtedy by przecież z nim nie rozmawiała. Chociaż…

– Wie pan, kim jestem, prawda, panie Moore?

Przytaknął.

– A zna pan na mój temat jakieś piosenki?

Potrzebował chwili, żeby się zastanowić. Znał oczywiście kilka kawałków na temat porwania dzieci Lindtbergów, niektóre były nawet całkiem niezłe, ale nie był pewien, czy o te właśnie utwory jej chodziło. Spytać natomiast było niezręcznie.

Szczęśliwie jednak już samo milczenie stanowiło w tym przypadku odpowiedź. W dodatku taką, jakiej Greta Lindtberg najwyraźniej oczekiwała, bo pokiwała głową, zaciągnęła się dymem, a potem wypuściła w ciemną noc kolejną szarą smużkę.

– O tamtych dniach powiedziano już wszystko – stwierdziła. – Mnie, mojemu bratu, rodzicom, oprawcom i wybawcom wkładano słowa do ust, intencje w myśli… Nawiązując do jego słów – głową wskazała ojca Perro – może nie było to najlepsze opowiadanie w dziejach, ale z pewnością stało się bestsellerem.

Alfie ponownie skinął głową i sięgnął po kolejnego papierosa. Nigdy nie palił dwóch z rzędu, uważał to za rozrzutność, ale teraz potrzebował coś robić, a nie tylko stać jak kołek i potakiwać. Włożył więc do ust kolejnego marie laveausa, syknęła odpalana zapałka, błysnął rozczochrany ognik…

– Gdy zaczynasz coś nowego, Alfie, zupełnie nowego, czasem potrzebujesz poczucia, że coś w tym nowym miejscu, nowej rzeczywistości jednak znasz – powiedziała Greta, patrząc wprost na niego.

Było w jej twarzy coś tak niewypowiedzianie smutnego i, przez ten smutek zapewne, nieprawdziwie pięknego, że miał ochotę jej dotknąć, byleby się upewnić, że nie zdrzemnął się tutaj, a stojąca przed nim dziewczyna nie jest tylko kolejnym dziwnym, niepokojącym snem. Uniósł lekko dłoń, lecz natychmiast ją cofnął, zacisnął w pięść i przystawił do ust, chrząkając nerwowo.

Owo kaszlnięcie natychmiast przywróciło świat do normy. Greta potrząsnęła lekko głową, a potem znowu zaciągnęła się papierosem, skupiając wzrok na koronach drzew.

– I dlatego pytam o te piosenki – wyjaśniła niemal obojętnie. – Nie o porwaniu, a o mnie samej. Może któraś pasuje również do nowego opowiadania, które właśnie piszę…

– Przykro mi, ale nie wydaje mi się, bym jakąś znał – przyznał się Alfie.

– Nie szkodzi – znowu się uśmiechnęła. – Może gdy spotkamy się następnym razem…

Alfie już miał odpowiedzieć, ale wtedy ktoś, robiąc niezdarny unik przed kelnerem, wpadł na niego i muzyk się zachwiał, prawie lądując na brudnej barierce. Rozłożył ręce, balansując ciałem, dzięki czemu udało mu się utrzymać równowagę. Przyjął przeprosiny od pulchnej szatynki w czarnosrebrzystej, zdecydowanie zbyt obcisłej kreacji, i schylił się, by podnieść upuszczoną przez nią książkę.

Publikacja w twardej oprawie nosiła tytuł *Kierre: Czas na puentę, czas na zwrot*, a jej autorem był sam ojciec Perro. Alfie widział kilka egzemplarzy na paru stolikach, dostrzegł też stoisko z nimi w rogu sali. Jak zapamiętał i zrozumiał, sprzedawano je dziś jako cegiełki na rzecz najuboższych za mostem, którymi kapłan się zajmował. Szczytny cel, godny pochwały…

Książka upadła tytułem do góry, tylna strona nieco się ubrudziła. Alfie przetarł ją dobytą z kieszeni chustką. Przeczytał opis, a potem przyjrzał się

czarno-białemu zdjęciu przedstawiającemu kilka lat młodszego Perro.

W kaszkiecie, szelkach na brudnym podkoszulku i z umięśnionymi przedramionami wyglądał jak pracownik budowy. Za nim, na stawianym właśnie murze, siedziały okoliczne dzieciaki w potarganych ubraniach. Kilku szczeniaków, w tym jeden z zaawansowaną egzo, kilku młodzieńców z sypiącym się wąsem i jeden podlotek z podciągniętymi pod brodę kolanami. Jasne włosy spięte w kucyki, śliczne dołeczki, buzia w serdu…

Alfie z wrażenia znowu upuścił trzymaną w rękach książkę. Uderzyła o taras, co wywołało natychmiastowy, piskliwy protest pulchnej szatynki.

Muzyk jednak kompletnie na nią nie zważał, być może nawet wcale jej już nie słyszał. Przed oczami miał tylko twarz dziewczynki ze zdjęcia.

Twarz Czerwonego Kapturka.

***

– Czekaj, niech to wszystko podsumuję – powiedział McShane, gdy zjechali z wąskiej Sweetheart Roland’s Street, stanowiącej granicę między Memoire a Troll’s Face, i po betonowym ślimaku wjechali na Printemps Saule, jedną z głównych arterii miasta, łączących dystrykt Grumliga z portem przy Finger’s Point. Zrobił krótką pauzę, by Evans mógł od razu zjechać na lewy pas, zamiast tłuc się w koleinach wyżłobionych przez przeciążone ciężarówki, po czym w możliwie największym skrócie powtórzył, co właśnie usłyszał: – Wysłałeś dwóch gości w teren, by incognito śledzili dla ciebie czterech wyjątkowo brutalnych morderców, pracujących najpewniej na zlecenie Thorniniego, tak? Faceta, który o nas wszystkich wie pewnie więcej niż nasze, kurwa, matki. Dobrze to zrozumiałem?

Evans wziął dwa głębokie oddechy.

– A kogo miałem wysłać? – zapytał. – Ciebie, który postanowiłeś pobawić się pod przykrywką?! Mówiłem ci, że marnujesz czas na grubasa, a ty…

– Mogłeś poczekać.

– I pozwolić im się zawinąć?! Zamordowali człowieka, oznaczyli go po swojemu.

– I musiało ich to strasznie obejść, skoro drugi dzień jebią dziwki w najoczywistszym dla nich miejscu pod słońcem.

– Nie wiedzieliśmy tego.

– Trzeba było zapytać!

Evans zmilczał. Nie miał zamiaru ciągnąć tej dyskusji, bawić się w durną słowną przepychankę i udowadniać agentowi, że gdy rozmawiali przez telefon, on sam wiedział niewiele więcej. Zamiast tego skupił się więc na drodze, wypatrując między wielkimi billboardami tablicy informacyjnej z numerem zjazdu. Kiedyś lubił tę trasę, zwłaszcza wieczorem. Z szerokiej estakady widać było z jednej strony cały kolorowy, jarmarczny przepych Troll's Face, z drugiej dostojność urzędowych budynków Podgardla. Ciągnący się za nimi park, zwany Sercem Zieleni, ze swoją linią drzew, stwarzał złudzenie, że poza tymi jasnymi gmaszyskami nie ma tam dalej żadnego miasta, tylko las. Gęsty, nieznany, jak w baśniach ze Świętej Księgi.

– Powiesz mi, jak zamierzałeś to rozegrać? – Znowu odezwał się McShane, przerywając przeciągającą się ciszę.

Evans wzruszył ramionami.

– Teraz to już chyba nieważne, nie?

– Przeciwnie! Jestem ciekaw, czy miałeś jakiś plan, czy tak po prostu poszedłeś na żywioł, srając na regulamin…

Tym razem inspektor już nie wytrzymał i parsknął.

– No jesteś chyba ostatnim, który może mi cokolwiek mówić o regulaminowej pracy, nie sądzisz? – zadrwił. – Mam ci przypomnieć sutenera?

– Pamiętam – agent powiedział to tak, jakby tym jednym słowem zamierzał uciąć temat.

Evans jednak, przechodząc do ataku, ani myślał kończyć na jednym ciosie.

– Mam przypomnieć listę obrażeń, jakich doznał podczas oficjalnego przesłuchania?

– To też pamiętam! Evans, to było, kurwa, dziesięć lat temu, wszyscy już o tym zapomnieli.

– A inne sprawy? – nie ustępował inspektor. – Nie wiem, może to właśnie za szacunek do cholernego regulaminu postanowili cię w końcu…

– Ale ja zawsze ryzykowałem wtedy tylko własną dupą! – krzyknął McShane.

A potem zapadła cisza. Nie absolutna, wciąż rozlegał się warkot silnika, wibrowały szyby w niedomkniętych oknach, opony szumiały na asfalcie. Gdzieś tam z oddali dochodziły stłumione dźwięki muzyki, na przeciwległym pasie turlał się ospale autobus, rzężąc na zbyt niskim biegu. Te wszystkie dźwięki jednak nie niwelowały ciszy, wręcz ją podkreślały, pozwalając, by przykryła wszystko wokół niczym całun.

Evans mocniej zacisnął ręce na kierownicy, zmrużył też oczy i kilka razy nerwowo przełknął ślinę. Gdy się w końcu odezwał, prawie udało mu się opanować głos.

– Masz rację – mruknął.

– Przepraszam.

– Nie, masz rację. – Inspektor odetchnął głęboko zanim rozwinął myśl. – Popełniłem błąd i przeze mnie Gratz nie żyje. Będę musiał z tym żyć, będę musiał powiedzieć jego żonie. Pytanie, czy tylko o tym.

Agent spojrzał na niego pytająco.

– Co masz na myśli?

– Pytałeś, jak zamierzałem to rozegrać – odparł Evans. – Na tylnym siedzeniu, pod kocem leżą dwa obrzyny, jeden automat i kilka pistoletów, plus dodatkowa amunicja. Wszystkiego tego mieliśmy użyć przy dokonywaniu aresztowania. Ale teraz…

Znowu przerwał, odetchnął dwa razy i najpierw skubnął palcami wąsa, a następnie ukradkiem przetarł mankietem oczy.

– Teraz chciałbym móc powiedzieć pani Gratz, że skurwiel, który poderżnął gardło jej mężowi…

– Rozumiem – powiedział McShane.

Chwilę potem zjechali z Printemps Saule i pokonawszy kolejnego ślimaka, wjechali na Spellę. Agent, choć mieszkał w tej dzielnicy, nie znał tych okolic. Do niego zjeżdżało się następnym zjazdem, a tu, na tak zwany Stary Targ, właściwie nie miał powodów czy okazji się zapuszczać. Ani też w zasadzie większej ochoty, bo chodzenie tymi spękanymi, podziurawionymi ulicami, między drewnianymi budynkami ugiętymi pod ciężarem lat i napęczniałymi od wilgoci, mogło zaowocować tylko depresją lub guzem.

Większość bowiem mieszkających tu ludzi, niezależnie od płci czy wieku, w oczach miała pustkę, a ich twarze zastygły w nieodmiennie tym samym, obojętnym grymasie. Byli niczym emocjonalni egzofossilicy

w ostatniej fazie swej makabrycznej przemiany, co w kontekście tego, czym się w większości zajmowali, zakrawało na drwinę losu.

Według danych, z jakimi zapoznał się McShane, większość mieszkańców Starego Targu na Spalli współpracowała z którąś z organizacji przestępczych. Brzmiało to górnolotnie, ale przeważnie owa współpraca sprowadzała się do tego, że któryś z gangów dostarczał im do domów sprzęt do produkcji LEKU, regularnie zaopatrywał w składniki i pospiesznie przeszkalał w temacie samego procesu. Jaka temperatura, ile czasu, co potem… Nie oferowali za to złotych gór, ale i tak stawka, zwłaszcza że nieopodatkowana, plus dodatkowy benefit w postaci nadprogramowych przydziałów węgla, sprawiały, że decydował się każdy, komu to zaproponowano. A potem jeden za drugim, zastraszani, poganiani, nieustannie obserwowani, zapadali się coraz bardziej w to przestępcze bagno, wciągali w nie całe swoje rodziny i już na zawsze pozostawali w pułapce tych rzekomo łatwych pieniędzy.

Ale nie ma takich, pomyślał McShane, gapiąc się na te wszystkie zrujnowane budynki i zdemolowane sklepowe witryny. Pieniądze nigdy nie są łatwe.

***

Herlitz czekał na nich, jak zapowiedział przez telefon, przy ulicy Luciano. Stał oparty plecami o ścianę zabitego dechami starego kiosku i palił wpatrzony przed siebie. Evans, widząc go, syknął przez zaciśnięte zęby.

– No, jeszcze niech na środek drogi wyjdzie, bałwan – mruknął oburzony, ale McShane zaśmiał się tylko.

– W zasadzie ukrył się tak, że lepiej już nie można – stwierdził.

– Jak to?

– Spójrz na przykład tam. – Agent wskazał ręką przed siebie. – Wiata przy tamtym barze. Albo o, w zaułku obok tamtej ruiny. Widzisz? Trzeciego masz na dachu obok wieży wodnej, a czwartego… A nie, teraz się schował, nie zobaczysz.

Evans rzeczywiście widział w obu wskazanych miejscach jakieś ciemne, sterczące niemal w bezruchu sylwetki. Ten spod wiaty najwyraźniej palił, bo w oddali błyskała maleńka pomarańczowa iskierka.

– Kto to? – zapytał.

– Zasiedziałeś się w tej komendzie głównej, oj, zasiedziałeś – zadrwił McShane. – A tymczasem na ziemi niczyjej interesy kwitną. A że mało kto tu sobie ufa, każdy wystawia czujkę.

Evans zjechał na bok i po chwili namysłu wjechał na wstecznym w wąski zaułek. Zaparkował.

– Cholera – powiedział, gasząc silnik. – Nie wiedziałem, że tu wszyscy tak otwarcie…

– A kto ma ich tknąć? – zaśmiał się McShane. – Policja? Proszę cię, wiesz tak samo jak ja, że żeby coś się udało, żeby naprawdę odniosło to skutek, musielibyśmy tu ściągnąć chyba wszystkich mundurowych z całego miasta. A że pewnie jedna trzecia siedzi bossom po kieszeniach, to nawet wtedy nic byśmy tu nie zyskali. Burmistrz woli przymykać oko, bo tutejsi przynajmniej cicho siedzą, a wiesz, co potrafią Czarnoziemcy, jak się im zalezie za skórę. No to kto by miał?

Inspektor wzruszył ramionami

– W sumie…

Przez szybę zobaczył, że Herlitz cisnął niedopałek do rynsztoka i ruszył do nich.

Skinął mu ręką i już złapał za klamkę, ale McShane go powstrzymał.

– Jeszcze jedno, Evans, zanim ten wielkolud do nas dołączy i nie będzie dało się swobodnie gadać. Chcę wiedzieć, co robimy, i po co tak naprawdę tu jestem. Bo nie dla moich gówno wartych uprawnień, prawda?

Evans przyjrzał się agentowi badawczo.

– Nie – przyznał. – Już nie.

To powiedziawszy, otworzył drzwi, ocierając nimi o ceglaną ścianę, i wysiadł z samochodu.

Herlitz tymczasem wszedł do zaułka i skrył się w mroku, ale zamiast przywitać się z inspektorem, zatrzymał się przed maską, odwrócił do niej plecami i usiadł. Z perspektywy ulicy nadal mógł uchodzić za kogoś na czujce, kto po prostu zmienił pozycję.

Sprytne, pomyślał Evans. Nawet bardzo.

– No i jak tam Herlitz, co z naszymi dzikusami? – zapytał.

– Siedzą w tym wysokim niebieskim budynku po drugiej stronie ulicy, na prawo – odparł policjant. – Ostatnie piętro, świeci się u nich światło. Nie ma tylnego wyjścia, a oprócz nich jest tam tylko jedna rodzina na pierwszym. Ci mają wzmocnione drzwi, zabezpieczone przed naszym

taranem, wizjer, sztaby w ścianę, więc pewnie jakaś większa fabryczka się tam mieści. Pewnie z kilka destylarek.

McShane również wysiadł. Herlitz obejrzał się nerwowo.

– Poznajcie się panowie, funkcjonariusz Herlitz, agent NS McShane – przedstawił ich sobie Evans.

– To zaszczyt poznać, agencie – stwierdził Herlitz. Wciąż wpatrywał się prosto przed siebie, ale w jego głosie słychać było ekscytację.

Agent zdziwił się nieco.

– Zaszczyt?

– Dochodzeniówka na Podpaszce, sprawy Gigsa, braci Cazro i tego sutenera od nieletnich? – upewnił się policjant. – Po mieście może i się nie poniosło, ale na Navalla Afiada wciąż krążą o panu legendy. Mój wujek tam pracował. Krótko, i już po tym, jak pana przenieśli. Na dyspozytorni siedział, bo na wojnie nogę stracił.

McShane odpalił papierosa i zaciągnąwszy się dymem, spojrzał triumfalnie na Evansa. „Mnie pamiętają – mówiło to spojrzenie. – Ciebie jakoś nie”.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Dobra, Herlitz – powiedział stanowczo. – Nie czas na pogaduchy. Co jeszcze wiesz?

– Wnioskując po układzie opuszczonego i otwartego mieszkania na parterze – podjął funkcjonariusz – to, w którym siedzą dzicy, ma dwa pokoje, w tym jeden przechodni, osobno kuchnię i łazienkę oraz wąski przedpokój. Niemal na pewno jest ich tam pięciu, czterech rosłych dzikich i…

– Ich impresario Goggins, wiemy – wszedł mu w zdanie Evans. – Uzbrojenie?

– Nie mam pojęcia, inspektorze – przyznał Herlitz.

– Czegokolwiek by nie mieli, będziemy gotowi – stwierdził McShane i otworzył tylne drzwi samochodu. Odchylił koc i przyjrzał się arsenałowi zabranemu przez Evansa. Sięgnął po obrzyna, potem automat, wpiął magazynek, odciągnął zamek. Jego ręce pracowały automatycznie, ale przez głowę przemknęła mu myśl, że dawno tego nie robił. Znaczy poza strzelnicą, ale tam to…

– Szefie, chyba coś się dzieje – powiedział nagle Herlitz. – Zgasło u nich światło.

Inspektor i agent wymienili spojrzenia.

– Może tylko przeszli do drugiego pokoju? – zasugerował ten drugi, ale Herlitz pokręcił głową.

– Zapaliło się na schodach.

– Szlag. – McShane pochylił się i znowu złapał za obrzyna. Po namyśle jednak odłożył go i zamiast tego podniósł dwa pistolety. Sprawdził magazynki, przeładował.

– Mówisz, że to był porządny gość, tak? – Uśmiechnął się krzywo do Evansa. – Ten cały Gratz?

Inspektor zmarszczył czoło.

– Pewnie lepszy niż my dwaj razem wzięci – odparł. – Ale jeśli robisz to, co myślę, że robisz, to…

McShane wepchnął obie spluwy za pasek i zasłonił je marynarką.

– Wkurwia mnie, gdy porządni ludzie giną bez powodu – stwierdził, po czym ruszył w stronę wyjścia z zaułka.

– McShane!

Agent się nie odwrócił.

– Nie rób scen, Evans – warknął. – Daj spokój, nie ma teraz czasu na plany. Wsiadaj za kółko i posadź naszego wielkoluda z tyłu z automatem. Wyjedziesz, kiedy… zorientujesz się kiedy. Jakby poszło naprawdę źle, to ilu potrzebujemy?

Mijany właśnie przez niego Herlitz nie zrozumiał ostatniego pytania. Evans jednak, do którego było ono skierowane, nie namyślał się długo.

– W najgorszym razie trzech. Albo dwóch, jeśli…

– …jednym z nich będzie impresario – dokończył za niego McShane.

***

W rzeczywistości wcale nie był w tej chwili wkurwiony. Szedł spokojnie na skos przez ulicę, z rękami wzdłuż ciała, nie wykonując żadnych podejrzanych ruchów. Jego myśli nie krążyły też ani wokół Gratza, ani Mikrusa, a wokół przywołanej przez Evansa sprawy sutenera z Navalla Afiada.

Dziś pewnie zadziałałoby to przeciwko niemu, ale wówczas fakt, że znali tę małą, że mówiła do nich „policyjne wujki”, w jakiś sposób przemówił na ich korzyść. Uznano, że brutalność, jakiej dopuścił się McShane względem

przesłuchiwanego, a także złamanie procedur, które doprowadziły do strzelaniny i kilku ofiar śmiertelnych, były uzasadnione „ważnym czynnikiem osobistym”. Dopiero potem, być może za sprawą tamtych właśnie wydarzeń, w policji, a tym bardziej w NS, ów czynnik zaczął oznaczać automatyczne wykluczenie z udziału w postępowaniu w charakterze innym niż świadek.

Choć teraz to i tak nie miało znaczenia. McShane nie znał Gratza. Nie był już też gliną, by oficjalnie działała zawodowa solidarność.

Przystanął. Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów i wsunął jednego do ust. Od budynku, gdzie przebywali dzicy, dzieliło go dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kroków. Gdy odpalił zapałkę, akurat otworzyły się drzwi.

Shorouki, który wyszedł na ulicę jako pierwszy, miał na sobie czarny garnitur z kamizelką, ale z koszulą rozpiętą pod szyją i bez krawata. Zaraz za progiem przystanął, rozejrzał się, a zauważywszy agenta, naprężył mięśnie, jakby spinał się do skoku.

Mimo dzielącej ich odległości McShane widział, że tamten mruży też oczy jak jakiś dziki kot. Może puma? Aby go uspokoić, uniósł dłoń z papierosem, wskazując na mieszkanie w budynku, z którego dziki wyszedł. To na pierwszym piętrze, rzekomo z masywnymi drzwiami i okiennicami, zza których tliło się mdłe światło.

Dziki najwyraźniej zrozumiał, bo gdy chwilę potem zza drzwi wyłonił się jego kompan, powiedział mu coś w niezrozumiałym dla agenta języku i wskazał na agenta. Tamten po prostu skinął głową i ruszył wzdłuż budynku w stronę zaułka. McShane już wcześniej zauważył stojący tam furgon.

Trzeci z Shoroukich, z wyglądu najgroźniejszy, miał twarz poznaczoną nieregularną siatką blizn. Również mrużył oczy jak kot, ale zdecydowanie bardziej przypominał starego lwa – przywódcę stada, który w przeszłości nieraz musiał walczyć o swoją pozycję. Widać to było, zwłaszcza gdy słuchał, co ma mu do powiedzenia Puma. Na McShane’a spojrzał tylko raz, a gdy agent uniósł dłoń w pozdrowieniu, prowokacyjnie splunął.

Niemal w tym samym momencie z zaułka wytoczył się masywny furgon, a z budynku wyszli objuczony torbami czwarty Shorouki i drobny, nerwowy w ruchach Goggins, impresario dzikich. Zaczął się taniec.

McShane udał, że chce zejść furgonetce z drogi, ale zamiast do tyłu, postąpił krok w bok i kilka do przodu, zmuszając tym samym słabo zwrotny

pojazd do zrobienia większego łuku. Na krótką chwilę znalazł się między samochodem a czterema z pięciu poszukiwanych – czyli dokładnie tam, gdzie planował, czy też raczej tam, gdzie miał nadzieję się znaleźć. Co więc teraz? Czy tamci byli uzbrojeni? Lew na pewno miał broń pod pachą, u objuczonego natomiast nie miało to znaczenia, bo i tak nie zdążyłby sięgnąć. Dwaj pozostali stanowili zagadkę, a impresario dodatkowo problem, bo on akurat za wszelką cenę miał pozostać przy życiu. Jeśli którykolwiek z tych skurwysynów mógł się potem złamać, to tylko on.

Furgon próbował ściąć pokonywany łuk, kierowca krzyknął coś przez szybę, a McShane, niby mu ustępując, postąpił kolejne dwa kroki do przodu. Zerknął ukradkiem na drugą stronę ulicy, skąd właśnie powoli, z wyłączonymi światłami wyjeżdżał Evans. Odczekał, aż inspektor wyjedzie na prostą, i dobył pistoletów.

Obie lufy natychmiast wycelował w Lwa, a i tak ledwie zdążył go uprzedzić. Shorouki był niebywale szybki i gdyby kula z pierwszego pistoletu agenta nie trafiła go w ramię, być może zdążyłby się nawet właściwie złożyć do strzału. Zamiast tego jednak strzelił bez celowania i kula przeleciała sporo nad głową McShane’a, po czym z wizgiem zrykoszetowała o furgon. Pocisk z drugiego pistoletu agenta trafił Lwa w gardło, nie dając mu szans na poprawkę.

Potem wszystko potoczyło się już błyskawicznie. Z tyłu za plecami agenta pękła rozbita kolbą pistoletu szyba, więc McShane natychmiast rzucił się na ziemię, przetoczył na plecy i wypalił z obu luf w stronę szoferki. Trafiony pod oko kierowca walnął łbem o kierownicę, aktywując klakson.

McShane jeszcze raz się przetoczył i oddał kolejny strzał w stronę Pumy mocującego się z rewolwerem, którego kurek zahaczył o szlufkę spodni.

Jaki debil pcha spluwę do kieszeni, pomyślał agent, trafiając dzikiego w nogę. Z drugiego pistoletu celował jeszcze w rękę, ale Shorouki zatoczył się niefortunnie i zamiast w dłoń zarobił w brzuch.

Niemal w tym samym momencie zza wciąż wyjącego furgonu wypadł samochód Evansa. Z tylnego okna błysnął ogień i posypały się kule z automatu. Herlitz strzelał z wyczuciem, nisko, w założeniu po nogach, i udało mu się powalić na ziemię dwóch mężczyzn mocujących się z drzwiami. Pecha miał tylko raniony przez McShane’a Puma, który po

przyjęciu śmiertelnej dawki ołowiu na szyję i głowę runął na ziemię z łoskotem.

Gdy strzały ucichły, McShane wstał. Zerknął najpierw w stronę wejścia do budynku, skąd dochodziły jęki leżącego w progu impresario przebijające się nawet przez wycie klaksonu, a następnie podszedł do furgonu i złapawszy dzikiego za ucho, odciągnął na bok. Teraz z dźwięków zostały już tylko jęki.

Agent pochylił się i kilka razy odetchnął głęboko, opierając dłonie na kolanach. Brzęczało mu w uszach, w ustach czuł metaliczny posmak, a kolano i łokieć pulsowały tępym bólem, ale generalnie czuł się dobrze. Dlatego gdy Evans spojrzał na niego pytająco, uniósł kciuk.

Herlitz odrzucił za siebie rozgrzany niemal do czerwoności automat i wysiadł z samochodu. Rozejrzał się na boki:

– Patrzą na nas – stwierdził. – Bossowie nie lubią, by im tu bruździć. To szkodzi interesom.

McShane uniósł głowę. Rzeczywiście, na niemal każdym okolicznym dachu ktoś siedział. Ciemne, skryte w półmroku sylwetki widniały też w niektórych oknach, ale w ich przypadku raczej trudno było powiedzieć, czy to żołnierze gangów, czy po prostu mieszkańcy. Choć w sumie czy nie wychodziło na jedno?

Zrobią coś czy nie zrobią, zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Złożył ręce w tubę i najgłośniej, jak mógł, zawołał:

– Posprzątamy to!

Następnie obszedł furgon i ostentacyjnie otworzył na oścież oba skrzydła tylnych drzwi.

– Rannych i ich rzeczy bierzcie do samochodu, ja zajmę się trupami – polecił, widząc zdumione spojrzenia Evansa i Herlitza. – No już, raz-dwa, nie mamy całej nocy.

Rozdział 12

Niewielkie stoisko z książkami ojca Perro znajdowało się poza salą balową, w holu – niemal dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zestaw wypoczynkowy, na którym siedział Alfie, będąc tu po raz pierwszy. Miał zresztą wrażenie, że dziewczyną stojącą za prowizoryczną ladą była ta sama pokojówka, którą tu wtedy widział. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała przymilnym, ugrzecznionym tonem, zapewne biorąc go za gościa.

Nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu, więc tylko wskazał na książkę.

– Ile?

– Ile pan szanowny uważa. – Wskazała dłonią na wielką drewnianą urnę oklejoną plakatami z okładką książki.

– Świetnie – odparł, biorąc do ręki jeden egzemplarz. – Sprawdzę zatem, co uważam.

Mrugnął do zaskoczonej dziewczyny, po czym wrócił na salę. Chciał przysiąść przy swoim stoliku, ale tam znowu krążyła Palla di Neve. Przeszedł więc bokiem obok parkietu i skłonił się sekretarzowi miasta i jego żonie, a następnie, w progu drzwi do łazienki, uścisnął mokrą dłoń Borisa Lehena, aktora charakterystycznego o twarzy tak groteskowo paskudnej, że większość odgrywanych przez siebie potworów mógłby spokojnie grać bez charakteryzacji.

– Świetnie pan interpretuje J. Ella proszę pana – stwierdził z przekonaniem Lehen, szczerząc koślawe zęby i łypiąc na Alfiego parą wyłupiastych, przekrwionych oczu. W tym momencie, jeszcze z rzadkimi czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, bardziej niż z potworami kojarzył się muzykowi z jedną z tych wypchanych piranii z Muzeum Historii Naturalnej. Tych, co to podobno, według Świętej Księgi Bajarza, czyhały w wodzie, aż przetrą się sznury z włosów wiążące w całość wątłą tratwę Tomcia Palucha… – A głos? Wyśmienity. Z przyjemnością posłuchałbym pańskiego recitalu w godnych tego warunkach.

W innych okolicznościach takie słowa od, było nie było, gwiazdy ekranu, stanowiłyby dla Alfiego powód do dumy i radości. Teraz jednak podziękował sucho, przeprosił i bezceremonialnie oswobodziwszy dłoń, wśliznął się do łazienki, zamykając aktorowi drzwi przed nosem.

W środku, przy umywalce, pod jasno świecącą żarówką, raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu. Nie było najmniejszych wątpliwości – to była ona. Sporo młodsza, jeszcze nie tak kobieca, ale już będąca zapowiedzią tej, którą miała się stać. Kobieta, która najwyraźniej na dobre zagościła w jego myślach i snach, a jednocześnie bezlitosna i nad wyraz skuteczna morderczyni, która poszatkowała kawałkiem szkła gardło oficera policji. Co ją łączyło z ojcem Perro? Czy to do niego jechała wtedy za most? Czy to jej relacje z kapłanem sprawiły, że tak ciekawiło ją, w co Alfie wierzy? Czy rozmawiając z nią, zdał, czy też oblał przypadkiem jakiś test?

Położył książkę na skraju umywalki, po czym napełnił dłonie zimną wodą i chlusnął sobie w twarz. Spojrzał na swoje odbicie, a potem jeszcze raz na zdjęcie na książce. Musiał porozmawiać z McShane’em. Niech on się tym zajmie. Niech on zajmuje się śledztwem. Alfie był tu, by grać.

Sięgnął po ręcznik, wytarł starannie twarz, a potem jeszcze kark i dłonie, a następnie z książką pod pachą wyszedł z łazienki.

Lehen stał nieopodal, trzymając we wciąż mokrej dłoni kieliszek o długiej nóżce. Dostrzegłszy Alfiego – a sprawiał wrażenie, jakby specjalnie tam na niego czekał – łypnął wyłupiastym okiem, a jego górna warga drgnęła, odsłaniając kieł. Czy była to oznaka wrogości czy pogardy, trudno było stwierdzić jednoznacznie, ale jedno było pewne: na potencjalny recital aktor się już raczej nie wybierał.

Alfie rozejrzał się po sali. Z głośników leciał jakiś zupełnie bezbarwny utwór S’n’W, kilka par dzielnie okupowało parkiet, ale większość ludzi wolała dyskutować, przechadzając się między stolikami, albo zażywać powietrza na tarasie. Impreza powoli osiągała ten punkt, którego po przekroczeniu co rozsądniejsi zdążą się pożegnać i pojechać do domów, a ci, co zostaną, dadzą pożywkę plotkom, wystawiając do nierównego pojedynku wyuczone zasady przeciwko odruchom w stanie upojenia…

Jeżeli McShane chciałby tu tego czy owego dyskretnie przesłuchać, to – oczywiście pod warunkiem, że nie trafiłby na kogoś, kto, jak Palla, znał jego sekretną tożsamość – teraz miałby największe szanse. Logicznym byłoby więc, gdyby gdzieś tu krążył, zagadywał, prowokował, jak wtedy

przy stoliku zrobił z Gretą Lindtberg czy Dragosavalijem. Agenta jednak jak na złość nigdzie nie było.

Po dłuższej chwili Alfiemu udało się jednak wypatrzeć Morta. Uznał, że kto jak kto, ale kamerdyner będzie w stanie znaleźć tu każdego. Podszedł do niego i zapytał, czy nie widział gdzieś Groztkowiaka.

Mort zmierzył go wzrokiem, jakby widział go po raz pierwszy, i muzyk był już pewien, że zaraz zapyta, co to za przeciągająca się przerwa. Zamiast tego jednak kamerdyner sapnął i odwróciwszy się na pięcie, rzucił tylko:

– Za mną. – Po czym zniknął za drzwiami.

Przeszli przez przedpokój, a gdy mijali dziewczynę, Alfie znowu puścił jej oko i bezczelnie pomachał trzymaną w ręce książką. W odpowiedzi skrzywiła się jakoś tak niełądnie.

Skręcili w prawo, przeszli bocznym korytarzem i przez znane już Alfiemu pomieszczenie dla służby. Mort przepuścił muzyka w progu i wyszedł za nim. Chwycił od tyłu za marynarkę, przyciągnął do siebie i zaraz pchnął na poręcz. Alfie zachwiał się, zatoczył i wypuścił książkę z rąk.

– Co, do… – stęknął, ale Mort zeskoczył ze stopni i przywarł do niego, chwytając za poły marynarki. Jego uścisk był niebywale silny, oddech pachniał miętą i dymem, w jego oczach pulsowała czerwienią prośba: „Skłam. Skłam, bym nie musiał się hamować”.

Alfie otworzył usta, nabrał powietrza… i gwałtownie je wypuścił z cichym jękiem, gdy kolano Morta trafiło go w krocze.

– Zapytam – zapewnił kamerdyner.

A potem odsunął się o krok i puściwszy prawą ręką marynarkę, wyrżnął muzykowi łokciem w twarz.

– Na razie jeszcze bez słów – poprosił. – Zaraz mi powiesz, dlaczego postanowiłeś wsadzić pana Dragosavalija na minę, ale teraz…

Zamachnął się i znowu uderzył, tym razem pięścią w brzuch, a zaraz potem hakiem w podbródek. Lewa ręka, wciąż zaciśnięta na czarno-białym materiale, skutecznie powstrzymała muzyka od osunięcia się na ziemię i dociskała go do barierki.

– Człowiek robi tyle dobrego – mówił dalej Mort. – Angażuje się w pomoc temu miastu, zmienia je, a tu taka gnida jedna z drugą szargają jego dobre imię, byle tylko…

– Przepraszam, mógłby pan troszeczkę wolniej? Nie nadążam notować…

Mort zadarł głowę, spojrzał w kierunku uchylonych drzwi i zaklął. W progu stała Palla di Neve z notatnikiem.

– No tego to ja, panie Schreck, zacytować w gazecie nie mogę – powiedziała z uśmiechem. – Ale tamto pan powtórzy. Muszę mieć dokładny cytat, bo sam pan rozumie, wyciągnęłam lekcje.

Kamerdyner sapnął i puścił Alfiego, a ten osunął się na stopień i przyłożył ręce do obitej twarzy.

– To, co robicie panu Dragosavalijowi, ty, on, ten policjant, jest zwyczajną, ohydną podłością – stwierdził Mort, wycierając ręce w dobytą z kieszeni chustkę. – Brzydzę się takimi spiskami, takimi zagraniami bez krztyny honoru. Takim…

– Gdzie jest agent McShane? – zapytał już bez ogródek Alfie, obmacując obitą szczękę i sprawdzając stopień obluzowania zębów.

– No właśnie, gdzie? – dołączyła do pytania di Neve. Mówiła takim tonem, jakby cała ta sytuacja bardzo ją bawiła.

Mort powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, po czym splunął na bok z pogardą.

– Powiem wam, jeśli oboje się stąd wyniesiecie. Zaraz, natychmiast.

– Odpada – stwierdził Alfie, z trudem podnosząc się na nogi. Oparł się o barierkę i stał zgarbiony, niezdolny jeszcze się wyprostować. – Umawiałem się na granie do rana.

– Natychmiast! – warknął Mort, zaciskając pięści.

Alfie, widząc, że kamerdyner nie żartuje, wyciągnął ranną rękę przed siebie, w pojednawczym geście.

– Dobra, dobra, natychmiast – powiedział. – Tylko powiedz mi, gdzie jest McShane i…

– Wpadł tu po niego inspektor Evans z komendy głównej – rzucił Mort, wspinając się po schodkach. Gdy znalazł się tuż przy dziennikarce, ustawił się tak, jakby ją przepuszczał. Palla zrozumiała aluzję i wyszła za próg, na zewnątrz. – Zabrał go gdzieś, na Spallę. A teraz oboje wypierdalać.

Zatrzasnął drzwi, a chwilę potem ze zgrzytem zaczęła się otwierać brama dla dostawców.

– …i daj jeszcze na taksówkę, bo skończyła mi się kasa – dokończył swoje zdanie Alfie, ale zaraz machnął ręką i wciąż zgięty wpół, pokuśtykał w stronę bramy. Palla doskoczyła do niego i przewiesiła sobie jego rękę przez kark.

– Dlaczego to robisz? – zdziwił się muzyk. – Dlaczego mi pomagasz?

– Powiedzmy, że równie mocno jak w to, że dobry materiał czai się wszędzie, wierzę również w ludzką pamięć i wdzięczność – odparła dziennikarka. – To co, masz jakiś pomysł, gdzie cię podwieźć?

Miał. Znał jedno miejsce na Spalli, które kojarzyło mu się z McShane'em i do którego prędzej czy później agent musiał trafić. A wtedy z pewnością się ucieszy, że pod jego nieobecność Alfie w zasadzie rozwiązał całą pieprzoną sprawę.

Nagle zorientował się, że upuścił książkę. Odwrócił się za nią, wskazał na nią ręką, ale brama już zaczynała się zamykać, więc Palla machnęła ręką i poklepała zawieszoną na ramieniu torebkę.

– Zostaw, dam ci swój egzemplarz – powiedziała. – I tak nie czytam tych wszystkich religijnych bredni.

***

Zatrzymali się kilka przecznic dalej, na dużym, opustoszałym placu targowym, od którego ta część dzielnicy wzięła swoją nazwę. Przed nimi rozciągała się już Grobla, gdzie mieszkał McShane. Królowały tam niewielkie, zdezelowane czynszówki, odrapane, oblepione skorupą pyłu i błota i z daleka przypominające dziecięcy model miasta wykonany w mokrym piasku.

Evans minął wielką czarną kałużę, zatrzymał się przy kilku połamanych prętach stanowiących kiedyś stelaż straganu i wyłączył silnik. Wymienił spojrzenia z siedzącym obok Herlitzem, a ten wzruszył ramionami, odpowiadając na niezadane pytanie.

– Teraz to sam nie wiem, inspektorze. Zwłaszcza z mniejszym, bo chyba mnie poniosło.

Evans skręcił się mocniej, by spojrzeć i na tylne siedzenie. W lusterku wstecznym widział bowiem tylko czubek głowy dzikiego, a czasem, gdy tamten się poruszył, jego oczy. Shorouki całą drogę zniósł możliwie godnie, nie odzywał się, nie odgrażał i prawie nie stękał, swój ból znosząc z godnością. Co innego leżący na nim Goggins. Ten skamlał w zasadzie co wybój, a między jednym a drugim podskokiem stękał i zawodził tak głośno i nieznośnie płaczliwie, że w pewnej chwili Herlitz wyrżnął go kolbą

pistoletu w skroń. Tamten nie zemdlał, ale ucichł. A gdy wrócił do lamentowania, robił to już zdecydowanie ciszej.

– Będzie, jak będzie – stwierdził Evans i wysiadł z samochodu.

McShane zatrzymał furgon nieco dalej, od razu ustawiając go tak, by w razie potrzeby móc bez trudu wyjechać. Również wysiadł, zapalił i w milczeniu czekał, aż Evans do niego podejdzie.

– Jesteśmy pewni dzieciaka? – zapytał inspektora półgłosem.

– Herlitza? Teraz chyba trochę za późno, by o tym myśleć, nie sądzisz?

McShane skinął głową.

– Jakiś pomysł, co teraz? Gdzie ich zabierzemy?

Evans skubnął wąsa. Było w mieście kilka takich miejsc, opuszczonych, zaplombowanych, do których niewiele osób miało dostęp. Kilka starych magazynów, domów, w których zapadł się dach, ruder zarekwirowanych wyjątkowo bezczelnym bandytom. Do większości z nich Evans miał dostęp i albo klucze w samochodowym schowku, albo też wiedzę, jak się dostać do środka bez otwierania choćby jednego zamka. Teraz potrzebował tylko przypomnieć sobie, które z tych miejsc jest najbliżej.

– Chyba mam pomysł – stwierdził w końcu. – W Górnym Reuben jest kilka lokali, które nie miały szczęścia. Wśród nich masarnia z piwnicą przy Nixie Street, chłodnią taką jakby.

Agent zaśmiał się ponuro.

– Wymowne, symboliczne – przyznał. Odwrócił się do furgonu i zaciągnąwszy się dymem, powiódł palcem po śladzie, jaki w samochodowej blasze zostawiła kula Lwa. – Myślisz, że czegoś się od nich dowiemy?

Evans westchnął. Miał nadzieję, że uzgodnią tu na szybko jakiś dalszy plan, zamiast toczyć jałową dyskusję na temat tego, co albo się stało, albo w zasadzie nie zależy od nich.

– Jak coś wiedzą, to się dowiemy – odparł.

Choć tak naprawdę, gdyby się zastanowić, to wątpliwość McShane’a mogła być słuszna. Shorouki byli najemnikami pracującymi dla Thorniniego, podobnie jak reszta zbirów czyhająca potem na Alfiego. Na zlecenie bossa przesłuchali i zabili tego całego Mikrusa, ale naprawdę chodziło im o rzekomego zabójcę Wolfa. Taksówkarz był ślepym tropem, to już wiedzieli. Pytanie, czy dzicy mieli jeszcze jakiś inny. Czy Thornini, słynący przecież z ostrożności, zlecił im coś jeszcze. Pomysł ze śledzeniem

dzikich mógł mieć sens, mógł ich gdzieś zaprowadzić, coś wskazać. Przesłuchanie… gdy się dobrze zastanowić – a wcześniej w zasadzie nie mieli na to czasu – było jedynie uzasadnieniem, wymówką dla jakiegokolwiek działania, które musieli natychmiast podjąć, by śmierć Gratza nie poszła na marne. Ale czy prócz tego coś im da?

McShane dopalił papierosa. Przez moment rozważał, czy nie wziąć następnego, ale po namyśle wyciągnął rękę z kieszeni.

– To ja myślę teraz tak – zaczął. – Jedźcie z Herlitzem do tej masarni i zabierzcie się już do roboty. Ja wywiozę gdzieś naszych truposzy. Potem skoczę do domu wziąć trochę narzędzi i… Agnes jest na nogach?

Evans pokiwał głową.

– Ogarniała temat Gratza – powiedział i westchnął z autentyczną troską. – Jak ją znam, już się dzisiaj nie położy.

– W takim razie poproszę ją, by wysłała kogoś do grubasa po młodego – stwierdził agent. – Na moje, to jak się zastanowić, chłopak wciąż daje nam więcej niż tamci dwaj. – Brodą wskazał na samochód Evansa, a zaraz potem podrapał się po zarośniętym policzku. – Wiesz, że przegięliśmy, nie?

– Wiem – odparł Evans. – I że popełniliśmy poważne błędy. Czyny i konsekwencje. Prawa opowieści są jednak czasem nieubłagane.

McShane przez chwilę przyglądał się inspektorowi z uwagą. W końcu nie wytrzymał i parsknął:

– Evans, kurwa, prawo opowieści? Kiedy ty się taki religijny zrobiłeś?!

Zanim inspektor zdążył cokolwiek odpowiedzieć, agent już siedział za kółkiem furgonu. Koła zabuksowały w tłustym błocie, po czym pojazd wytoczył się na drogę.

Evans patrzył za nim jeszcze przez chwilę, a gdy furgon zniknął między budynkami na Grobli, ruszył z powrotem do samochodu.

Wsiadł i odpalił silnik.

– Ustalone? – zapytał Herlitz.

– Mniej więcej.

***

Zegar nad główną bramą portu wskazywał drugą dziewiętnaście. McShane zaparkował na niemal pustym parkingu, starannie wytarł kierownicę, drążek biegów i kluczyk, a potem ten ostatni wrzucił do pobliskiej

studzienki kanalizacyjnej. Przypuszczał, że jeżeli przez dwie lub trzy godziny nikt nie zainteresuje się furgonem, to będzie tu stał bez wzbudzania zainteresowania do czwartej–piątej po południu. Nie sądził, by ktokolwiek poświęcił więcej uwagi zbitej szybie czy ledwo teraz widocznym krwawym śladom w kabinie. A ślad po pocisku? Która ciężarówka w Grimm City ich nie miała?

Gdy uznał, że więcej zrobić się nie da, zapalił jeszcze papierosa, uniósł rękę, by pozdrowić stróża siedzącego w maleńkiej stróżówce dobrych kilkadziesiąt metrów dalej, i powoli skierował się w stronę ogrodzenia, za którym rozciągała się zamknięta część portu. Pokonał sto metrów wzdłuż siatki, mijając po drodze dwie furtki. Akurat by dopalić papierosa. Obejrzał się przez ramię, a widząc, że zdecydowanie wyszedł już z pola widzenia stróża, skręcił i przeciął parking, by chwilę potem zniknąć między zapuszczonymi parcelami na obrzeżach Finger’s Point.

Oddzielone niskimi, połamanymi ogrodzeniami chatynki, skryte pośród blisko dwumetrowych chaszczów porastających tu niemal wszystko, wyglądały bardziej jak zapomniane, zapuszczone domki w głębi lasu niż domy, w których ktoś kiedykolwiek mieszkał. Niskie, koślawe, przytłoczone bezkształtnymi czapami dachów, które wyrastając znad brudnych traw, przypominały monstrualnie wielkie mrówcze kopce.

Trzeba tu było bardzo uważać, by nie wpaść w zarośnięte rowy melioracyjne oddzielające niegdyś chodniki od posesji albo żeby nie natknąć się na zdziczałe zwierzę lub zdezorientowanego ćpuna czy zdesperowanego żebraka.

Tych ostatnich było tu kiedyś więcej. Skuszeni spokojem, a także niewielkim dystansem, jaki dzielił ich od portu, gdzie zawsze była szansa na coś do zjedzenia czy dorywczą robotę, nie tylko koczowali, ale podjęli nawet próbę uporządkowania i parcel, i swojego życia. Problem pojawił się, dopiero gdy miasto zaczęło snuć plany dotyczące zbudowania w tym miejscu dzielnicy handlowej z prawdziwego zdarzenia, a światek przestępczy zabrał się do dyskretnego skupowania parcel. Ostatecznie skończyło się na puszczeniu tędy drogi przelotowej i wiaduktów, ale mleko się rozlało, a cały teren należał już do bossów, którym obecność bezdomnych była nie w smak. Może mieli wobec terenu inne plany, możliwe, że była to forma wyładowania nerwów za nieudaną inwestycję – trudno powiedzieć. Dwadzieścia lat wstecz świat przestępczy nie znał się

jeszcze na prowadzeniu interesów tak dobrze jak obecnie. Wtedy myślano, że przemoc i strach to wystarczający gwarant zysków.

Niezależnie od powodów, jakimi kierowali się bossowie, postawiony sobie cel jęli realizować w sposób mało subtelny, ale niewątpliwie skuteczny. Pewnego dnia na terenie budzącego się do życia miasteczka pojawili się najpierw uzależnieni od liuotinu ćpuni, a potem, gdy jakoś się z nimi uporano, wyjątkowo niebezpieczni endofossilicy. Jeden z nich, niejaki Billy Wharton, w ciągu jednej tylko nocy włamał się do sześciu chatek i wszystkim śpiącym powbijał nóż w skroń, bo, jak stwierdził, „to zapobiegało zgrzytaniu zębów". Złapano go, a jakże, i zlinczowano, ale nikt nie miał wątpliwości, że tej walki nie da się wygrać. Nie, jeśli tylko jedna strona stawia w niej na szali los przyjaciół i bliskich, druga z kolei dysponuje bronią i pieniędzmi zdolnymi odwrócić uwagę każdego urzędnika.

McShane był tu raptem raz, gdy to miejsce należało jeszcze do bezdomnych, za to wiele razy zaglądał tu później. Pewnego dnia, gdy był jeszcze Robalem, a Rocky miała jeden z tych smutnych dni, kiedy siadała przy nim, opierała głowę na jego ramieniu i opalając go z papierosów, snuła swoje gorzkie opowieści, dowiedział się od niej, że urodziła się właśnie tu. Jej ojciec przyjechał do miasta z południa, do kopalni, ale dość szybko złapał egzo i się przestraszył. Zwolnił się, nim zaczęła mu przysługiwać renta, a potem… zwyczajnie nie poszło. Tak skończył tutaj.

Jej matka już tu wtedy była. Czarnoziemka, niegdyś śliczna, z której alkohol dość szybko wydestylował ten atut, a tym samym źródło zarobku. Zanim to jednak ostatecznie nastąpiło, oddała się ojcu Rocky za wikt i opierunek, a ten, naiwny głupiec, myślał, że może wyjdzie mu z tego rodzina. Podobno jego ostatnimi słowami było: „Kocham cię". Skierował je do matki Rocky. Podobno nie odpowiedziała.

Przychodzili tu potem wiele razy. On, McShane, a wtedy Robal, i Rocky. Trawa była wtedy dużo niższa, ale i tak nosił ją na ramionach, bo bała się węży. On już się wtedy nie bał, miał gdzieś wszystko i wszystkich. Myślał, że oprócz niej, ale potem życie to zweryfikowało i wyszło, że ją to chyba jednak najbardziej, bo ledwie skończyła się robota, zmył się z Troll's Face, nie patrząc wstecz. Zgolił te przeklęte bokobrody, zapuścił włosy, przestał pić. Pozbył się wszystkiego, co wcześniej tak cwanie sobie umyślił i zastosował, by w ochroniarzu Robalu nikt nie poznał młodego detektywa

z dochodzeniówki dwie dzielnice dalej, a co potem zwyczajnie weszło mu w nawyk, tak że uważał to za część siebie. Na tej krótkiej liście była też sympatia do wygadanej, uśmiechniętej Rocky.

Minął walącą się chatę, gdzie mieszkali jej rodzice. Przystanął na chwilę, tam gdzie zwykle wtedy stawał, i pochylił się, rozglądając się za jakimś kamieniem.

– Jeśli będę rzucała jednym kamieniem z każdą wizytą, to po jakimś czasie ukryję ten dom pod kamiennym kopcem? – pytała każdorazowo, a on nieodmiennie odpowiadał:

– Zależy, jak często będziesz tu przychodziła.

Za każdym razem. Te same słowa wypowiedziane z udawaną powagą, a potem świst i głuche stuknięcie kamienia o dach.

Tym razem jednak nie było stuknięcia, bo kamień McShane'a wpadł do środka. A rzucić jeszcze jeden byłoby już wbrew zasadom.

Rocky przedawkowała, powiedział Alfie. Znaczy odeszła, a wraz z nią wreszcie, naprawdę i do końca odszedł Robal.

Dziwne uczucie, pomyślał McShane.

– Dziwne – powiedział na głos.

Wytarł ręce w spodnie i szybkim krokiem pokonał resztę parceli. Wspiął się na nasyp, przelazł nad płotkiem i rozejrzawszy się uważnie, przebiegł na skos przez Printemps Saule, by dotrzeć do wąskiego chodnika technicznego, którym bez trudu dotarł już na Groblę.

***

Alfie siedział przy kuchennym stole i pił herbatę, patrząc, jak oczy gospodarza raz po raz zamykają się powoli, by zaraz nerwowo się otworzyć. Mężczyzna był łysiejącym Czarnoziemcem o okrągłej twarzy i nosie, który nie wiedzieć czemu, kojarzył się muzykowi ze złamanym obcasem.

Siedzieli tak już jakieś pół godziny, może więcej. Wcześniej Alfie, którego pod dom przywiozła Palla wziętą przez siebie taksówką, siedział na ganku, potem spacerował po okolicy, aż wreszcie stwierdził, że ma dość, bo jest zimno, a jemu chce się sikać. Wciąż mając w pamięci mieszkanie, w którym kilkanaście godzin wcześniej brał kąpiel, uznał, że i tym razem okoliczności go usprawiedliwiają. Wszedł na górę i dobijał się tak długo, aż

wreszcie wpuścił go ten sam facet, który teraz siedział naprzeciwko. Tyle że wtedy minę miał groźniejszą, a w ręce ściskał drewnianą pałkę.

Alfie przedstawił się, mówiąc nieomal samą prawdę. Pominął tylko wykonywany zawód, zaznaczył natomiast, że to McShane kazał mu tu właśnie zaczekać. Facet chwilę się wzbraniał, warczał o łamaniu prawa, a potem zniknął w mieszkaniu. Słychać było, jak najpierw rozmawia, a potem kłóci się z żoną. W końcu wrócił.

– Napije się pan herbaty? – zapytał.

– Poproszę.

I tak znaleźli się w tej sytuacji.

Przez całe pół godziny zamienili ze sobą raptem kilka słów, później po prostu siedzieli i patrzyli na siebie – Alfie w tym swoim gangsterskim garniturze, z opatrunkiem na ręce i ekscytacją wciąż malującą się na twarzy i Czarnoziemiec w wygniecionych spodniach z równym kantem, w prążkowanym podkoszulku i z głową kołyszącą się w przód i w tył, jakby na wszystko się zgadzał.

W końcu gospodarz usnął, a Alfie wykorzystał to, by swobodnie rozejrzeć się po niewielkim pomieszczeniu łączącym funkcję przedpokoju, kuchni i jadalni. Wcześniej, gdy był tu się umyć, jakoś nie miał ochoty przebywać w tym mieszkaniu dłużej, niż to konieczne, dlatego od razu udał się za zasłonkę w łazienkowej wnęce, a po wszystkim grzecznie wyszedł. Dopiero teraz więc mógł skupić się na detalach: pęknięciu farby rozgałęziającym się u dołu i wyglądającym jak błyskawica czy szafce na buty wypełnionej sfatygowanym obuwiem zarówno męskim, jak damskim i dziecięcym. Zauważył elegancką porcelanę zdobioną w różyczki, schnącą w równym rządku na drucianym ociekaczu, i lśniące srebrem sztućce w obitym kubku. Kuchenne meble prezentowały się schludnie i pomysłowo, co było o tyle istotne, że niemal każda użyta do ich zbicia deska różniła się od pozostałych zarówno szerokością, jak i odcieniem. W podobny sposób, jak po chwili stwierdził muzyk, wykonano ramki na dziecięce obrazki, krzesła, komodę, drzwi do sypialni i bajański trójkąt nad nimi.

Alfie przeniósł wzrok na leżące na blacie stołu dłonie gospodarza. Spracowane, sękate, ale bez czarnych drobinek na zrogowaceniach, co pozwalało stwierdzić, że choć niewątpliwie pracował fizycznie, to raczej nie w kopalni. Może w dokach, skąd czasem wynosił na boku deskę czy

dwie? Może miał własny warsztat stolarski i kreatywnie wykorzystywał nadwyżki? Czy to w jego własnych oczach była już kradzież?

Alfie zastanawiał się nad tym, sącząc zimną i zdecydowanie za mocną herbaty. Jak to było z tą Świętą Księgą, że czasem określała daną rzecz jako zaradność, innym razem jako kradzież. Czy to była tylko kwestia skali? Czy biedni mogli troszkę uszczknąć, o ile zachowają umiar, bo gdy na jednej szali są zasady, a na drugiej głodująca rodzina, to wolno? A może zależało to wyłącznie od tego, czy jest się danej historii bohaterem, czy tylko postacią drugo- lub trzecioplanową. Jak to działało? Ojciec Perro mówił, że epizodyści wierzą, że każdy pisze własną książkę złożoną z szeregu zamkniętych historii. Ale przecież jednocześnie występuje gościnnie w opowieściach innych.

W swojej historii facet w podkoszulku jest niewątpliwie bohaterem, bo dzięki własnej pracowitości i sprytowi zbudował rodzinie meble, a nawet skręcił ociekacz z drutu, by pamiątkowa zastawa – cenna, ale w ciągłym użyciu, bo jedyna, jaką mieli – miała gdzie schnąć. A kim jest w opowieści innych? Kim w historii właściciela desek, który zlecił wykonanie mebli i dostał je, owszem, ale jednocześnie został okradziony przez cwanego rzemieślnika? Jak to wpływa na jego historię, kim czyni w niej faceta w podkoszulku?

Rozważania przerwały mu kroki na korytarzu i głośne gmeranie przy zamku w drzwiach naprzeciwko. Gospodarz obudził się, zadarł głowę i zamrugał nerwowo, a jego dłonie odruchowo zacisnęły się w pięści.

Alfie wstał. Podniósł leżącą na stole książkę od Palli, podszedł do drzwi i zerknął przez wizjer.

– To on – powiedział, łapiąc za klamkę. – Dziękuję za gościnę.

I wyszedł.

Wciąż majstrujący przy zamku agent odwrócił się gwałtownie, a widząc Alfiego, zmarszczył czoło.

– Co ty tu robisz? Stało się coś na przyjęciu?

Muzyk wzruszył ramionami.

– Akurat tam było wyjątkowo bezpiecznie – odparł. – Na tyle, że agent, który miał mnie chronić, zniknął bez śladu.

Zrobił krok do przodu i uniósł twarz do światła, pokazując pociemniałe pamiątki zostawione mu przez Morta Schrecka.

– To dostałem, gdy zapytałem, gdzie się podziewasz.

McShane przyjrzał się twarzy muzyka bez większego zainteresowania, po czym znowu się odwrócił.

– Trzeba było nie pytać – odparł i tym razem udało mu się przekręcić klucz. Pchnął drzwi i ruszył do środka. – Wchodzisz?

Alfie podążył za nim. Udał się prosto do kuchni, by nastawić wodę na kawę. Dochodziła trzecia, w obu lokalach było ciepło, a miejsca, w które wcześniej oberwał, pulsowały miarowym, tępym bólem, co paradoksalnie również działało nań w jakiś sposób usypiająco. Jak tykanie zegara lub ciche, ale regularne pochrapywanie.

Właściwie miał wrażenie, że jedynym, co go jeszcze trzyma na nogach, jest resztka ekscytacji i chęć przekazania agentowi nowiny o Kapturku. Zaparzył gęstą czarną kawę, posłodził ją i upił dwa łyki, posykując głośno, po czym wszedł do drugiego pokoju, gdzie McShane kończył się przebierać.

– Znalazłem ją – powiedział.

Agent uniósł wzrok.

– Kogo?

– No Kapturka, tę co zabiła…

Wreszcie McShane zareagował prawidłowo. Oczy mu się rozszerzyły, kark naprężył, nozdrza zadrgały…

– Była tam?!

Alfie uznał nagle, że ma ochotę przeciągnąć ten moment. Wkurzało go, że agent zniknął z przyjęcia i naraził go na tłumaczenie się, a kto wie, może i na coś więcej, bo przecież Thornini ma swoje wtyki wszędzie. Alfie poszedł tam dla McShane’a, dla niego zrobił z siebie głupka i pewnie stracił szanse na zarobek w tym mieście. A ten postanowił zniknąć i nawet się na ten temat nie zająknął. Jeszcze bardziej wkurzało go to, że teraz agent najwyraźniej nie zamierzał wyjaśnić, o co chodziło. Dlatego zamiast odpowiedzieć wprost, przysunął parujący kubek do twarzy i powiedział:

– Poniekąd była. – Po czym przepił do McShane’a.

Któraś z tych rzeczy była błędem – być może tylko jedna, może wszystkie naraz – bo Alfie nie zdążył nawet odsunąć kubka, gdy McShane doskoczył do niego, uderzeniem na odlew wytrącił mu go z ręki i chwycił zaskoczonego chłopaka za poły garnituru jak wcześniej Mort.

– Miałem chujową noc, nie igraj ze mną! – warknął agent, a na twarzy muzyka osiadły kropelki białej śliny. – Zadałem ci, kurwa, pytanie!

Alfie na moment uciekł wzrokiem na bok. Widział parę unoszącą się nad ciemną plamą na łóżku i podłodze, widział zachlapane ubrania i kubek, od którego odpadło uszko. A gdy znów spojrzał na McShane'a dostrzegł w jego oczach znajome iskierki. Tak patrzył Robal, gdy robiło się naprawdę źle. Taki miał wzrok, gdy puszczały mu wszelkie hamulce.

– Książka – wyszeptał Alfie, a następnie odkaszlnął i powtórzył już głośniej: – Książka, w kuchni.

McShane puścił go i cofnął się o krok.

– Co z nią?

– Zdjęcie na tyle okładki. To ona.

McShane wyszedł i po chwili wrócił przyglądając się fotografii.

– Ale tu jest kilka… – zaczął, ale zaraz się zorientował, że „ona" mogło dotyczyć tylko jednej osoby. Przyglądał się dziewczynie przez moment, po czym uniósł głowę. – Jesteś pewien?

– Tak.

– Ale ona jest tu bardzo młoda.

– Bo to pewnie zdjęcie sprzed paru lat.

McShane znowu rzucił okiem, po czym odgarnął z łóżka mokrą narzutę i usiadł. Poklepał się książką w udo.

– Dlaczego dziewczynka od ojca Perro chciałaby zabijać Wolfa? – zapytał, nie wiadomo, czy muzyka czy siebie. – Czy Perro mogło cokolwiek łączyć z Wolfem? Jakieś interesy?

– Nie wiem, ale to by wyjaśniało, czemu chciała za most – powiedział Alfie i z miny McShane'a wywnioskował, że trafił.

– Tak, to by mogło znaczyć, że dziewczyna nadal współpracuje z Perro, a tym samym… – agent wstał i rzucił książkę na łóżko, prosto w małą kałużę kawy – tym samym spójrz! To może być motyw religijny!

Klasnął w dłonie i rozłożył ręce jak iluzjonista szykujący się do sztuczki.

– Wolf w kilku językach znaczy tyle co wilk – powiedział, uśmiechając się. – A co miała na sobie dziewczyna?

– Pytasz dokładnie? – upewnił się Alfie, ale McShane tylko sapnął.

– Nie, pytam o kapturek. Czerwony Kapturek, sam ją tak nazywałeś. Czerwony Kapturek jak ten ze Świętej Księgi rozprawia się z wilkiem, czy też może Złym Wilkiem, o którym również mówi Księga, a stoi za tym edytor Kościoła epizodystycznego. Czy to się wszystko nie składa?!

Alfiemu, gdyby miał być szczery, nie składało się to w zupełnie nic nowego, poza to, co mieli jeszcze chwilę wcześniej. Jedyne, co McShane zrobił, to dołożył do tego religijną otoczkę. Mając jednak w pamięci wzrok agenta, wciąż czując, jak tamten nim szarpnął, postanowił nie roztrząsać tematu, tylko gładko go zmienić.

– Gdzie Evans? Podobno przyjechał po ciebie.

McShane pokiwał głową.

– Tak. I zaraz do niego jadę.

– Jedziemy – poprawił Alfie, a zanim agent zdążył zaprotestować, wyjaśnił: – Miałeś mnie pilnować, tak? Tak się umawialiśmy. I ja swojej umowy dotrzymuję.

McShane przyjrzał mu się i machnął ręką.

– Niech będzie – stwierdził. – Ale jak każę stać, to stoisz.

– Jasne. Więc gdzie on jest?

Agent pochylił się, podniósł książkę i wytarł ją o prześcieradło.

– Ci goście, którzy załatwili Mikrusa.

– Co z nimi?

– Mamy ich. Trzech nie żyje, z dwoma rozmawiamy – wyjaśnił McShane. – Tak w dużym skrócie.

***

Powiesili ich obu, nieprzytomnych, prowizorycznie tylko opatrzonych, na uchwytach na półtusze. Ich ciasno związane ręce zaczepili o metalowe haki. W przestronnej, śmierdzącej piwnicy nie było światła, więc Herlitz zebrał resztki połamanych skrzynek i trochę szmat i rozpalił ogień w kącie. Evans kazał mu uszczelnić szmatami drzwi.

– Podusimy się – zaprotestował policjant, ale Evans tylko pokręcił głową.

– To spora sala, a jak zacznie się robić problem, to wyjdziemy – odparł. – A okolica może i jest opustoszała, ale nie pusta. Ktoś, kto nie zareaguje na krzyki i jęki, może podnieść larum z powodu dymu i zagrożenia pożarem.

Herlitz przyznał inspektorowi rację, ale gdy zabrał się do roboty, okazało się, że nie było potrzeby uszczelniania czegokolwiek. Okien w służącej niegdyś za chłodnię piwnicy nie było, a drzwi, ciężkie, stalowe, obłożone były nieco sparciałą gumą. Domknęli je tylko i wzięli się do pracy.

Najpierw dobudzili impresario, a gdy zaczął jazgotać, Evans wcisnął mu w usta brudną szmatę. Potem to samo zrobili z dzikim. Evans popatrzył w pełne nienawiści i bólu oczy Shoroukiego, po czym odszedł pod ścianę, by zapalić i zamienić jeszcze kilka słów z Herlitzem. Nie zamierzał się upewniać, czy ten na pewno chce to zrobić. Gdy podobną rozmowę zaczął w samochodzie, policjant już po pierwszych słowach spojrzał na niego w sposób, który uciął temat.

Dlatego teraz, nad pospiesznie palonymi papierosami, wymienili tylko kilka technicznych uwag, a Herlitz zaprezentował inspektorowi dwa prowizoryczne kastety zrobione ze znalezionych w kącie pokręteł do zaworów owiniętych szmatami.

– Dobre – przyznał Evans i zapytał policjanta, czy ten chce zacząć.

– Mogę – odparł Herlitz, nakładając kastety. Ruszył pochylony do przodu, wbijając głowę w ramiona jak szarżujący bokser.

Uderzył Shoroukiego jeszcze z marszu, prosto w żebra. Cios był mocny i pozbawiał tchu. Drugie uderzenie poszło od dołu, hakiem w podbródek. Głowa dzikiego odskoczyła do tyłu, jego szczęki zacisnęły się na brudnej szmacie, a on sam zakołysał się na haku. To było przywitanie.

Potem Herlitz skupił się już niemal wyłącznie na żebrach i brzuchu. Okładał zawieszonego na haku mężczyznę bez litości, równymi seriami, po których brał przerwę na oddech. Nie zadawał pytań, nie interesowały go odpowiedzi, które kryły się pewnie w coraz głośniejszym jazgocie dochodzącym zza knebla impresario. Przed oczami miał Gratza, cienkie, niemal chirurgiczne cięcie na jego szyi.

Raz, dwa, raz, dwa – ręce olbrzyma pracowały miarowo, robiąc miazgę z chroboczących już pod skórą połamanych żeber dzikiego. Raz, dwa, raz, dwa, razdwa razdwa razdwarazdwarazdwa.

– Dość! – zawołał Evans i policjant natychmiast przestał. – Temu już wystarczy.

Herlitz posłusznie cofnął się o krok i przyjrzał swojemu dziełu. Skatowany dziki pewnie niewiele się teraz różnił od półtuszy wiszących niegdyś na tych hakach. Na tle reszty ciała głowa, choć ze złamanym nosem, pękniętą kością policzkową i przestawioną szczęką, prezentowała się wręcz przyzwoicie.

Evans podszedł i wyjął dzikiemu knebel z ust. Nie był już potrzebny, jedynym bowiem, co tamten był w stanie z siebie teraz wydobyć, było ciche

rzężenie. Żył, choć żwawiej niż on sam poruszało się migoczące światło na jego ciele. Płomyki i cienie tańczyły na nim, jakby Shorouki został namaszczony przez samego Bajarza.

– To za Gratza – powiedział inspektor.

Następnie rozpiął koszulę, podwinął rękawy i przejął od Herlitza skrwawione kastety. Kilka razy machnął w powietrzu na próbę, po czym zbliżył się do impresario. Zmierzył go wzrokiem, jakby oceniał. A może po prostu czekał, aż tamten przestanie się kołysać i szarpać? W końcu zadał mu serię szybkich, prostych ciosów poniżej splotu słonecznego.

Odskoczył, czując, jak pot spływa mu po plecach. Mógł to zwalać na duchotę panującą w piwnicy, na dym z ogniska, ale już zziajanie i kłucie w boku po ledwie paru ciosach nie wróżyły zbyt dobrze. Zaraz znowu będą się musieli zmienić z Herlitzem, a on wyjdzie na niedołężnego.

Obawy okazały się jednak przedwczesne, impresario był gotowy. Gdy tylko Evans przysunął się znowu, krzyknął jedno, pojedyncze słowo, które mogło znaczyć: „Stop”, po czym bardzo intensywnie zaczął walczyć z kneblem.

Inspektor zdjął kastet, strzepnął dłoń i wyszarpnął więźniowi szmatę z ust.

– Wszystko powiem! – zawołał tamten, a jego przerażone spojrzenie gnało od twarzy Evansa do skatowanego dzikiego i z powrotem. – Wszystko!

Evans wzruszył ramionami i nałożył kastet.

– Ale my już wszystko wiemy – odparł obojętnie i uniósł rękę. Uderzył pod odsłoniętą pachę.

– Wynajęli nas! Żebyśmy pomogli znaleźć zabójców inspektora Wolfa. Był ślad, taksówkarz! – Impresario wyrzucał z siebie kolejne słowa, a Evans przyglądał mu się, obojętnie trąc kastetem o kastet. – Nie wiem, czemu nas, ale on powiedział, że ktoś mu nas polecił, że jesteśmy najlepsi i że jak nas zobaczy w akcji, to dopiero będzie mógł o nas te swoje poematy pisać! Powiedział…

– Zaraz – Evans zmarszczył czoło. – Powiedziałeś: poematy?

Była tylko jedna osoba w światku przestępczym, która słynęła z wierszoklectwa. Pierdolony Johnny Zwierciadełko. Zdaniem Evansa był ostatnią osobą, którą można było wpasować w tę historię.

Impresario uczepił się niepewności w jego głosie i jeszcze raz zaczął swoje gorliwe zapewnienia, że teraz to on wszystko powie, że wszyściutko, że on…

Kolejny cios w żebra sprawił, że dalsze obietnice uszły z niego wraz z resztą powietrza.

– Dobra, co potem? – warknął Evans. – Taksówkarz.

– No był, barman z naprzeciwka zapisywał dla nich numery, to wiedzieli. Poszliśmy do domu tego taksiarza, żeby z nim porozmawiać, ale się okazało, że to nie on jeździł, tylko jego kolega. Na nielegalu jeździł, rozumie pan.

Brzmiał tak, jakby usiłował zwrócić uwagę Evansa na dużo poważniejsze przewinienie niż jego własne. Inspektor znowu zdjął z prawej ręki kastet i zakręciwszy palcem młynka, zachęcił Gogginsa, by kontynuował.

– No więc jak już skończyliśmy, znaczy chłopaki skończyły, bo ja i pan Zwierciadełko czekaliśmy w przedpokoju, to wzięliśmy nazwisko tego, co jeździł na taryfie, i pan Zwierciadełko zostawił czujki, jakby do domu wrócił. Tyle wiem…

Zrobiliście coś jeszcze, pomyślał Evans przypominając sobie nadcięty skalp, ścieranie gówna i gwóźdź w nosie. Nie mogliście się powstrzymać! Tym jednak, co przebijało się przez gniew, co skłaniało go do stłumienia pragnienia, by zadać kolejną, być może śmiertelną serię ciosów, było pytanie:

– Dlaczego Zwierciadełko zostawił was przy życiu?

Teraz przyszła kolej Gogginsa, by się zdziwić.

– A dlaczego miałby nie zostawiać? – zapytał.

– Przecież byliście świadkami jego zdrady.

Zdumienie jeszcze przez moment narastało na zbolałej twarzy impresario, by w jednej chwili pęknąć przekłute igłą zrozumienia.

– To wy jednak nie wiecie nic o Pakcie? – zapytał.

Zorientował się, że wreszcie ma do powiedzenia coś interesującego, więc poprosił, by na czas, gdy będzie mówił, zdjąć go z haka. Evans przystał na to, a gdy impresario skończył wyjaśnienia, wyszedł na zewnątrz.

W chłodni zaczynało się robić gęsto od dymu, a on potrzebował w miarę świeżego umysłu, by poskładać to wszystko do kupy.

***

Akurat kończył palić, gdy od strony pustych magazynów i wyludnionych czynszówek nadeszli McShane z Alfiem. Uniósł rękę z papierosem, by ich powitać, ale żaden mu nie odmachał. Dopiero gdy znaleźli się w zasięgu głosu, agent powiedział:

– Mamy coś.

Evans pokiwał głową.

– Mów.

McShane również sięgnął po papierosa, zapalił bez pośpiechu, zaciągnął się.

– A jak tu u was?

– Kończymy.

– Ale macie coś? – wtrącił się Alfie i obaj, inspektor i agent, obrzucili go spojrzeniami pełnymi dezaprobaty.

– Coś mamy. – Evans rzucił niedopałek na ziemię i zmiażdżył butem. Podniósł wzrok i spojrzał na McShane'a. – To jak?

Agent streścił wydarzenia z balu, skupiając się – co z przekąsem zauważył Alfie – na tych wydarzeniach, w których już nie uczestniczył. Owszem, były przecież kluczowe, ale gdy tak mówił, brzmiało to, jakby to było jego odkrycie i… Urwał ten myślowy tok, zawstydzony kierunkiem, w jakim podążał. Rozmawiali o śmierci Mikrusa, jej powodach i okolicznościach, a nie pieprzonym konkursie na detektywa z broszurowej powieści!

Gdy McShane skończył, Evans skubnął parę razy wąsa i milczał. W tym czasie z budynku wyszedł Herlitz i zapytał, czy z tymi na dole to już wszystko. Widząc Alfiego, spiął się, ale McShane szybko go przedstawił, skupiając się nade wszystko na powodzie zaangażowania muzyka w sprawę. Wówczas Herlitz wyraźnie się uspokoił.

– To jak z tymi tam? – ponowił pytanie, wskazując kciukiem za siebie. – Skończyliśmy?

– Czemu pytasz? – chciał wiedzieć McShane.

Policjant wzruszył ramionami.

– Bo się zastanawiam czy… no wie pan, zamknąć temat.

– Znaczy zabić ich?! – nie wytrzymał Alfie. – Tak po prostu? Nie jesteście, kurwa, z policji?!

– Ja nie – odparł poważnie McShane, choć drżenie kącika ust mogło sugerować, że to forma żartu.

– A ja mam rodzinę – warknął Herlitz, jakby to wszystko wyjaśniało i czyniło samo pytanie Alfiego nie tyle głupim, co wręcz niemożliwie drażniącym. – Pod sąd nie trafią, to na pewno. Raz, że Gratz, a dwa…

– Skończyliśmy – uciął Evans, po czym zwrócił się do McShane'a: – Pracowali dla Zwierciadełka.

– Przybocznego Räu?! – Zaskoczenie agenta zdawało się nawet większe niż to, jakie wcześniej wyraził inspektor. – Thornini go kupił?!

– No właśnie nie kupił. – Inspektor uznał, że jego historia wymaga co najmniej jeszcze jednego papierosa. Wyciągnął go i zapalił. – Chodźcie, wejdziemy do budynku, by nie stać tak na widoku. Niby pusto, ale nigdy nie wiesz.

Gdy znaleźli się we wnętrzu niegdysiejszej rzeźni, Evans przetarł kawałkiem szmaty szeroką ladę i usiadł na niej. Alfie i McShane wzięli dwie spośród drewnianych skrzynek tworzących stertę pod połamanymi półkami i odgarnąwszy trochę gruzu i śmieci ze środka pomieszczenia, usadowili się na nich. Blady blask pojedynczej latarni ulicznej wpadający przez rozbitą witrynę nadawał ich twarzom niepokojący wygląd. Przypominali dzikich wojowników pomalowanych rytualnie jak na wojnę.

Może i trochę w tym prawdy, uznał Evans. Strzepnął popiół z papierosa, spojrzał na obowiązkowy w takich miejscach religijny obrazek w ramce. Ten tu przedstawiał dwoje dzieci, które trzymały się za ręce i szły w ciemny las. Za nimi ciągnął się ślad okruszków.

– Regina Räu i Francisco Thornini nie tak dawno zawiązali pakt przeciwko temu nowemu graczowi – powiedział inspektor. – Połączyli siły w terenie, wymieniają informacjami, chronią wzajemnie swoje inwestycje. Izolują się od wszystkich drobnych gangów, ograniczają mniejsze interesy, wymagające kontaktu z kimkolwiek, kto mógłby ich sprzedać. Podobno te trupy w taksówkach to wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o to, jak Nowy im bruździ. Zwłaszcza że ewidentnie uwziął się…

– Na te dwa gangi, wiem, sam na to wpadłem. – McShane zabębnił palcami o udo. – Ale ten pakt. Skąd niby zwykły najemnik miałby o tym wszystkim wiedzieć?

Evans zaciągnął się, wypuścił dym. Wzruszył ramionami.

– Wszyscy już podobno wiedzą – odparł. – Tylko my jak zawsze w dupie.

– No tak – przyznał McShane. – Góra jest głucha lub opłacona, a z mundurowych mało kto się będzie wyrywał do odpowiedzi. Z kolei wam, tym w środku, od dawna brakuje ulicy, Evans. Nauczka na przyszłość.

Uśmiechnął się przy tym pod nosem, ale grymas ten zaraz płynnie przeszedł w skrzywienie, gdy z piwnicy dobiegł stłumiony ciosem wrzask.

– A gdzie w tym wszystkim Wolf? – odezwał się w końcu Alfie.

Evans wskazał na niego palcem, jakby chwalił, że to właśnie jest pytanie, jakie należy sobie zadać. Być może dlatego, że już mieli na nie odpowiedź.

– Wolfa ustanowili podobno notariuszem paktu – wyjaśnił. – I czymś na kształt strażnika. Tak czy owak zabicie go było właśnie celowym lub przypadkowym ciosem w pakt, stąd sprawców szukają obie strony.

– I dlatego zginął Mikrus – westchnął Alfie. Miał wrażenie, że to okrutny zbieg okoliczności, że jego współlokator zginął z rąk gangsterów w zasadzie tylko dlatego, że… bał się stać stratą wliczoną w koszty w porachunkach gangów.

McShane wstał. Przeszedł przez pomieszczenie, do ściany, i zawrócił w kierunku lady. Zrobił w tył zwrot i znów doszedł do ściany. Gdzieś w tym czasie z piwnicy wyłonił się Herlitz, rozejrzał się za jakimś siedziskiem i przysiadł, zwieszając nisko głowę i dysząc. McShane zrobił trzecią rundę. Przystanął.

– No dobra – zaczął. – W takim razie najpierw nowy gracz. Co on ma wspólnego z ojcem Perro i epizodystami zza mostu?

– Może nic. – Evans skubnął wąsa, mało sobie przy tym nie parząc nosa papierosem trzymanym między środkowym i serdecznym palcem. – Może to po prostu zbieg okoliczności. Dziewczynę zatrudnił nowy gracz, często wynajmują przecież zabójców z innego miasta. W dodatku kobiecie łatwiej było podejść Wolfa. Panna przyjeżdża, załatwia sprawę, a potem chowa się tam, gdzie kiedyś mieszkała. To może nie mieć z Perro nic wspólnego. Ani z religią.

– Ale wtedy Perro może tym chętniej zdradzić nam jej tożsamość, powiedzieć, czy faktycznie u niego była. Może też… – McShane przerwał na chwilę i powiódł wzrokiem po zebranych. Zatrzymał spojrzenie na Alfiem. Coś mu świtało. Coś miał, widać to było w jego zmrużonych oczach. – Jak się nazywa to zgromadzenie ojca Perro? Ten ich odłam?

Alfie podrapał się po potylicy.

– Coś z kartami, coś… – Myślał przez chwilę. – O, już wiem, Kierre.

– Tak, właśnie, Kierre! – podchwycił McShane. – I to po jakiemuś tam znaczyło wątek, ale i zwrot akcji, nie? Jak to mówił Perro? Każdy zgnębiony zasługuje na zwrot akcji…

– …a żeby móc pójść dalej, trzeba domykać rozpoczęte już rozdziały – dokończył Alfie. Nie miał pojęcia, czy to właśnie chciał powiedzieć McShane, ale nagle przypomniała mu się Greta Lindtberg wpatrzona w czubki drzew i wraz z nią te właśnie słowa przyszły mu do głowy.

Agent aż klasnął w dłonie.

– No właśnie. Rozdziały trzeba domykać, a sytuację złą zastąpić zwrotem akcji. Więc kto miał, kto mógł mieć niedomknięty rozdział z Wolfem, tak by nowy gracz nie musiał się angażować osobiście?

Evans się skrzywił.

– Mam wrażenie, że przypisujesz temu nowemu zupełnie do niego niepasującą, zbyt dużą dawkę subtelności i wyrafinowanego sprytu – stwierdził. – Rozmawiamy o gościu, który swoim ludziom zleca zabijanie taksówkarzy i palenie ofiar żywcem. Dlaczego akurat w tym przypadku miałby nie chcieć brudzić sobie rąk?

McShane się zasępił.

– No tak, to trochę strzał w ciemność – przyznał. – I nieoczywisty na pierwszy rzut oka. No ale pomyśl! Za tamtymi szła fama, że nowy styl, nowe metody, ale na poziomie jednostek nikt się nimi nie przejął. Mówimy: „taksówkarze”, mówimy: „żołnierze tego czy tej”, ale to nikt konkretny i w zasadzie nie pamiętamy ich nazwisk, nie? Wolf jednak to co innego. Po jego śmierci rusza śledztwo, bo to wielka sprawa, zamieszanie. Zagrożone kariery, presja. Ale gdyby był ktoś, kto ma powód, by zrobić to za ciebie? Śledztwo idzie w inną stronę i nawet gdy się składa, gdy idzie świetnie, domyka się, nim sprawy się skomplikują. Jest zbrodniarz, motyw, każdy bogobojny sędzia dostaje swoją puentę i dokłada do niej morał w postaci wyroku. Jest wszystko, oprócz problemu.

Inspektor rozważał to przez chwilę, ale w końcu potrząsnął głową.

– Nie. Przekombinowane i nie kupuję tego. Ale podoba mi się ten pomysł z Perro udzielającym schronienia. Jutro go przesłuchamy i dowiemy się czegoś o dziewczynie.

– Albo jeżeli ojczulek ma coś z tym wspólnego, zaalarmujemy go i ją, że coś wiemy i tym samym pogrzebiemy temat na zawsze – mruknął

McShane, który zdążył się już zapalić do nowego pomysłu. – Wiem, że zmieniam zdanie, że sam z tamtym wyszedłem, ale to naprawdę głupota. Przyznaję się i biję w pierś.

Evans zeskoczył z lady i otrzepał spodnie.

– Doceniam i jestem wzruszony – odparł. – Ale nawet jeśli głupota, to nadal lepsza niż to, co wydumałeś potem, bo nie lubisz Kościoła i zbyt prostych rozwiązań. Więc wymyśl do rana coś lepszego albo idę logicznie nasuwającym się tropem. Wybacz.

– Pierdol się!

– Możesz też nie – zgodził się Evans i rozejrzał. – To co, zbieramy się, prawda?

– A co z ciałami? – wtrącił się Herlitz. Przyglądał się swoim opuchniętym dłoniom.

Inspektor zastanowił się i machnął ręką.

– Zostaw – zdecydował. – Trochę tu sobie pewnie poleżą, raczej mało kto tu włazi. W tym czasie znajdziemy tamte w furgonetce, gdziekolwiek je McShane zostawił, będziemy pewnie parę dni kojarzyć fakty. Kule są czyste, kastety zabieramy. Technicy nic nie znajdą, legendę dzicy zbudowali sobie sami, a miasto będzie wiedziało, z kim pracowali. Historia o porachunkach sklei się sama.

– Jest w tym jeszcze Gratz – przypomniał policjant. – Byli świadkowie, dzikich trudno pomylić…

Evans zacisnął wargi i widać było po nim, że samo wspomnienie nazwiska detektywa wywołało ból. Zaraz się jednak pozbierał i tym samym co wcześniej spokojnym głosem odpowiedział:

– Złe miejsce, zły czas, zdarza się, niestety. – Rozłożył ręce, po czym wykonał gest, jakby naklejał nagłówek na niewidzialną ścianę. – Gangsterzy w obawie przed atakiem członków innej grupy przestępczej zabili policjanta prowadzącego tajną obserwację. Jakoś to w odpowiednim czasie powiążemy ze sprawami Wolfa i Mikrusa i ostatecznie wyjdziemy na tym tak, jak chcieliśmy.

Skończywszy, westchnął ciężko.

– To, że brzydzimy się takimi metodami, Herlitz – dodał – nie znaczy, że ich nie ma. Że nigdy nikt ich nie stosował. I gdy ginie jeden z naszych, musimy mieć coś, musimy mieć możliwość… mieć pewność… – Przełknął rosnącą w gardle grudę i otrzepał się jak mokry pies. – Nie, dobra, dość

biadolenia. Idź sprawdź, czy czegoś tam na dole nie zostawiliśmy. Byłoby głupio.

Funkcjonariusz z ociąganiem podniósł się ze skrzynki i jak skazaniec prowadzony na szafot poczłapał do chłodni.

Alfie odruchowo powiódł za nim wzrokiemi. Nie mógł się przyzwyczaić do używanej przez Evansa formy. To gorzkie, ale i w jakiś sposób cyniczne „my", mówiące, jak załatwia się sprawy w Grimm City, niezależnie od tego, po której stronie stoisz. I jeszcze ta puenta, ten niby żal, ale jednocześnie przekonanie, że czasem wolno. Że czasem jest to usprawiedliwione. Czy naprawdę było?

Z drugiej strony, czy czuł się winny w tamtej bramie ze szkłem w dłoni? Czy czuł się winny, oddając strzał w taksówce? „Mam rodzinę", powiedział Herlitz. On, Alfie, nie miał, a i tak postawił swoje życie ponad życiem tamtego. A w tym wszystkim był jeszcze Mikrus, tak jak i ten Gratz, zabity, o ile muzyk dobrze zrozumiał, ot tak, bez najmniejszego powodu.

„Gdy zabijesz zabójcę, rachunek zabójców dla świata będzie ten sam", mówił kiedyś Ciemność, superbohater ze słuchowisk radiowych. Ale co, gdy zabijesz ich dwóch? Albo pięciu?

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. McShane.

– Chodź, młody – powiedział. – Nic tu po nas. – Ruszył w stronę wyjścia.

– Wrócimy do sprawy jutro, na komendzie – zawołał za nim Evans. – Dziś wszyscy musimy odpocząć.

– Tak, jasne…

Alfie popatrzył na Evansa, jakby chciał zapytać, co teraz. Ten w odpowiedzi posłał mu zmęczony uśmiech.

– Pilnuj go – polecił. – Gdy się tak rzuca, zwykle robi potem coś głupiego.

***

McShane szedł szybko, więc Alfie dogonił go dopiero w połowie przecznicy. Zrównał się z nim i przez chwilę szli brudnym od tłustego czarnego szlamu chodnikiem. Kamienice po lewej i prawej gapiły się na nich pustymi oczodołami rozbitych okien, nawoływały skrzypieniem drzwi, szeptały trzepotem naderwanych afiszy. Gdzieś nieopodal wiatr gwizdał

cicho w dziurawej rynnie, a skapująca z pobliskiego dachu oleista maź rozbryzgiwała się na chodniku z głośnymi mlaśnięciami.

– Myślę – powiedział w końcu Alfie, chyba tylko po to, by przerwać tę niby ciszę – że obaj macie trochę racji.

Agent parsknął cicho, charknął i splunął.

– Brawo, młody – zadrwił. – Jak dorośniesz, zostaniesz dyplomatą. Tylko wtedy bardziej jednak dbaj o spodnie, co?

Alfie spojrzał w dół i zaklął. Rzeczywiście, spodnie niemal do kostek miał w błocie. Sprawa była już beznadziejna, ale mimo to przykucnął i najpierw spróbował zetrzeć maź chusteczką, a potem podciągnął nogawki do połowy łydki. Szybko dogonił agenta.

– Ale poważnie – podjął – znaczy rozumiem, że nie chcesz, by Evans przesłuchał Perro…

McShane zatrzymał się i odwrócił tak gwałtownie, że na siebie wpadli.

– Gówno rozumiesz, Alfie! – warknął agent, zadzierając głowę, by spojrzeć muzykowi w oczy. – Gówno! Powiedz, jaki jest, kurwa, sens ściągania jakiejś lali nie wiadomo skąd, by pozbyła się Wolfa?

– No Evans mówi…

– Evans pierdoli, nie mówi! Pierdoli zwyczajnie! Nowego gracza nikt nie zna, być może sam jest nie stąd, może wrócił jakiś czas temu. Kim jest jego załoga? Nie mamy, kurwa, pojęcia! Myślisz, że Wolf miał? Myślisz, że gdyby zdawał sobie sprawę, gdyby przez ten jego arogancki, skorumpowany łeb przemknęła choć myśl, że jest na czyimkolwiek celowniku, wpuściłby do domu tę dziewczynę?

– Mógł ją znać.

– No tak. Mógł.

Ku zaskoczeniu Alfiego McShane niemal natychmiast spuścił z tonu. Zupełnie jak Dragosavalij, wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Pstryk i zmiana. Jego oczy nie pałały już gniewem, nie dyszał ciężko. Zamiast tego stał teraz po kostki w szlamie, marszcząc czoło i drapiąc się po potylicy.

– Faktycznie, mógł – powtórzył. – Albo mogła się powołać na kogoś, kogo oboje znają, cokolwiek. Tylko wtedy pomyśl dalej: po wszystkim dziewczyna chce, by ją zawieźć na most. Nie na dworzec, a na most, a najlepiej za niego. Zostawia po sobie ślad, czyli ciebie, i kieruje nas na ojca Perro, którego zna. Wystawia go? Możliwe, ale nie wydaje mi się.

Sądzę, że to raczej manifest. Religijne credo. Gorliwa wyznawczyni Kairr…

– Kierre… – poprawił odrucho Alfie, ale McShane zbył to machnięciem ręki.

– Bez znaczenia. W każdym razie dziewczyna daje do zrozumienia tobie, może docelowo nam, że gdzieś domknął się pewien rozdział.

Alfie przyłożył ręce do twarzy, zasłaniając usta i koniuszkami palców dociskając nasadę nosa. W końcu potrząsnął głową.

– Przecież nie mogła zakładać, że dowiem się, kim jest…

– Ależ mogła, Alfie. Mogła i nawet powinna! W tym rzecz. Jest wierząca, czyż nie? Niezależnie od odłamu każda współczesna religia to wiara, że rzeczywistość umie splatać luźne wątki i wydarzenia w pełną historię.

Na to Alfie nie znalazł odpowiedzi. Czego by nie mówić, od początku tej sprawy miał chyba więcej do czynienia z religią niż przez ostatnich kilka lat. Do tego stopnia, że pewne koncepcje naprawdę w jakimś stopniu zaczynały do niego przemawiać. Może nie brzmiały jeszcze całkowicie przekonująco, ale stopniowo zaczynał zdawać sobie sprawę, że coraz trudniej mu się z nimi nie zgodzić czy też po prostu zbyć je prychnięciem.

– Więc co teraz? – zapytał.

McShane powiódł wzrokiem po nierównych dachach pustych czynszówek. Potem znowu się odwrócił, dobywając z kieszeni paczkę papierosów i zapałki.

– Potrzebujemy się zastanowić, dla kogo śmierć Wolfa byłaby zamknięciem rozdziału i jak ta dziewczyna od Perro mogła się o tym…

Włożył papierosa do ust, przystanął, by odpalić, i zamarł. Stał tak przez chwilę, płomień dygotał kilka centymetrów od papierosa, aż w końcu zgasł. McShane obejrzał się i patrzył w stronę masarni, jakby zastanawiał się czy nie zawrócić.

– Jaki masz pomysł? – zapytał w końcu Alfie.

McShane zmrużył oczy, ściągnął usta, nabrał powietrza i zaraz je wypuścił, potrząsając głową.

– Na dziś żaden – stwierdził. – Cokolwiek to jest, poczeka do jutra. W jednym Evans miał rację. Trzeba się przespać.

MARINA

Rozdział 13

Po Morcie w zasadzie nie było widać nieprzespanej nocy. Ledwo widoczne cienie pod nieco tylko przekrwionymi oczami były jedynym, czego nie udało mu się zamaskować szybkim prysznicem, goleniem i zmianą stroju na świeży.

Zresztą to nieprawda, że w ogóle nie spał. Starym zwyczajem wyniesionym jeszcze z wojska zdrzemnął się godzinę, gdy ostatni goście wsiedli już do taksówek, a państwo Dragosavalijowie zadecydowali spontanicznie, że najbliższą noc chcą spędzić nie w domu, a w hotelowym apartamencie.

Zapewnił nieco już pijanego gospodarza, że oczywiście dopilnuje wszystkiego, a potem faktycznie czuwał prawie do świtu, aż uprzątnięto salę balową, a wszyscy, którzy nie pracowali w rezydencji na stałe, opuścili jej teren. Dopiero wtedy przysiadł na godzinę i zamknął oczy, nakazując, by obudzono go za równo sześćdziesiąt minut. Co też zrobiono.

Teraz, elegancki jak zawsze, siedział przy śniadaniu z poranną gazetą w dłoni i dopijał kawę, gotowy do pracy. Wiedział rzecz jasna, że ta godzina to za mało, ale na to też miał sposób. Stary trik, jakiego nauczył się w wojsku. „Śpij wtedy, gdy się da, a nie wtedy, gdy ci się chce” – najlepsza rada, jaką kiedykolwiek dostał, i zarazem chyba jedyna zasada, jakiej naprawdę się trzymał. W praktyce wyglądało to tak, że w dni takie jak dziś w swój plan dnia zgrabnie wplatał kilka drzemek nie dłuższych niż kwadrans, w odstępach nie większych niż dwie godziny. Działało podwójnie, nie dość, że skutecznie pomagało się rozprawić ze znużeniem, to jeszcze budowało wśród służby legendę o tym, że Mortimer Schreck nie potrzebuje snu i nieustannie nad wszystkim czuwa.

W porannych gazetach nie było żadnych nowych faktów na temat zabójstwa inspektora Wolfa, a tematem okładkowym wszystkich tytułów był kolejny zamach przypisany z miejsca nowemu graczowi. Tym razem co prawda nie zginął żaden taksówkarz – ofiara jechała wynajętym samochodem z kierowcą – ale poza tym wydarzenie wpisywało się

w schemat. Brutalna egzekucja dokonana na człowieku powiązanym ze światem przestępczym miasta Grimm, likwidacja potencjalnego świadka. Ataku dokonano w centrum miasta, jednakże pod osłoną pyłu wywołanego niedawnym efektem. Narzędziem zbrodni był tym razem karabin maszynowy.

Skończył czytać z chwilą, gdy wypił ostatni łyk. Cokolwiek działo się w mieście, interesowało go jedynie w kontekście jego pracodawcy, reszta nie miała znaczenia. A tym razem wszyscy, nawet ta wścibska di Neve, postanowili oszczędzić pana Dragosavalija. Choć w jej przypadku było to tylko opóźnienie nieuniknionego. Na pewno wyciągnęła wszystko z tego cholernego Moore'a i już się szykowała, by zadrwić, okpić, zrewanżować się za to, co pewnie uważała za porażkę i upokorzenie. Za te swoje przeprosiny.

Mort czuł się źle z całą tą sprawą, choć nie bardzo wiedział, co mógł zrobić lepiej. Moore wydawał się w porządku, gdy go sprawdzał. Ot, zwyczajny muzyk, nauczyciel, bez powiązań. Z tym Grotzkowiakiem inna rzecz, powinien choć zadzwonić, upewnić się, że gość jest czysty. Ale wtedy i tak sprawdziłby tylko zmyślone przecież nazwisko. Nie ma co, podeszli go, i teraz powinien wymyślić, jak sprawić, by za jego błąd nie oberwało się państwu Dragosavalijom.

Wstał, zasunął za sobą krzesło, a gazetę odłożył na stosik pozostałych. Naczynia odniósł do zlewu, opłukał i odstawił na ociekaczu. Po namyśle dolał sobie jeszcze kawy.

Z korytarza dobiegły go dźwięki najpierw otwieranych głównych drzwi, a potem dziecięcy głosik panicza, który wrócił właśnie z własnego przyjęcia, jakie rodzice zorganizowali dla niego i jego kolegów w hotelu Midnight. Chłopiec był najwyraźniej bardzo podekscytowany, bo mówił szybko i głośno, a Mira, pokojówka, która otworzyła drzwi, śmiała się z tego w głos. Mort był ciekaw, na jak długo chłopcu starczy tej energii, skoro – jak kamerdyner dowiadywał się, dzwoniąc do opiekunki w środku nocy – poszedł spać koło trzeciej. Pewnie jego popołudniowa drzemka trochę się przeciągnie. A może w ogóle do niej nie dotrwa i zalegnie gdzieś w pokoju zabaw?

Rozmyślanie przerwał telefon. Mort odstawił filiżankę, podszedł do zawieszonego na ścianie aparatu i odebrał.

– Rezydencja państwa Dragosavalijów, czym mogę służyć?

Dzwonił niejaki funkcjonariusz Tibbs z mieszkania Wolfa, informując, że technicy skończyli już pracę, a podkomisarz Albero osobiście nakazał, by natychmiast po zakończeniu czynności oddać klucze panu Dragosavalijowi. Pytał, czy jest możliwość, by ktoś po nie zajrzał, bo, głupia sprawa, ale samochód miał awarię, jego partner pojechał na warsztat, a on został sam i bez środka transportu.

Mort odparł, że rozumie sytuację i że się zjawi najszybciej, jak to możliwe. Rozłączył się, dopił kawę i opłukał filiżankę. Uznał, że to może być dobra okazja, by w drodze powrotnej odwiedzić mecenasa Sandersa i poradzić się w sprawie policjantów, Moore'a i di Neve. Skoro już musiał – a musiał – powiedzieć o tym wszystkim panu Dragosavalijowi i zepsuć mu tym dobre samopoczucie po udanym przyjęciu, to chciał to zrobić z jednoczesnym przedstawieniem mu gotowego rozwiązania problemu. Przynajmniej tyle mógł.

***

Wybrał najmniejszy z samochodów – dwudrzwiowe „puzderko", jak potocznie go nazywano. Przejechał nim tylko dwie dzielnice i zatrzymał się na brukowanym placu obok wejścia do parku. Zapłacił parkingowemu, rumianemu chłopcu o włosach rzadkich jak u starca, a potem przywołał rowerową rikszę i polecił się zawieźć na drugi kraniec zielonego serca miasta. Trochę się skrzywił, gdy masywna, umięśniona postać o skrytej pod kapturem twarzy okazała się nie tylko egzofossilikiem, ale na dodatek dziewczyną. A może po prostu chłopcem z bardzo śmiesznym głosem? Gdy jednak usadowił się na kanapie, gdy postać stanęła na pedałach i naparła, by raz-dwa złapać zadowalające tempo, wątpliwości Morta natychmiast się rozwiały. Rozsiadł się wygodnie, kładąc obie ręce na oparciu i oddał się przyjemności jazdy.

W parku jak zawsze panował półmrok. Mimo że nad szerokimi alejkami wycinano gałęzie, by na spacerowiczów nie opadał szlam osiadający na liściach, to i tak światłu trudno było znaleźć właściwy kąt, by dotrzeć do poziomu gruntu. Wyjątkiem były polanki, wokół których przycinano drzewa, tworząc z nich coraz wyższe kręgi na podobieństwo siedzisk w amfiteatrach. Tam, na tych małych połaciach zawsze zadbanej, krótko

przyciętej i wyczyszczonej zieleni, trudno było znaleźć miejsce na koc, gdy robiło się cieplej.

Pod ławkami spali bezdomni. Mort patrzył na nich, widział ich wznoszące się z niepokojem głowy – nieforemne kule błota z przekrwionymi oczami. Wielu z nich celowo babrało się wieczorami w szlamie, by w nocy być niewidzialnymi dla patrolujących park patroli. To między innymi z ich powodu policja zdecydowała się na psy.

Na jednym z takich wzrok kamerdynera zatrzymał się na dłużej. Mężczyzna nie leżał już pod ławką, a siedział na niej. Wygrzebywał coś paluchami z papierowej torebki z plamami tłuszczu. Gdy ich spojrzenia się spotkały, bezdomny wyszczerzył się, prezentując brudne, ale o dziwo kompletne uzębienie i uniósł rękę do salutu. Mortowi tak bardzo skojarzył się w tym momencie z kompanami z okopów, że zanim dotarło do niego, co robi, odpowiedział tym samym. Pospiesznie przejechał dłonią od czoła po potylicę, jakby zaczesywał włosy.

Riksza skręciła w prawo, a niedługo potem w lewo i przez jakiś czas jechali wzdłuż monstrualnego korka ciągnącego się przez Reuben. Nad warczącymi samochodami, nad gwarem rozmów, krzyków, klaksonów i radiowych przebojów unosiła się niczym puchaty dywan mgła czarnych spalin. Mort przyglądał się korkowi z satysfakcją, ale bez nawet krztyny złośliwości. Cieszył się, bo znając to miasto, jego rytm i fanaberie, wiedział, jak powinien zaplanować tę, nie tak znowu krótką, podróż.

Zatrzymali się koło postoju taksówek i Mort, wyjątkowo zadowolony z usługi, do podanej mu ceny dołożył jeszcze dijmara. Promienny uśmiech upewnił go, że wiozła go dziewczyna, ale jakoś teraz nie miał już nic przeciwko. Przesiadł się do taksówki i wkrótce był na miejscu.

Funkcjonariusz Tibbs przywitał go przy wejściu na klatkę schodową. Okazał się średniej postury idealnie nijakim blondynem, policjantem jak z tła plakatów werbunkowych, idealnym do stania w szeregu. Dwukrotnie przeprosił, najpierw za całą sytuację, potem za konieczność wylegitymowania Morta. Ten dwukrotnie zapewnił, że wszystko jest w porządku i rozumie, a w drugim przypadku nawet pochwala.

– Byłoby doprawdy paskudnym niedopatrzeniem ze strony policji, gdyby te klucze dostały się teraz w niepowołane ręce – stwierdził i zapytał, czy jest coś, o czym powinien wiedzieć, zanim wejdzie.

Tibbs pokręcił głową.

– Nie, wszystko jest już uprzątnięte, mieszkanie gotowe do użytkowania. – Uśmiechnął się z dumą i wypiął pierś. – Uwinęliśmy się najszybciej, jak się dało.

– Mam nadzieję, że szybkość poszła w parze z rzetelnością. – Mort poniewczasie zdał sobie sprawę, że ta uwaga była niepotrzebna i mógł ją sobie darować. Gasnący uśmiech policjanta sprawił mu jednak trochę satysfakcji.

Wszedł do budynku, następnie do windy i chwilę się zastanawiał, zanim wybrał właściwy przycisk. Dawno tu nie był, musiał przyznać. Gdy mieszkanie zajmował inspektor Wolf, jakoś tak nie było potrzeby ani okazji. Wysiadł, obrócił w palcach trzymane w dłoni klucze i niemal z marszu, nie patrząc na zamek, wbił właściwy w dziurkę.

***

Po przyjściu do domu obaj byli tak zmęczeni, że zalegli w ubraniach na jednym wąskim łóżku. Tam jednak dość szybko dała o sobie znać agresywna natura McShane’a, który kilkoma odruchowymi kopnięciami i ruchami łokcia zepchnął Alfiego na podłogę. Szczęśliwie dlań, chociaż z kołdrą.

Koło ósmej obudziło ich pukanie do drzwi. Muzyk ocknął się pierwszy, uniósł głowę, ale widząc, że McShane nie kwapi się do wstawania, z powrotem opadł na posłanie i zamknął oczy. Pukanie rozległo się jednak ponownie – głośniejsze i bardziej natarczywe. Alfie zakasłał.

– Co chrząkasz jak pierdolony prosiak – rozległ się stłumiony poduszką głos agenta. – Idź i otwórz.

Alfie podniósł się na łokciu, a po chwili usiadł, pomacał się po piersi i wyjął z wewnętrznej kieszeni wymiętą paczkę marie laveausów.

– To twoje mieszkanie – powiedział, zapalając.

McShane cisnął kurwą w poduszkę i powoli zwlókł się z łóżka. W tym czasie pukanie rozległo się po raz trzeci, tym razem irytująco bliskie łomotaniu.

– Idę przecież! – ryknął, posyłając Alfiemu nienawistne spojrzenie. – Spodek se jakiś weź.

W odpowiedzi Alfie uniósł wyżej rękę ułożoną w łódeczkę, na której dnie zebrało się już trochę popiołu. McShane sapnął i poczłapał przez

przedpokój. Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

W progu stała Palla di Neve. Elegancka, umalowana, w obcisłej spódnicy sięgającej kolan i wydekoltowanej bluzeczce, na którą narzuciła dobrze skrojony żakiet. Uśmiechnięta, przed sobą trzymała tekturową tacę, a na niej dwa parujące, pachnące kawą kubki i świeżutkie, zawinięte w gazetę beignets.

– Mam jeszcze w torebce świeże krówk… – zaczęła, ale zatrzaśnięte jej przed nosem drzwi sprawiły, że urwała w pół zdania.

Wściekły McShane obrócił się gwałtownie i dostrzegł, że Alfie stoi w progu pokoju.

– Podałeś jej mój adres?! – warknął.

– Nie… I nawet wysiadłem dwie przecznice dalej, żeby ją zmylić.

– To prawda, wysiadł – rozległo się zza drzwi. – I powiedział, że nic mi nie powie ani o panu, ani o tym, co wczoraj robiliście na przyjęciu.

– Bo nie powie! – odkrzyknął McShane i sapnął niczym rozwścieczony byk. – Co ci w ogóle strzeliło do głowy, żeby jechać tutaj z nią?

Alfie włożył papierosa do ust, ostentacyjnie otrzepał ręce z popiołu i pokazał palcem na swoją obitą twarz.

– To mi strzeliło – odparł. – Gdy ty sobie zniknąłeś bez słowa, Schreck mnie dorwał i zaczął wypytywać. Gdyby nie ona, nie skończyłoby się tylko na tym. Że nie wspomnę już o tym, że zostałem bez pieniędzy na taksówkę i…

– Podziękowania przyjęte – rozległo się zza drzwi. – A teraz możecie mnie panowie wpuścić? Wiele czasu nie zajmę.

McShane przejechał dłonią po twarzy, jakby się wahał, ale w końcu otworzył drzwi i przepuścił dziennikarkę w progu. Ta stanęła na środku przedpokoju i podniosła wyżej tackę.

– Panowie się częstują.

Alfie podszedł pierwszy. Wziął kawę, a po chwili namysłu wygrzebał też z gazetowego opakowania dwa małe pączki utytłane w cukrze pudrze. Jednego od razu wepchnął do ust. Palla posłała mu uśmiech i odwróciła się zgrabnie, by obsłużyć również agenta. Ten ograniczył się do kawy.

– Dziękuję – burknął i dmuchnął w otworek w plastikowym dekielku. – Ale jeśli myśli pani, że w ten sposób…

– Już panu mówię, co myślę, agencie McShane – weszła mu w zdanie Palla, rozglądając się za miejscem, gdzie może odstawić tackę. Jej wybór

padł na niską komodę zastawioną książkami. Uwolniwszy ręce, sięgnęła do torebki i z dzierganego jabłuszka wyciągnęła krówkę. Rozpakowała. – Ale może zanim powiem panu, co wiem, byśmy oszczędzili sobie bzdur i głupot, dobrze?

Agent upił kawy, patrząc jej w oczy, a potem powoli skinął głową.

– No więc na pewno wiem, że panów wczorajsza akcja była samowolką. – Dziennikarka uniosła dłoń i wyprostowała najpierw jeden palec, a zaraz potem, wraz z rosnącą liczbą faktów, kolejne. – Wiem, że pomagał panom inspektor Evans i że wszystko to ma związek ze sprawą zabójstwa inspektora Wolfa. Wiem też – tu spojrzała na muzyka – że pan, panie Moore… Alfie, nie jesteś żadnym agentem NS, jak podejrzewałam, ale faktycznie muzykiem. Ubiegłej nocy zginął natomiast twój współlokator… Wybacz, uciekło mi nazwisko, ale taksówkarz. Mieszkaliście razem…

– Dość – przerwał jej ostro McShane, zaraz spuścił z tonu i powtórzył już łagodniej: – Dość, wystarczy. Rozumiem, że dużo pani wie, że odrobiła pani zadanie, brawo.

Dygnęła rozbawiona.

– Taka praca. Choć przyznam, że łatwo nie było. Niektóre informacje, a zwłaszcza zdobycie ich tak wcześnie rano, troszkę mnie kosztowały.

Puściła oko do Alfiego, ale ten wyglądał na zbyt umęczonego nieprzespaną nocą, by chcieć się bawić we flirtowanie.

McShane siorbnął kawy, jakby chciał przypomnieć dziennikarce, że to z nim powinna teraz rozmawiać, na niego zwracać uwagę. Gdy znowu na niego spojrzała, mlasnął językiem, po czym zapytał:

– Co sprawi, że da nam pani spokój?

Palla uśmiechnęła się tajemniczo, wydobyła z jabłuszka kolejną krówkę, rozpakowała i włożyła do ust. Żuła ją przez chwilę, nie podejmując nawet próby mówienia, doskonale wiedząc, że walka z ciągnącym się mlecznym toffi byłaby skazana na porażkę. Musieli więc czekać, aż skończy przewracać oczami, mruczeć i wreszcie przełknie. Było w tym przedstawieniu coś wyuzdanego, a zarazem wulgarnego i prymitywnego, co zupełnie do niej nie pasowało. Jakby sprawdzała, czy łapią się na najprostsze sztuczki. Jakby oceniała, z kim ma do czynienia.

Niewzruszony w swej obojętności McShane najwyraźniej zdał ów test zadowalająco, bo gdy Palla się odezwała, mówiła już normalnie, rzeczowo,

bez cienia kokieterii.

– Potrzebuję tematu – powiedziała. – I widzę, że historia, jaką panowie macie, może nim być.

McShane chciał coś powiedzieć, ale uniosła rękę, żeby jej nie przerywał, więc zamknął usta.

– Wiem, że dobro śledztwa, wiem, że skomplikowana sprawa, niuanse i tym podobne. Wszystko to, panowie, rozumiem. Tak jak i to, że, jak podejrzewam, niespecjalnie ufacie prasie…

– Otóż to – McShane wycelował w nią palcem. – Nie ufamy.

Palla skinęła głową.

– Zrozumiałe, naprawdę. I dlatego ja przychodzę do panów, do pana, agencie McShane, zagrać w otwarte karty.

Zrobiła pauzę, jakby chciała znaleźć w głowie właściwe słowa. I może faktycznie tak było, ale w jej przypadku trudno było stwierdzić, co jest elementem przedstawienia, kokieterią, a co naturalnym zachowaniem. Alfie miał wrażenie, że sama już tego nie kontroluje i nie zdaje sobie sprawy, że w tym momencie to nie gra na jej korzyść.

– Chodzi o to – podjęła – że zirytowało mnie to, co komenda główna wyrabiała z Dragosavalijem, ta cała pokazówka. Czuję, że cała ta złożona sprawa pójdzie takim torem, jeśli nikt nic nie zrobi. I mam wrażenie, że właśnie, panowie, robicie. A ja chcę wziąć w tym udział i, gdy przyjdzie czas, napisać o sprawie uczciwie. Choćby to miał być ostatni mój artykuł dla „Spokestad”. Choćby go nie puścili i choćbym musiała sama kolportować tekst na ulicach i…

Tym razem to McShane przerwał jej gestem. Przyglądał się jej dłuższą chwilę, ważył jej słowa, a pewnie i tę irytującą teatralność jej zachowań będącą w kontrze do żaru, jaki rzeczywiście bił z jej oczu. Czy mógł jej zaufać? Czy mogła mu się przydać?

Dopił kawę i zgniótł kubek, pozwalając, by plastikowa pokrywka podskoczyła i opadła mu na zaciśniętą w pięść dłoń. Spojrzał na nią, po czym jego wzrok znów spoczął na twarzy di Neve.

– Jak pani to widzi?

– Pomagam, gdy potrzebują panowie pomocy, grzebię w archiwach, rozmawiam z ludźmi, ewentualne mniejsze artykuły puszczam za panów zgodą. W zamian za to panowie nie rozmawiają z inną prasą ani teraz, ani

później. A gdy sprawa będzie gotowa, dostaję pierwszeństwo i wyłączność z panów strony.

– A jeśli nigdy nie będzie? – wtrącił się do rozmowy Alfie.

Palla wzruszyła ramionami.

– Wówczas osobiście napiszę panów nekrologi, bo nie sądzę, byście odpuścili.

McShane uśmiechnął się pod nosem. Musiał przyznać, że to było całkiem zgrabne.

– Potrzebuję czasu do namysłu, panno di Neve – powiedział w końcu. – To trudna decyzja, trudna sprawa i w ogóle…

Przerwał, zmarszczył czoło, by zaraz się rozpromienić.

– Ale myślę, że możemy spróbować, o ile jest pani w stanie zacząć od razu. Bo jest coś, co od wczoraj chodzi mi po głowie, a do czego mogłaby się pani przydać.

– Co to takiego? – zapytała, a gdy jej powiedział, uśmiechnęła się triumfalnie i zapytała: – Tylko tyle?

***

Oczywiście cała komenda żyła wyłącznie śmiercią Gratza. Sekretarki z jego piętra kryły za chusteczkami opuchnięte oczy i cieknące nosy, mundurowi plotkowali nad popielniczkami, a każdy, kto tylko mógł, pielgrzymował pod biuro Evansa, by wrzucić parę dijmarów dla rodziny detektywa. W jakiś sposób dla wszystkich było naturalne, że pękaty szklany słoik na pieniądze znajdować się będzie akurat u Agnes. I jakoś tak faktycznie stał tam już z samego rana.

Inspektor siedział za biurkiem, ściskając kubek czarnej kawy. Rozgrzana porcelana parzyła w dłonie, gorzki aromat wiercił w nosie, a on, Evans, trwał tak sobie w zawieszeniu, z nieobecnym spojrzeniem, ani nie pijąc, ani nie odkładając naczynia, w sumie to chyba nawet nie myśląc. Czekał, aż wszystko, co się wydarzyło w ciągu tych dwóch dni – wszystkie decyzje, błędy, złamania regulaminu – runie mu na łeb czy to za sprawą Wąsicy, czy, jeśli Albero okaże się nie dość skutecznym narzędziem losu i opowieści, w jakiś zupełnie inny sposób.

Zza drzwi dochodziły go stłumione głosy. Agnes co chwila z kimś rozmawiała, raz po raz ktoś przywoływał nazwisko detektywa, pytał, czy

coś wiadomo, co z jego żoną, co z dziećmi. Sekretarka zapewniała, że wszystko, co dało się w tej sytuacji zrobić, zrobiono.

I faktycznie tak było. Agnes sama o to zadbała, uprzedzając Evansa i jadąc do pani Gratz ze złą nowiną jeszcze w nocy. Inspektor nie wiedział, czy ma mieć do niej o to żal, czy być jej wdzięczny. Nie miał pojęcia, czy wiedziałby, jak się zachować. Robił to już nie raz, był czarnym krukiem złych nowin dla niejednej wdowy, ale jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by ktoś zginął z jego winy, jak Gratz. To zmieniało perspektywę. I nawet zemsta, bo inaczej nazwać tego nie mógł, nie przyniosła ukojenia. Ani też w zasadzie żadnych odpowiedzi, tylko więcej pytań.

Rozległ się brzęk interkomu. Odebrał.

– Komisarz Albero chce z panem rozmawiać, inspektorze – zakomunikowała mu Agnes.

Czyli się doczekał. Spokojnie odstawił kubek, wstał. Przeciągnął się. Przemknęło mu przez głowę, że dobrze, iż Herlitz, za jego sugestią, wziął dziś wolne. Nikt by go z niczym rzecz jasna nie powiązał, ale sama obecność tu, pamięć o tym, co funkcjonariusz widział i czego był świadkiem, w konfrontacji z panującą na komendzie żałobą mogłaby być… trudna. Tak, to dobre słowo. Trudna.

– Inspektorze? – Interkom odezwał się głosem zaniepokojonej sekretarki.

– Jestem, Agnes. Jestem – odparł Evans.

Skubnął wąsa i westchnął. Co ma być, to będzie, a lepiej mieć to za sobą, niż martwić się, gdy będzie przesłuchiwał ojca Perro czy cholernego Johnny’ego Zwierciadełko. Tyle miał i zamierzał oba tropy wycisnąć do ostatniej kropli.

– Co mam przekazać komisarzowi? – raz jeszcze zaskrzeczał interkom.

– Że jeżeli chce czegoś ode mnie, niech ruszy tu swoją chudą dupę, bo jestem zajęty – odparł Evans i spokojnym ruchem sięgnął po papierosy.

***

Inspektor Wolf zginął w salonie. Wbrew zapewnieniom funkcjonariusza Tibbsa Mort bez trudu dopatrzył się na podłodze wyblakłego śladu po kredowym obrysie, a przynajmniej jego części, od brzucha w dół. Górną połowę wymazano bowiem dość dokładnie, zapewne przy okazji ścierania plam krwi. Tych faktycznie nie było i kamerdyner odetchnął z ulgą,

w głowie miał już bowiem wizję nie tylko czyszczenia, ale też wymieniania poszczególnych desek podłogi, tak by pasowały odcieniem. Potem byłoby konieczne cyklinowanie, lakierowanie i zlecenie wszystkich tych czynności wymagających zatrudnienia fachowców i ich doglądania. Grimm City nie stało rzemiosłem. Zbyt często okazja na łatwy zarobek kosztem mniejszego wysiłku przesłaniała ludziom oczy niczym chmura czarnego pyłu.

Zdjął kurtkę, przewiesił przez oparcie kanapy i podwinął rękawy, po czym wrócił do przedpokoju i wszedł do łazienki. Wziął wiadro, napełnił je gorącą wodą, a następnie sięgnął po szmatę i miotłę. Z szafki pod umywalką wyjął detergent i wlał do wiadra pół nakrętki. Zamieszał dłonią, która natychmiast się zaczerwieniła od temperatury, wrzucił szmatę. Z wiadrem w jednej ręce i miotłą w drugiej wrócił do salonu.

Nie zamierzał myć całej podłogi. Nie chciało mu się teraz przesuwać mebli, zamiatać, znowu przestawiać, by zaraz potem powtórzyć te czynności już z mokrą szmatą nawiniętą na szczotkę miotły. Chciał tylko zetrzeć ten ślad, to blade widmo obrysu przypominające, co się tu wydarzyło. Przyklęknął przy wiadrze i sięgnął po szmatę.

I wtedy właśnie ją zauważył. Krew. Zaschnięta, prawie czarna, w minimalnie szerszej niż inne szczelinie między deseczkami. Gdy stał, nie zwrócił na to uwagi, teraz też mało nie wziął tego za jakiś ruch tektoniczny, szczelina powiększyła się robiąc miejsce dla kurzu czy naniesionego pyłu.

Ale to była krew i wiedział o tym, jeszcze zanim wyjął z kieszeni spodni składany nóż i zanim wziął jej odrobinę na czubek. Gdy spojrzał pod światło, dostrzegł rubinowy błysk. Jeszcze raz wsunął ostrze w szczelinę i ruszał nim tak długo, aż wykruszył i wydłubał niemal cały skrzep. Wtedy jednak zdał sobie sprawę, że klepka się chybocze. Podważył ją lekko, a ta, choć przez moment stawiała opór, odpowiednio naciśnięta podskoczyła, ujawniając małą, ukrytą w podłodze skrytkę. Leżało w niej jakieś prostokątne zawiniątko.

Mort odłożył nóż i sięgnął po nie, a gdy rozwinął, jego oczom ukazał się oprawiony w skórę sfatygowany notes.

Uśmiechnął się i nagle bliski był uwierzenia w te wszystkie historie ze starej księgi, o tym jak to niby przypadkiem ktoś dostaje niezwykły artefakt, a potem dziwnym zrządzeniem losu okazuje się, że to akurat klucz do jego opowieści. Bohaterów Świętej Księgi los zwykle wystawiał w ten

sposób na próbę, sprawdzając, czy użyją artefaktu w sposób właściwy i jedyny słuszny.

– Tak właśnie zamierzam – powiedział do siebie. – Dokładnie tak.

***

Żona funkcjonariusza Herlitza była niską szatynką z buzią rumianej wieśniaczki i podle wiejskich reguł wszystko miała na swoim miejscu – i biodra szerokie, i biust słuszny, i kształtną pupę przechodzącą w nogi o pełnych, ale nierozlanych udach. Z jednym tylko zastrzeżeniem: była tej idealnej chłopki… miniaturką.

Na co dzień nie rzucało się to w oczy, ale gdy tylko w jej pobliżu pojawiała się jej matka czy tym bardziej zwalisty mąż, ludzie zaczynali się przyglądać. I szeptać. A jeśli czegoś Frida Herlitz nienawidziła bardziej niż zasranej pieluchy przy obiedzie, to właśnie szepczących ludzi. Kojarzyli się jej z babami z targowiska, jeszcze w jej rodzinnych okolicach, które ledwie wylazły ze Schroniska po nabożeństwie, ledwie przysiadły na ławce, już zaczynały gadać. Jak przystało na gorliwe bajanki, każdemu domyślały historię, o każdym wiedziały więcej niż sam Bajarz.

Trudno się jej więc było dziwić, gdy teraz, siedząc w parku z mężem i dziećmi, nie mogła się całkowicie z tego nadprogramowego rodzinnego dnia cieszyć. Nie, kiedy trzy ławki dalej siedział facet i ordynarnie się na nią gapiąc, szeptał coś koledze.

W końcu nie wytrzymała.

– Duży – odezwała się do męża.

Tak właśnie się do niego zwracała. Nie „kochanie”, bo aż mdłości brały, gdy mówili tak inni. Nie po imieniu, bo to jednak mąż, i nie „mężu”, bo jak już na nią właził przy każdej sposobności, to nie po to, by mówili do siebie tak oficjalnie. Duży pasowało w sam raz.

Herlitz, który akurat nie mógł się zdecydować, czy udaje, że czyta gazetę czy że patrzy na ich potomstwo w pobliskiej piaskownicy, spojrzał na małżonkę trochę nieobecnym wzrokiem.

– No?

– Nie „no”, tylko „proszę” – poprawiła go. Nie to, że była czepliwa. Sam kiedyś prosił. – I zobacz, widzisz tamtych gości po prawej? Nie, to lewa akurat… Nie tak bezczelnie. Widzisz?

– No widzę – odparł. Zmrużył oczy, by lepiej się przyjrzeć. Jednego z nich jakby rozpoznawał. – A co, szepczą?

– No szepczą – potwierdziła z szerokim uśmiechem zarezerwowanym dla żon, którym udało się latami ciężkiej pracy zbudować małżeńską nić porozumienia. – I się gapią.

Herlitz wstał, przeciągnął się i wyłamał palce.

– Zaraz nie będą – zapewnił, ruszając w tamtą stronę.

– Tylko, Duży, bez burd, dobrze?

Kiwnął głową, bo w razie czego z gestów łatwiej się potem wytłumaczyć niż ze słownych obietnic. A tak naprawdę nie miał pojęcia, jak się zachowa. Nie z tym wszystkim, co w nim teraz kipiało.

Od połowy drogi zaczął jednak zwalniać. Twarz chudzielca siedzącego na ławce wydawała mu się coraz bardziej znajoma, nie umiał jej jednak skojarzyć ani z nazwiskiem, ani z miejscem. Ot, pospolita, trochę pryszczata gęba, włosy z jednym tylko charakterystycznym siwym paskiem.

Widzieli się, to pewne. Mina chudzielca też to mówiła – sposób, w jaki mrużył oczy, w jaki się przypatrywał. Ewidentnie, jak Herlitz, bezskutecznie i chyba coraz bardziej nerwowo przeglądał właśnie akta pamięci.

No cóż, zaraz się dowiemy, co i jak, pomyślał policjant. Zaraz…

Jakieś dziecko, dziewczynka, przebiegło mu tuż pod nogami z piskiem, a zaraz potem poczuł na dłoni wilgotny chłód. Zerknął i dostrzegł piegowatego chłopca w kaszkiecie, z dużą, przezroczystą psikawką w kształcie pistoletu. Chłopczyk zmieszał się, widząc, że zamiast koleżanki ochlapał groźnego wielkoluda. Buzia wygięła mu się w podkówkę, broda zadrżała.

Herlitz uśmiechnął się do niego i już miał powiedzieć, że nic się nie stało, gdy nagle sobie przypomniał. Słodkie Usteczka, łazienka. Moment przed śmiercią Gratza. Chlapnął temu gościowi w twarz, bo ten nazwał go chujem.

Tamten najwyraźniej też coś sobie przypomniał, bo nagle wstał, powiedział coś do swojego towarzysza i szybko uścisnął mu rękę, nieprzerwanie łypiąc na Herlitza. A potem, co rusz oglądając się przez ramię, oddalił się tym krokiem, któremu niewiele brakuje do biegu, za to sporo do spacerowej dostojności, za którą miał rzekomo uchodzić.

Funkcjonariusz przystanął i stał tak przez chwilę, oddychając płytko. Czuł, jak serce tłucze mu się w piersi, jak skóra mrowi, a włoski na karku powoli opadają.

To takie małe miasto, gdy nie trzeba, pomyślał. Takie, kurwa, małe miasto…

– Czasem to dobrze, że tak działasz na ludzi, Duży – odezwała się Frida, która ni stąd, ni zowąd stanęła obok. – To ci trzeba przyznać, że kobieta może się przy tobie czuć bezpiecznie.

Tak, pomyślał Herlitz. Ale może niekoniecznie powinna.

***

Rozmowa z Albero była krótka, ale sądząc po odcieniu czerwieni, jaki przybrała twarz podkomisarza, gdy opuszczał biuro Evansa, po jego pałających wściekłością oczach, rozdziawionych ustach i wreszcie drżących, zaciśniętych w pięści dłoniach, należało dość szybko spodziewać się jej dalszego ciągu. Ani chybi, jeśli było to w zasięgu Wąsicy, w trybie dyscyplinarnym.

Evans patrzył za nim, opierając się o framugę, i uśmiechał się z satysfakcją. Brzuchaty sierżant o świńskich oczkach stojący akurat przy biurku Agnes pokiwał głową z uznaniem.

– Zawsze wiedziałem, inspektorze, że z pana to jest gość – zapewnił. – A komisarza Albero, to tak po przyjacielsku mówiąc…

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, sierżancie. – Evans odbił się ramieniem od framugi, odwrócił i zniknął w pomieszczeniu.

Zdążył usiąść za biurkiem, gdy znowu zaskrzeczał interkom.

– Agent McShane i pan…

– Wpuść.

Drzwi się otworzyły. Weszli. Tym razem Alfie od razu wniósł ze sobą krzesło.

– Jak noc? – zapytał inspektor.

McShane wzruszył ramionami.

– Powinieneś pamiętać, że większość spędziliśmy razem – odparł. – Wezwałeś już Perro?

– Jadę zaraz do niego.

– Wie?

Evans pokręcił głową.

– To dobrze – powiedział McShane, siadając. W dłoni ściskał gumową główkę lalki, łypiącą na świat swym jednym paciorkowatym okiem. – Bo mam pewną teorię i właśnie się sprawdza. Mogę kawy?

Oczy Evansa zwęziły się nieprzyjemnie.

– McShane, do cholery, ty ze mnie drwisz?! Kupujesz czas?! Chciałeś kawy, mogłeś poprosić Agnes przed wejściem, nie? Nie wiem, co ci się roi w głowie, ale nie, nie zamierzam odpuszczać sobie rozmowy z Perro dla twoich durnych…

Brzęknął interkom i Evans grzmotnął pięścią w guzik.

– Czego?!

– Może grzeczniej, inspektorze – zaproponowała lodowatym głosem Agnes, a potem zrobiła wymowną pauzę.

– Przepraszam – powiedział Evans.

– Proszę – łaskawie odparła Agnes. I jest tu do pana pan Mortimer Schreck z pilną i ważną…

Zanim skończyła, drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wszedł Mort. Stanął w progu, górna warga drgnęła mu, gdy dostrzegł ich wszystkich trzech razem, ale niczego nie skomentował. Stał tak tylko, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy.

– Mogę coś dla pana mieć – powiedział w końcu. – O Wolfie.

***

Phill jak na siebie wyglądał dziś wyjątkowo dobrze. Trudno powiedzieć, czy umył włosy czy tylko je przystrzygł, ale nie świeciły łojem jak wosk na jabłku i nie lepiły się do głowy. Koszulę też miał czystą, a przed jej ubraniem najwyraźniej się przemył, bo śmierdziało od niego wyłącznie świeżym potem, który był jeszcze do zniesienia.

Widząc go takim właśnie, Palla odetchnęła z ulgą. Potrzebowała jego pomocy tak czy siak – nikt wszak nie orientował się w przepastnych zasobach archiwum biblioteki miejskiej lepiej niż on – i miała świadomość, że niezależnie od jego wyglądu i zapachu przyjdzie jej nie tylko zaprosić go na śniadanie, ale i potem spędzić w jego towarzystwie resztę dnia. Przemiana kolegi była jej więc na rękę i bardzo ją ucieszyła.

Jej radość była jednak niczym wobec entuzjazmu Philla, gdy w redakcyjnej kantynie usłyszał jej prośbę.

– Nie ma sprawy, Palla – zapewnił, plując okruchami przeżuwanej bułeczki. Przetarł usta rękawem, zapił kawą i powtórzył: – Nie ma sprawy. To powinno być o takie.

Podniósł kawałek bułki, szczerząc się jak zadowolony z siebie dzieciak.

Zmarszczyła czoło i dopiero po chwili zorientowała się, że to rebus.

– Bułka z masłem, w sensie? – upewniła się.

– No raczej! – Mlasnął i wepchnął swój grubo posmarowany rebus do ust. Przełknął. – Zaraz polecę i porozmawiam, a potem wygrzebię w temacie wszystko, wszyściusieńko, co się da. Bo wiesz, to może być nie tylko w artykułach z głównej prasy, ale jeszcze w gazetkach dzielnicowych, w reklamowych… Zdziwiłabyś się, co ludzie wpychają do treści ulotek, byleby ktoś uwierzył, że to prawdziwa gazeta!

– Na pewno, Phill – zapewniła, upijając kawy. Na kubku został ślad jej szminki. – Zresztą chętnie zobaczę te archiwa. Mówiąc szczerze, choć bywałam w czytelni, to jeszcze nigdy… Stało się coś?

Phill nagle spoważniał. Przyglądał się koleżance przez chwilę, po czym westchnął ciężko i spuścił wzrok.

– Nie mogę cię tam zabrać – powiedział cicho, prawie szeptem. – One uważają cię za…

– One? – podchwyciła.

– No, archiwistki, bibliotekarki… – Phill jakby kurczył się w sobie, unikał jej wzroku, głowę wtulił w ramiona, jakby bał się ciosu. – Uważają, że jesteś… No, nie lubią cię, no.

Wydusiwszy to z siebie, sapnął, jakby pozbył się z piersi wielkiego ciężaru, i zmusił się, by spojrzeć na Pallę. Ta przesłoniła usta dłonią, walcząc ze śmiechem.

Ciekawe, skąd w ogóle o mnie wiedzą, pomyślała. Co im naopowiadałeś o naszej znajomości, że tak mnie nie lubią? I co mówią? Że jestem dla ciebie nieodpowiednia? Że zrobię ci krzywdę?

Phill patrzył na nią jak zbity szczeniak, więc odsunęła rękę od ust, uśmiechnęła się łagodnie i wyciągnęła do niego dłoń. Wiedziała, czuła, że jego będzie nieprzyjemnie ciepła i mokra od potu, ale skoro los właśnie oszczędził jej dniówki w archiwum, skoro darowano jej cały ten kurz i ból

oczu wytężanych w słabym, bibliotecznym świetle, uznała, że zrewanżuje się światu choć w ten sposób.

– W takim razie, Phill, nie mów im, że to dla mnie – poprosiła. – Niech to będzie nasza tajemnica.

– Jasne, Palla. Co tylko chcesz – zapewnił, zerkając to w jej oczy, to znowu na ich splecione teraz dłonie. Minę miał, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, i Palla zdała sobie nagle sprawę, że chyba przekroczyła granicę, na której do tej pory balansowała. Sklęła się za to w myślach. Wszystko przez to, że się umył. I przebrał. I…

– Palla?

Potrząsnęła głową.

– Tak?

– Na którą to chcesz? – powtórzył pytanie.

Ku jego widocznemu rozczarowaniu cofnęła dłoń i sięgnęła po kubek.

– Najszybciej, jak się da, Phill. To dla mnie naprawdę ważne.

***

Nie zamierzał siadać. Nie, nie chciał kawy ani nic innego do picia. Nadal uważał, że to, co zrobili wczoraj, było podłe, i miał nadzieję, że cała trójka będzie miała na tyle godności, by to przyznać i w miarę możliwości – jak szło to słowo? A, zadośćuczynić jego pracodawcy wstyd i nieprzyjemności, gdy wszystko się wyda. Albo nawet zanim to nastąpi. Uważał, że jeśli nie przekona ich do tego, apelując do ich sumień, uda mu się to za pomocą tego, co znalazł. Tak, jest pewien, że to co ma, jest aż tak dobre. Nie, nie powie, skąd to ma, zanim się nie dogadają… To jak?

Inspektor powoli pochylił się do przodu. Oparł łokcie na biurku, ułożył dłonie w piramidę, wreszcie oparł brodę na jej czubku. Zrobił to wszystko, nie odrywając spojrzenia od twarzy Morta, jakby wypatrywał w niej tiku sygnalizującego, że to podstęp, pułapka.

– Co myślisz, McShane? – zapytał.

Agent wzruszył ramionami.

– Myślę, że zdaje sobie sprawę z tego, co zrobimy, jeśli to jakaś bzdura – odparł.

– Też tak sądzę – zgodził się Evans. Jeszcze chwilę przyglądał się Mortowi, wreszcie wyprostował się, wstał i wyciągnął rękę.

– Ma pan moje słowo, Schreck – powiedział. – Ma pan moje słowo, że jeżeli to nie żarty, zrobię wszystko, by pan Dragosavalij został w tej historii pozytywnym bohaterem.

Mort spojrzał na wyciągniętą dłoń, ale zamiast ją uścisnąć, wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wyjął z niej notes Wolfa. Podał go inspektorowi.

– Znalazłem to u niego, w skrytce pod podłogą, dziś rano – wyjaśnił. – Albero kazał oddać klucze.

– Już? – udał zdziwienie McShane. – Szybko.

Mort puścił tę uwagę mimo uszu.

– Przejrzałem całość…

– A jakże! Na pewno bardzo uważnie.

I tym razem Schreck nie dał się agentowi sprowokować. Zrobił jedynie krótką pauzę i podjął wątek.

– …i jest tam całkiem sporo o interesach Wolfa, sporo ważnych nazwisk, a także wszystkie ofiary nowego gracza, o tyle zaskakujące, że… – Przerwał i machnął ręką. – Zobaczycie sami. Chcę, żeby było jasne: oddaję to z dobrej woli, pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, i liczę…

Evans podniósł wzrok znad kartkowanego notesu.

– Dotrzymam słowa – zapewnił. – Naprawdę dziękuję, Schreck.

Kamerdyner prychnął, wzruszając ramionami.

– Nadal uważam, że jest pan dupkiem, inspektorze – stwierdził. – Oby chociaż znającym się na swojej pracy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Evans powoli wrócił za biurko, coraz wolniej kartkując notes. Stanął przy krześle, ale nie usiadł.

– Tu faktycznie jest lista ofiar gracza – powiedział. – W dodatku… Cholera jasna! Sądząc po miejscu w notesie i późniejszych datach umówionych spotkań…

– Chcesz powiedzieć, że wiedział wcześniej? – domyślił się McShane.

Evans skinął głową.

– Na to wygląda.

Usiadł, przyjrzał się kolejnym stronom, po czym odsunął notes i ukrył twarz w dłoniach.

– Kurwa mać, dwie rodziny to za mało dla tego skurwiela? Musiał jeszcze sięgać do trzeciej?

McShane wyciągnął rękę w stronę notesu, ale widząc, że Alfie również się na niego zamierza, gestem dał muzykowi znać, że poczeka. Zamiast tego odłożył główkę lalki na stół, wyjął i zapalił papierosa.

– Wiatr zmian, co poradzisz – stwierdził. – Czego byś o Wolfie nie mówił, wyczuwał takie rzeczy jak wytrawny żeglarz.

– Do czasu.

– Ano – zgodził się agent. – Do czasu.

W progu pojawiła się Agnes i zapytała, czy życzą sobie czegoś. Evans poprosił o herbatę, McShane wodę. Tylko Alfie zachowywał się, jakby nie usłyszał. Trzymając notes niemal przy twarzy, wodził po tekście palcem jak małe dziecko, które dopiero uczy się czytać.

– Tu jest coś jeszcze – powiedział, unosząc wzrok.

– Och, zapewne – mruknął McShane. – Jeszcze nawet dobrze nie zaczęliśmy i…

Muzyk doskoczył do biurka i rozłożył notes na blacie.

– Nie, chodzi mi o te listy, zobaczcie. – Palcem wskazał na osobne kartki: jedną z ofiarami po stronie Thorniniego, drugą po stronie Räu. – Widzicie, co jest napisane przy ludziach Thorniniego?

Przyjrzeli się. Imię, nazwisko, ksywa, jeśli była, zawód i funkcja, jaką pełnił w rodzinie. Nic nadzwyczajnego i to właśnie stwierdził McShane, wzruszając ramionami. Alfie przyznał mu rację.

– A teraz spójrzcie tutaj, na ofiary od Räu. Pozornie to samo, prawda? Ale jest coś jeszcze, o tu na przykład.

Inspektor i agent pochylili się nad notesem, mało nie zderzając się głowami. Chwilę wodzili oczami po nierównym piśmie, by zaraz się wyprostować.

– O szlag – mruknął Evans, wyrażając myśli ich obu. – O kurwa mać!

– No nie? – Alfie nawet nie próbował powstrzymać triumfalnego uśmiechu. – To powody. Powody, dla których akurat ci tutaj…

– …zostali poświęceni – dokończył McShane. – A to z kolei znaczy, że nowy gracz to wymysł… O kurwa, to wymysł Wolfa i Reginy Räu!

Patrzyli na siebie w milczeniu, dając wybrzmieć tej rewelacji. W końcu jednak Alfie podrapał się po głowie z głupią miną.

– No dobra – powiedział. – Tylko w sumie po co mieliby to robić?

– To akurat proste – stwierdził McShane. – Żeby zawiązać ten cholerny pakt. Z raportów, jakie czytałem, wynika dość wyraźnie, że Thorniniemu

szło ostatnio dużo lepiej niż Räu. Zła Królowa od zawsze musiała udowadniać, że jest równie twarda jak jej staruszek, a ostatnio młode wilczki podgryzały ją coraz mocniej. W ogóle od jakiegoś czasu można było odnieść wrażenie, że gdyby nie ten cholerny wierszokleta Zwierciadełko, już dawno byłoby po niej. Sojusz z Thorninim z takiego powodu i na takich warunkach był dla niej jak znalezienie czempiona, który w razie czego podniesie za nią rękawice.

– Brzmi to tak, jakbyś jej żałował – stwierdził Alfie.

– Raczej podziwiał – odparł agent. – Bo to naprawdę sprytne zagranie.

– Pytanie tylko, czy pomysł był jej czy Wolfa – rzekł Evans w zamyśleniu. – No i widać, że wszystko zaczęło żyć własnym życiem, skoro na koncie nowego pojawiła się kolejna ofiara po stronie Räu. Na liście jej nie ma.

– Może gdzieś na osobnych notatkach? – zasugerował Alfie.

– Może – zgodził się inspektor. – Albo to po prostu ktoś inny. Choć nie, w to akurat nie wierzę. W ogóle to może być szalona teoria, ale tak mi właśnie przyszło… tak, McShane, śmiej się, śmiej.

Agent zrobił zdziwioną minę i wskazał na siebie, jakby pytał: „Kto, ja?”.

– No dawaj ten twój pomysł – zachęcił.

– Pamiętacie tę starą opowieść Bajarza, tę o chłopcu, który dla zabawy wołał: „Wilk!”? Wszyscy mu wierzyli, aż w końcu pewnego dnia…

– Wilk naprawdę przyszedł – dokończyli razem Alfie i McShane, tymi samymi słowami, niemal równo. Spojrzeli na siebie zaskoczeni tą zgodnością.

– Zdecydowanie nie śpimy więcej w jednym łóżku – stwierdził McShane. – Zaczynamy być jak stare, dobre małżeństwo, Moore.

Alfie chciał coś odpowiedzieć, ale Evans go uprzedził. Znowu skubał wąsa, mocniej niż zazwyczaj.

– Wracamy więc do kluczowych pytań, panowie – zauważył. – Kto tak naprawdę zabił Wolfa. I dlaczego.

McShane zerknął na zegarek i postukał palcem w szybkę chroniącą cyferblat.

– Jeżeli mam rację – powiedział, podnosząc z blatu gumową główkę – i jeśli sprzyja nam szczęście, jeszcze dziś będziesz mógł o to zapytać.

– Kogo? – zapytał Evans. – Chyba nie planujesz odwalić jakiejś szopki z przybocznym Złej Królowej, co?

McShane tylko uśmiechnął się tajemniczo.

***

Siedzieli nad tekstem notatnika do blisko czternastej. W tym czasie czytali każdy po te same dziesięć stron, robili swoje notatki na osobnych kartkach i dalej, brali na warsztat kolejne dziesięć stron. Gdy uporali się z całością, przedyskutowali wszystkie wnioski i hipotezy. W oparciu o zaznaczone terminy i miejsca spotkań Wolfa Evans sporządził mapę i linię czasową, szukając czy to śladu, czy może jakiejś prawidłowości, rutyny.

Gapili się potem w adresy i przypisane do nich nazwiska. Te znane, kojarzone i te kompletnie nic im niemówiące. Co jakiś czas któryś wstawał, coś mówił, po czym gasł pod byle argumentem czy nawet krzywym grymasem. Z każdą kolejną mijającą chwilą mówili coraz mniej, aż w końcu jedynym dźwiękiem był stukot główki laleczki uderzającej o ścianę i łoskot, gdy się potem toczyła po podłodze. Raz za razem, miarowo, i na nic się zdawały pełne wyrzutu spojrzenia szklanego oka.

Koło południa Evans został wezwany na najwyższe piętro i nie było go przez przeszło godzinę. Wrócił czerwony na twarzy, z jakimiś papierami, które poskładał niedbale i wcisnął do szafki.

– Gratz? – zapytał tylko McShane, a Evans skinął głową.

– Będzie przeprawa – powiedział. – Przeprawa jak cholera.

I tyle. Wrócił do skubania wąsa i studiowania swoich notatek, a agent i muzyk wymienili spojrzenia i o nic więcej nie pytali.

Wyszło na to, że kolejnego przełomowego odkrycia znowu dokonał Alfie. Wolf nie pisał zbyt starannie, litery stawiał koślawe, czasem bliskie szlaczkom, nieczytelne w oderwaniu od kontekstu wyrazu. Zwłaszcza przy adresach i nazwiskach stanowiło to wyraźny problem, z którym czasem radzili sobie tak, że po prostu nanosili na mapę kilka wariantów.

Ale w jednym przypadku rzecz nie tkwiła w bazgrołach, a w zupełnie czymś innym, i to właśnie zauważył muzyk. Podszedł do okna, by przyjrzeć się w lepszym świetle, porównał wszystkie trzy miejsca, gdzie padało owo wyjątkowe nazwisko, zawsze w połączeniu z datą i tym samym miejscem, klimatyczną Caffe Tiro na obrzeżach Pępka. Przekonany o słuszności spostrzeżenia położył notes przed agentem i inspektorem.

– Ten cały Gosceus, spójrzcie. – Postukał w kartkę palcem. – Zauważyliście, że dwie ostatnie litery są większe od reszty?

Zauważyli, ale nie wzbudziło to ich zainteresowania, nawet gdy wykazał, że dotyczy to wszystkich trzech przypadków. Na wszelki wypadek spojrzał jeszcze raz i im bardziej się wpatrywał, tym mocniej czuł, że tak, to faktycznie to. Wziął kartkę, ołówek i napisał na niej to samo nazwisko, starając się odwzorować charakter pisma.

– No to spójrzcie – powiedział tonem magika, który zaraz zademonstruje sztuczkę. – Zacznijmy od tego, że e to najprawdopodobniej wcale nie jest e, tylko szlaczek leniucha. Tak mówiła na to moja nauczycielka, gdy nie chciało nam się podnieść długopisu i pisaliśmy dwa słowa jednym ciągiem z taką właśnie falbanką. Zresztą widać to też przy innych wyrazach. Zobaczcie, prawie zawsze wygląda tak samo, choć wcale nie jest literką. Niczym nie jest. Usuńmy je więc.

To powiedziawszy, odwrócił ołówek i wygumował zbędną samogłoskę.

– Teraz mamy dwa wyrazy, a właściwie wyraz i skrót. Teraz załóżmy, znowu w oparciu o inne wyrazy w tym notatniku, że mogliśmy się pomylić i to duże U to wcale nie jest U tylko…

Przerwał, zachęcając, by włączyli się do jego wywodu. Oni jednak nie podłapali zabawy. Spojrzenia, jakie wymienili nad kartką, świadczyły, że domyślili się już chwilę temu.

McShane odsunął się od biurka, opadł na krzesło i zapalił papierosa. Zaciągnął się raz, wstrzymał dym, wypuścił. Zaciągnął znowu. Wstrzymał. Wypuścił.

– Byłoby łatwiej, gdyby użył nazwiska – powiedział w końcu. – Samo Gość NS niewiele nam mówi.

Evans zakołysał wyciągniętą dłonią. I tak, i nie, mówił ten gest.

– Wiemy, że spotkał się z kimś z NS przynajmniej trzy razy – powiedział. – Może mieli go na oku, coś zauważyli, przesłuchiwali, próbowali skłonić do współpracy.

– Mógł zginąć właśnie dlatego, że ktoś bał się wsypy – podpowiedział Alfie, ale tej sugestii inspektor i agent nie zaszczycili nawet spojrzeniem. Bo kto? Thornini? Räu? To dlatego go potem szukali, jednocząc siły?

– Zadzwonisz podpytać? – Evans zwrócił się do McShane’a.

Ten podrapał się po policzku i zrobił grymas, który mógł, ale nie musiał oznaczać uśmiech.

– A darujesz sobie to przesłuchiwanie Perro?

Inspektor nie zamierzał dawać po sobie poznać, że choć faktycznie jeszcze rano miał to w planach, przez całą tę sprawę z notatnikiem w zasadzie o tym zapomniał.

– Na pewno nie zrobię tego, zanim nie zjem obiadu – stwierdził, siląc się na obojętność.

McShane myślał przez chwilę, czy ta odpowiedź go satysfakcjonuje. Zerknął na zegarek i tak samo jak wcześniej postukał palcem w szybkę.

– Na początek wystarczy – stwierdził w końcu.

***

Materiały rzucone na jej biurko były tak dobre, tak konkretne i, zdawałoby się, kompletne, że miała ochotę go uściskać. Jednak kilka godzin w dusznych archiwach, a do tego kanapka z sosem majonezowym zjedzona w pośpiechu, na powrót uczyniły go starym Phillem z ciemnymi plamami pod pachami i tłustą na przodzie koszuli. Ostatecznie ograniczyła się więc do uściśnięcia mu dłoni, uśmiechu i zapewnienia o dozgonnej wdzięczności.

Widać wystarczyło mu to w zupełności, bo promieniał i prężył tę swoją obwisłą pierś niczym do orderów. Jedyne, o co zapytał, to czy Palla powie mu kiedyś, po co to było.

– Oczywiście, Phill – zapewniła, wierząc w to z całego serca. – Pewnie nawet niedługo.

Odszedł w pełni usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

Niecałą godzinę zajęło jej przedarcie się przez gąszcz wyselekcjonowanych przez Philla plotek, artykułów, notatek. W końcu udało jej się możliwie rzeczowo odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie zadał jej McShane. Gdy skończyła, odchyliła się na krześle, zaplatając ręce na karku i przymknęła oczy. Zaraz się jednak poderwała, słysząc nad sobą drwiący głos Hanka Jacoby’ego.

– Więc jednak rubryka plotkarska, di Neve? – kpił, patrząc na rozłożone na jej biurku kopie wycinków. – Wiedziałem, że długo nie wytrzymasz w prawdziwej reporterce.

– Pieprz się, Hank – burknęła, pochylając się nad biurkiem. Poskładała papiery i wrzuciła je do teczki.

– To propozycja, di Neve?

– Raczej zalecenie. Zapłać jakiejś niewybrednej panience z Grobli i potraktuj to jak wydatek na cele zdrowotne.

Prychnął, a ona z miejsca pomyślała, że tak reagują tylko obrażone stare baby w teatralnych komediach pisanych w ubiegłym stuleciu. Naraz wyobraziła sobie Jacoby’ego w sukni na kole i z maleńkim kapelusikiem wpiętym w ulizane włosy. Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Dobrze, że chociaż ty uznajesz to za udany żart – stwierdził Jacoby i odszedł. Patrzyła za nim, nie przestając się śmiać, po czym podniosła słuchawkę i wykręciła numer komendy głównej policji. Poprosiła o połączenie z biurem McShane’a, a gdy okazało się, że nikogo tam nie ma, z biurem Evansa. Odebrała Agnes i powiedziała, że powinna spróbować za pół godziny, bo wtedy wrócą z obiadu. Podziękowała.

Jeszcze raz sprawdziła, czy ma wszystko, czego jej trzeba, i uznała, że pół godziny to akurat czas, jakiego jej trzeba, by dotrzeć z redakcji na Podgardle. Ubrała się, zapakowała teczkę i notatki do torebki i wyszła z biura.

Na dole zawahała się, rozważając, czy nie zdecydować się aby na spacer. Dzień był ładny jak na to miasto, skąpany w łagodnych szarościach, powietrze niemal przejrzyste. Ciepło, więc nie tak kolorowo jak zwykle – zamiast jaskrawych płaszczyków stonowane zielenie, niebieskości, brązy, dostojna czerń. Twarze ludzi, rumiane, zaczerwienione pośpiechem, a taksówki nieodmiennie żółte. Nic tylko malować.

W końcu jednak zdecydowała, że czas jest ważniejszy, i machnęła ręką, a jedna z sunących drogą kanarkowych gablot zjechała lekko na bok i zatrzymała się tuż przed nią.

– Na komendę główną policji – poleciła i dopiero wtedy upewniła się, czy ma przy sobie dość pieniędzy.

Ruch był umiarkowany, więc podróż zajęła jej nieco ponad kwadrans. Wysiadła przy schodach, zanim jednak po nich weszła, zdecydowała się jeszcze na gorącą kawę i precla z małego rowerowego straganiku.

Sprzedawca, młody Czarnoziemiec z sypiącym się rzadkim wąsem, rzucił jakimś żartem, ale nie usłyszała początku, a sama puenta nie wystarczyła, by ją rozbawić. Zostawiła mu za to drobne z reszty, a on wylewnie podziękował.

– Już, już – uśmiechnęła się. – Kawa będzie za słodka.

Gryząc precla małymi kęsami, pokonała schody, przy wejściu dopiła kawę i już miała wejść do budynku, gdy dostrzegła wspartego o kolumnę McShane’a. Agent palił, gapiąc się w stronę morza. Nucił coś cicho, ale nie znała tej melodii. Cisnęła niemal pusty kubek do kosza i podeszła.

– Oszczędził mi pan szukania pana, McShane – powiedziała.

Odwrócił się nieco zaskoczony, zaraz jednak uśmiechnął się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Papierosa? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Odpowiedzi – odparła. – Mam to, czego pan potrzebował.

Poklepała torebkę, a potem w nie do końca świadomym odruchu docisnęła ją do boku ramieniem. Jakby się bała, że agent ją wyrwie i pogna gdzieś, śmiejąc się szyderczo. Jak gnom z bajki dla dzieci albo którejś z opowieści ze Świętej Księgi.

Najpierw Jacoby jako kwoka, teraz McShane jako gnom. Czy ty aby nie przesadzasz z tym dobrym humorem, moja panno, upomniała się w myślach głosem swojej matki. Pewnie to przez ten dzień. Pewnie przez pogodę.

– Kawy? – zaproponował agent.

– Herbaty raczej – odparła, a potem ze zdziwieniem zauważyła, że zamiast do wnętrza budynku agent ruszył w dół schodów. – Nie idziemy do pana?

Przystanął, odwrócił się i podrapał po głowie, udając zafrasowanie.

– Głupio mi było powiedzieć to rano, skoro już była pani pod drzwiami, ale jestem tradycjonalistą. Zanim u mnie, to jednak kawiarnia i rozmowa.

Puścił jej oko i ruszył w dół, nie czekając. Palla westchnęła cicho i podążyła za nim.

***

Usiedli przy dwuosobowym stoliku, na podwyższeniu będącym w zasadzie szerokim parapetem okna wystawowego. Zamówili on kawę i ciastko, ona tylko herbatę. Wyciągnęła teczkę i położyła ją na stole, a McShane natychmiast do niej sięgnął.

– Nie tak szybko, agencie. Najpierw powie mi pan, po co to panu.

Przejechał ręką po twarzy i westchnął. Nie wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu sprawy. Czyżby miał nadzieję, że bez tego się obejdzie? Że rzeczywiście w taki czy inny sposób wykorzysta ją, zabierze to, co przyniosła, i po prostu odejdzie?

Mocniej docisnęła teczkę i spojrzała na McShane'a wyzywająco.

– Ufamy sobie? – zapytała.

Zaśmiał się cicho, ale wiedział, że nie ma wyboru. Nie, jeśli chce zajrzeć do teczki. Poczekał więc, aż kelner postawi przed nimi ich zamówienia i się oddali, po czym dwukrotnie poinformował Pallę, że na razie to tylko teorie, a w dodatku ujawnienie ich zagrozi śledztwu, za co jest paragraf.

– Nie musi mi pan grozić, agencie – odparła spokojnie dziennikarka. – Mamy umowę i zamierzam się jej trzymać. W moim interesie jest żyć z panem dobrze, czyż nie?

Przyznał jej rację. Zanim się w końcu odezwał, zdążył rozdziubać widelczykiem pół ciastka.

– Wiemy, kto zabił Wolfa – powiedział.

Palla musiała przyznać, że to było mocne wejście, warte czekania. Serce zabiło jej szybciej na myśl, że być może to właśnie ona zamknie temat, którym żyło miasto. Być może to jej przyjdzie w udziale dać odpowiedź na kłębiące się pytania.

Drugim, co przemknęło jej przez myśl, było spostrzeżenie, że naprawdę szybko się uwinęli. Bo przecież ile minęło? Niecałe dwa dni?

– Macie go? – zapytała w końcu, by przerwać przedłużającą się ciszę.

McShane pokręcił głową.

– Ją – poprawił. – I nie, nie mamy. Nie wiemy nawet, gdzie szukać.

– To kobieta? – zdziwiła się.

Przytaknął, a zaraz potem uśmiechnął się smutno.

– Zawsze wiedziałem, że to zrównanie praw to nic dobrego – stwierdził, ale chyba sam sobie zdał sprawę ze słabości tego żartu, bo tylko machnął widelczykiem, skubnął ciastko i włożył kawałek do ust.

Dopiero gdy przełknął i zapił kawą, podjął przerwany wątek. Dłużyło się to wszystko niemiłosiernie, ale choć w środku skręcało Pallę z ciekawości, na zewnątrz nie dawała po sobie poznać zniecierpliwienia. Czekała, co jakiś czas podnosząc tylko filiżankę i dotykając ustami miejsca oznaczonego już szminką.

– Wiemy, kto zabił – powtórzył agent – ale dużo ważniejsza jest odpowiedź na pytanie: dlaczego. Uważamy bowiem, że było to w pewnym sensie zabójstwo na zlecenie, że wykonawca, zabójca, zrobił to w czyimś imieniu i że ma to wszystko w pewnym sensie… – zawahał się – podłoże religijne.

Zmarszczyła czoło.

– W jakim sensie?

– Zamknięcie rozdziału – wyjaśnił. – Będzie pani miała coś przeciwko, jeśli zapalę?

Pokręciła głową. Nagle to wszystko miało sens. To, co kazał jej zrobić, co kazał jej zebrać. Każdy artykuł, plotka o relacjach między Lindtbergami a Wolfem były… szukaniem motywu. Teraz to do siebie pasowało!

Wzięła głębszy oddech.

– Sądzi pan, że to Greta Lindtberg zleciła…

Syknął, przykładając palec do ust.

No tak, głupia, skarciła się w myśli. Rozejrzała się nerwowo, ale chyba żaden z pozostałych klientów kawiarni nie usłyszał, o czym rozmawiają. Zdecydowanie jednak powinna być ostrożniejsza.

– Wtedy, na przyjęciu, rozmawiałem z nią – powiedział McShane. – Zastanowiło mnie, dlaczego jest bez brata, dlaczego nie nosi żałoby. To, co mi powiedziała, w jakimś sensie rozwiało moje wątpliwości, ale jak widać nie do końca. Powiedziała, że jej brat był w Wolfa ślepo zapatrzony, ale ona uważała, że inspektor wykorzystuje ich wdzięczność za uratowanie ich z tamtego porwania i naciąga Słodkiego Lindtberga na pieniądze. Jest powód, by zerwać kontakty, niekoniecznie, by zabijać, więc odpuściłem.

Skinęła głową.

– Ale wie pan, że odnośnie do tego uwolnienia to krążą pogłoski…

– Że Wolf wcale nie był taki czysty i bohaterski? Oczywiście, że wiem. Sam miałem sporo podejrzeń. Nigdy nie byłem religijny.

Pytająco uniosła brew.

– No, że w takich sprawach przypadkiem bohater po prostu zjawia się, gdzie trzeba, i robi, co należy – wyjaśnił. – To dobre do księgi Bajarza, ale nie sprawdza się w życiu.

Znowu zrobił przerwę na łyk kawy i kawałek ciastka. Ze słodkiej masy wydłubał też rodzynkę i odsunął ją na skraj talerzyka.

– A potem Alfie rozpoznał zabójczynię na zdjęciu z księgi Perro, którym zafascynowana jest Lindtberg.

– Zaraz, zaraz. – Palla aż się wyprostowała. – Jak to: rozpoznał?!

Po minie agenta widziała, że jest na siebie wściekły. Zdał sobie sprawę, że powiedział więcej, niż zamierzał, i teraz zastanawia się, jak to odkręcić. Był sprytny, pewnie gdyby dała mu chwilę więcej, wymyśliłby jakieś przekonujące kłamstwo. Musiała więc uderzyć natychmiast.

– Alfie Moore był świadkiem zabójstwa Wolfa, tak? – upewniła się. – To dlatego szukał go Thornini.

– Poniekąd – niechętnie przyznał McShane i zaraz doprecyzował: – Znaczy, poniekąd świadkiem. Nielegalnie zastępował wtedy Mikrusa w taksówce i wiózł zabójczynię do Wolfa.

Pokiwała głową. Dlatego zginął jego współlokator. Logiczne. Cała reszta też do siebie pasowała. Tylko z tą Lindtberg… Niby możliwe, niby jakoś pasowało, ale jednak… cholera za dużo „gdyby”.

Na znak dobrej woli przesunęła teczkę po blacie w stronę agenta, ale nie zdjęła z niej dłoni.

– Ostatnie pytanie, zanim zajrzy pan do środka, panie McShane. Co z tego, co może się tu znajdować, mogłoby pana przekonać do tej teorii?

Nie odpowiedział i po prostu sięgnął po teczkę. Pozwoliła mu i obserwowała, jak przegląda jej zawartość, a zwłaszcza odpowiedzi na swoje pytania. Skupił się na ostatnim, do którego Palla dopięła spinaczem wycinek z gazety. Na widniejącej tam fotografii stały rozbawione bliźniaki Lindtberg i nieco naburmuszony, jak zawsze zasłaniający twarz inspektor Wolf. Cała trójka ubrana elegancko, data wydarzenia została wytłuszczona w tekście pod zdjęciem. Mimo to McShane wolał się upewnić:

– To rzeczywiście jest zdjęcie sprzed tygodnia?

– Tak – przyznała Palla. Wiedziała już, do czego zmierza. – I owszem, nie wyglądają tu z Gretą na skłóconych.

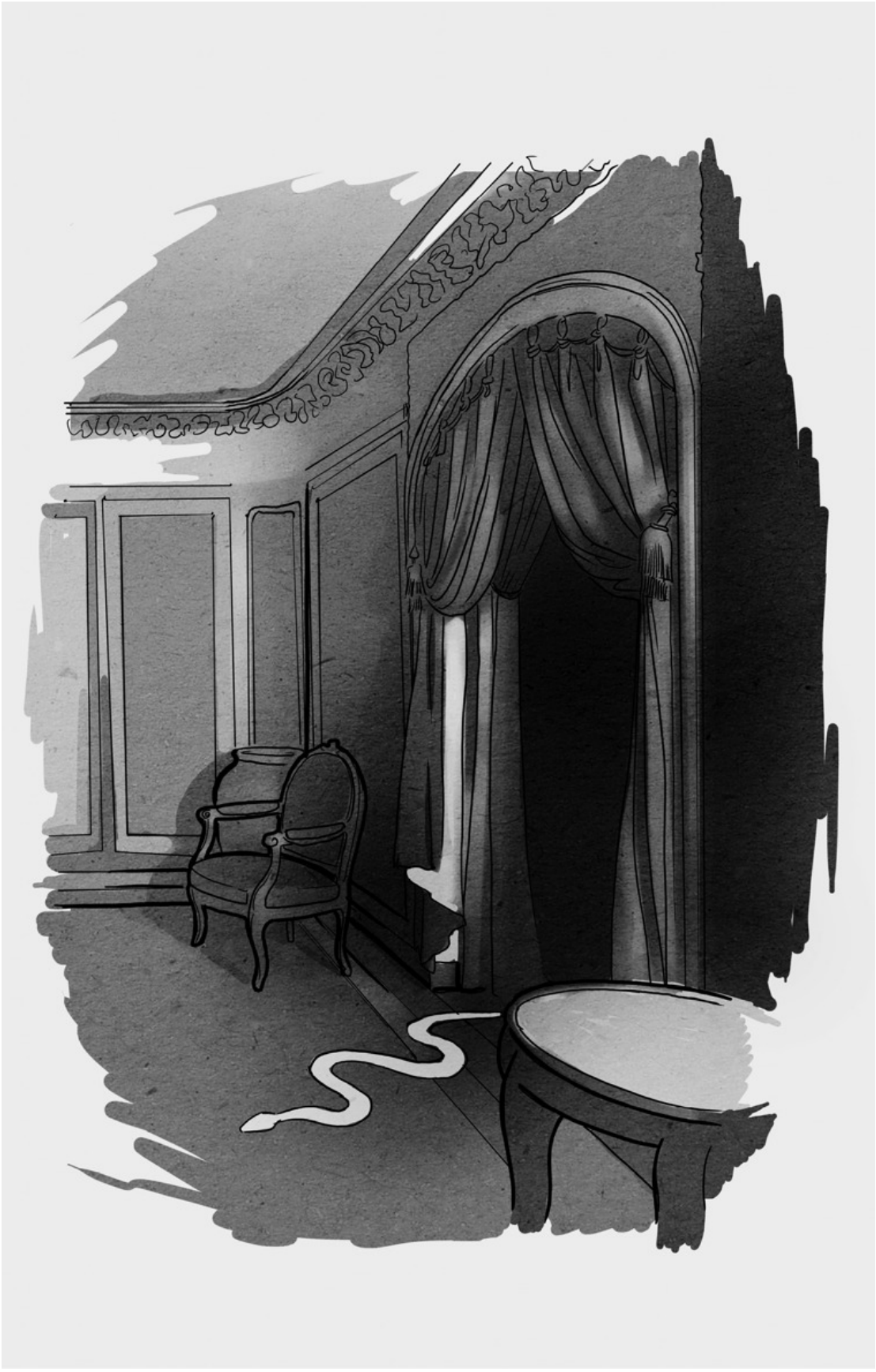

Rozdział 14

– I co? Dzwoniłeś? – zapytał Evans, ledwie tylko McShane wszedł do biura.

Alfie również spojrzał na agenta wyczekująco. Na jego twarzy coraz wyraźniej odcinały się ślady po szarpaninie z Mortem, ale i wciąż błądził promyk triumfalnego uśmiechu z dokonanych odkryć. Patrzył, jakby chciał wiedzieć, co agent zrobił z jego odkryciem.

– Dzwoniłem – skłamał McShane. – Mają mi dać znać wieczorem albo w nocy.

Evans skubnął wąsa.

– W nocy?

– Szlachetna Posługa nie zna takiego pojęcia jak „po pracy”, Evans – wysapał, opadając na krzesło. A sprawa jest delikatna i nie można tak na łapu-capu. Zresztą Wolf nie żyje i to się nie zmieni, a tropy, które mamy, nie wystygną nam w jeden dzień, nie?

Evans przyjrzał się agentowi, jakby czegoś szukał w jego twarzy. W końcu opuścił wzrok na teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

– Akta Perro – odpowiedział na pytające spojrzenie McShane’a. – Wiedziałeś, że był żołnierzem?

– Tak bym wnioskował z pokancerowanej gęby. Równie dobrze mógł być bandziorem.

– A, to też. – Evans szybko przekartkował akta i wyjąwszy gęsto zapisaną kartkę, podał ją McShane’owi. – Robił kiedyś dla Stirllo na południu jako szeregowy siepacz, a potem opiekun dziwek. Był też rolnikiem, woźnym w sądzie, a nawet… O, tam, na drugiej stronie zobacz. Nawet katem. Dużo, nie? Alfie mówi… Jak ty to powiedziałeś?

Muzyk podrapał się po skroni, jakby właśnie został wywołany do tablicy.

– No, chodzi o to, że jak on tak głosi to domykanie opowiadań, wątków w swoim życiu, to… – Zawahał się, a potem uśmiechnął niepewnie. – No, taką książkę tobym przeczytał!

Evans łypnął na muzyka i potrząsnął głową.

– Wcześniej jakoś lepiej to ująłeś – stwierdził. – No ale tak czy siak, nasz ojczulek ma obycie, a do tego, czekaj, gdzieś to mam… O, siedział też w psychiatryku. Spójrz. To tam się niby nawrócił i od tamtej pory działa jako edytor. Same sukcesy, szkoła dla młodych, różne programy.

Po kolei wyjmował kartki i kładł je przed McShane’em. Do każdej z nich przyczepione były zdjęcia młodych mężczyzn o buntowniczym wyrazie twarzy.

– Aż dwudziestu jego podopiecznych to obecnie żołnierze – mówił dalej Evans. – Sześciu to, jak on, epizodystyczni edytorzy, o reszcie mało co wiadomo. Rozjechali się po Królestwie, a może i dalej. Tej dziewczyny ze zdjęcia nie udało nam się namierzyć.

McShane przeciągnął się i wstał. Podszedł powoli do tablicy i nagle bardzo szybko się odwrócił, jakby właśnie na coś wpadł. A może do niego dotarło…

– Czekaj, czy ty aby nie…

– Tak, dupku, triumfuj – westchnął ciężko Evans. – Zaczynam się zastanawiać czy tam, w masarni, nie miałeś racji z tą swoją dziwną teorią. No, jedną z nich w każdym razie.

Zamiast obnosić się niewątpliwym sukcesem, McShane zaplótł ręce na piersi, zmarszczył czoło i ściągnął usta, wlepiając wzrok w ścianę, jakby coś rozważał.

– No to skoro znowu jesteśmy na tym samym brzegu – odezwał się w końcu – to teraz chyba mogę ci powiedzieć. Nie dzwoniłem do NS, bo w zasadzie mało kogo tam znam i nie wiem, z kim miałbym w ogóle gadać, od kogo zacząć. Poza tym musiałem się przygotować do innej rzeczy. Czegoś, co ściągnie nam na łeb, pewnie zwłaszcza tobie, niezłe gówno.

– Co takiego?

– Spotkałem się przed chwilą z pewną osobą… Alfie, wiesz o kogo chodzi…

– Di Neve? – upewnił się muzyk.

– Ta dziennikarka ze „Spokestad”? – dopytał Evans, śląc jasny sygnał, że jednak w jakimś stopniu trzyma rękę na pulsie miasta.

– Tak i tak – odpowiedział McShane. – Spotkałem się z nią, bo rano poprosiłem ją o przysługę, Alfie wie jaką…

– Chuj mnie obchodzi co wie, kurwa, Alfie! – krzyknął inspektor. – Mówże normalnie, na Święty Wątek!

McShane skrzywił się, ale tylko zaczerpnął tchu i w kilku słowach wyjaśnił Evansowi, co zauważył i usłyszał na przyjęciu, o co prosił Pallę i czego się od niej dowiedział. Tego, co zamierza zrobić, wyjaśniać już nie musiał. Łatwo się było domyślić.

I Evans oczywiście się domyślił. Stopniowo jakby opadał na niego niewidzialny ciężar. Zgarbił się, skurczył w fotelu, jakby był balonem, z którego spuszczono połowę powietrza.

– Nie rozwiążemy tego – stęknął, jak nie on. – Pogrzebią nas z tym pomysłem, jeszcze zanim ona dojedzie tu na przesłuchanie, choćby i jako świadek. Greta Lindtberg to nie jest anonimowy tłuścioch z Memoire, kłujący ludzi w oczy swoim bogactwem. Pół miasta zażera się słodyczami, na których opakowaniach widnieją równie słodkie buźki jej i jej braciszka. Drugie pół marzy, by choć raz w miesiącu sobie na to pozwolić. Słodycz, McShane, słodycz wcielona, w dodatku to przecież jebane ofiary! Zniszczą nas, zlinczują za samą sugestię, że coś… Ech, kurwa.

Oparł łokcie na blacie i oddychając głęboko, ukrył twarz w dłoniach.

Alfie patrzył na inspektora, jakby mu współczuł. Zważywszy na sytuację muzyka, fakt, że pewnie nadal był numerem jeden na liście poszukiwanych przez sojusz dwóch największych rodzin w Grimm City, było to co najmniej zabawne.

McShane zapalił papierosa i podszedł do okna. Patrzył na kopułę ratusza, na wieżę, zegar na niej i rozciągający się za nim park.

– Pomyśl, że wtedy przynajmniej domkniesz ten wątek życia z hukiem – powiedział. – Myślę, że Perro by to docenił…

– Spierdalaj, McShane. Teraz naprawdę – mruknął inspektor.

I wtedy Alfie zamrugał gwałtownie, przymknął oczy i przez chwilę poruszał ustami, jakby coś mówił, choć zdecydowanie nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. A potem, ot tak po prostu, uratował sytuację po raz trzeci.

– Ja myślę, że jest na to jeszcze jeden sposób – stwierdził, rozglądając się za kartką i czymś do pisania. – Znaczy, rozmawiałem z nią wczoraj, w sensie z Gretą Lindtberg, i jeśli dacie mi kwadrans… no, może dwadzieścia minut, to powinienem być gotowy.

***

Na zapałkach znajdowała się reklama pasty do butów Chiko. Miała świetny marketing, Mort musiał to przyznać, ale sama w sobie była do niczego. Źle się rozsmarowywała, zbijała w grudki, a zdarzały się i kredowe zanieczyszczenia. Same zapałki wydawały się jednak w porządku i paliły się aż miło, mimo lekkiego, wilgotnego wiatru, a przecież o to chodziło – nie o opakowanie.

Większość ławek na maleńkim skwerku była czysta, on jednak wybrał sobie taką odludną, na uboczu, którą musiał najpierw przetrzeć chusteczką, a potem jeszcze sprawdzić palcem, czy nie ubrudzi sobie spodni. Usiadł, położył obok siebie zapałki i wyjął z kieszeni kilka złożonych na pół kartek.

Przyglądał się koślawemu pismu inspektora Wolfa, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście jest tu wszystko, co wcześniej znalazł. I że kartki wyciął tak, by to, co zostało, nie odnosiło się do tego, co usunął.

Nie było w tym, co zrobił, nic złego. Nie czuł się jak oszust, który sprzeniewierzył dar losu. Bardziej jak jeden z tych cwaniaków, którzy potrafią wszystko obrócić na korzyść swoją i bliskich. Zresztą to, co zapisano w notesie na temat pana Dragosavalija, nie było niczym strasznym. Ot, drobiazgi. Ot, interesy. Ale w kontekście całej reszty mogłyby rzucać na niego złe światło.

Nikt tak dobrze jak Mort nie wiedział, jak dobrym człowiekiem jest Eugene Dragosavalij, bo i pewnie nikt tyle mu nie zawdzięczał. Pewnie więc nawet gdyby w notesie był wykaz jego najstraszliwszych zbrodni, kamerdyner zrobiłby z kartkami to samo. Wtedy jednak mógłby czuć coś zgoła innego niż duma i samozadowolenie.

A tak? Szybkim potarciem zapałki o draskę przywrócił opowieści właściwy porządek. Rola pana Dragosavalija w historii inspektora Wolfa właśnie się zakończyła.

***

Rezydencja Lindtbergów przy Memoire była drugą co do wielkości prywatną posesją w całym Grimm City. Kilkanaście lat wcześniej stanowiła numer jeden, ale w całym tym zamieszaniu związanym z porwaniem Słodki Joe uznał, że raz, zbyt trudno upilnować taką przestrzeń, a dwa, nie powinien aż tak się obnosić ze swoim majątkiem. Był jeszcze trzeci powód i to za jego sprawą jedna z trzech sprzedawanych działek, ta z zielonym

zagajnikiem i małą, obłą sadzawką, poszła za mniej niż jedną trzecią swej rynkowej wartości. Bo to właśnie tam się to wszystko stało, tam się zaczęło. Przy huśtawce zawieszonej na konarze wielkiego dębu. Chwila nieuwagi i…

Feralne drzewo zrąbał potem osobiście, ale jak się szybko okazało, to nie wystarczyło, by uspokoić skołatane nerwy.

Podobno nawet teraz, po tylu latach, gdy po zagajniku nie został nawet ślad – a w jego miejscu wyrósł ładny dwupiętrowy domek – Słodki Joe Lindtberg starał się w tamtą stronę w ogóle nie patrzyć. A nowych sąsiadów, którzy się tam wybudowali, witał chłodno i ucinał wszelkie ich próby zawiązania przyjaźni.

Lecz choć pomniejszona o ponad połowę, posiadłość rodziny cukierników potentatów i tak była ogromna i wciąż robiła na Alfiem wrażenie. Do wielkiego czterokondygnacyjnego pałacu wiodła od złotej bramy szeroka brukowana droga zwieńczona okrągłym placem. Na jego środku stała fontanna z krasnalami ze Świętej Księgi uwijającymi się przy maszynach do robienia czekolady. Na lewo od rezydencji wznosiły się stajnie, stodoła i kilka szop na narzędzia, a spinały to wszystko drewniane płotki, dokładnie takie same jak te okalające ogromny wybieg dla koni. Na prawo, za parkiem, stawem z mostkiem i wysepką oraz małym, nigdy jeszcze nieużywanym placem zabaw, stał jednopiętrowy domek dla gości z imponującym drewnianym tarasem. To właśnie tam zmierzał, zgodnie z poleceniem strażnika przy bramie.

Na owym tarasie, na leżaku i z drinkiem w dłoni, wyciągała się Greta Lindtberg. Ubrana tylko w zwiewny szlafroczek narzucony na nieprzyzwoicie skąpy kostium plażowy i wielkie na pół twarzy okulary słoneczne przyglądała się Alfiemu idącemu ku niej żwirową ścieżką.

Gdy muzyk znalazł się zaledwie kilka kroków od tarasu, podniosła się, przysłoniła szlafroczkiem i odstawiła drinka na stolik, obok podciągniętego tu telefonu.

– O, pan Moore – powiedziała uprzejmie, ale jakoś tak, od razu to zauważył, sztucznie, nieobecnie. A może to tylko jego projekcja? – Uprzedzono mnie przed chwilą, że pan do mnie zmierza. Miła niespodzianka, napije się pan czegoś?

– Dzień dobry panno Greto – skłonił się. – I tak, chętnie, byle mocne i kwaśne.

Wstała z leżaka, obciągnęła szlafroczek i wyciągnęła rękę w stronę muzyka. Wszystko jak należy, ale Alfie coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że coś jest nie tak. Dostrzegł w jej ruchach jakąś nerwowość, sztywność. Spięcie. Czyżby wiedziała, po co tu jest? Ujął podaną dłoń, nachylił się do niej, starym zwyczajem ani na moment nie odrywając od gospodyni wzroku.

– Zapraszam do środka, panie Moore – zaproponowała. – Opowie mi pan, co pana dziś sprowadza i gdzie też pan zniknął zeszłej nocy.

Ruszyła w stronę rozsuniętych przeszklonych drzwi, by zaraz zniknąć za grubą kotarą. Alfie po chwili wahania podążył za nią.

– Wspominała pani o tych piosenkach – powiedział, wchodząc do skąpanego w półmroku saloniku. – I tak sobie pomyślałem, że chyba znam jedną i…

Urwał w pół słowa i zamarł. Na kanapie w salonie siedziała bowiem, mierząc do niego z pistoletu, dziewczyna z taksówki. Czerwony Kapturek.

– No nareszcie, Alfie – przywitała się. – Ileż można czekać?

Przełknął ślinę, niezdolny, by wypowiedzieć choć słowo, i gapił się na nią. Na jej zgrabną nogę wyciągniętą na blacie ławy, na męską koszulę opinającą zgrabne piersi. Na złote włosy okalające tę prześliczną twarz wróżki i opadające falami na idealne ramiona. Siedziała tam, piękna, jak ją pamiętał, jak o niej śnił i … wciąż mierzyła do niego z pistoletu.

– Usiądź – powiedziała, wskazując lufą wolny fotel. – Rozumiem, że mogę pozdrowić panów Evansa i McShane’a i doskonale mnie teraz usłyszą, prawda?

Muzyk uciekł spojrzeniem w bok, jakby szukał pomocy w Grecie Lindtberg, ale ta, wsparta teraz o blat oddzielający salonik od kuchni, najwyraźniej ani myślała się wtrącać. Przyglądała się tylko z ciekawością, miętosząc w palcach zawiniętą w papierek krówkę.

– Słyszą, prawda? – powtórzyła Kapturek nieco głośniej, choć wciąż pogodnym, radosnym wręcz głosem.

Powoli skinął głową, a potem najostrożniej, jak mógł, wspierając się rękami na masywnych oparciach, osunął się na fotel.

– Dobrze. – Kapturek ściągnęła nogę z ławy i usiadła w lekkim rozkroku, pochylona do przodu. Lufa pistoletu powędrowała w dół, najwyraźniej w geście dobrej woli, ale Alfiemu ani było w głowie sprawdzać, jak szybko dziewczyna może znowu ją unieść i wystrzelić. Coś w pewności jej ruchów

mówiło mu, że jest znakomitym strzelcem. – To znaczy, że, jak zakładam, sprowadza cię tutaj, drogi Alfie, śmierć inspektora Wolfa, tak?

Raz jeszcze skinął głową, zastanawiając się, co teraz robią inspektor i agent. Szturmują wejście? Dzwonią po pomoc? Nadal siedzą w furgonie z nasłuchem? W sumie to ostatnie było najbardziej prawdopodobne i w zasadzie na razie najsensowniejsze. Lindtberg i Kapturek wiedziały, że są nagrywane, i przynajmniej jedna z nich nie mogła liczyć na to, że uda jej się po prostu zniknąć.

– Mieliśmy powody przypuszczać…

– Tak, wiem – zaśmiała się Kapturek i, na Bajarza!, ależ ona miała cudowny ten śmiech! – Greta opowiadała mi, jak wczoraj zareagowałeś na fotografię. Właściwie dlatego teraz tu jestem, choć przyznam, spodziewałam się, że będziemy musiały czekać na ciebie, na was, o wiele dłużej. Ale byłoby to konieczne, w końcu mamy sobie wyjaśnić parę spraw i pewne nieporozumienie.

– Nieporozumienie? – zdziwił się Alfie, a potem, zaskoczony własną śmiałością, zapytał: – Znaczy, chcesz powiedzieć, że nie zabiłaś inspektora Wolfa?

Znowu się roześmiała, tym razem odchylając głowę do tyłu. Alfie dostrzegł, że gdy tylko spuściła go na moment z oczu, Greta natychmiast się spięła i zacisnęła dłonie. Nie wiedział jeszcze, na co mu ta obserwacja, ale przeczuwał, że przy odpowiednim splocie okoliczności, może łucie szczęścia, jeszcze mu się przyda. Na razie jednak nie ruszał się, czekając, aż Kapturkowi minie wesołość.

– Och, Alfie, Alfie – powiedziała. – Naprawdę choć przez chwilę myślałeś, że to moja sprawka?

– Mówiąc szczerze, nadal tak myślę – przyznał. – Bo któż…

– Ja – odezwała się Greta Lindtberg. – Ja to zrobiłam.

Kapturek odwróciła się w jej stronę i westchnęła teatralnie, a potem przeniosła wzrok na Alfiego i rozłożyła ręce.

– No i szlag trafił suspens – powiedziała. – Mam chociaż nadzieję, że dobrze się nagrało. Mogą ci to jakoś powiedzieć, Alfie? Masz jakąś słuchawkę?

Potrząsnął głową. Właściwie to nawet nie wiedział, czy sprzęt działa. Mówili, że czasem szwankuje na większych odległościach albo gdy coś zakłóca fale. A ktoś taki jak Słodki Joe mógł przecież inwestować we

wszelkiego rodzaju zagłuszacze i inne tego typu szalone wynalazki dla bogatych paranoików. Więcej nawet, akurat on byłby na okoliczność takich wydatków usprawiedliwiony.

– No trudno – stwierdziła Kapturek. – W każdym razie, jak już słyszałeś, zrobiła to Greta, a ja, zawiadomiona przez naszego wspólnego przyjaciela, pojechałam tylko sprawdzić, czy nie narobiła tym sobie kłopotów, nie zostawiła śladów. Rozumiesz, Alfie, wtedy jeszcze zakładaliśmy, wraz z naszym przyjacielem, rzecz jasna, że Greta nie powinna iść do więzienia za…

– Zamknięcie rozdziału – dokończył za nią Alfie, a dziewczyna skinęła głową z uznaniem.

– Brawo! Ktoś, widzę, słuchał.

– Tak – przyznał muzyk i zaraz dodał: – Wasz przyjaciel wśród swych, podejrzewam rozlicznych, darów, ma też dar mowy i prostego tłumaczenia spraw zawiłych. Nikt przez całe życie nie wyłożył mi założeń religijnych odmian i odłamów tak jasno i klarownie jak ojciec…

– Przyjaciel wystarczy. – Lufa pistoletu znowu obrała za cel jego pierś. – Żadnych nazwisk. A może po prostu: bez tego nazwiska.

– No więc przyjaciel – Alfie zgodził się potulnie. – Mogę zadać pytanie?

Lufa wykonała pół młynka w górę, co chyba znaczyło, że może. Odwrócił więc głowę i przeniósł spojrzenie na Gretę. Ta najwyraźniej spodziewała się, że pytanie zostanie skierowane do niej, bo uśmiechnęła się leciuchno, ledwie unosząc kąciki ust, jakby właśnie wygrała w myślach zakład z samą sobą.

– Dlaczego? – zapytał Alfie i zaraz, nie będąc pewnym, czy to aż tak oczywiste, jak mu się zdaje, doprecyzował: – Dlaczego Wolf musiał zginąć?

– Nie musiał – stwierdziła cicho Greta Lindtberg. – Mógł żyć dalej, bo jego śmierć nic nie dała. Miała dać, ale to odkryłam dopiero po wszystkim…

Zrobiła parę kroków do przodu i usiadła na skraju kanapy. Alfie dostrzegł, jak uśmiecha się smutno, a potem jak jej wzrok błądzi gdzieś nad jego głową, zastyga na bliżej nieokreślonym punkcie, a spojrzenie przysłania mgiełka łez i wspomnień.

– Nie wiem, czy wiesz, Alfie, ale gdy nas uwolniono, tym, co interesowało wszystkich najbardziej, było to, czy nikt nie zrobił mi

krzywdy. Dojrzewałam szybko i dość szybko nabrałam kobiecych kształtów, dlatego gdy dziennikarze i zwykli gapie zauważyli ciała tych prymitywów zastrzelonych przez Wolfa i agentów NS, to była ich pierwsza myśl. Czy nikt mnie nie zgwałcił.

Obejrzała się na Kapturka, a ta wzruszyła ramionami. Chcesz, to mów, znaczył ten gest. Więc Greta mówiła.

– Wszyscy pytali o mnie, nikt nie pytał o mojego brata. A to jemu właśnie… jemu… przepraszam – przerwała i zupełnie nie jak dama wytarła nos w rękaw. – Jeden z tych bandziorów był pederastą i uznał, że skorzysta z okazji, skoro taki ładny… taki…

– Rozumiem – powiedział Alfie, starając się, by nie zabrzmiało to, jakby tracił cierpliwość. Bo naprawdę rozumiał.

– Po latach jakoś to oboje przepracowaliśmy – mówiła dalej Greta. – Terapeuci, edytorzy, różne szalone pomysły papy. Wreszcie Hans spotkał pewną dziewczynę, a ta poznała nas z ojcem Perro. Hans się nie wciągnął, odszedł, ale ja zaprzyjaźniłam się z tą jego koleżanką i zaczęłam uczęszczać na spotkania. A potem już indywidualnie spotykać się z… tak, panie Moore, nie musisz tak łypać. To jest właśnie ta koleżanka!

Kapturek zamachała do niego dłonią z lufą, na co tylko uśmiechnął się krzywo.

– Wcześniej byłam bajanką – mówiła Greta – ale niespecjalnie przykładną. Dopiero idea epizodów, a zwłaszcza ich zamykania, przemówiła do mnie, bo rzeczywiście czułam, że coś tam we mnie jest rozgrzebane, że w jakiś sposób śmierć naszych oprawców nie zasklepiła tamtych ran. Ani u mojego brata, ani u mnie. Zwłaszcza że wciąż nie wiedzieliśmy, kto go tak krzywdził. I wtedy właśnie przyszły akta.

– Akta?

– Tak, Alfie, akta – mruknęła Kapturek. – Naprawdę nie dosłyszysz czy bawisz się w echo? Brązowa koperta, w niej teczka z dokumentami. Akta.

– Aha – przytaknął, puszczając mimo uszu przebrzmiewającą w jej tonie drwinę. – Słucham dalej.

– Były na nich pieczątki z klauzulą tajności – kontynuowała Greta – zerwana plomba i kilka odręcznych adnotacji. Była też karteczka w środku, coś jakby liścik, zresztą pokażę ci potem. Było tam napisane, że to jedyny egzemplarz i że zrobię z tym, co uważam. Akta pochodziły z archiwum NS i dotyczyły Wolfa. Z nich dowiedziałam się, że nie tylko nie wszyscy nasi

oprawcy zginęli na miejscu, ale też, że jeden zgodził się zeznawać w zamian za ochronę i że zeznał, iż…

– Wolf brał w tym udział. Jako sprawca – dokończył za nią Alfie. Znał i tę historię, bardziej jednak jako plotkę, jakich pełno na mieście, taką, które powstają, gdy ludziom się nudzi i chcą w oczach znajomków uchodzić za mądrzejszych lub chociaż lepiej poinformowanych. Według nich Wolf był nawet nie tyle jednym ze sprawców, co mózgiem operacji. Człowiekiem, który zaplanował to wszystko i sprytnie wykorzystywał swój etat w policji, by na bieżąco wiedzieć, co się dzieje w sprawie. W sumie, biorąc pod uwagę pomysł na stworzenie fałszywego nowego gracza po to, by dwie największe rodziny mogły zawiązać pakt, akcja z kontrolowanym porwaniem wydawała się do niego pasować.

Po minie Grety zorientował się, że trafił, ale nie do końca. Że było coś więcej, że to, co zeznał ów świadek, a dziewczyna przeczytała w aktach, szło jeszcze dalej. Nasuwała mu się jedna opcja.

– To on, prawda? On krzywdził twojego brata.

Pokiwała głową, a potem odwróciła wzrok, by tym drugim, czystym jeszcze rękawem szlafroka przetrzeć oczy. Chwilę zajęło, zanim znowu podjęła opowieść.

– Gdy przeczytałam raport, nagle wszystko zaczęło mi się składać. Niuanse, drobiazgi, o których czasem Wolf nieopatrznie wspominał u nas w domu, odnosząc się do tamtych spraw. Nie miał prawa o nich wiedzieć, bo go tam nie było, a my nie mówiliśmy. Zresztą wypisałam to wszystko i dołożyłam do teczki, zobaczysz sam. Więc go zabiłam. Pojechałam do niego do domu, by z nim porozmawiać, a on mnie wpuścił i tak się uśmiechał, tak przymilał. A mną z każdym tym jego uśmiechem coraz bardziej trzęsło, aż wreszcie szklanka wody, którą mi podał, upadła na podłogę i się roztłukła. Sięgnęliśmy po nią i on coś do mnie mówił, ale jedyne, co widziałam, to tylko ostre szkło i jego szyję. Aż ręka zrozumiała i skojarzyła. A potem zadzwoniłam do ojca…

Kapturek przewróciła oczami.

– Przyjaciela – poprawiła znużonym tonem. – Wspólnego przyjaciela. I faktycznie, zadzwoniła, powiedziała, że zamknęła rozdział i że jedzie, bo musi porozmawiać. A gdy… nasz przyjaciel wysłuchał jej historii, wysłał mnie, bym sprawdziła ślady. Resztę już znasz, bo tam byłeś. Trochę się namieszało, co?

– Mój współlokator nie żyje.

Alfiego zaskoczył spokój w jego własnym głosie. Powiedział to ot tak, bez emocji, jakby przyznawał, że za oknem jest ładna pogoda. Może to ta wzmianka o szkle, która przywołała ową klatkę schodową i kawałek szyby? Może to właśnie sprawiło, że umysł odłączył się od emocji, jak przeciążony bezpiecznik, co przepalając się, przerywa obwód? Chrząknął w zaciśniętą dłoń, poprawił się w fotelu i dodał:

– Zabili go kumple Wolfa, pragnąc dowiedzieć się…

– Wolf nie miał kumpli – przerwała mu Greta, a jej głos brzmiał jak warknięcie. – Zwierzęta nie miewają kumpli.

– Może i nie – zgodził się Alfie. – Ale jego partnerzy w interesach byli bardzo ciekawi, co się stało. I przez to zginął człowiek. A nawet kilku. I mało co nie zginąłem ja.

– Tak, wiem – Lindtberg zwiesiła głowę.

– I stąd to nasze dzisiejsze spotkanie – dodała Kapturek. – Po waszym wczorajszym spotkaniu Greta zadzwoniła i powiedziała, że zmieniła zdanie i chce się poddać. Przyjechałam, by ją przekonać, że to zły pomysł. Zwłaszcza teraz.

– Znaczy uważasz, że kiedyś będzie lepszy? – zadrwił Alfie.

Kapturek jednak zupełnie poważnie pokiwała głową, a potem poprosiła Gretę, by przyniosła akta. Ta wstała bez ociągania. Można było odnieść wrażenie, że cieszy ją perspektywa zostania teraz samą, choćby na chwilę.

– Cały dzień się zastanawiałam… – zaczęła Kapturek, gdy gospodyni już wyszła. – Bo wiesz, gdy twoje życie opiera się na wierze w opowieść, w pewnym momencie zaczynasz też odruchowo pokładać wiarę w tym, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Że wszystko ma jakiś cel, ma przypisane sobie czas i miejsce. I wtedy nasuwa się jedno pytanie.

– Właściwie dwa – poprawił ją Alfie, po czym uniósł rękę i wyprostował najpierw palec wskazujący, a potem środkowy. – Kto przysłał akta i dlaczego. Albo dlaczego teraz.

Kapturek uśmiechnęła się smutno.

– Otóż to, panie Moore. Otóż to. Widzę, że szybko się pan uczy.

Zamilkli. Gdy wróciła Greta, obeszła kanapę, położyła na ławie grubą teczkę akt, a Kapturek musnęła jej rękę i zachęciła, by usiadła koło niej. Gdy to zrobiła, blondynka otoczyła ją ramieniem.

– Jest zabójstwo, jest ofiara i zabójca – powiedziała. – Greta chciała się przyznać i ja nie zamierzałam w żaden sposób jej w tym przeszkadzać. To jej opowieść. Ale też uważam, że jest w tej sprawie coś więcej. Coś, co łatwo można pogrzebać, jeśli teraz dokonacie aresztowania. Bo widzisz, Alfie, nasza wiara ma też drugą stronę, a mianowicie taką, że nie wolno domykać historii, które jeszcze nie wybrzmiały. I stąd właśnie ta rozmowa. To nasz z Gretą plan. Przyznanie się do winy. Macie je pewnie nagrane i teraz decyzja należy do was. Czy odkrywacie wszystkie karty i ograniczacie się do ujawnienia światu zabójczyni Wolfa czy na razie wszyscy siedzimy cicho, by być może dowiedzieć się… no nie wiem, czegoś więcej? Odkryć jakąś większą opowieść?

Pochyliła się i powiedziała do – jak założyła – mikrofonu zamocowanego na wysokości jego piersi Alfiego:

– To jak będzie, panowie?

***

McShane ściągnął z uszu słuchawki, odchylił się na maleńkim krzesełku i oparł głowę o ścianę furgonu. Patrzył na wciąż kręcące się szpule taśm, na całą tę skomplikowaną aparaturę podsłuchową, z której wypożyczeniem nawet Evans miał problemy. Pewnie, zważywszy na sytuację, ostatecznie zrobił to nie do końca legalnym sposobem.

Ale pomysł Alfiego był dobry i wart ryzyka i trudów. Dlatego się na niego zdecydowali, dlatego po raz kolejny narazili muzyka, choć w domyśle, w założeniach i zgodnie ze wszystkimi zasadami mieli go chronić. Pokusa była jednak zbyt silna, szansa zbyt duża. Choć chyba nawet w snach nie spodziewali się, że pójdzie im aż tak… dobrze? Źle? No właśnie…

Evans wciąż siedział zgarbiony, z łokciami na podciągniętych wysoko kolanach i dłońmi dociskającymi słuchawki do uszu. Jego twarz wyrażała najwyższe skupienie, więc agent uznał, że da mu chwilę i na razie wstrzyma się ze swoim pytaniem.

W końcu inspektor również zdjął słuchawki i obrócił się na krzesełku. Sapnął głośno i przejechał ręką po spoconej twarzy.

– Muszę stąd wyjść, bo się uduszę – stwierdził. Zgięty wpół przelazł przez całą długość furgonu i wyszedł na zewnątrz. Tam odetchnął głęboko

i sięgnął po papierosa. Przez chwilę męczył się z zapalniczką, która złośliwie nie chciała zadziałać. Musiał mu pomóc dopiero McShane, który wyszedł za nim i wyciągnął z płaszcza zapałki sztormowe.

– Co zrobimy? – zapytał agent.

Evans wzruszył ramionami. Zrobili parę kroków w stronę bramy. Inspektor zapatrzył się na mur okalający posesję Lindtbergów od reszty świata, na równy szereg drzew wystających ponad parkan. Na kopułę i wieżyczki rezydencji pyszniącej się w oddali. Zaciągnął się i wypuścił kłąb dymu.

– Najpierw musimy zobaczyć te akta, sprawdzić ich autentyczność – powiedział, choć obaj wiedzieli, że to akurat będzie formalność i problemem jest już następny krok.

McShane również zapalił. Pstryknął wykorzystaną zapałką, a ta nakreśliła w powietrzu kilka ognistych kółek, zanim zgasła między kamyczkami na drodze.

– Kimkolwiek jest ten ktoś, kto za tym stoi – zaczął – ten, prawdziwy, nie wymyślony nowy gracz, lubi się bawić ludźmi. Spotkania z Wolfem, potem te akta…

– Zakładasz, że to ten sam ktoś?

– A co mam, kurwa, założyć?! – uniósł się. – Że to całe pierdolone NS sprzysięgło się przeciw temu miastu i zakłada tu nową rodzinę?! Na święty wątek, Evans, to przecież niedorzeczne!

Inspektor uniósł papierosa do ust, wciągnął dym. Opuścił rękę, wypuścił obłok. Jego ruchy były automatyczne, jakby wykonywane bez udziału świadomości. Spojrzenie nieobecne, nawet wtedy, gdy odwrócił się, by spojrzeć McShane’owi w oczy.

– Akta Wolfa w NS. Mogłeś mieć do nich dostęp? – zapytał.

Górna warga agenta uniosła się groźnie.

– Zastanów się, co sugerujesz, Evans – warknął, ale inspektor tylko się lekko uśmiechnął. Oczy wciąż miał nieobecne, spojrzenie jakby za mgiełką.

– No przecież nie sądzę, że to ty, kretynie – zaśmiał się. – Chcę sprawdzić, jak wysoko ktoś musiał być…

– Nie, nie mógłbym – uciął McShane. – Nie bez specjalnych pozwoleń, biurokracji.

– A ktoś mógłby bez tego?

Agent potrząsnął głową z rezygnacją.

– Nie, Evans, nie tędy. Ja naprawdę nie jestem w tym wszystkim wysoko, ale myślę, że z setka ludzi… albo dwie.

– Zawsze to jakiś początek. – Evans znowu uniósł papierosa, ale tym razem wyżej, przed oczy. Przyglądał mu się, jakby nie wiedział, do czego służy, aż w końcu pstryknięciem posłał na ulicę. Pomarańczowy żar rozsypał się po asfalcie. – Też nie sądzę, że to wszystko, co się tu wydarzyło, dzieje się z polecenia Posługi – powiedział po chwili. – Wszystko jest szyte zbyt grubymi nićmi, wszystko w zasadzie prowadzi do nich. I wszystko zaczęło się teraz, gdy…

Spojrzał wymownie na McShane’a, ale ten najwyraźniej nie zrozumiał.

– Gdy co?

– Gdy się tu zjawiłeś – wyjaśnił Evans. – Gdy przekonałeś NS, że potrzebują tutaj biura. Posługa z jej możliwościami mogłaby solidnie nabruździć temu nowemu komuś w jego planach. Zmusić do dzielenia sił. No, chyba że się skompromituje.

McShane zastanawiał się nad tym, wpatrzony w bramę. W oddali, na wysypanej żwirem drodze, pojawiła się rosnąca z każdym krokiem sylwetka. Alfie szedł po odpowiedź.

– Ktoś podpowiedział Thorniniemu Gogginsa i dzikich. Ktoś ich polecił – powiedział w końcu McShane. – Z wiedzą o Shoroukich, jaką ostatnio nabyliśmy na szkoleniach NS, mógł wiedzieć, że zostawiają rytualne ślady. I mógł też założyć, że agent się domyśli.

– A ponieważ zna i twoje akta, wie, że zaczniesz drążyć. – Evans uśmiechnął się, tym razem szerzej, i skubnął wąsa. – Albo to, albo rzeczywiście pracujesz dla pazernych idiotów, którzy nieudolnie, za nasze podatki, przejmują to miasto.

McShane zaśmiał się cicho i pomachał do Alfiego, który był już przy strażniku. Ten uniósł dłoń na znak, że ich zauważył.

– Dobra, bo to już chyba czas, Evans – powiedział w końcu agent. – To twoja sprawa, Wolf znaczy, i to ty decydujesz. Zamykamy słodką Gretę za zabójstwo, a koleżankę i ojczulka za współudział w tuszowaniu czy…

– …idziemy na wojnę.

– No właśnie, czy idziemy…

– To była odpowiedź – stwierdził Evans. – Wolf był dupkiem i w końcu się doigrał, to raz. Dwa, że ta sprawa była za prosta, wszystko w zasadzie

na tacy, pewnie nawet bez Alfiego. Ile ci zajęło rozgryzienie, że coś nie gra z Lindtberg tam, na przyjęciu? Kwadrans? Pół godziny?

– Jakoś tak.

– No właśnie! A ja nie będę rozwiązywał swoich spraw pod dyktando jakiegoś tajemniczego dupka i zadowalał się ochłapami, które mi rzuci. No i trzy, czas wreszcie porządnie oczyścić to miasto.

McShane parsknął.

– Metaforycznie, idioto – żachnął się inspektor.

– A, chyba że tak.

Sięgnął po kolejnego papierosa, ale się rozmyślił i schował paczkę do kieszeni. Uznał, że poczeka na te od Alfiego, faktycznie były lepsze.

– Cholera. – Coś nagle przyszło mu do głowy.

– Co?

– Alfie. Musimy coś z nim zrobić, bo mało tego, że nie ściągnęliśmy mu z karku Paktu, to jeszcze jak się Dragosavalij dowie, kogo mu chłopak wkręcił na imprezę, będzie awantura.

Evans przewrócił oczami.

– Jakieś jeszcze nieciekawe prognozy, McShane?

Agent zastanawiał się przez chwilę.

– Di Neve – odparł w końcu. – Będzie niepocieszona.

EPILOG

Tej nocy nad miastem Grimm widać było księżyc i kilka gwiazd. Jakimś cudem przebiły się przez mgłę i smog, znalazły lukę, wydarły sobie kawałek nieboskłonu, stając się sensacją.

Tej samej nocy nastąpiły też kolejne trzy ataki w różnych częściach miasta. Zginęli kolejni postronni świadkowie, w tym jeden taksówkarz. Tym razem były to jednak tematy na stronę drugą, a nawet trzecią.

Tej nocy on, księżyc w pełni nad ponurym miastem Grimm, był ważniejszy.

POSŁOWIE

To miała być zupełnie inna historia. Gdy jednak dziś patrzę w swoje stare, pomięte notatki, te same, które dziesięć lat temu miały posłużyć za podstawę Grimm City, cieszę się, że odłożyłem, a nawet na jakiś czas porzuciłem ten tytuł.

Gdybym faktycznie napisał tę książkę zaraz po drugim *Kłamcy*, mielibyśmy dziś na rynku kolejną wariację na temat komiksowych *Baśni*. Nie znałem ich wtedy, nie wiedziałem, że istnieją, ale co z tego, skoro i tak nie opowiedziałbym tego lepiej? Ale nie napisałem. W sumie trudno mi powiedzieć czemu. Niby miałem wtedy wszystko, ale coś mi mówiło, żebym nie ruszał. Że schrzanię. I tak na pierwszy plan wyrwały się inne rzeczy: *Ciemność płonie*, potem wciąż niedokończone *Krzyż Południa* i *Ofensywa szulerów* (już się za nie wziąłem, słowo), wreszcie kolejne hity jak *Chłopcy* czy *Dreszcz*. W temacie miasta Grimm coś tam się jednak ciągle działo, zupełnie jakby na zrównanym do zera placu ktoś dyskretnie zaczął stawiać budowlane samowolki. Z podpierdóły, cichutko, pewnie pod osłoną nocy. Pomysł tu, obrazek tam…

I pewnego dnia zorientowałem się, że mam całe miasto i kilka opowieści z jego ulic. Zaskoczyło mnie to, ale uznałem, że głupio byłoby nie skorzystać. Ta była pierwsza, więc jako pierwszą ją czytacie. Ona otwiera tę przygodę. Witajcie zatem w moim mieście, mam nadzieję, że szybko się przyzwyczaicie. Moja rada? Nie kupujcie hot dogów w okolicach parku, bo robią je ze szczurów. Za to precle… precle są w porządku. Jeśli ciepłe.

Głuchołazy, 12 lutego 2016

Grimm City. Wilk!

Copyright © by Jakub Ćwiek 2016
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Redakcja – Joanna Mika
Korekta – Aneta Wieczorek / Editor.net.pl
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski
Rysunki wewnątrz książki – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek
inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,
ani odczytywana w środkach publicznego przekazu
bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2016

ISBN EPUB: 978-83-7924-603-8

ISBN MOBI: 978-83-7924-602-1

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Epilog
Posłowie
Strona redakcyjna

Książki Jakuba Ćwieka

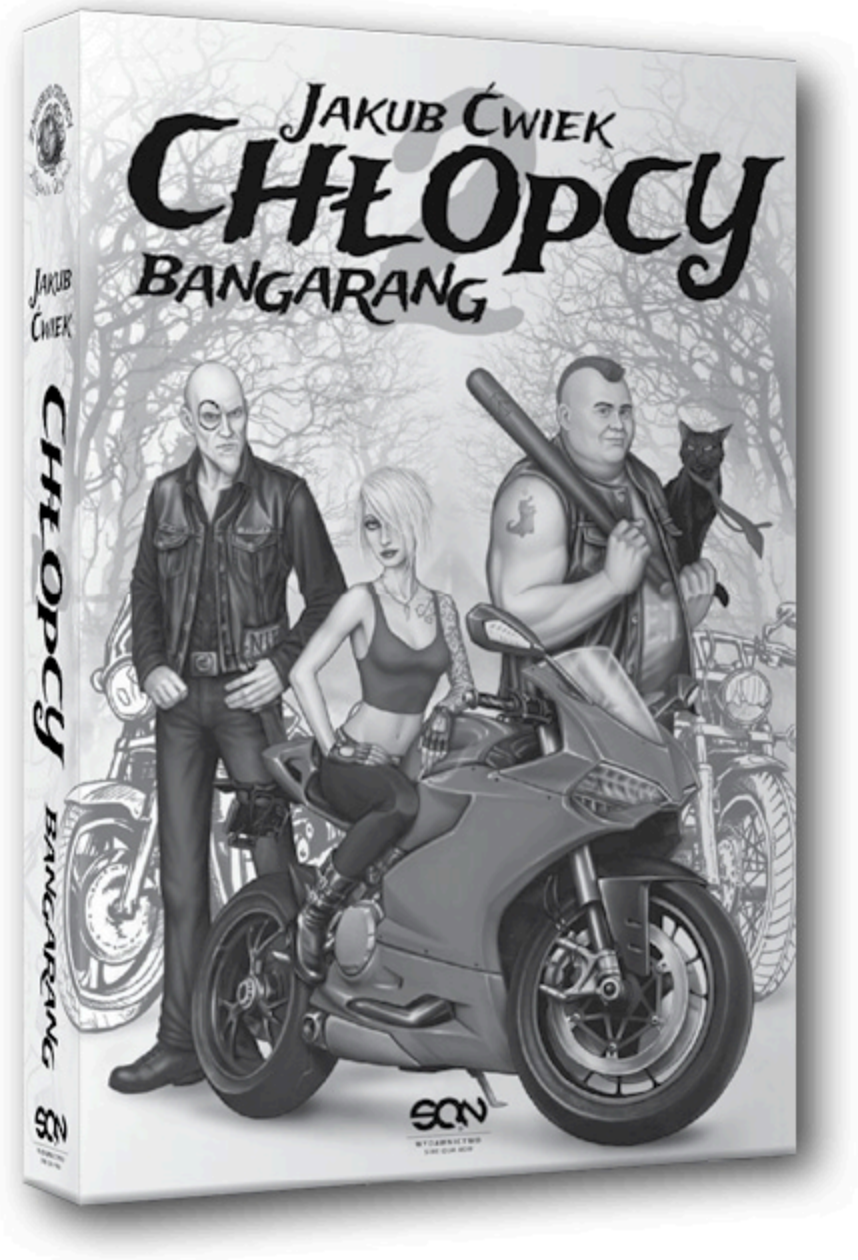

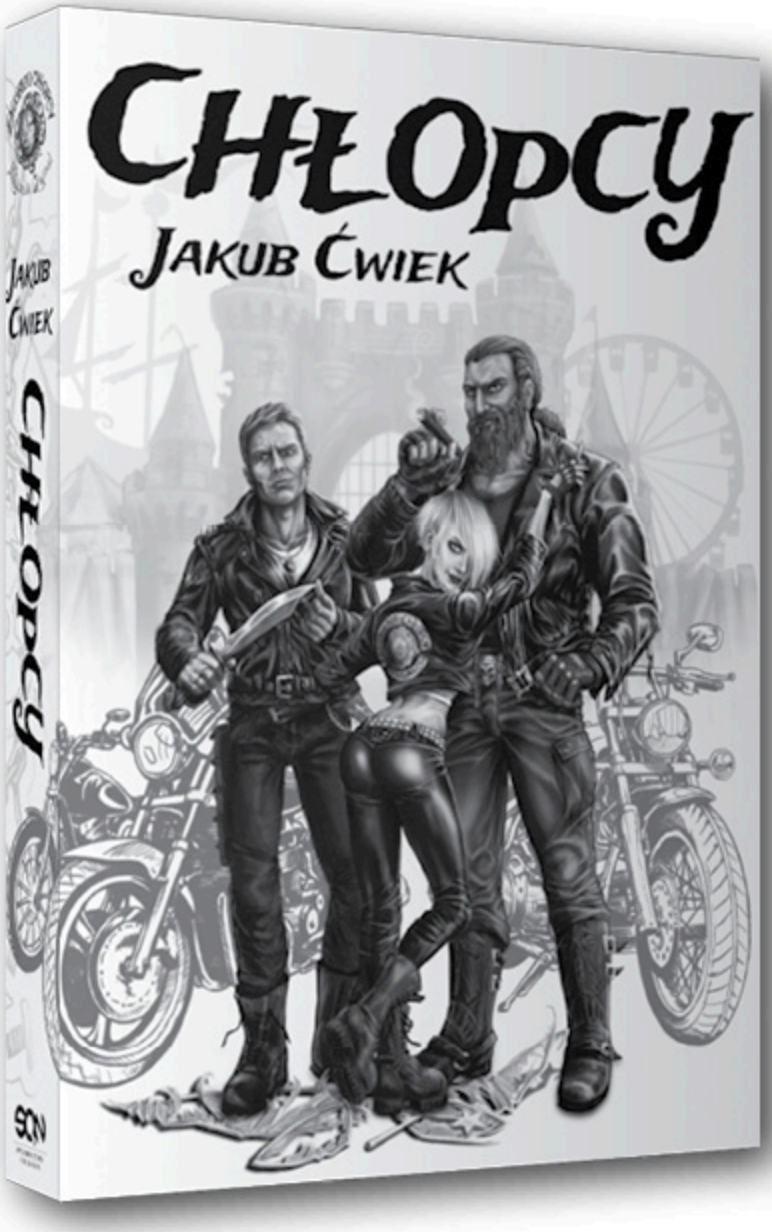
CHŁOPCY
JAKUB ĆWIEK
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY

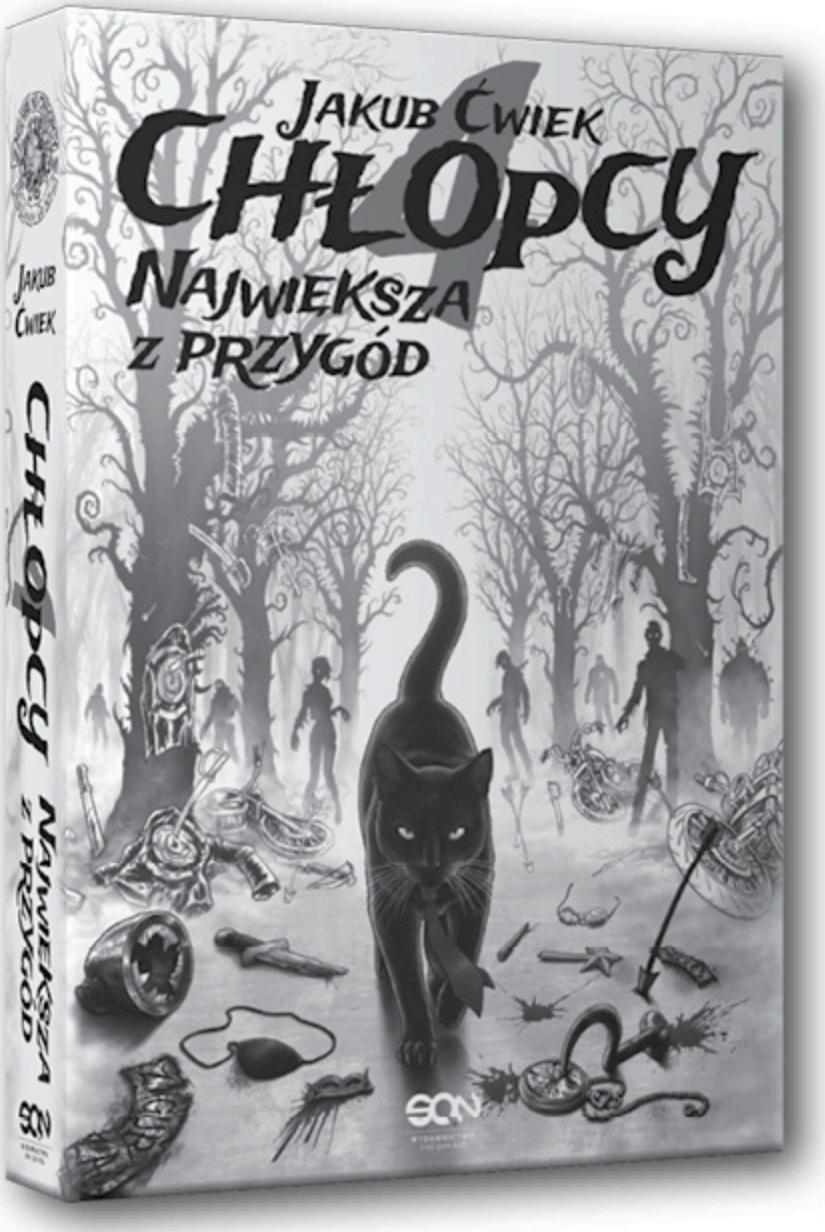
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Największa z przygód
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Największa z przygód

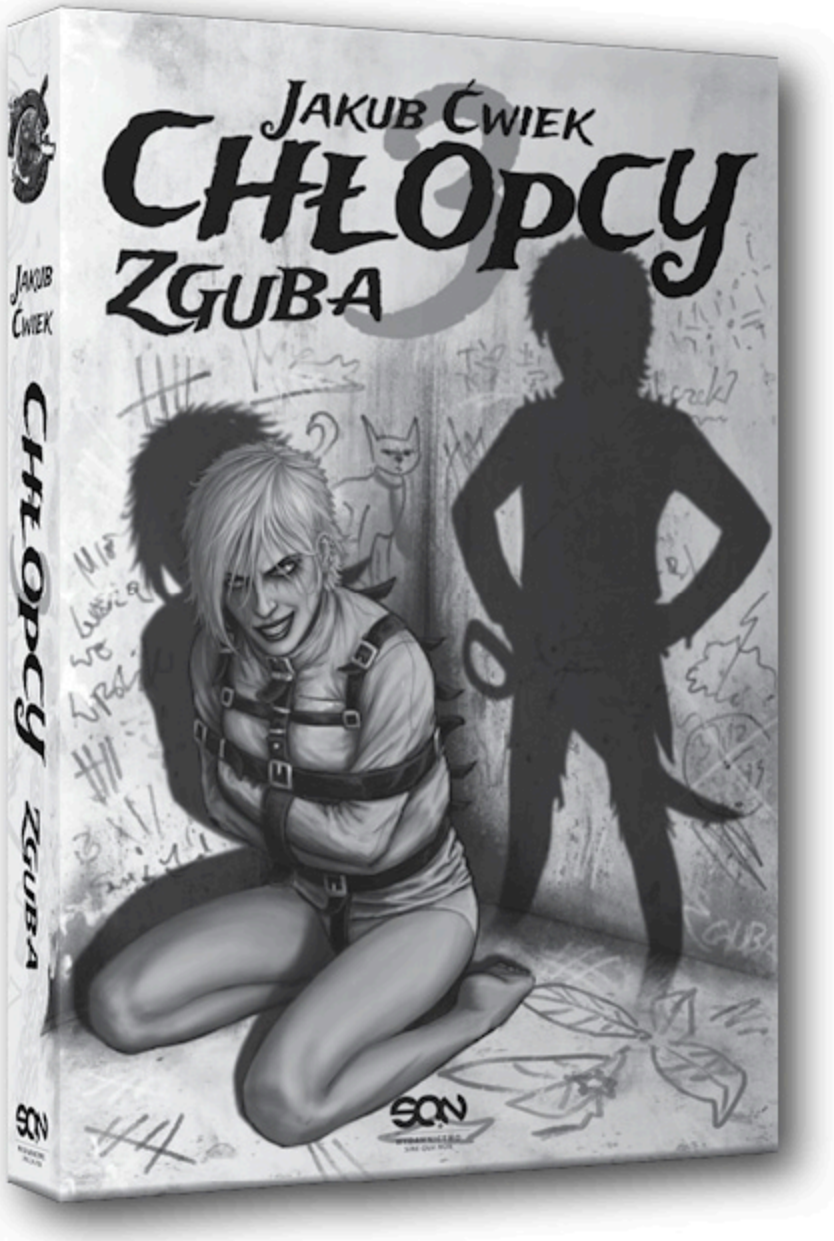
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Zguba
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Zguba

JUBILEUSZ BESTSELLEROWEGO CYKLU
JAKUB ĆWIĘK
KŁAMCA
PAPIEŻ SZTUK
JAKUB ĆWIĘK
KŁAMCA
PAPIEŻ SZTUK

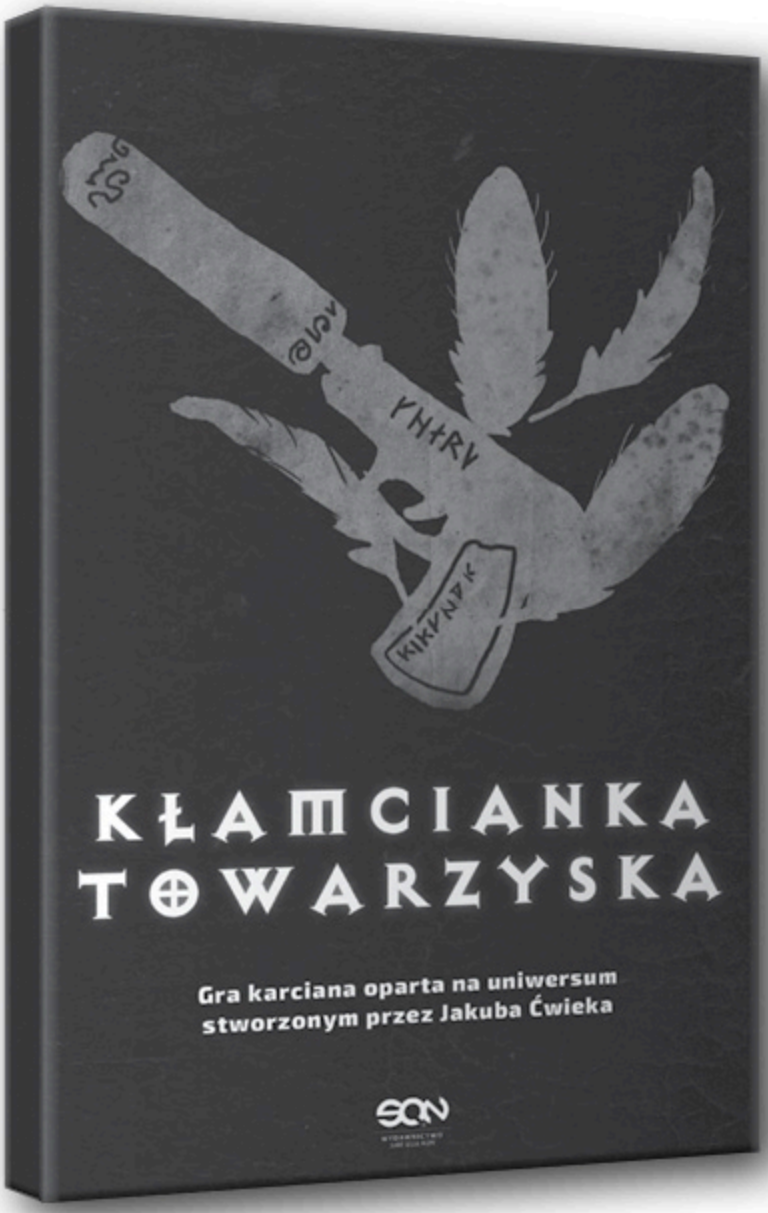
KŁAMCIANKA
TOWARZYSKA
Gra karciana oparta na uniwersum
stworzonym przez Jakuba Ćwieka

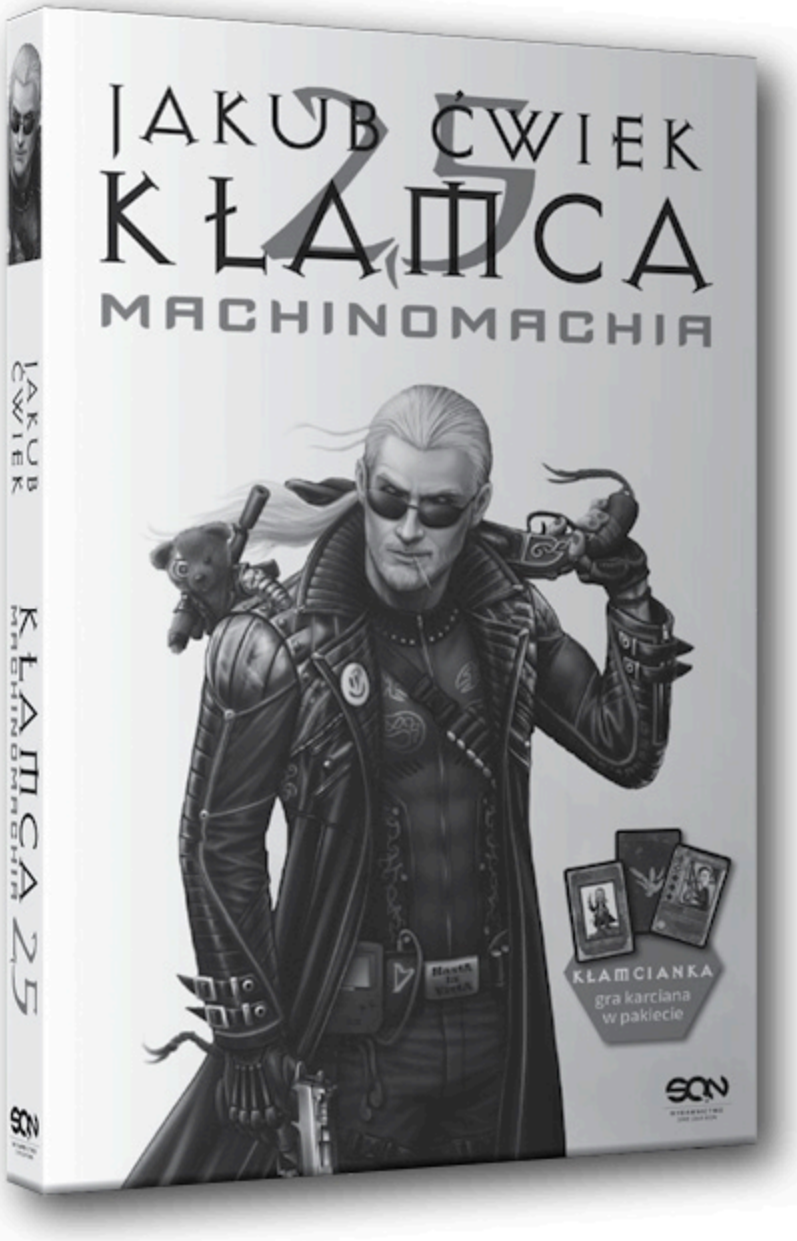
JAKUB ĆWIEK
KŁAMCA 25
MACHINOMACHIA
KŁAMCIANKA
gra karciana
w pakiecie

scenariusz: JAKUB ĆWIEK
rysunki: DAWID POCHOPIEŃ
kolor: GRZEGORZ NITA
Viva l'arte
KŁAMCA

Fantastyczne książki

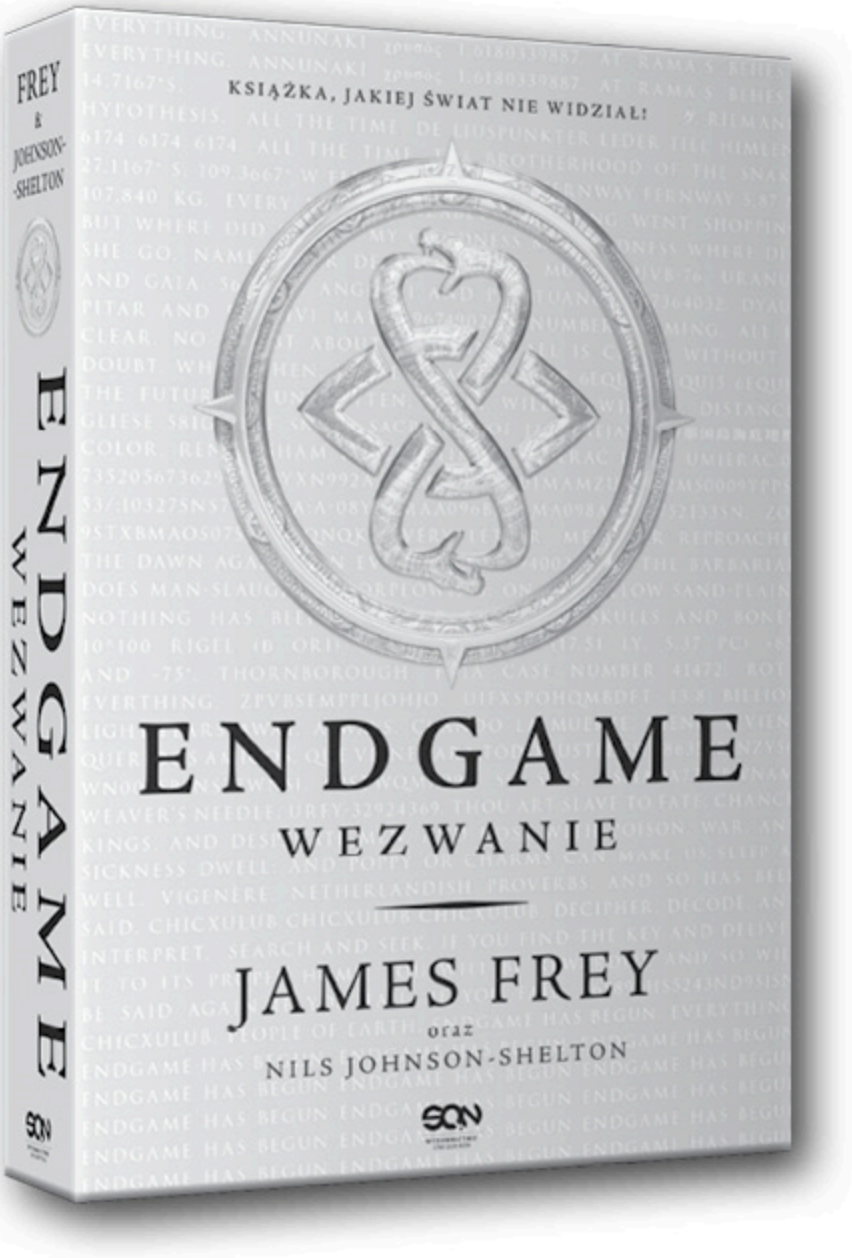

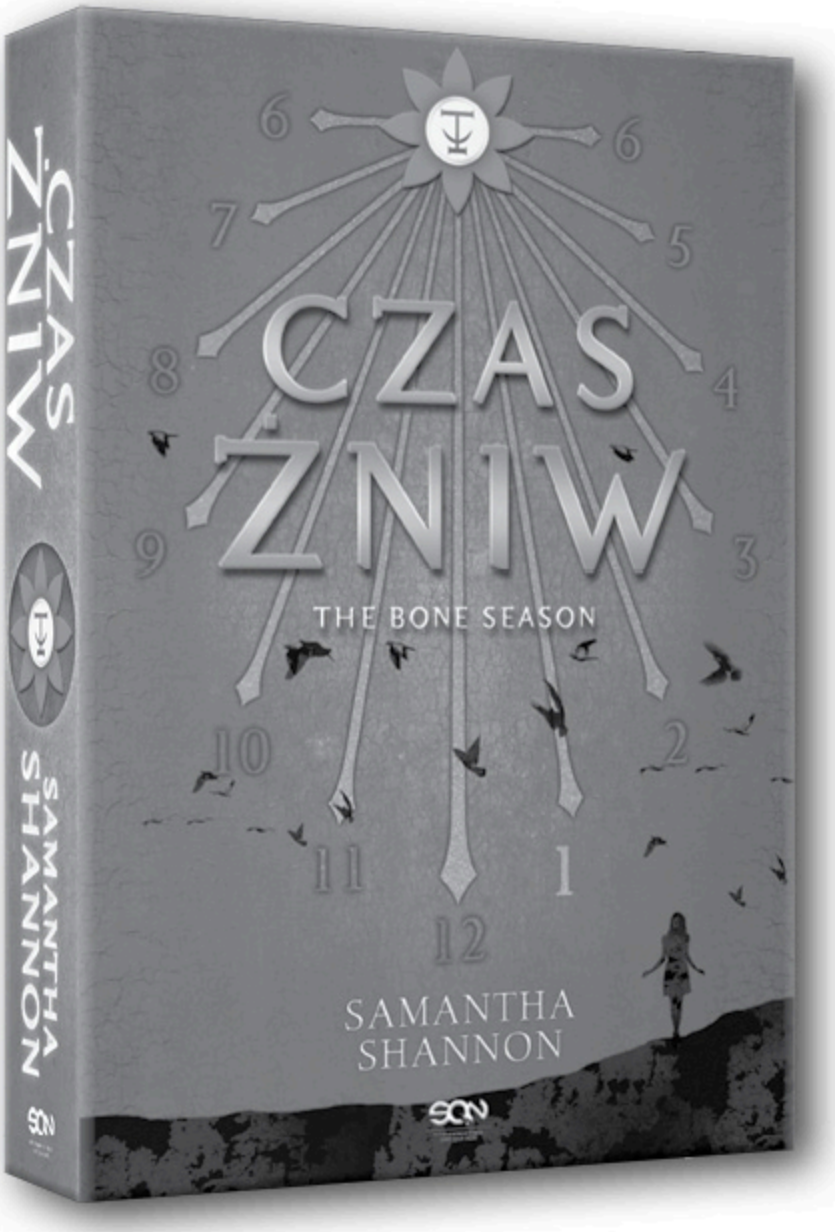
CZAS ŻNIW
SAMANTHA SHANNON
CZAS ŻNIW
THE BONE SEASON
SAMANTHA SHANNON

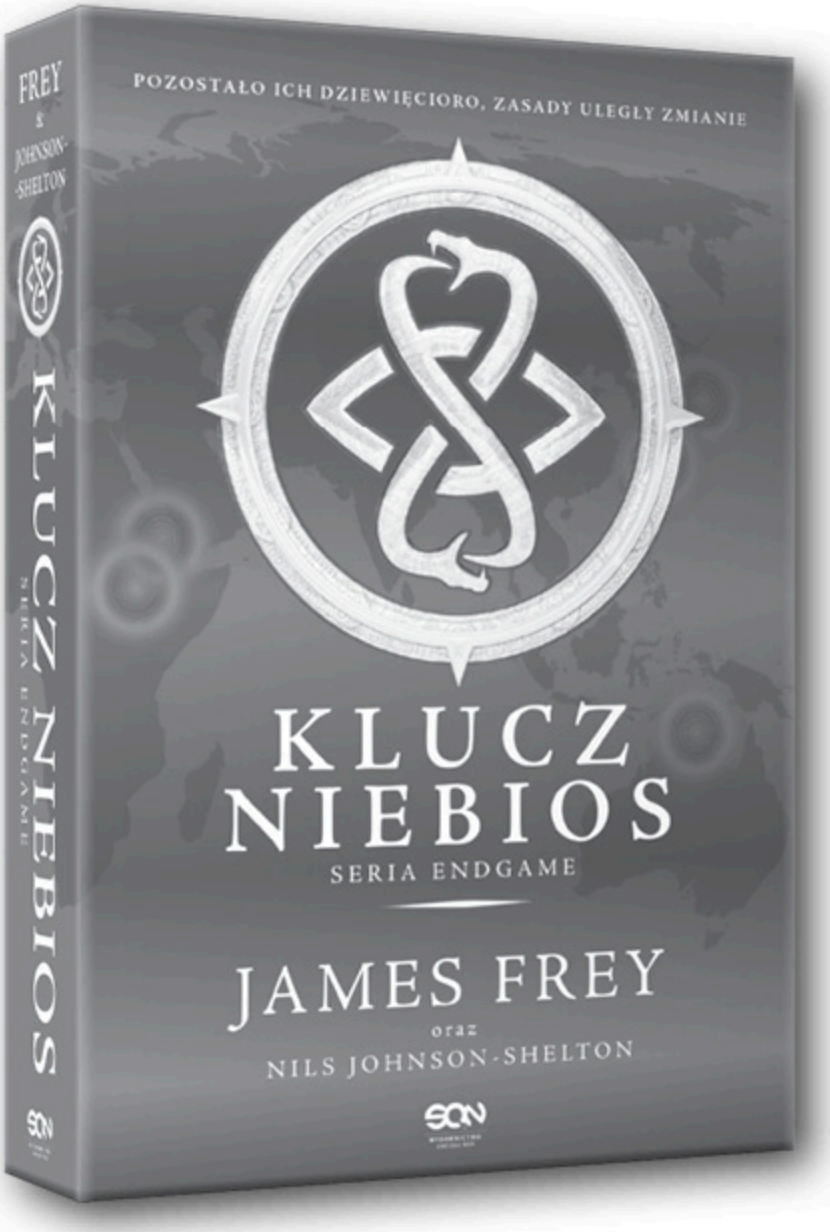
FREY & JOHNSON-SHELTON
KLUCZ NIEBIOS
SERIA ENDGAME
POZOSTAŁO ICH DZIEWIĘCIORO, ZASADY ULEGŁY ZMIANIE
KLUCZ NIEBIOS
SERIA ENDGAME
JAMES FREY
oraz
NILS JOHNSON-SHELTON

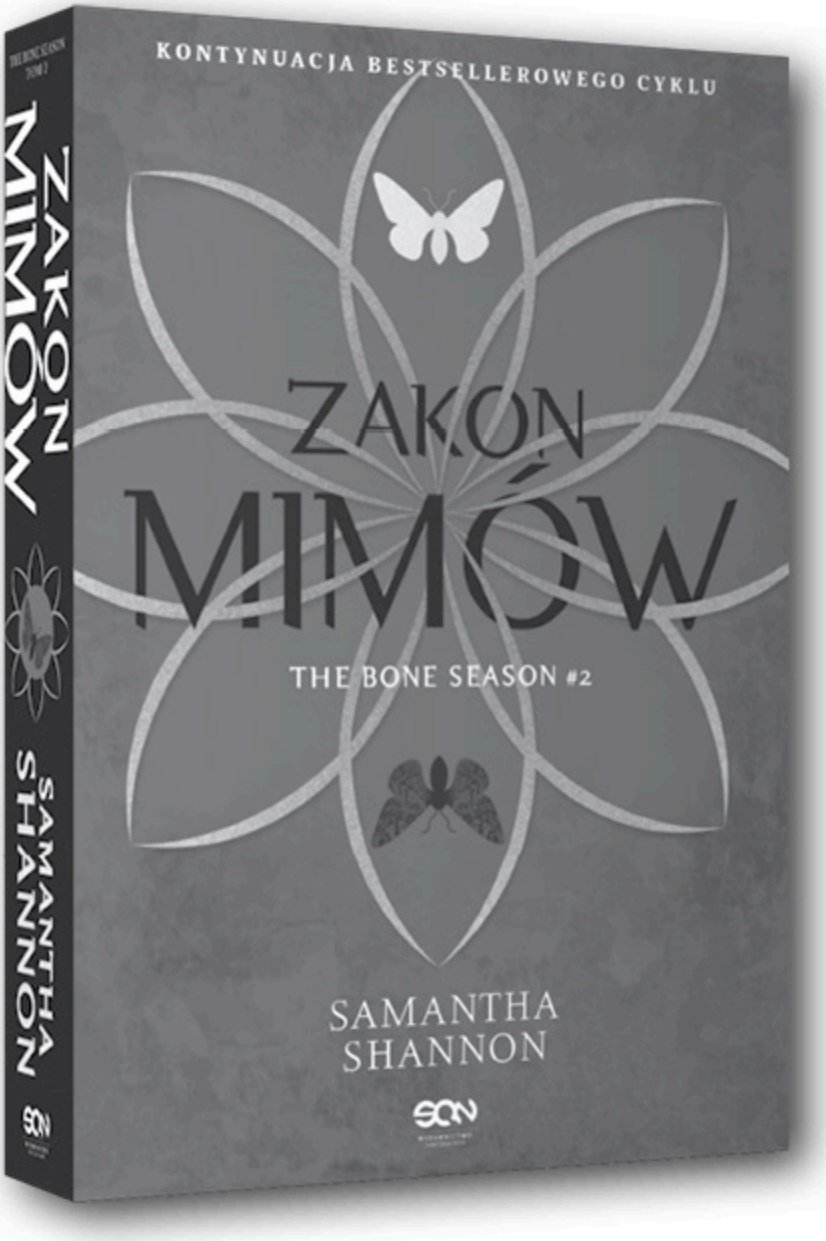
KONTYNUACJA BESTSELLEROWEGO CYKLU
ZAKON MIMÓW
THE BONE SEASON #2
SAMANTHA SHANNON
ZAKON MIMÓW
SAMANTHA SHANNON

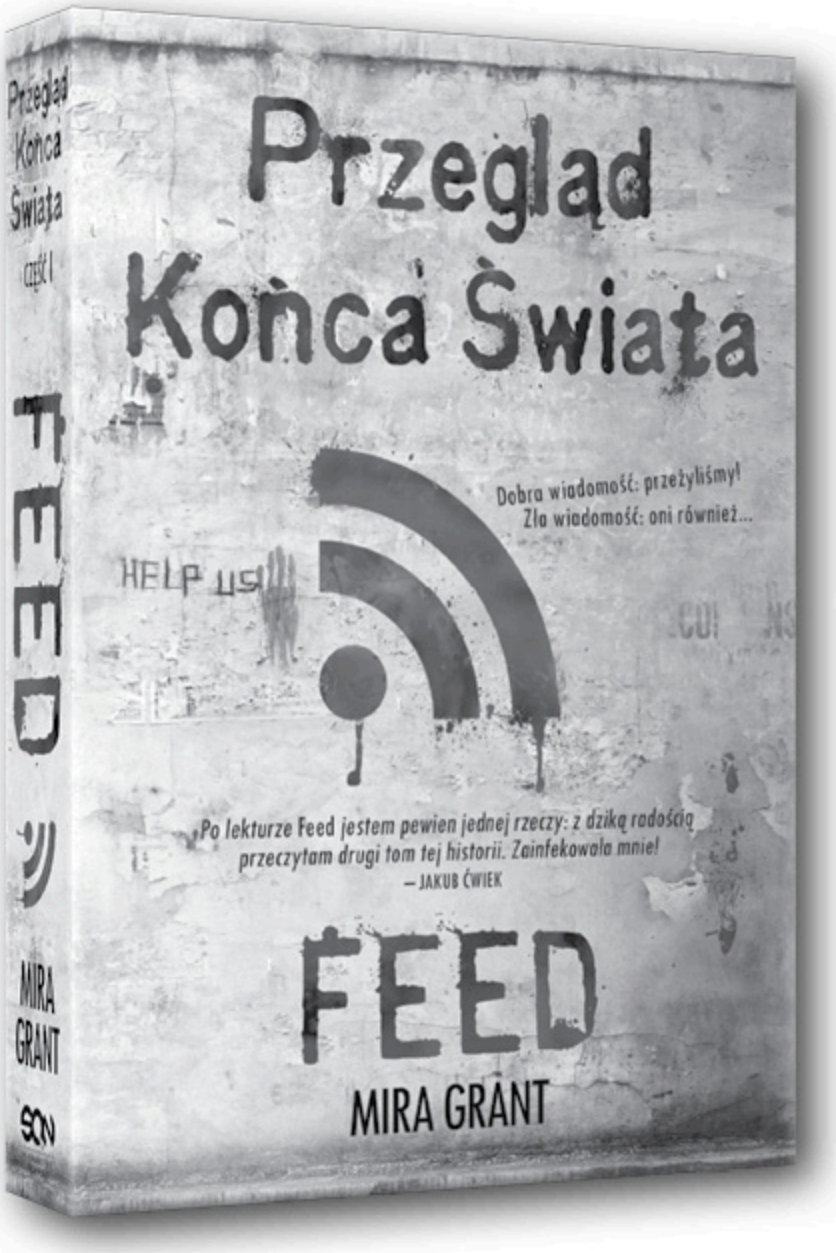
Przegląd Końca Świata
część I
FEED
MIRA GRANT
Przegląd Końca Świata
Dobra wiadomość: przeżyliśmy!
Zła wiadomość: oni również...
HELP US
„Po lekturze Feed jestem pewien jednej rzeczy: z dziką radością przeczytam drugi tom tej historii. Zainfekowała mnie!
— JAKUB ĆWIEK
FEED
MIRA GRANT

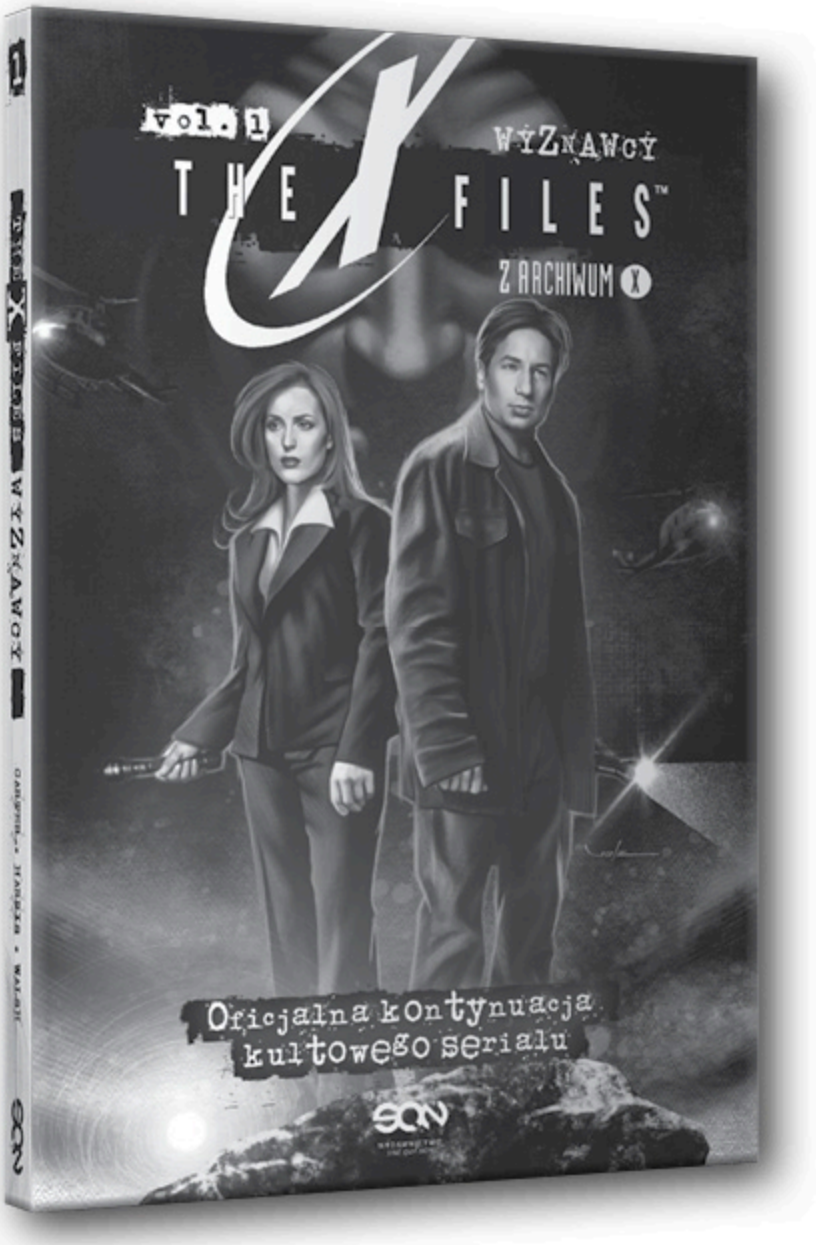
vol. 1
WYZNAWCY
THE X FILES™
Z ARCHIWUM X
Oficjalna kontynuacja kultowego serialu

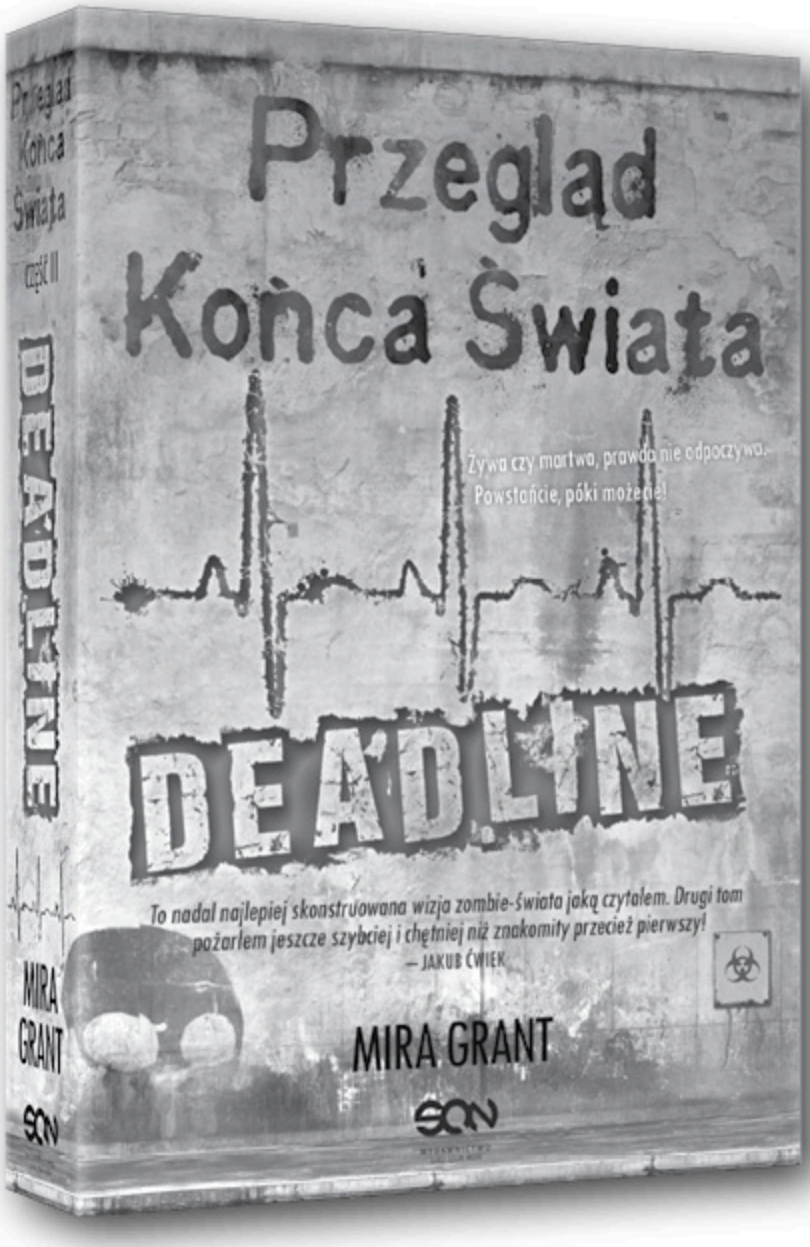
Przegląd Końca Świata
część II
DEADLINE
MIRA GRANT
Przegląd Końca Świata
Żywa czy martwa, prawda nie odpoczywa.
Powstańcie, póki możecie!
DEADLINE
To nadal najlepiej skonstruowana wizja zombie-świata jaką czytałem. Drugi tom pożarłem jeszcze szybciej i chętniej niż znakomity przecież pierwszy!
— JAKUB ĆWIEK
MIRA GRANT

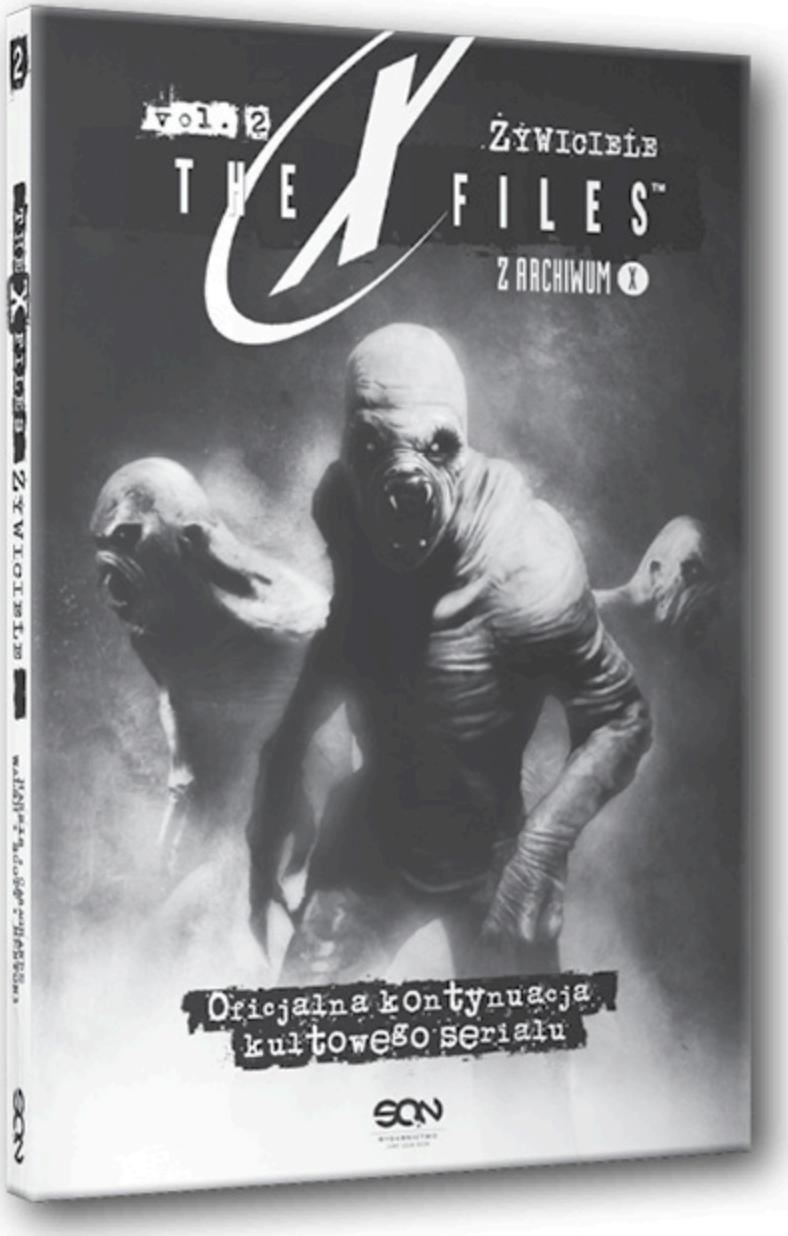
vol. 2
ŻYWICIELE
THE X FILES™
Z ARCHIWUM X
Oficjalna kontynuacja kultowego serialu

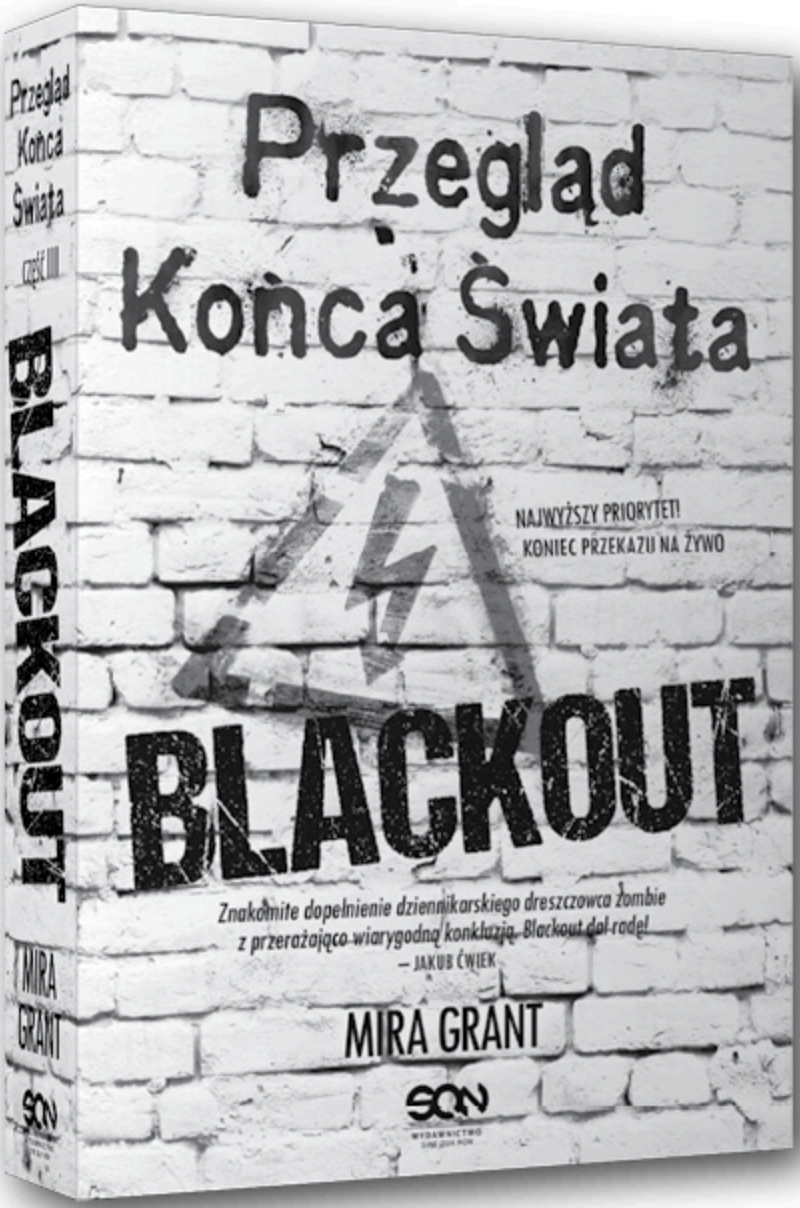
Przegląd Końca Świata
część III
BLACKOUT
MIRA GRANT
Przegląd Końca Świata
NAJWYŻSZY PRIORYTET!
KONIEC PRZEKAZU NA ŻYWO
BLACKOUT
Znakomite dopełnienie dziennikarskiego dreszczowca żombie
z przerażająco wiarygodną konkluzją. Blackout dał radę!
– JAKUB ĆWIEK
MIRA GRANT

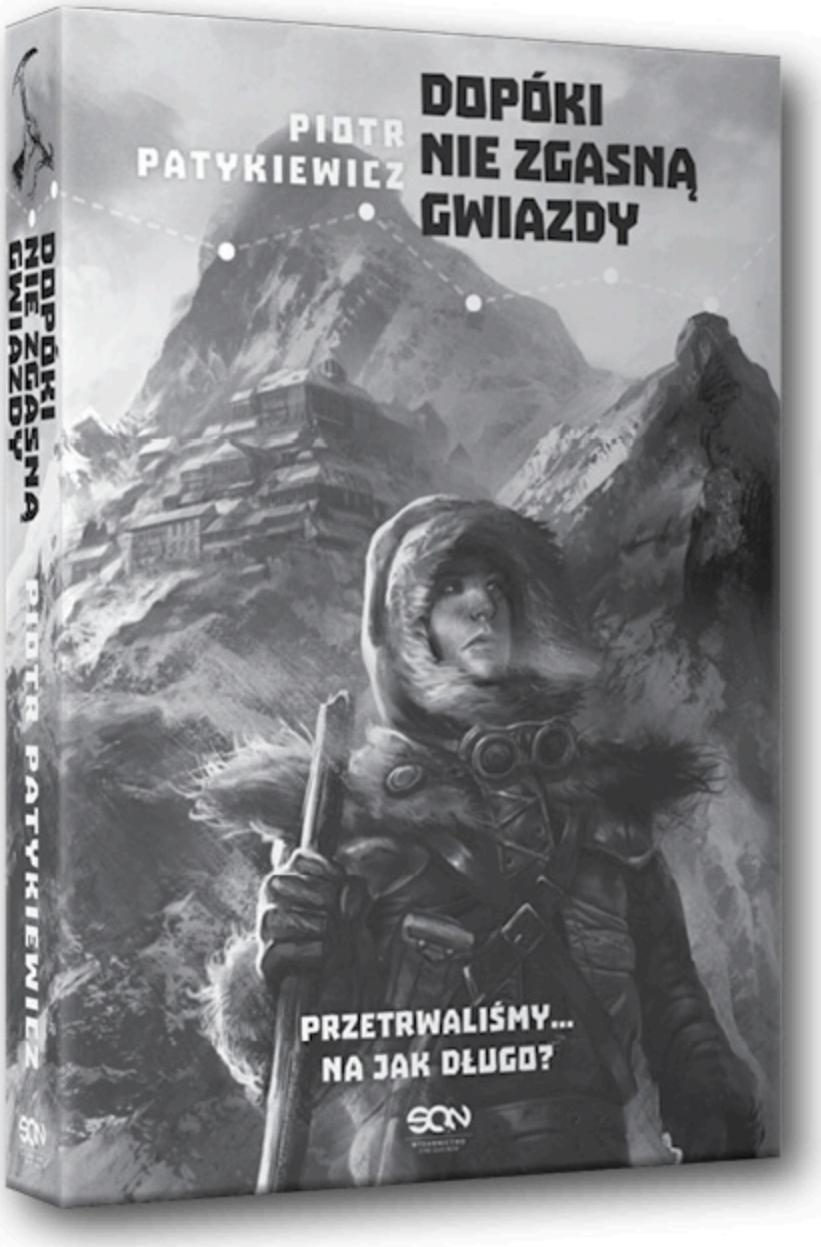
PIOTR PATYKIEWICZ
DOPÓKI NIE ZGASNĄ GWIAZDY
PRZETRWALIŚMY...
NA JAK DŁUGO?
SQN

JACEK ŁUKAWSKI
KREW I STAL
KRAINA MARTWEJ ZIEMI
KRAINA MARTWEJ ZIEMI
1
KREW I STAL

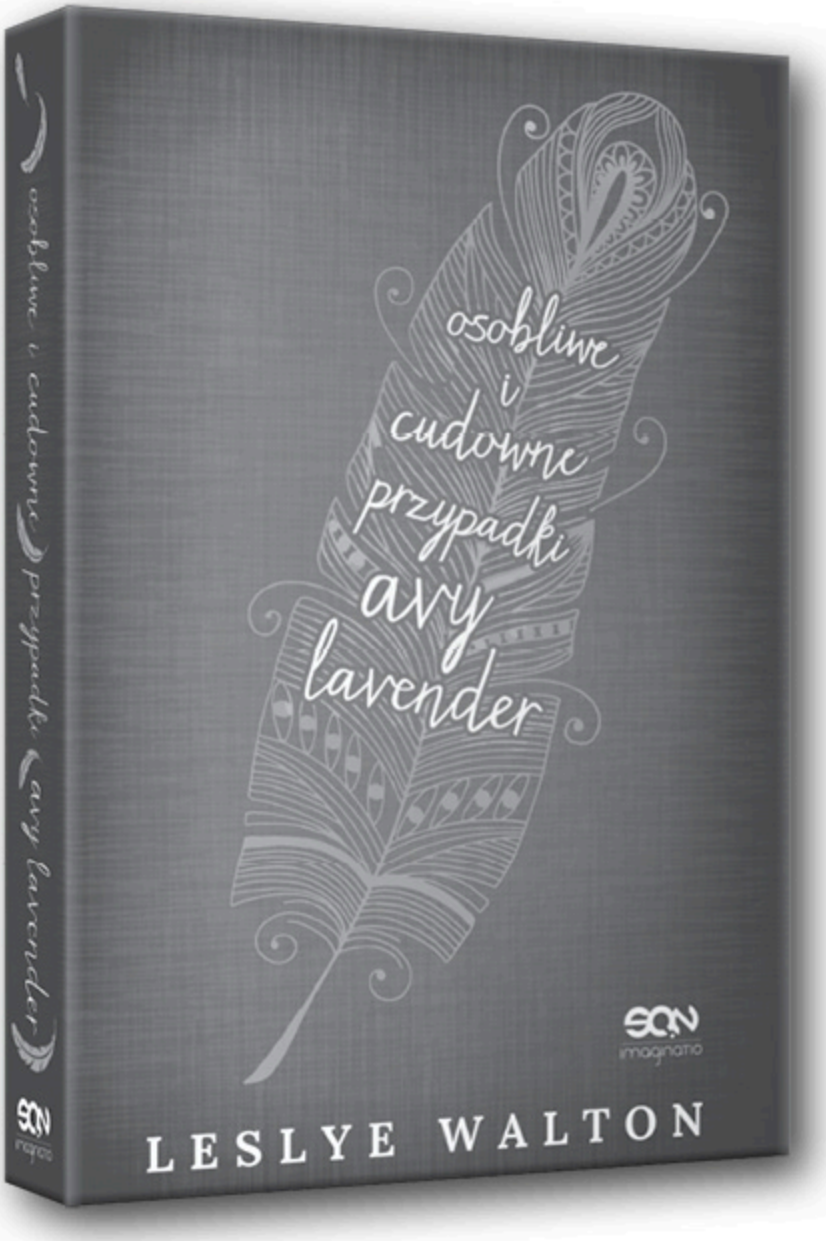
osobliwe i cudowne przypadki avy lavender
LESLYE WALTON
SQN
imaginatio

SEAN HOWE
NIEZWYKŁA HISTORIA
MARVEL COMICS
NIEZWYKŁA HISTORIA
MARVEL COMICS
SEAN HOWE
NAGRODA EISNERA
DLA NAJLEPSZEJ
KSIĄŻKI O KOMIKSIE

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

WydawnictwoSQN
SQNPublishing
wydawnictwosqn
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ SHAUN USHER
Listy
niezapomniane
KORESPONDENCJA GODNA SZERSZEGO GRONA ODBIORCÓW
LISTY NIEZAPOMNIANE

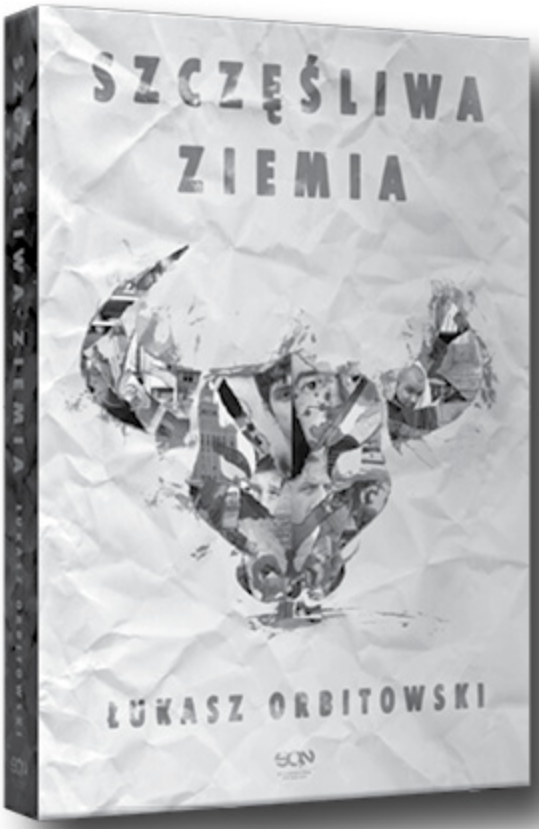
SZCZĘŚLIWA ZIEMIA
ŁUKASZ ORBITOWSKI

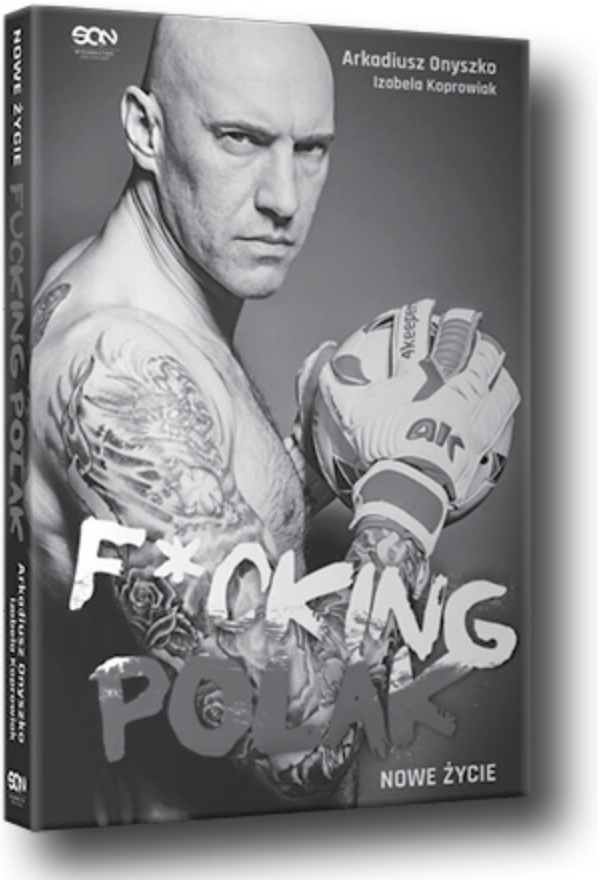
NOWE ŻYCIE
F*CKING POLAK
Arkadiusz Onyszko
Izabela Koprowiak
F*CKING POLAK
Arkadiusz Onyszko
Izabela Koprowiak
NOWE ŻYCIE

WIGILIJNE PSY
I INNE OPOWIEŚCI
KSIĄŻKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015
ŁUKASZ ORBITOWSKI

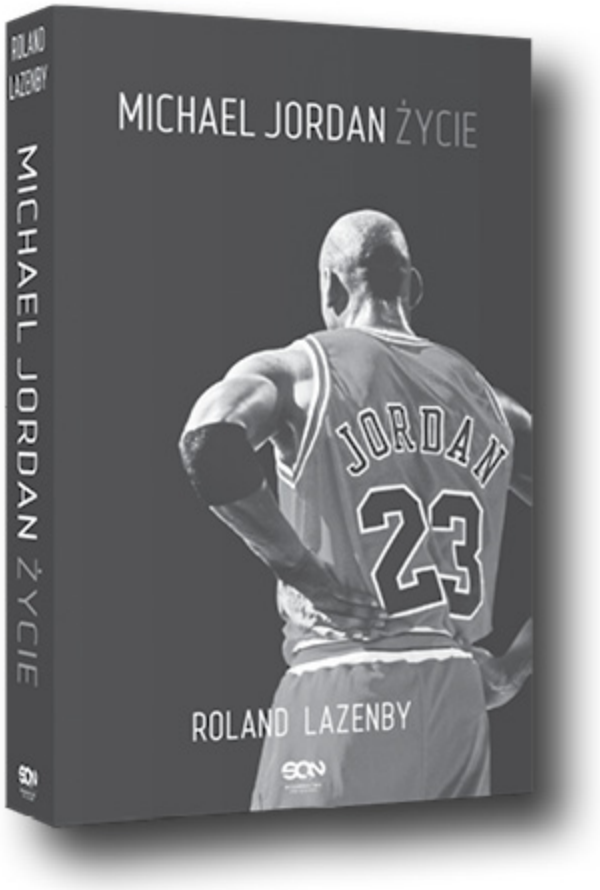
ROLAND LAZENBY
MICHAEL JORDAN ŻYCIE
MICHAEL JORDAN ŻYCIE
JORDAN
23
ROLAND LAZENBY